DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XVII.

LWÓW.

Nakład i druk E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XVII.

I. Żywoty Świętych, legendy, podania o cudownych miejscach w Polsce i rozmaite historje święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki.

VI. Różności:

VII. Przypowieści.

Tom XVII. Nr. 1.

1. lipca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Opieka Boska nad dziećmi.

Trzechletnia Basia zachorowała śmiertelnie. Biedne dziecko nie jadło przez trzy dni, ani ręką ani nogą nie ruszyło, jeno leżało rozpalone, w strasznej gorączce. Marcinowa Burakowska, matka Basi, nie sypiała po całych nocach, tylko krzątała się i zwijała koło chorej jedynaczki, a nie było jej komu wyręczyć, bo mąż służył we dworze za furmana i pojechał właśnie z panem w daleką drogę. W końcu Marcinowa wybrała się z Basią do Lwowa, do doktora, ale pieszo, bo nie miała za co nająć wozu. Idąc ze swoim drogim ciężarem, wstąpiła do swojej matki, która mieszkała w drugiej wsi, niedaleko lwowskiej rogatki, wypoczęła i przyszła do Lwowa jeszcze dobrze przed południem. Poczciwi ludzie pokazali jej drogę do doktora, a doktor był jakiś także bardzo poczciwy pan, bo z nią rozmawiał jakby z równą sobie i wypytywał zkąd jest, jak się zowie, jak się jej powodzi, a dziecko opatrywał jakby swoje własne. Potem siadł, napisał karteczkę do apteki, pouczył Marcinowę jak ma dawać to lekarstwo, i nakazał jej aby nazajutrz przyszła sama, bez dziecka, jeżeli się maleńkiej Basi przez noc znacznie nie polepszy.

W aptece prędko zrobili lekarstwo i Marcinowa poszła z dzieckiem do domu. W drodze spotkała matkę, która jej radziła aby u niej została póki mąż nie wróci albo dziecko nie wyzdrowieje; więc została. Noc minęła niespokojnie, nazajutrz przed południem Marcinowa zostawiła chorą Basię pod okiem babki, a sama poszła do doktora. Gdy mu opowiedziała o dziecku wszystko jak się patrzy, doktor pokiwał głową i dał inną karteczkę do apteki.

Marcinowa pospieszyła do apteki, ale tu powiedzieli jej, że lekarstwo będzie gotowe dopiero za pół godziny, zapłaciła więc i pobiegła do miasta aby dziecku kupić tymczasem jakie bawidełko. Wraca nakoniec, w aptece pełno ludzi z karteczkami i flaszkami ani się docisnąć nie może.

— A gdzie proszę pana moje lekarstwo? — zapytała nieśmiało aptekarza.

Aptekarz wskazał ręką.

— Już zapłacone, proszę pana.

— Dobrze, idźcie z Bogiem — rzekł aptekarz.

Marcinowa wzięła flaszeczkę co stała na kraju i poszła smutna z tem lekarstwem do domu a szła prędko, by myślała sobie, że może życie dziecka zależy od jej pospiechu. Ale gdy wychodziła z miasta w uliczkę co do wsi prowadziła, postrzegła otwarty kościółek, a z kościółka biło światło i zalatywały głosy pieśni nabożnej. Marcinowę jakby pociągło do kościółka.

— Nie ma czasu — rzekła sama do siebie — ale kto wie, może mój pacierz będzie także lekarstwem dla biednej Basi..... Bóg jest miłosierny.

Weszła więc do kościoła, padła przed ołtarzem Matki Boskiej boleśnej i modliła się gorąco. I tak się zatopiła w modlitwie, że ani spostrzegła jak godzina minęła, a tymczasem nieszpory się skończyły, wszyscy ludzie powychodzili z kościoła, a ona jeszcze klęczała i Przenajświętszej Orędowniczce powierzała swoje troski. Nakoniec dziadek co kościół zamyka, brząknął jej parę razy kluczami nad uszyma. Dopiero wtedy zerwała się i poleciwszy jeszcze raz siebie i dziecko swoje opiece Boskiej, pobiegła spiesznie do domu.

Tymczasem w aptece, w której przed godziną brała lekarstwo, stał się wielki gwałt. Gdy Marcinowa ztamtąd poszła i nikogo zresztą obcego nie było w sklepie, aptekarz zapytał swego pomocnika:

— Panie Szymonie, a gdzieście podzieli tę truciznę co wam kazałem zrobić?

— Stoi tam na stole — odpowiedział pomocnik.

— Ależ tu nic nie ma, tylko lekarstwo dla jakiegoś dziecka.

Pomocnik przybiegł, popatrzył.

— Wielki Boże! to ta kobieta ze wsi wzięła truciznę zamiast swego lekarstwa!

— Jezus Marja! — zawołał aptekarz — toż jak tylko kropelkę z tego połknie ona dziecina, to zaraz skona w najstraszniejszych męczarniach.

Pomocnikowi aż włosy stanęły na głowie, załamał ręce.

— Cóż ja teraz nieszczęśliwy poradzę, o Boże! o Boże!

Aptekarz nie słuchał jego narzekań, jeno co tchu wziął płaszcz na siebie i pobiegł z receptą do doktora.

— Panie doktorze — rzekł do niego — co to za kobiecie daliście tę receptę?

Doktor popatrzył na niego.

— Dla Boga, co wam jest panie aptekarzu? wyglądacie jak w gorączce.

— Na miłość Boską nie pytajcie mię o nic, bo teraz nie ma czasu, tylko odpowiadajcie prędko na moje pytania, bo mi bardzo pilno — prosił aptekarz.

— Komu ja dałem tę receptę? Alboż ja wiem!... Hm .. hm... zaraz, zaraz... może sobie przypomnę; to jakaś kobiecina ze wsi. Aha!... Nazywa się Marcinowa Burakowska, tak, tak... Burakowska.

— A zkądże ona jest, panie doktorze?

— Zkąd jest? hm... hm... podobno z Lipowca, czy z Bukowca... nie, nie... z Dębniowa, tak z Dębniowa, tam jej mąż służy we dworze za furmana.

— A więc Marcinowa Burakowska z Dębniowa.

— Tak, panie aptekarzu, ale cóż się stało?

— Jutro wam powiem wszystko — odpowiedział aptekarz — teraz nie mam ani chwilki czasu. To powiedziawszy uścisnął doktora za rękę, wybiegł czemprędzej, a dopadłszy takiego powozu jakich pełno stoi w wielkich miastach na ulicach a zowią się fiakry albo doróżki, wsiadł do takiego i kazał pędzić co koń wyskoczy do Dębniowa.

Droga była dobra, konie leciały jak szalone, fiakier w trzy kwandranse upalił milę i stanął w Dębniowie. Aptekarz wyjrzał z powozu, postrzegł przechodzącego wieśniaka i zapytał:

— Gospodarzu, a gdzie tu mieszka Marcinowa Burakowska?

Wieśniak wskazał ręką domostwo oddalone o jakie dwieście kroków. Popędził tam powóz, aptekarz wyskoczył, przyszedł do drzwi, zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Zagląda przez okno, a nie widzi nikogo, spieszy więc do sąsiada i pyta znowu o Marcinowę Burakowską. Sąsiad go objaśnił, że Marcinowa od dwóch dni mieszka u swojej matki w Zastawicach, tuż pod rogatką lwowską.

Biednemu aptekarzowi pot kroplisty wystąpił na czoło, rozpacz go ogarnia; tyle czasu minęło, dziecko już może od godziny nie żyje. Bądź co bądź trzeba spieszyć, wsiada więc do powozu i pędzi co koń wyskoczy do Zastawiec, a myślą modli się do Pana Boga.

Nakoniec przybył przecie do Zastawiec i spotkał tu samego wójta, który mu pokazał gdzie się ma udać. Stanął więc przed chatą, a że wejść nie śmiał, zajrzał przez okno do izby. I cóż ujrzał? Oto na łóżku leżało dziecię żywe czy śpiące, tego poznać nie mógł, a przy niem siedziała ta sama kobieta, którą widział w aptece.

Aptekarz wpadł do izby, a w tejże chwili zerwała się i Marcinowa, bo ją nie mało zdziwiło, zkąd się tu wziął obcy jakiś pan, którego nie poznała.

— Czyście już dali dziecku lekarstwo? — zapytał cichym, drżącym głosem.

— Nie, proszę pana, nie dałam jeszcze, a cóż to? o cóż to chodzi?

— Boże chwała ci na wieki! — zawołał aptekarz prawie ze łzami i wzniósł oczy i ręce ku niebu, potem skwapliwie

dopytywał się o flaszeczkę z mniemanem lekarstwem, a odebrawszy ją z rąk Marcinowej, popatrzył jeszcze czy doprawdy nie odtykana i czemprędzej schował do kieszeni.

Marcinowa nie mogła wyjść ze zdziwienia.

— Podziękujcie Bogu, że wam dziecię uratował, bo gdyby było skosztowało tylko kroplę tego lekarstwa...

— Jezus Marja! panoczku, to cud prawdziwy... jakem szła z tem lekarstwem, to mię tak coś ciągło do kościoła, żem się oprzeć ani wyrwać ztamtąd nie mogła. Zabawiłam tam z godzinę... przychodzę do domu, a moja Basienka spi jak już od tygodnia nie spała, anim się jej dobudzić nie mogła..... wszystko się tak składało dziwnie, jakby umyślnie dlatego, żeby jegomość miał czas przyjechać Ale dlaczegoście mi proszę pana takie złe lekarstwo dali.. i jak mię tu panoczek znaleźli?

— Przez omyłkę wzięliście flaszeczkę z trucizną zamiast waszego lekarstwa.. a żem was znalazł, to tylko Boska opieka nad waszem dzieckiem. Teraz miejcie nadzieję, teraz bądźcie pewni, że ta wasza Basia nie umrze; kiedy ją Bóg wszechmocny od takiego nieszczęścia uratował, to pewnie i nadal będzie się nią opiekował.

Marcinowej zabłysły łzy w oczach, stanęła przy łóżku i rozczulona patrzyła na dziecko.

— Zostańcie z Bogiem — rzekł aptekarz — spieszę do miasta do domu, gdzie dwoje takich samych maleńkich czekają na mnie. Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi.

— Niech Bóg nagrodzi jegomościa za dobre serce i poczciwość.

W tej chwili Basia się zbudziła i zawołała matki, a aptekarz tymczasem wsiadłszy do powozu pospieszył do domu.

Krakowiak o Krakowie.

Ptaszek skrzydłem trzepie
Z za gór słońce wstało,
I w rosie zaspane
Promienie płukało.

Wstało na niedzielę
Jasne słońce duże,
A obłoczki w koło
Jako białe róże

Jak gołębi wianek
Płyną przez niebiosy —
I krakowska ziemia
Wstała z chłodnej rosy.

Wstała z chłodnej rosy
Śliczna, ukochana,
Niby wiejskie dziewczę
Na święto ubrana
W kłosy i bławatki:
Po nad Wisłą siedzi,
Czysta i spokojna
Niby po spowiedzi.

A gdy wiatr poranny
Przeleci po łanie,
To się zdaje człeku
Że ta ziemia wstanie —
I nabożną książkę
Po pod rańtuch schowa,
I wstanie i pójdzie
Na mszę do Krakowa.

Oj krakowska ziemia
Płacze gdy się śmieje,
I z wesołej piosnki
Dziwny smutek wieje.
I kwiateczki smutne
Co tam kwitną wiosną
Oj nie dziw, bo kwiaty
Na mogiłach rosną.

I nie dziw, że kwiatek
Smutnie czółko nosi,
Gdy go rzewna piosnka
I cicha łza rosi.

Oj krakowska ziemio
Matko moja miła!
Czem ty tak głęboko
W serce mi się wryła
Że gdy mi cię zbraknie
To w snach proszę Boga,
Byś mi się przyśniła
Matko moja droga.

By mi się przyśniły
Trzy mogiły duże,
Stare groby królów
Na wawelskiej górze.
I ten dziad, co w bramie
Florjańskiej śpiewa,
I te pochylone
Po nad Wisłą drzewa.

I wsłuchane myśli
Zda się wtedy słyszą,
Jak krakowskie dzwony
Z szumem się kołyszą.

Jak topole stare
I krakowskie wieże,
Za naród, za cały
Szeptają pacierze.

A tak każda rzewnie
Swoje modły gada,
Tak boleśnie w niebo
Modlitwą kołacze
Że gdy z gwiazd wieczorem
Chłodna rosa pada —
To mi się wydaje,
Że to Pan Bóg płacze.

I tą łzą oblany
Znów się modlę szczerze,
I w grobowce patrzę,
I w ich życie wierzę.

El.

Wódka jako lekarstwo.

— Znowu o wódce! — zawoła nie jeden co ten numerek „Dzwonka“ weźmie do ręki — czy już nam nie dacie spokoju? czy chcecie abym ani kieliszka wódki nigdy nie wypił? Tego już za wiele! Ksiądz w kościele prawi o wódce, dziedzic nas od wódki odwodzi, w urzędzie zowią nas pijakami i ciągle nas tą wódką prześladują, a oto biorę „Dzwonek“ do ręki, aby w nim co uciesznego przeczytać, i cóż tam stoi? znowu o wódce!

Ha! cóż robić ludzie kochani? Wiecie sami, że wódka jest naszem największem nieszczęściem, większą klęską jak pomór na bydło, stokroć większą jak nieurodzaj i głód. Jest to wróg, który nas przyprowadza do ubóstwa, który żony nasze i dzieci czyni nieszczęśliwemi a w końcu i nas samych zabija. Jakżeż o nim milczeć! Jest to wróg straszny i nie łatwo z nim się rozprawić; dlatego to już od tylu lat i księża i panowie i gazety tak ostro uderzają na niego. Niestety, rady mu dać nie mogą! Daj Boże abyśmy raz tej hydrze głowę ucięli, a wtedy już pewnie nikt o wódce nie wspomni.

Wszyscy wiecie, że być pijakiem to brzydko i niepożytecznie. Brzydko — bo jużcić jak się gospodarz mający żonę, dzieci i czeladź spije, a potem legnie gdzie pod płotem, albo w rowie, to nie bardzo piękny widok; niepożytecznie — bo wódki za darmo nie dają, a jest ona droga i bardzo. Wszyscy to wiecie, a jednak coś was ciągnie do karczmy i nie ma pomiędzy wami może ani jednego, coby wódki nie pijał. Dlaczegoż to tak jest?

Dlaczego tak jest, wy sami tego nie wiecie. Niektórzy mówią, że w wódce siedzi djabeł, który ludzi kusi; nie wierzcie temu, bo to wierutne bajki, a posłuchajcie tego co ja wam powiem o wódce; wszystko to będzie najświętsza prawda. Owóż według mojego zdania, wy wódkę dlatego lubicie, bo wódka na pozór zda się być w niektórych razach bardzo dobrą rzeczą, i wy się tem łudzicie. Odrobina wódki robi taki skutek jak lekarstwo zapisane przez doktora i w aptece kupione, chociaż więc jedni przeklinają wódkę jako truciznę, drudzy ją chwalą jako lekarstwo.

Żeby człowiek mógł zawsze utrafić i nie pił jeno wtedy kiedy mu to dla zdrowia potrzeba, i nie więcej jak potrzeba, może wódka doprawdy nie byłaby złą rzeczą. Ale cóż, i utrafić trudno i wymówić się niepodobna, kiedy zaczną częstować i przymuszać do picia.

Jeszcze gorzej jest z tem, że wódka choć brzucha nie napełni, przecie głodnemu pożywienie zastąpi. Biedak co czasem dzień albo dwa nie je, dostawszy zkąd kilka groszy, nie ma czasu kupić za to ziemniaków albo zboża, gotować, albo mleć na mąkę i piec chleb. A może i pieniędzy ma za mało, żeby za nie mógł kupić ziemniaków albo zboża. Cóż on wtedy robi? idzie do karczmy, przepija swoje pieniądze, i oto już głodu nie czuje. Wódka zastąpiła mu jadło. Owóż więc człowiek biedny nie dlatego tak często zagląda do karczmy, żeby go tam djabeł ciągnął, ale też i nie dlatego, aby chciał pić wódkę na lekarstwo, ale po prostu dlatego, że go nie stać na lepsze śniadanie albo obiad, jeno na kielich wódki i dlatego, ponieważ mu się zdaje, że się wódką prędzej i taniej jak czem innem nasyci, ponieważ mu się zdaje, że wódka daje mu więcej sił jak gotowana strawa.

Ale cóż się przez to dzieje? Oto przez to, że mu się tak zdaje, zostaje pijakiem; ludzie się od niego odwracają, a ksiądz go piekłem straszy. Lecz czyż się godzi potępić kogo za to, że mu się źle zdaje? My myślimy, że go trzeba oświecić, nauczyć, z błędu wyprowadzić, aby mu się na przyszłe czasy źle nie zdawało i my to sobie zamierzamy. Zadanie to nie lada, oświadczamy więc z góry, że o tem w jednym numerze nie skończymy.

Weź do ust ziarnko pieprzu, rozgryź i nie wypluwaj. Zapiecze cię i narobi się z tego jednego ziarnka pieprzu pełna gęba śliny. To samo dzieje się w żołądku po wódce. Wódka zapiecze go i wyciąga z niego soki, tak jak pieprz ślinę, a wyciąga takie soki, że się w nich jadło rozpuszcza niby sól w wodzie i nie leży w żołądku kamieniem.

Jak zjesz kawałek słoniny, a pierwej najadłeś się chleba albo ziemniaków, to ci się słonina oblepi w żołądku koło innego jadła i ta kula leży tam i przewraca się a strawić jej nie możesz,

i choćeś się najadł, sił ci nie przybyło, bo człowiek tylko z tego ma siły, co strawi dobrze. Ażeby człowiek prędzej strawił słoninę, dobrze jest popieprzyć ją, bo pieprz drażni żołądek i wyciąga z niego soki co tłuszcze rozpuszczają i ułatwiają trawienie; nie ma też nic złego napić się po słoninie trochę wódki, bo wódka taki sam skutek sprawia.

W takim razie wódka jest lekarstwem i nie można nikomu brać za złe, że tego lekarstwa używa, lecz za to trzebaby gniewać się na niego, że się słoniną objadł i do tego bez pieprzu.

Przytem wódka robi w człowieku także jeszcze drugi skutek. Oto, gdy się człowiek wódki napije, to ta wódka piecze nie tylko żołądek, ale także i mózg i nerwy, a popędza krew w żyłach. Przez to człowiek staje się żywszym, rozwesela się, nabiera sił i ochoty do pracy, jego głowa znękana orzeźwia się, nogi nie czują znużenia, ręce aż się proszą, aby je zaprządz do dalszej pracy. Zatem i w tym razie wódka zda się robić dobry skutek.

Ale do tego potrzeba najprzód napić się tylko odrobinę wódki, a po drugie nie wielki to zysk orzeźwiać się wódką. Kto się pracą tak zmęczy, że aż osłabnie, że się ani ruszyć nie może, najlepiej zrobi gdy sobie legnie i spi, póki siły same nie wrócą, a kto się nagle wódką orzeźwi, ten potem jeszcze większe znużenie czuć będzie.

Zdarza się czasem, że ten co pracuje, choć się i zmęczy, nie może jeszcze odpoczywać, bo musi pierwej swoją robotę skończyć, a jeżeli do końca daleko, a ręce już mdleją, a z czoła pot się leje kroplisty, cóż wtedy począć? czem się orzeźwić? Wtedy ma się rozumieć, nic lepszego, jak palnąć kielich wódki, ale tylko jeden i to pod tym warunkiem, że jak się praca skończy, to nie będziesz na nowo pił wódki, tylko sobie należycie odpoczniesz i posilisz się dobrą strawą.

Kiedy naprzykład jaki posłaniec idzie w daleką drogę z pilnym listem i spieszyć się musi, a uszedłszy parę mil tak nogi zmorduje, że go już słuchać nie chcą, wtedy nie popełni grzechu jeźli się wódką orzeźwi. Gdy żołnierze długim marszem zmęczeni, ujrzą przed sobą oko w oko nieprzyjaciela, z którym się bić muszą, a dopiero wtedy będą mogli odpoczywać,

gdy go odpędzą, albo zwyciężą, albo kiedy miasto szturmem zdobędą, bardzo dobrze uczynią, gdy przed bitwą albo szturmem wypiją po kieliszku wódki, bo ich ta rozgrzeje i sil im doda. Gdy podczas żniw żeńcy muszą pospieszać się z pracą, bo już wieczór zapada, a nazajutrz ma być święto, albo też dlatego, bo się chmurzy i za chwilę lunie deszcz, wtedy także, jeżeli są bardzo zmęczeni, mogą napić się wódki; nie tylko im ona nie zaszkodzi, ale owszem będzie dla nich zbawiennem lekarstwem.

Otoż w takich razach wódka jest lekarstwem, i byleś ją pił w miarę, zrobi ci dobry skutek. A przecie, a przecie wódka pomimo tego stała się naszem największem nieszczęściem, naszą największą klęską, wrogiem naszym, którego zwalczyć nie możemy.

Dlaczegoż to?

Nie starczy tu już miejsca na odpowiedź, będzie więc o tem w następującym numerze.

O mieście Lwowie.

Miasto Lwów jest największe w całej Galicji i jest jego stolicą, to też tutaj mieszka największa głowa rządu, namiestnik cesarski. Jak wielki jest Lwów, wyobrazicie sobie, gdy wam powiem, że z wszystkiemi placami i gruntami co do niego należą ma pięć mil obwodu, a domów na wszystkich placach i ulicach, tak w mieście jak na przedmieściach, jest więcej jak trzy tysiące. Lwów leży w kotlinie otoczony zewsząd wzgórzami. Środkiem kotliny płynie rzeczka Pełtew. Ulice i place są pięknie, równo wybrukowane kamieniami, dlatego choćby deszcz największy padał, można przejść z ulicy na ulicę prawie suchą nogą. Na rynku kędy się codziennie zgromadza mnóstwo ludzi kupujących i sprzedających, stoi ratusz, gmach ogromny, murowany, z wysoką wieżą, na której jest zegar, co bije godziny tak głośno, że w całem mieście słychać; na tej wieży siedzi stróż, co we dnie i w nocy nieustannie patrzy na całe miasto i jak gdzie pożar wybuchnie, daje znać, aby ludzie biegli na ratunek. Na wszystkich placach i ulicach palą się

w nocy lampy i choć noc najciemniejsza, jest tak widno, że nie tylko każdego kogo spotkasz, możesz łatwo poznać, ale na upartego mógłbyś i czytać chodząc w nocy po ulicy, choć nawet księżyc nie świeci. Do tych lamp są osobni ludzie co je zapalają, gaszą i czyszczą. Wielka szkoda, że koło Lwowa nie płynie jaka wielka rzeka, jak naprzykład Wisła koło Krakowa i Warszawy; byłaby z tem wygoda, bo by można zboże, drzewo i inne rzeczy dowozić do miasta tanim kosztem, ale biedny Lwów nie ma nawet dość wody na własną potrzebę, a ta co ją piją jest sprowadzana podziemnemi rurami. Woda w Pełtwi jest śmierdząca i brudna, bo do niej spływają wszystkie nieczystości miejskie, nawet się wykąpać nie można w tej rzeczce i trzeba iść aż za miasto do jakiego stawu. Kamienice są jedna w drugą bardzo piękne, wysokie na dwa i trzy piętra, wszystkie pięknie pomalowane i takie świeże jakby z pudełeczka. Na niektórych stoją różne figury i osoby kamienne, tak cudnie udane, iż się wydają jak żywe. Jest też we Lwowie kilka bardzo pięknych i ozdobnych pałaców. Pałac biskupi i ten co w nim mieszka pan namiestnik są także dość piękne. Najpiękniejszy ze wszystkich jest pałac wystawiony przed kilku laty umyślnie na mieszkanie dla inwalidów czyli tych żołnierzy, co na wojnach zostali kalekami. Ci biedacy mieszkają sobie na stare lata w tym ślicznym pałacu jak u Pana Boga za piecem. Bardzo jest także piękny dworzec kolei żelaznej, tej co prowadzi do Krakowa, tylko to źle, że stoi strasznie daleko za miastem. Obok niego stoi znacznie mniejszy i już nie taki piękny, drugi dworzec, z którego się wyjeżdża koleją żelazną do Czerniowiec. Tak są we Lwowie dwa dworce a niedługo wystawią i trzeci dla tej kolei, co ma iść do Brodów.

W mieście Lwowie jest po ulicach latem i zimą wielki porządek. Każdy gospodarz trzyma osobnego człowieka tylko do tego, aby mu śmiecie w kamienicy i koło kamienicy zamiatał albo śnieg uprzątał. Prócz tego aresztanci ciągle zamiatają ulicę i śmiecie wywożą. W lecie jak jest proch wielki, to wywożą wodę beczkami i skrapiają ulice, co tak wygląda jakby deszcz zrosił i ludzie nie potrzebują walać się w kurzu i prochem odechać.

We Lwowie mieszka najwięcej Polaków, ale są też i Rusini i Niemcy i Żydzi. Wszystkich mieszkańców, licząc w to i dzieci jest więcej jak siedmdziesiąt tysięcy. To też na ulicach ruch jest ogromny, ludzie się snują, zda się jak mrówki w mrowisku, zda się że tu ciągle i ciągle jest jarmark, bo przy takim ruchu to i gwar jest ogromny; a tu powozy pędzą, a tu żołnierze bębnią, a tu znowu muzyka przygrywa; tu się śmieją, tam płaczą, jeden drugiego potrąca, a wszyscy się spieszą, każdemu pilno. Kto pierwszy raz przyjedzie do Lwowa a przypatrzy się i przysłucha temu wszystkiemu, to aż mu się w głowie zakręci.

Po ulicach pełno sklepów z przeróżnemi towarami, jakich w żadnem miasteczku nie ujrzysz na jarmarku. Wszystko, czego tylko dusza twoja zapragnie, o czem tylko pomyślisz masz pod ręką jak na zawołanie, byleś miał tylko pełny worek w kieszeni, bo bez tego ani rusz w takiem wielkiem mieście. Są też tutaj wszyscy rzemieślnicy jakich tylko człowiek potrzebować może i wszystko ci zrobią. Jest i młynów kilka i to ogromnych, a że nie ma rzeki coby ich koła obracała, to ludzie tak sobie poradzili, że je pędzą parą. Miły Boże ktoby to był dawniej pomyślał, jaki to wielki użytek może być z prostej pary! Dziś para wozy ciągnie na żelaznej kolei, para młyny obraca. Robią też we Lwowie zapałki, papier, ocet, sycą miód. Browarów, w których piwo warzą jest trzynaście.

Taka wielka mnogość ludzi jaka we Lwowie mieszka, żywi się głównie tem, co jej ze wsi doniosą i dowiozą. Ztąd też we Lwowie widać co dzień nie mało ludu wiejskiego. Gospodynie przynoszą mleko, śmietanę, jaja, kury i ogrodowiny rozmaite, gospodarze przywożą zboże, ziemniaki, drwa na opał, za to wszystko piękny grosz zbierają i wynoszą z miasta do domu. Ale muszą się mieć na baczności, bo jak w każdem wielkiem mieście, jest i tu nie mało różnych oszustów i rzezimieszków, co często gęsto nieostrożnego wyprowadzą w pole. Najwięcej takich oszustw dzieje się na Zarwanicy, gdzie sami żydzi mieszkają.

Kościołów katolickich obrządku łacińskiego jest we Lwowie dwadzieścia i dwa; z tych najbogatsze i najpiękniejsze są:

archikatedralny, gdzie arcybiskup odprawia nabożeństwo, dominikański, jezuicki, bernardyński i karmelicki, ale i innym nic nie brakuje, tylko że są cokolwiek mniejsze. Ruskich cerkwi jest siedm, najpiękniejsza jest archikatedralna, pod wezwaniem św. Jura, na wyniosłem wzgórzu. Jest także trzecia archikatedra we Lwowie, ormiańska, także katolicka, tylko innego obrządku. Lwów to ma przed innemi miastami, że tu mieszka aż trzech arcybiskupów: łaciński, ruski i ormiański, czego nie masz w żadnem innem mieście. Są także we Lwowie domy modlitwy i dla innych wyznawców, jako to: dla lutrów, schyzmatyków i żydów, którzy tam, każdy po swojemu, oddają chwałę Panu przedwiecznemu.

Są też we Lwowie szkoły rozmaite, w których młodzież uczy się czego tylko zapragnie zacząwszy od abecadła, aż do najwyższych mądrości, a z tych szkół wychodzą ludzie wyuczeni na profesorów, organistów, pisarzy, kupców, urzędników, inżynierów, adwokatów, sędziów, doktorów, na aptekarzy, na księży itd, a ci młodzieńcy co chcą wyjść na ludzi, mogą się uczyć nie tylko w szkołach, ale także w bibliotekach czyli książnicach, gdzie są nagromadzone księgi wszelkiego rodzaju, we wszystkich językach i po polsku i po łacinie i po niemiecku i po francuzku; a te księgi może czytać każdy, kto tylko przyjdzie i poprosi, bo biblioteki są jak kościoły dla wszystkich otwarte. Z tych bibliotek najbogatszą jest biblioteka założona przez hrabiego Ossolińskiego. Był to pan bardzo bogaty a wielce szanowny. Żył oszczędnie a ogromne sumy wydawał na książki. Jak umierał, to tę bibliotekę ofiarował całemu narodowi a majątek swój zapisał na jej utrzymanie i pomnażanie.

Rozmaitych domów w których wszelkie biedactwo dostaje za darmo przytułek i wyżywienie pełno jest we Lwowie. Są cztery szpitale, z tych jeden dla dzieci a jeden dla żydów, są domy takie, w których dzieci, co się porodziły głuche i nieme albo ślepe, mają nie tylko przytułek, ale się też uczą rozmaitych nauk, jako to czytać, pisać, rachować, religji świętej, malować i rozmaitych rzemiosł, do jakiego które okazuje upodobanie. Oczywiście ślepi nie mogą się uczyć tego wszystkiego co

głuchoniemi ale i oni nie próżnują i wychodzą jakoś na ludzi. W innych znowu domach wychowują się sieroty ubogie i dzieci wyrobników biednych, którzy po całych dniach uganiać muszą za zarobkiem i nie mają czasu dzieci pilnować. Wszystkie te domy są pozakładane przez ludzi świątobliwych i utrzymują się z opatrzności Boskiej i darów pobożnych Są znowu we Lwowie takie domy, w których kto potrzebuje, może na wieś, albo na dom, albo na jaki inny zastaw pożyczyć pieniędzy, wiele tylko chce i bez żadnego oszukaństwa, tak, że nikt nie potrzebuje zadłużać się u żyda i lichwę opłacać. Nawet i więzienia lepsze są jak gdzieindziej, bo tu aresztanci muszą po całych dniach pracować i darmo chleba nie jedzą, a do tego mają szkołę, w której się uczą różnych pożytecznych rzeczy.

We Lwowie jest też bardzo wesoło, bo na każdej ulicy szynków co niemiara. Tam po całych wieczorach skrzypek rznie od ucha, flet piszczy, basy huczą, schodzą się chłopcy i dziewczęta i przy skocznej muzyce wycinają hołubce. Aż miło patrzeć jak to wszystko raźno i zwinnie wywija po całodziennej pracy. I cóż mają lepszego robić? Dla panów jest teatr gdzie różne komedje i sztuki pokazują, a biedny czemże się zabawi jeżeli nie tańcem? Piękna muzyka przygrywa także w ogrodach po przedmieściach gdzie znowu państwo przechadzają się, jedzą i piją. Można też przechadzać się po wałach, są to po prawdzie mówiąc gładkie i równe gościńce, drzewami po obu brzegach wysadzone; z tych drzew jest dużo cienia i chłód, dlatego w lecie zawsze tam pełno ludzi; jedni chodzą a drudzy siedzą na ławeczkach i odpoczywają pod cienistemi drzewami. Te gościńce dlatego się nazywają wałami, bo są założone w tem miejscu, gdzie dawniej usypane były wały z ziemi dla zasłony, aby się jaki nieprzyjaciel nie wdarł do miasta i ludzi nie pokrzywdził. Za dawnych czasów, był Lwów otoczony nie tylko temi wałami ale i murem wysokim i dość grubym. Były też tu niegdyś dwa zamki. Po jednym nie ma już ani śladu, z drugiego są szczątki na górze wyniosłej, z której widać całe miasto jak na dłoni. Że to taki piękny widok z tej góry, założyli tam bardzo ładny ogród, wprawdzie nie owocowy, jeno lasowemi drzewinami wysadzony, ale i tak bardzo przyjemny.

Chcielibyście zapewne usłyszeć coś odemnie i o ludziach wiejskich co w około Lwowa mieszkają. Żałuję mocno, że wam o nich nie wiele pochlebnego powiedzieć mogę. Powinni się mieć dobrze, bo wszystko co im się z łaski Pana Boga urodzi, znoszą do miasta na sprzedaż i przedają drogo, ale cóż, kiedy im to jakoś nie wychodzi na pożytek. Co który zarobi, to zmarnuje na fraszki, na bzdurstwa, a najczęściej przepije i rzadko gdzie trafi się jaki porządniejszy i rozumniejszy gospodarz.

Rozumny ojciec.

Franciszek Karpiński, nasz pobożny pisarz i autor wielu pieśni wiejskich i nabożnych, opowiadał o sobie, że gdy był małem jeszcze chłopięciem w domu swoich rodziców, niebogatych ale nadzwyczajnie uczciwych i zacnych ludzi, lubił czasem coś cudzego, co mu się podobało, wziąść i schować. Nie często mu się mogło to przytrafić, bo surowego ojca bał się jak ognia, a dobrej, czułej matki nauki pięknie szły do serca dziecięcia. Miał jednak skrycie tę skłonność, i pewnego razu gdy młocki młócili w stodole ojcowskiej, zobaczył u jednego ładny nożyk, który mu się bardzo podobał i zdałby mu się do rozmaitego majsterstwa chłopięcego. Zła ochota go zdjęła do owego nożyka, czatował na niego, a gdy młocek coś robiąc koło cepa położył go na progu stodoły, mały Franciszek wziął go, ukrył dobrze i odszedł niebawem. Czy to który z młocków podglądnął, czy rodzeństwo u niego zobaczyło, dosyć że ojciec dowiedział się o całej historji. Jaki był strach chłopca — niepodobna opisać — bo przeczuwał, że ojciec ukarze za grzech kradzieży, nie śmiał jednak ani słowa wyrzec, bo wiedział, że nie ma nic na swoją obronę, tylko padł plackiem ojcu do nóg i z cichutkim płaczem, drżąc przyrzekał poprawę. Ojciec nie łajał, nie unosił się, jak to czynią niektórzy ojcowie gdy dziecko zawini, ale z powagą, surowością i smutkiem wypowiedział w krótkich słowach chłopcu, że skłonność jego do najszkaradniejszego grzechu, może go doprowadzić do hańby, nieszczęścia i do piekła, i że kradzież, którą popełnił zasługuje na karę, której mu

darować nie może i nie daruje. Chłopiec czuł sam już, że winien jest kary. Ojciec zaprowadził go do stodoły, kazał samemu oddać nożyk wieśniakowi, przeprosić go i pocałować w rękę, co Franciszek uczynił z wielkim wstydem, a potem wymierzył mu sam rózgi za karę. Nie dość na tem — zawiózł go wkrótce do miasteczka i zaprowadził na plac, gdzie wiele ludzi się zeszło i wyglądało czegoś ciekawie. Miano wieszać złoczyńcę, szubienica stała i wóz z księdzem i winowajcą przyjechał. Chłopcu strasznie serce biło, a gdy nieszczęśliwego pociągnięto — chłopiec ukrył twarz na łonie ojca i o mało nie zemdlał, bo był tkliwego i łagodnego charakteru.

— Patrz, ten winowajca był także złodziejem, a z początku, za młodu, zaczynał także od drobnych rzeczy — aż skończył na wielkich zbrodniach i zginął na szubienicy. Los ten może i ciebie spotkać, jeżeli na zawsze nie wykorzenisz w sobie złej skłonności póki jesteś młody.

Franciszek nigdy w życiu nie zapomniał tej nauki i tego widoku. Nigdy od tego czasu obcej rzeczy nie doknął, wdzięczny był ojcu do śmierci, utraciwszy go czcił osobliwym sposobem jego świętą pamięć, został godnym i zacnym człowiekiem, którego Polska cała dotąd poważa. Zamiłowany w życiu wiejskiem, składał najwięcej pieśni dla wieśniaków. Od niego to mamy tę znajomą nam wszystkim pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“ i wiele innych, które po kościołach spiewają.

Dobra nauka dla rodziców! Ileż ich grzeszy ciężko przed Bogiem, nie karząc surowo swych dzieci za drobne kradzieże; dzieci te włożone do grzechu, dusze swe gubiąc, złorzeczyć im kiedyś będą przed Bogiem. *B. E.*

RÓŻNOŚCI.

Zaraza na bydło już się kończy. Donosimy wam wesołą nowinę. Oto zaraza na bydło, która się zaczęła w Galicji jeszcze w styczniu tego roku, już się zmniejsza i da Bóg miłosierny skończy się niedługo. Na tę zarazę częścią padło, częścią dobito więcej jak trzy tysiące sztuk bydła w całej Galicji. Teraz są jeszcze ślady zarazy tylko w powiecie żydaczowskim i w powiecie rohatyńskim.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 2.

11. lipca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Skiba.

I.

Stanisław wychodzi na człowieka.

Zamożnym gospodarzem we wsi Dąbrowie był Bartłomiej Skiba; w chacie miał dostatek, w stajni pełno chudoby a w stodole zboża, a do tego szacunek u ludzi. Bartłomiej był dobrym gospodarzem, oszczędnym i pracowitym, nie chodził do karczmy i na żadne pijatyki — chwalił Pana Boga nietylko modlitwą w kościele ale i dobremi uczynkami: nieszczęśliwego podratował, głodnego nakarmił, utrapionego pocieszył, tak, że nikt z jego chaty nie wychodził z przekleństwem, tylko z prośbą do Boga o zdrowie i błogosławieństwo dla tak dobrego człowieka jak Bartłomiej. Sierotami się opiekował i nie dał ich krzywdzić nikomu — a sieroty miały go za Ojca i dziękowały Bogu za dobrego opiekuna, prosząc o długie życie dla niego.

To też Pan Bóg błogosławił mu we wszystkiem. Zboże mu dobrze się rodziło, chudoba nie zdychała i żadnego nieszczęścia nie zsyłał na niego. Największą pociechą i szczęściem dla Bartłomieja był synek, Staszek, który chował się zdrowo i do wszystkiego był ciekawy a posłuszny. Gdy miał już siedm

lat zaskakiwał koło księdza, który go lubiał bardzo, zaglądał ciekawie do książki i wypytywał się co tam napisano. Ksiądz widząc spryt i ochotę chłopca, kazał mu do siebie przychodzić i obiecał że go nauczy czytać i pisać. Staszek ucałował rękę księdza, z radością przystał na to, i przychodził regularnie na naukę, choć miał dobry kawałek drogi do plebanji. Do roku umiał już czytać i pisać. Ksiądz widząc że chłopiec ma talent i chęć do nauki, pytał się go czyby nie chciał chodzić do szkoły. Na co Staszek odpowiedział:

— Żeby tylko tatuś zezwolili!

— Poproś tylko, to ci pozwoli i dopomoże — mówił mu ksiądz — chwała Bogu stać go na to.

Staszek nie długo myśląc, pobiegł do domu i zaczął ojca i matkę prosić i całować po rękach, żeby mu tylko pozwolili chodzić do szkoły i dopomogli. Ojciec nie chciał pozwolić na to, Staszek zaczął płakać i lamentować. Ojciec bojąc się żeby mu co złego ze zmartwienia się nie stało, poszedł się poradzić księdza, coby z nim zrobić.

Gdy wypowiedział wszystko księdzu, i prosił go o radę, jakby można uspokoić chłopca, bo lamentuje i za książką ogromnie przepada.

Ksiądz mu na to odpowiedział:

— Mój Bartłomieju, cóż wam to szkodzi, kiedy chłopiec ma ochotę do nauki, pozwolić mu pójść do szkoły, dać mu chleba i kaszy, żeby z głodu nie umarł, kupić mu parę książek i zostawić go w miasteczku? Niech się uczy w szkole rok, dwa, a będziemy widzieć czy chłopiec ma talent i ochotę uczyć się dalej.

Bartłomiejowi jakoś nie było na rękę.

— Ta proszę księdza jegomości, on jedynak, jak mu zasmakuje miasto, to nie zechce wrócić na rolę a na starość któż mię poratuje? — nie będzie komu wody podać!

— O to się nie bójcie, jak ma mieć dobre serce, to o was nie zapomni — i nie myślcie że w mieście tak jest bardzo dobrze! niejeden miastowy byłby szczęśliwym, gdyby miał taką rolę i chatę jak wy macie.

— Ej, jak zostanie panem, to o ojcu chłopie zapomni — mówił Bartłomiej.

— W Boskiej mocy wszystko, On kieruje ludźmi — mówił ksiądz — może tak pokierować, że wasz syn zostanie panem i was na starość weźmie do siebie, i będziecie szczęśliwi i spokojni, a tak gdy mu nie pozwolicie i nie pomożecie, to będzie miał żal do was.

— Proszę księdza jegomości, kiedy już taka wola Boża i rada księdza, to niech się uczy, tylko ja nie wiem, gdzie go dać i jakie książki mu pokupić.

— To ja z wami pojadę do miasteczka — mówił ksiądz — tam mu wynajdziemy miejsce, gdzie będzie mieszkał, pokupimy potrzebne książki i w szkole zapiszemy, cóż zgoda?

— Niech księdzu Jegomości Pan Bóg da zdrowie że łaskaw na mnie — i ucałował Bartłomiej księdza w rękę.

— Nietylko dla was, ale dla każdego tak zrobię — mówił ksiądz — bo każdego człowieka jest obowiązkiem dać drugiemu radę i pomoc, do tego jeszcze, gdy ta może przynieść jaką korzyść dla ludzi i kraju własnego, a trzeba wam wiedzieć że nauka jest również bogactwem — i gdy wszyscy ci co posiadają rolę, będą bogaci nauką to nam bieda nigdy nie dokuczy, nie damy się bałamucić wydrwigrzoszom i przybłędom i za nos nikt nas nie będzie wodzić bo się nie damy i we wszystkiem sami sobie poradzimy; nikt nie pokłóci nas między sobą dla swojej korzyści bo będziemy mieć swój rozum i jeżeli co między nami zajdzie, to w zgodzie załatwimy między sobą. I wtedy dopiero będzie dobrze na świecie, gdy nie będzie jednego, coby nie potrafił czytać i pisać, a każdy z nauki będzie korzystał.

— Słowa święte księdza Jegomości — mówił Bartłomiej — pójdę i każę napiec chleba, do worka nasypię kaszy, masła i sera do jaszczyków nakładę, a jutro...

— Jutro pojedziemy wszyscy trzej — przerwał mu ksiądz.

Bartłomiej z radości ucałował w rękę księdza i ucieszony spieszył do domu.

Nazajutrz jechali na wozie ksiądz i Bartłomiej wioząc Staszka do szkoły — zawieźli i zostawili go w miasteczku.

*

Z początku Staszkowi było bardzo przykro, tęsknił za ojcem i matką, za domem i księdzem, którego kochał jak drugiego ojca, ale książka nie pozwoliła mu rozpaczać, bo trzeba się było uczyć.

I uczył się dobrze, tak, że zawsze należał do pierwszych uczniów w klasie.

Bartłomiej jeden rok, drugi i trzeci dowoził synowi chleba i kaszy, a w czwartym roku Staszek potrafił sam na chleb zarobić ucząc młodszych od siebie studentów, których rodzice, jedni dawali mu za to śniadanie i obiad, drudzy wieczerzę i mieszkanie. I umiał tak sobie zjednywać przyjaciół nietylko w swojej klasie ale i w wyższych, że ci co przechodzili do wyższych klas dawali mu książki przeuczone z których mógł się uczyć, a i suknie dawali mu każdy po trochu, tak, że nie potrzebował kupować ani książek ani odzieży. Co rok szedł wyżej i z każdym rokiem lepiej mu się działo.

Z początku przez parę lat przyjeżdżał na wakację do domu, ale później nie mógł, bo przez ten czas zarabiał sobie, by mógł się porządnie ubrać, bo gdy już dorastającym był młodzieńcem, to mu wstyd było za darmo od drugich przyjmować — i choć sam miał mało, to jeszcze dopomagał takim, co nic nie mieli.

Ukończywszy szkoły i pozdawawszy egzamina, został doktorem co to leczy chorych ludzi, i choć miał już chleb w rękach, nie przestał się dalej kształcić, czytając różne mądre książki. I dobrze mu się działo, bo miał nietylko szczęście u ludzi, ale i nauka jego zjednała mu zaufanie, tak, że kupami szli do niego z prośbą o radę i pomoc lekarską, za którą mu dobrze płacili; ale od biednych nic nie przyjmował. Ożenił się dosyć bogato, z miastową panną, która go mocno pokochała — i był szczęśliwym, błogosławiąc księdzu i ojcu, którego pragnął odwiedzić, ale był mocno od nich oddalony i do tego obowiązki nie dawały mu uskutecznić tego zamiaru, odkładał z roku na rok.

I tak upłynęło lat sporo. Panu doktorowi Stanisławowi Skibie przybyło kilkoro dziatek, a najstarszy syn już prawie kończył szkoły, a najmłodsza córeczka już na fortepianie umiała

zagrać. Uskładał sobie trochę grosza, a sprzykrzywszy sobie życie miastowe zatęsknił za rodzicami i swą rodzinną chatą.

Bartłomiej postarzał się mocno tęskniąc wciąż za synem. Razu jednego — a było to na wiosnę w Niedzielę przyszło do niego kilku sąsiadów na pogadankę, on siedział na ławie i żałował się przed nimi że usłuchał księdza dając Staszka do szkoły, a teraz na starość żadnej nie ma pomocy, i miał już zamiar pójść i księdzu wyrzuty robić — w tem wszedł do izby jakiś pan porządnie ubrany i obejrzał się po obecnych, którzy powstawali razem z Bartłomiejem na widok przybyłego pana.

Nieznajomy pan po chwili przypatrywania się staremu Bartłomiejowi rzucił się ku niemu zawoławszy:

— Ojcze! ojcze! — i całował go po rękach i twarzy a później i matkę ucałował, przepraszając że tyle lat ich nie odwiedził.

Byłto Stanisław Skiba, syn Bartłomieja.

Z początku Bartłomiej nie mógł poznać syna, a obecni włościanie patrzali zdziwieni na to wszystko. Starzy z radości się rozpłakali i posłali zaraz z wiadomością do księdza, który postarzał się także mocno, ale niebawem przybył przywitać Stanisława Skibę — radość i szczęście było w chacie Bartłomieja, który prosił księdza by zaraz nazajutrz odprawił mszę, na podziękowanie Bogu za takie błogosławieństwo — i odprawiono nabożeństwo w kościele, a ucztę w chacie.

Pomimo wielkiej radości, smutek przelatywał po twarzy Bartłomieja — Stanisław spostrzegł i spytał dlaczego się smuci — Bartłomiej mu odpowiedział:

— Czego się mam cieszyć, to samo mię czeka com już przebył, tak tęsknić za synem będę jakem tęsknił, bo ty przyjechałeś odwiedzić ojca, to i pojedziesz.

— Nie ojcze! będziemy razem — pocieszał go syn.

— Ja na starość do miasta nie pojadę — mówił Bartłomiej — tu chcę umrzeć gdziem się urodził, a ty przyzwyczajony do miasta, gdzieby ci się chciało w takiej chacie mieszkać, co już się wali.

— Tu ojcze będziemy mieszkać razem — mówił Stanisław — tę chatę rozwalimy a nową ładną i dużą wystawimy, na to składałem pieniądze przez cały czas.

I radość była ogólna — a w całej wsi mówili o synu Bartłomieja, Stanisławie Skibie, który został wielkim panem.

Nazajutrz kazał zaraz rozwalić starą chatę i nowy dom zaczął budować, a tymczasem z rodzicami mieszkał na plebanji, a czeladź u sąsiadów. (Dok. nast.)

Żywot poczciwego człowieka.

Szymon to człek jak złoto:
Wszystko zrobi z ochotą
A o płacę nie pyta;
Bóg zapłać! ot kwita.
Ten, ów na niego mruga,
A on każdemu sługa.
Jeden domostwo stawia,
Drugi szopę poprawia;
— Hej! pomóżcie Szymonie!
On z siekierą ku niemu,
I już mu ściska dłonie,
Oko mu się uśmiecha,
Bo dopomódz bliźniemu,
To dla niego uciecha.

Czy choremu poradzić,
Czy drzewinę posadzić,
Wodę spuścić z doliny,
I czego nikt nie umie,
Szymon wszystko rozumie,
Na całą wieś jedyny.
O! miał zasług nie mało!
Gdy kowala nie stało,
Szymon sprawił kowadło.
Temu naprawił radło,
Lub poklepał kosisko,
Poczciwe Szymonisko!
Innemu konia kuje;
Pracuje i pracuje,
A o płacę nie pyta;
Bóg zapłać! ot i kwita.

Szymon nie był bogaty,
Ba, nie miał nic, prócz chaty,
Prócz kowadła i piły,
Głowy, serca i siły.
Lecz że taki poczciwy,
Rozumny a życzliwy,
To go wszyscy kochali,
I jak mogli wspierali.
Każdy dawał po trosze,
Garść zboża, parę groszy;
Prawda że to nie wiele,
Lecz że żony nie było,
Ni dziecka, ni rodziny,
Więc to jakoś starczyło,
Jakoś pchało się życie,
Lekko, choć nie okwicie.

Lecz minęło lat siła,
Wyszczerbiła się piła!
Już nie statkują nogi,
Już ustają w pół drogi;
Serce jeszcze gorące,
Ale ręce już drzące.
Igra z wiatrem włos siwy,
Wzrok przygasły zmieniony,
— Jakiż ja nieszczęśliwy!
Nie mam dziecka, ni żony,
I wiodę żywot łzawy;
Przeżyłem wiek wysługi,
Ciężki, ciężki i długi!
Dziś nie mam łyżki strawy,

A kto mi zamknie oczy,
Kiedy mię śmierć zaskoczy.

W tem popatrzy przed siebie,
Po chatkach i po niebie —
Przyszła mu myśl natchniona:
— Wioska, to moja żona.
Precz, precz troski odemnie!
Nie żyłem ja daremnie,
To mię wioska nagrodzi.

Ale wdzięczność zawodzi..
Choć nie stało starego
Ludzie sobie radzili.
Cóż robić moi mili?
Obeszło się bez niego.
W końcu i zapomnieli,
Co niegdyś z niego mieli;
Nikt nie spytał czy żyje,
Co je, albo co pije.

Aż raz w świętą niedzielę,
W karczmisku luda wiele,
Radzą sobie przy dzbanie;
A w tem pan wójt powstanie:
— Hej! panowie gromada!
Do sąsiadów zagada —
Dajcie no po złotemu!
Trzeba zanieść staremu,
Pyta rzesza zdziwiona:
— Dla kogo? — Dla Szymona.
Hej! panowie gromada!
Trzeba wesprzeć sąsiada —
Ten i ów głową skinie,
Ten i ów się wywinie,
Garść przecie się zebrała,
Dziesięć złotych bez mała.

Pod lasem oddalona
Stała chata Szymona.
Tam wójt co żywo spieszy,
Rad że starca ucieszy.
I przyszedł: klamką ruszy,
Nie słychać żywej duszy.
— Gdzieś poszedł! cóż u licha?
Lecz drzwi mocniej popycha,
Patrzy: Szymon na progu
Już oddał ducha Bogu.
Przy nim torba żebracza
I kij, godło tułacza.
Wójt złamany boleścią,
Powrócił z smutną wieścią.

W karczmisku znowu rada:
Nie mamy już sąsiada!
Ten wzdycha, płacze drugi,
Ten wspomina zasługi,
I smutek wielki wszędzie,
Że takiego nie będzie.
— Ha! stało się, ktoś rzecze —
Śmierci nikt nie uciecze!
Umiera, kto się rodzi!
Nie chciał naszego chleba,
Więc teraz jak się godzi —
Choć uczcić go potrzeba;
Są pieniądze, gromada
Do księdza — moja rada.
Więc mu pogrzeb sprawili,
I krzyż na grobie wbili.

Stanisław Cieszkowski

dzielny rycerz, jako się oparł pokusom pogańskim.

Kiedy nad polską krainą panował król Zygmunt III. rozmaici nieprzyjaciele napadali granicę ojczyzny naszej częściej jak za innych królów, i srogie rany zadawali Polsce. Ale też

mieliśmy wówczas więcej jak za innych królów, dzielnych hetmanów, co nieprzyjaciół odpierali i mścili się za krzywdy wyrządzone ojczyźnie, a to wszystko mieliście już dawniej w Dzwonku pięknie opisane.

Przecie czasem i dzielny hetman nie poradził — bo jak był z wojskiem na jednym końcu kraju i tam się potykał ze Szwedem albo Moskalem, trudno mu było bronić granicy na drugim końcu, kędy znowu trzeba było odpierać napady tureckie.

Owóż jednego razu także tak się zdarzyło, że Turcy wpadli do Polski właśnie w takiej chwili, kiedy nie było komu zastąpić im drogi. Poszczęściło im się, spustoszyli i zrabowali spory szmat kraju, nabrali niemało luda do niewoli i mieli się jeszcze dalej posunąć, ale nagle rozeszła się wieść że nadciąga polskie rycerstwo. Musieli czemprędzej uciekać, aby im łupów nie odbito.

Pędzą więc dzień i noc stepami i polami, przez różne wsie i miasta pogańskie, a nieszczęśliwym jeńcom, którzy zmiarkowali o co idzie, ledwo serce nie pęknie z żalu za ojczyzną, za wolnością kochaną, i z łez utulić się nie mogą, a ludność turecka ze wsi i miasteczek wybiega po nad drogę, i naigrawa się z biedaków, zamiast podać któremu choć trochę wody dla ochłodzenia.

Gdy tak pędzą i pędzą bez wytchnienia, przygnali wreszcie do stolicy państwa tureckiego, które to miasto nazywa się Konstantynopol, albo Carogród, albo po turecku Stambuł, i tu niewolnicy rozpoczęli swoją służbę.

Był pomiędzy nimi dzielny jeden rycerz, choć dopiero dwudziesto pięcioletni młodzian, Stanisław Cieszkowski, rotmistrz królewski. Syn wolności, nie wiedział co to niewola, nie umiał ugiąć karku pod jarzmem, ciężko mu więc było z początku, bardzo ciężko; nie mógł się oswoić ze swoją dolą, nie mógł się z losem pojednać. Ale człek to był wielkiego serca, nie upadł więc na duchu, szukał pociechy w religji, w modlitwie, wzmacniała go wiara w opatrzność boską i nadzieja że przecie kiedyś Bog miłosierny przemieni złe na dobre. Przytem był to człek poczciwy i sumienny, Turcy choć poganie, poznali się na nim, polubili go i zaraz mu byli powolniejsi,

a po niejakim czasie tyle względów pozyskał u swoich panów, że go już do robót nie używali, jeno zlecili mu dozór nad innymi więźniami.

Ale niewola zawsze niewolą; ulga w niewoli jest ulgą ciała ale nie dla duszy stęsknionej i niezadowolni serca uciśnionego. Rok za rokiem mija, nie widać nikogo z ojczyzny, coby się zgłosił z okupem po Stanisława Cieszkowskiego. W Polsce nie było jeńców tureckich, którychby można było wymienić za polskich. Cieszkowski miał w ojczyźnie krewnych nawet bogatych, liczyl na nich i pocieszał się że go wyratują, ale zawiódł się srodze. Co z oczu to i z myśli. Wreszcie kto tam wie co sobie krewni myśleli? Może go żałowali z początku, może myśleli że zginął. Dość że w końcu całkiem o nim zapomnieli.

Minął jeden dziesiątek lat, ciężki, bolesny. Bóg się nie zlitował, nie zesłał wybawcy. Jeniec przywykł do cierpienia, już mu tak nie ciężyło, oswoił się z gorzkim swoim losem, wyuczył się języka tureckiego i już prawie całkiem stracił nadzieję, aby mógł jeszcze kiedyś powrócić do kochanej ojczyzny.

Starszyzna pogańska postrzegła w nim zmianę na swoją korzyść, a już go tak uważali jak swego, jakby do ich rodziny należał. Chcieli go więc nagrodzić za długoletnią wierność i pracę i wrócić mu wolność. Ale Turek nie taki bardzo skory do dobrego uczynku względem chrześcianina! Owóż postawili mu warunek:

— Wyrzecz się wiary swojej i zostań Turkiem, a damy ci nietylko wolność ale i wszystko co zechcesz, bogactwa i zaszczyty o jakich nawet nie marzyłeś w ojczyźnie.

Ale Cieszkowski nie dał się skusić i nie przystał na ten warunek. Wiary się wyrzec? Wszakże to jedno mu zostało po stracie wolności. Tego jednego nikt mu odebrać nie mógł, a on sam miałby się tego wyrzekać? Hardo więc odrzucił obietnice i na nowo ugiął kark do jarzma. Teraz już było dobrze na drugi dziesiątek lat jak siedział w niewoli, a i ten drugi dziesiątek przebył wytrwale choć nie brakło pokus i namowy.

Turcy jak zobaczyli że on taki wytrwały w swojem przedsięwzięciu, nietylko mu tego za złe nie mieli, ale owszem powzięli dla niego jeszcze większy szacunek, jeszcze większą życzliwość. Jego pan opowiedział o nim swojemu sąsiadowi, ten znowu opowiedział drugiemu, wkrótce w całem mieście mówiono o Stanisławie Cieszkowskim, Polaku i jak szedł przez ulicę, to go sobie palcami pokazywano. Nakoniec doszła wieść o nim na dwór sułtana czyli cesarza tureckiego.

Sułtan usłyszawszy o nim, jaki jest wierny swemu panu, jaki pracowity, jaki cnotliwy, a przytem rozumny i obrotny, jak się zręcznie brał do każdej sprawy, którą mu powierzono, zapragnął go poznać i kazał przyprowadzić go przed siebie do pałacu.

Teraz już było prawie niepodobna oprzeć się pokusie. Sułtan rozmawiał z nim bardzo łaskawie okazywał największą przychylność i powiedział mu, że go zrobi baszą czyli wodzem tureckim jeżeli tylko swoją wiarę porzuci.

Ponętne to były obietnice dla biednego jeńca co już prawie zapomniał mowy ojczystej. Zachwiał się też, znękany tem wszystkiem i już omal się nie namyślił.

Powróciwszy od sułtana, poszedł do swojej izdebki, stanął w oknie, popatrzył ku północy kędy jego ojczyzna; rozmawia z wiatrem co ztamtąd wieje i zda się szeptać mu: wszystko stracone, zdaj się na los, korzystaj ze szczęścia póki ci się uśmiecha. A po chwili wiatr znowu inaczej szepce: Poczekaj jeszcze, poczekaj, Bóg nie zapomniał o tobie, nagrodzi cię za wytrwałość.

Pochylił głowę na piersi i duma, oko mimowolnie padło na gościniec, a tam ściele się tuman, długim szeregiem ciągnie wojsko jakieś. Poczekał chwilę i zaleciał go dźwięk mowy ojczystej, rodaków ujrzał przed sobą. To książę Zbaraski przybywał z licznym i świetnym dworem w poselstwie od króla polskiego.

Oj sławne to było poselstwo! W historjach piszą, że książę Zbaraski wydał na nie kilka milionów, ale też wystąpił z takim przepychem, jakiego nigdy przedtem Turcy nie widzieli. Dwór księcia składał się z siedmiuset ludzi konnych i pieszych

a wszyscy w bogatych sukniach, błyszczących od złota i drogich kamieni. Sam książę miał na sobie złotolitą suknię, a na wysokiej czapce z kosztownego futra, tkwiła wysoka kita w pięknem, dyamentowem spięciu. Jechał na dzielnym koniu który był taki rwiący, że go sześciu hajduków wstrzymywało.

W Cieszkowskim, co ze swego okienka patrzył na to wszystko, przemówiło serce, oczy łzami zaszły. Nie mógł dłużej wytrzymać, poszedł za swoimi, a stanąwszy przed księciem opowiedział mu wszystko i błagał o ratunek. Książę przyrzekł pomoc i słowa dotrzymał. Za jego staraniem Cieszkowski odzyskał wolność i wrócił do Polski. A chociaż tu nie osiągnął ani wielkich bogactw, ani zaszczytów, strawił szczęśliwie dalsze lata w domowej zagrodzie, ożeniwszy się z panną zacną i cnotliwą. Doczekał się syna i wychował go na obronę ojczyzny, dla której i sam, pomimo podeszłego wieku i starganego dwudziestoletnią niewolą zdrowia, poświęcał się ochoczo, a nawet gdy Szwedzi Polskę najechali chwycił za oręż i w bitwie pod Kwidzyniem odznaczył się znakomicie. Umarł nakoniec w ośmdziesiątym trzecim roku życia.

Jak się zabezpieczyć od szkód ogniowych?

Wszyscy to mówią, że mało jest krajów, gdzieby się ognie tak często zdarzały jak u nas. Czy doprawdy pożary są u nas częstsze jak gdzieindziej, tego nie wiemy, ale że są bardzo częste, to najlepiej wiecie wy, co na wsi mieszkacie; bo jak się już szczęśliwie zacznie jesień a gospodarze zwiozą zboże do stodół, to ledwie nie co wieczór widzicie straszne łuny to w tej, to w owej stronie. Oprócz tego zalatują was wieści że tu się spaliła chałupa, tam kilka chałup, albo i cała wieś, gdzieindziej znowu miasto, a w urzędach bardzo często każą się wam składać na różnych pogorzelców, co bez tej pomocy, musieliby chyba iść w świat o żebranym chlebie.

Tych częstych u nas ogniów rozmaite są przyczyny. Zdarzy się czasem że się chałupa albo stodoła zapali od piorunu; ale bogdajby tylko tyle szkód było! Daleko częściej palą się

domy przez własną nieostrożność gospodarzy i gospodyń, a jeszcze częściej z winy niedbałej czeladzi; gdzieindziej znowu źli ludzie podkładają ogień przez zemstę.

Oddawna już przemyśliwują nad tem, tak u nas jak i w innych krajach, coby uczynić, żeby się ognie tak często nie zdarzały, i próbują tego i owego. Więc jedni upominają gospodarzy aby się mieli na ostrożności, aby z fajkami nie chodzili i czeladzi nie pozwalali chodzić do stodół, aby ogień chowali przed dziećmi, bo i dzieci nieraz dla igraszki zapuszczają ogień, aby konopi i lnu nie suszyli w piecach, bo to bardzo niebezpiecznie. Drudzy nakazują warty nocne, pouczają ludzi jak domy stawiać, a osobliwie kominy i tym podobnie. Ale to wszystko nie pomaga. Pożary po staremu zawsze są bardzo częste, nawet i w takich miejscach, gdzie i warty są, i kominy dobre, i domostwa nie stoją bardzo blisko siebie, a gospodarze rozumni dają pozór i baczenie pilne tak na dzieci, jak i na czeladź.

Najlepszem z tego wszystkiego jest zabezpieczyć się w zakładzie ogniowym. Takich zakładów nie było dawniej u nas, tylko za granicą. Powstały one tym sposobem że się zebrało kilku kupców bogatych i ogłosili: kto się u nas zapisze, a co rok płacić będzie tyle a tyle, to jeśli się spali, dostanie od nas taką a taką sumę, aby sobie mógł dom postawić. Było to nie złe, i ludzie rzucili się do tych zakładów, zapisywali się i płacili. Ale gdy się pokazało, że poszkodowani nie zawsze tyle dostawali pieniędzy ile im się należało, i gdy ludzie zmiarkowali że to zaprawdę szkoda, tyle pieniędzy wysełać za granicę, a mało co albo i nic nie odbierać napowrót, ułożyli pomiędzy sobą założyć u nas taki zakład, aby go każdy miał pod bokiem i mógł w każdym razie trafić do niego.

Na taki zakład potrzeba bardzo dużo pieniędzy, zebrali się więc panowie nasi polscy, każdy dał po trochu i otworzyli w Krakowie zakład, ale nie taki jakie są za granicą, tylko zakład wzajemny, gdzie jakby w jakiem bractwie wszyscy się wzajemnie wspierają, a pieniędzy, które po zapomożeniu pogorzelców zostaną, nikt nie chowa do kieszeni, tylko te pieniądze zostają w kasie na wypadek, i wszyscy z nich wzajemnie korzystają, bo im jest więcej tych pieniędzy w kasie, tem mniej

opłaca każdy gospodarz, co chce swój dom albo swoje zboże zabezpieczyć od ognia.

Ten krakowski zakład jest dla wszystkich i dla bogatych i dla ubogich, dla panów, dla chłopów, dla mieszczan i dla żydów; słowem, kto tylko chce, może się w nim zabezpieczyć a jeżeli kto nie chce, to już jego własna wina; każdego tam przyjmą i każdemu, jak się spali szkodę wynagrodzą sumiennie i uczciwie, a prędko i bez żadnych kłopotów.

Już bardzo wiele gospodarzy próbowało, czy to warto zabezpieczać się w zakładzie krakowskim, a kto tylko spróbował, to jeśli go Pan Bóg nawiedził nieszczęściem, przekonał się jakie to wielkie dobrodziejstwo. Ale jeszcze więcej jest takich co się ociągają dlatego tylko, że nie wiedzą jak się wziąść do tego, a żałują fatygi iść do dworu, albo do księdza i popytać o radę. Zresztą zabezpieczyć się to wcale niewielka rzecz, bo w każdem miasteczku siedzi urzędnik co się nazywa: a j e n t t o w a r z y s t w a o g n i o w e g o k r a k o w s k i e g o, który o wszystkiem oświeca i zapisuje tych co się chcą zabezpieczyć. Więc trzeba sobie tylko w domu rozmyślić co się chce zabezpieczyć, czy chałupę, czy stodołę, czy tylko zboże w stodole czy oboje razem, porachować wiele tam tego zboża jest, zapytać w miasteczku do pana ajenta, a on każdego przyjmie uczciwie, rozmówi się jak się patrzy, wypyta o wszystko, porachuje wiele trzeba wstępnego zapłacić i rzecz skończona. Możesz już zasypiać spokojnie i nie potrzebujesz się troskać co będziesz jadł, albo gdzie będziesz siedział jak ci się spali stodoła albo domostwo. Pan ajent, jak odbierze od ciebie pieniądze, to ci da kwit, gdzie wszystko jest zapisane czarno na białem coś zabezpieczył, wieleś zapłacił i wiele ci się należy gdybyś pogorzał, a ten kwit nazywa się p o l i c ą.

Gdy ci się zaś, broń Boże, który budynek spali, to dasz zaraz znać panu ajentowi a wnet przyjedzie komisya, spisze wszystko, obliczy wieleś stracił, i ani się spodziejesz jak prędko dostaniesz pieniądze, byle się tylko z twojej strony nie pokazało jakie cygaństwo, bo komisya zwoła świadków, dójdzie wszystkiego, a wtedy i wstyd i nic nie zapłacą.

Kiedy więc mamy już pod bokiem taki dobry zakład, kiedy tam przyjmą każdego i w razie nieszczęścia, każdemu uczciwie zapłacą, a wszystko bez kłopotów i bez mitręgi i bez długiej pisaniny, jakżeby to dobrze było, żeby gospodarze co jeszcze nie są zabezpieczeni, nie ociągali się z tem dłużej. Będziesz zazdrościł twojemu sąsiadowi, albo dziedzicowi, albo księdzu gdy się pierwej od ciebie zabezpieczą, a potraciwszy przez ogień budynki, wezmą pieniądze i wystawią sobie jeszcze lepsze jak przedtem mieli. Owóż abyś nikomu nie potrzebował zazdrościć, nie dajże się nikomu wyprzedzić, owszem daj przykład tym co o własne dobro nie dbają.

Dlaczego wódka jest naszem największem nieszczęściem i jak temu nieszczęściu zaradzić?

Wódka dlatego jest naszem największem nieszczęściem, bo to, co w niej jest dobrego i pożytecznego, to każdy zaraz doświadcza skoro jej tylko skosztuje, a co w niej jest złego, to się dopiero powoli, później pokazuje. Wódka jest podobna do człowieka, który udaje cnotliwego i świątobliwego, a w gruncie jest łotrem i zbrodniarzem lecz się z tem zręcznie ukrywa.

Kto się zmęczy przy pracy i weźmie się do jadła, to choć napełni żołądek, krwi jeszcze mu nie przybyło, bo to nie może być prędzej jak za pięć albo sześć godzin. Dlatego po jedzeniu robotnik nie czuje się rzeźwym, ale owszem cięższym i radby się położyć. To też taki, co nie ma czasu po jedzeniu odpoczywać, widzi, że kieliszek wódki prędzej go orzeźwi jak jadło i dlatego woli wstąpić do karczmy na wódkę jak do chałupy na ciepłą polewkę. Ale gdy to kilka razy uczyni i przyzwyczai swój żołądek do wódki, to jest już na drodze do wielkiego nieszczęścia. Już on bez wódki nic strawić nie może, a nie dosyć na tem że ją pić musi, ale to najgorsze że jej pić musi coraz więcej. Z początku dość mu było kieliszek, później dwóch i trzech potrzebuje, w końcu i kwarta mu za mało — zostaje pijakiem, ani nie wie kiedy i jak, a wtedy choć widzi swoje nieszczęście i chciałby się poprawić, już to prawie nie jest w jego mocy.

Taki biedak gdy się napracuje, czuje głód; ale cóż? jego żołądek nie trawi już chleba ani ziemniaków, i dlatego jadło mu jest obmierzłe. A osłabione członki przecie domagają się posiłku, a on wie dobrze że jak się nie posili, nie będzie mógł pracować i nie zarobi na żonę i dzieci; więc nie mogąc jeść, pije znowu, bo wie także że wódka nie tylko go orzeźwia ale i głód uciszy.

Ludzie bogaci, co sobie także trunkami popsuli żołądek i już nic trawić nie mogą, radzą sobie tak, że jadają tylko lekkie a bardzo posilne potrawy, smaczną polewkę z mięsa albo i samo mięso, dobrze posiekane a korzeniami zaprawne, i to ich ratuje. Bogatego co pracować nie potrzebuje, jadło także zaraz nie wzmocni, ale on może się po obiedzie przespać, bo ma na to dość czasu, potem się zwolna przechadza i znowu zasiada do lekkiego jadła, i tak żyje ciągle póki całkiem sił nie odzyska. A gdyby nagle przez jakie nieszczęście zubożał i nie mógł już żyć po dawnemu, z pewnością zostałby także pijakiem jak jest nim prawie każden biedak. Ludzie powiedzieliby o nim że się rozpił z rozpaczy, ale to bajka, jego żołądek dlatego tylko wódki się domaga, bo czarnego chleba nie strawi, a dobrego rosołu, korzennego mięsa i innych lekkich przysmaków nie dostanie.

Dlatego to o biedakach co się wódką ratują, nie trzeba mówić że ich djabeł ciągnie do kieliszka ale starać się trzeba o to, aby biedny robotnik miał co jeść, aby to, co je, było bez ości, bez ziemi, posilne i zdrowe, a wtedy dopiero mniej będzie pijaków. Nie pomoże tu żadna najuroczystsza przysięga, ani zapisanie się do bractwa wstrzemięźliwości, nie pomoże zażegnywanie ani zamawianie, jeno jedno tylko dobre jadło pomoże. A o tem, to już najwięcej same gospodynie, mężów i czeladź mające, myśleć powinny.

Rozumna i dobra gospodyni bardzo łatwo może nieszczęściu z wódki pochodzącemu zaradzić i swemu domowi wyświadczyć największe dobrodziejstwo. Gospodyni powinna pamiętać że chłop tylko wtedy może ją i jej dzieci wyżywić, gdy sam dobrze jada. Wstyd i hańba jeżeli gospodyni i tyle o swoim mężu nie pamięta co o swojej krowie, albo o swojej kurze. Wiesz, że

krowa nie daje mleka gdy jej dobrze nie karmisz, a chciałabyś zbyć byle czem męża, żywiciela twojego? pomnijże więc: skoro twój mąż bierze się do wódki, nic nie jest tego przyczyną, tylko złe jadło które mu dajesz i śpiesz się zaradzić nieszczęściu które wisi nad tobą. Od gęby sobie odejmij a staraj się żeby twój mąż miał choć czasem polewkę z mięsa, dobrze posoloną i popieprzoną, uciesz go jeśli możesz jakową niespodzianką i ugotuj mu co wiesz że najlepiej lubi, uproś go aby na śniadanie jadał więcej jak zwykle, staraj się aby wszystko co mu dajesz do jedzenia było posilne i smaczne — a najbardziej o to, aby twój mąż nie miał w domu zgryzoty, aby się z tobą kłócić i swarzyć nie potrzebował.

Jeżeli to robić będziesz, ty ubożuchna wieśniaczko, co w prostocie twojej nic się nie ważysz, będziesz miała przed Bogiem wielkie zasługi, i — wybacz Panie grzesznym ustom zuchwałe porównanie — jak ona Najświętsza Panienka Marya, wydawszy na świat Zbawiciela świata, przyczyniła się do odkupienia całej ludzkości, tak ty odwrócisz od kraju naszego największe nieszczęście, wódkę, bo za twoim przykładem pójdą twoje sąsiadki i cała twoja wieś, a za twoją wsią wszystkie wsie w około, w czem niech ci Bóg dopomoże.

RÓŻNOŚCI.

W Kentach rozpoczął się d. 16. zeszłego miesiąca trzydziestodniowy odpust św. Jana Kantego. który tylko raz na sto lat przypada. Zjechało się na ten odpust bardzo wielu księży a lud wiejski schodzi się procesjami nawet z odległych stron.

Jak uwolnić drzewa owocowe od mchu? Kto chce drzewo owocowe uwolnić od mchu i przywrócić mu siły żywotne, niech na wiosnę i w jesieni rozkopie ziemię naokoło drzewa, aż do miejsca gdzie już korzenie zaczynają się rozgałęziać. W ten dół niech wsypie pół korca popiołu wygotowanego, i niech go lekko ziemią przykryje. Potem trzeba pień i gałęzie obmyć gnojówką ze świńskiego chlewu — a temi dwoma środkami nie tylko uratuje się drzewo, co już miało pruchnieć, ale drzewo tak zasilone rodzi odtąd daleko obficiej jak dawniej.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 3.

21. lipca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Skiba.

II.

Stanisław jest pożytecznym gromadzie.

(Dokończenie.)

W jesieni stał już na tem miejscu gdzie dawniej była chata, ładny biały domek z osobną stodołą i stajnią, w domku mieszkali już rodzice Stanisława Skiby, który pojechał do miasta po swą żonę i dzieci — i razem z rzeczami przywiózł je do Dąbrowy. Zona Stanisława pomimo że była kobieta miastowa, cieszyła się domkiem i gospodarstwem a rodziców męża kochała i szanowała — staruszkowie nie posiadali się ze szczęścia i codzień chodzili do kościoła dziękować Bogu za takiego syna, synowę i wnuków, prosząc o zdrowie dla nich.

Stanisław nie dał już pracować staremu ojcu — trzymał parobków, którzy w polu robili, a sam chodził, doglądał, i robił ulepszenia w gospodarstwie, na co się sąsiedzi mocno dziwowali, ale widząc, że to na dobre wychodzi, zaczęli go naśladować. Czasami zaglądał do sąsiadów i jeżeli który był chory, to mu zaraz radził, lub też jechał gdzie dalej do chorego gdy był wezwany, w wolnych zaś chwilach czytał lub pisał.

Z początku włościanie uważali go za pana, ale Stanisław kazał sobie zrobić z takiego samego sukna jak oni nosili siermięgę i żądał by go uważali jako sąsiada równego sobie — i z czasem zjednał sobie nietylko w Dąbrowie ale i w okolicy szacunek i zaufanie. I w każdej ważniejszej sprawie przychodzili do niego po radę, którą każdemu według sumienia i rozumu udzielał.

Raz nawet odciągnął gromadę od długiego a niepożytecznego procesu. Było to tak: Jeden wysłużony żołnierz, który także miał chatę i rolę, ale któremu nie chciało się pracować i po większej części przesiadywał tylko w karczmie, zwołał starszyznę i innych gospodarzy i namówił że mu złożyli sporo pieniędzy obiecując im że wyprocesuje od dziedzica lasy i pastwiska — i już miał iść do miasta i rozpocząć proces — ale jeden z gospodarzy zwrócił uwagę, by pójść jeszcze zaradzić się Stanisława Skiby, który jest uczonym i rozumnym człowiekiem, na co się wszyscy zgodzili. Gdy przyszli do niego i powiedzieli mu w jakiej sprawie przychodzą, zaprosił ich do osobnego pokoju i prosił by usiedli koło stołu — i sam usiadł obok nich, dziękując im że mają do niego zaufanie.

— Moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba — więc doprawdy myślicie o procesie?

— Tak jest — odpowiedział Szymon Świerk, ów wysłużony żołnierz — już mam na to pieniądze i idę do miasta.

— Zkądże wzięliście pieniędzy? — pytał Stanisław Skiba.

— Złożyliśmy każdy po trochu — odpowiedział wójt.

— Czy mówiliście już o tem z dziedzicem? — pytał dalej Stanisław.

— Nie — odpowiedzieli włościanie.

— To źle — mówił Stanisław — bo chcąc skarzyć kogo, to trzeba z nim pomówić, możeby się co dało wskórać bez procesu.

— Gdzieby tam pan na to przystali — odpowiedział wójt.

— Teraz jeszcze to — mówił Skiba — rozpoczynając proces trzeba być pewnym o słuszności swej sprawy, by na darmo pieniędzy nie wyrzucać, czy wy tego jesteście pewni?

— O pewni! — zawołał Szymon Świerk.

— Któż was zapewnił? — pytał Skiba.

— Jeden pan w miasteczku, co pisuje takie skargi i jest także w urzędzie, nazywa się Diebcejg, on też będzie i nam proces prowadził — mówił Szymon Świerk — a zresztą i prosty rozum ukazuje że nie sposób by takie ogromne lasy i pastwiska były własnością tylko panów od dawien dawna, i jak mi mówił ten pan Diebcejg, to dawniej, ale to bardzo dawno, nie było panów tylko sami chłopi.

— Przyszliśmy do was Stanisławie z prośbą o radę — mówił wójt — bo wiemy że mamy z was sąsiada rozumnego i uczonego, co nam nejlepiej poradzi i objaśni jak tam dawniej było, bo w książkach musi być o tem napisano — i spojrzał na szafę z szklannemi drzwiami, w której było pełno książek.

— Moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba — najprzód was zapewniam że nie trzymam za dziedzicem, nawet go jeszcze nie znam, bo odkąd tu mieszkam to go jeszcze we wsi nie było. Gdyby się dało wyprocesować, to i ja jako włościanin, wasz sąsiad i równy wam, skorzystałbym z tego, a od przybytku głowa nie boli, jak to mówią, ale przedewszystkiem jestem za słusznością. Rzecz się tak ma:

Obecni zaczęli słuchać z uwagą, Stanisław Skiba wyjąwszy kilka książek ze szafy, położył na stole i mówił:

— Dawno, ale to bardzo dawno, gdy jeszcze narody nie miały ustalonej siedziby, tylko z miejsca na miejsce się przenosiły, gdzie było im lepiej i wygodniej, nie było jeszcze domów takich jak dziś mamy, tylko robiono szałasy; nie był też nikt właścicielem ziemi ani lasów, bo ludzi było mało a ziemia wielka i dużo lasów, nie było też panów, ani królów, ani cesarzy, tylko w każdej rodzinie najstarszy wiekiem był przewodnikiem i sędzią, i jego też słuchali.

— A co nie słusznie mówiłem! — zawołał Szymon Świerk — a Stanisław Skiba mówił dalej:

— Później gdy narody obrały już sobie stałe siedziby, wszędzie stawiali domy i przestali się przenosić z jednego miejsca na drugie, i mieszkają dotychczas na tych miejscach Polacy, Rusini, Litwini i inne narody, gdzie ich przodkowie się usadowili. A gdy kilkanaście familji połączyło się w osadę czyli wioskę, pierwszeństwo i władza nad tą osadą nie była już

w ręku najstarszego wiekiem, tylko w jednym rodzie pozostawałe i z ojca na syna przechodziła. Ci zaś władcy obierali z pomiędzy siebie jednego, którego nazywali księciem, a później królem, ten rządził całym krajem a wszyscy go słuchali.

— Czy to w książkach jest napisano? — pytał się wójt.

— Tak jest — odpowiedział Skiba — i wskazał na książki które leżały na stole — to co mówię, to wyczytałem z tych książek.

— A czyby nie można temi książkami zaświadczyć w urzędzie, że lasy nietylko do panów należały — mówił Szymon Świerk — i że sami sobie przywłaszczyli?

— Zaraz lepiej wam objaśnię — mówił Stanisław Skiba — narody wówczas były jeszcze ciemne i dzikie, więc jedne napadały na drugie, niszczyły kraj, rabowały i zabierały ze sobą dobytek i ludzi w niewolę, trzeba się było bronić i prowadzić wojny. Na wojnę szli ci, co w osadzie mieli władzę i starszeństwo, za odznaczenie się dostawali od króla szlachectwo i czasem znak chorągwi do której należeli podczas wojny, brali za klejnot swego rodu — i gdy w pokoju rządzili w osadzie, podczas najazdu wroga szli pierwsi do obrony kraju, ci zaś co w domu zostawali uprawiali im rolę, siali, zbierali i kosili.

— To chłopi nie chodzili na wojnę? — pytał się wójt.

— Tylko z własnej woli, a później ich wynagradzano — odpowiedział Stanisław Skiba.

— A to dobrze było — mówił jeden z włościan — ale cóż to za narody były takie niedobre?

— Na Polskę i Ruś napadali Turcy, Moskale i Tatarzy, a na Litwę Moskale i Niemcy Krzyżacy. Trzeba ich było gromić i wypędzać z kraju, a takie napady zdarzaly się bardzo często i okropnie niszczyły kraj. Obawiano się ich więcej niż zarazy, bo gdy nieprzyjaciele napadli, to tak jak szarańcza: dziś tu niszczą i zabierają a jutro gdzieindziej. Ruś najwięcej wycierpiała od Tatarów. Najżyźniejsza ziemia i najlepsze urodzaje były na Podolu i Ukrainie, tak że ziemie te słynne z tego były, i mówiono, że miodem i mlekiem płynęły, a jak Tatar napadł to okropnie zniszczył, i gdzie były wsie zamożne

i miasteczka, pozostały po takim napadzie tylko pustki i zgliszcza; mężczyzn zabijano lub też zabierano z młodemi żonami lub dziewojami w niewolę i pędzono daleko, bardzo daleko, i już do swojej ziemi mało który mógł się wrócić. Tu już sami Rusini nie mogli się opędzić przed taką szarańczą rabusiów i Polacy musieli iść w pomoc, bo Tatarzy zaglądali coraz dalej i dalej.

— A to straszni musieli być ludzie — odezwał się przysiężny Sebastjan Marzec.

— Oj straszni — mówił dalej Stanisław Skiba — i źle było prowadzić z nimi wojnę, bo w jednej chwili rozbiegali się na swoich koniach, to znów się schodzili i dalej zabijali i niszczyli. W takiej wojnie mocno ucierpieli ci, co bronili cały kraj od napadu wrogów, a zaledwie odpędzili Tatara to napadał Moskal lub Turek i prawie nieustannie musieli toczyć wojnę, a ci co zostali w domu, pracowali w roli, by chleba nie brakło.

— Jakże się zaludniły później te kraje co Tatar wyniszczył? — pytał jeden włościanin.

— Jedni zdołali pochować się po lasach i jaskiniach przed Tatarem, a później powracali gdy go wypędzono — mówił Skiba.

— A czy ziemia co pozostała po zabranych dostała się im? — pytał Szymon Świerk.

— Ziemię dawał król tym, co znosili trudy wojenne i poświęcali swe życie w obronie całego kraju, i tak wodzowie dostawali na własność ogromne obszary ziemi, co mogły pomieścić kilkanaście lub kilkadziesiąt wsi, a żołnierze dostawali takie kawały ziemi jak nasza wieś, lub kilka takich. A ci nowi właściciele sprowadzali ludzi z dalekich okolic, dawali im kawałki gruntu, a ci za to odrabiali po kilka dni w tygodniu lub oddawali im lasy, gdzie osiedlali się ludzie i karczowali je na orne pola: ci byli uwalniani na lat kilkanaście lub kilkadziesiąt od robocizny, i odrabiali ją dopiero po upływie tego czasu.

— I to na wieczne czasy im darowywano te wielkie obszary? — pytał się wójt.

— Tak jest, na wieczne czasy i to dokumentami i prawami zawarowywano, a taka własność przechodziła z ojca na

dzieci, lub też jedni sprzedawali ją drugim, drudzy zaś trzecim i dziesiątym, i tak przechodziło z rąk do rąk aż do teraz, i jeden od drugiego kupował grunta z lasami i pastwiskami, jakie dzisiaj mają; rozważcie teraz dobrze czy to można wyprocesować, kiedy teraźniejszy dziedzic kupił od poprzedniego a poprzednik jego tak samo kupował.

Włościanie wahająco popatrzyli po sobie i na Stanisława Skibę.

— Gdybyście umieli czytać — mówił dalej Stanisław Skiba — tobyście się mogli sami przekonać o prawdzie słów moich z tych oto książek — i pokazał książki na stole i wskazał na szafę, w której było jeszcze więcej.

— Kiedy mię zapewniał pan Diebcejg — mówił Szymon Świerk — że to on wyprocesuje, a my będziemy mieć lasy i pastwiska.

Wierzę, że was zapewniał — mówił Stanisław Skiba — bo przytem ma swój zysk i każe wam płacić za to że napisze skargę; czy może z miłości dla was będzie to robił za darmo, co?

— Gdzieby za darmo robił — odpowiedział Szymon Swierk.

— A widzicie, że on to robi i namawia was dla swego zysku, bo gdyby była słuszna sprawa, to ja wam to za darmo zrobię, a teraz odradzam od procesu, bo tu wygrana niepewna i dużo pieniędzy kosztować będzie, a nim tłusty schudnie, to chudego diabli wezmą, nim wyprocesujecie dziedzica, to i pieniędzy wam nie starczy, za które kupilibyście sobie sporo lasu i pastwisk.

— Słusznie, bardzo słusznie — odpowiedział wójt — ja odstępuję od procesu — i zwrócił się do Szymona Świerka — oddajcie mi moje pieniądze, bo to sprawa niepewna.

Szymona Świerka to rozgniewało i ze złością mówił:

— Nie, ja nie odstępuję, idę do miasteczka i rozpoczynam proces, a pieniędzy nie oddaję — i wyszedł prędko.

— Czy on ma także jaki przy tem zysk? — pytał się Stanisław Skiba.

— Mamy mu obrabiać rolę i dług w karczmie za niego zapłacić — odpowiedział jeden włościanin.

— Gdybyście umieli czytać, to nie dalibyście się bałamucić lada komu, co ostatni grosz od was wyciąga — mówił Stanisław Skiba — a cóż zamyślacie teraz robić?

— My już odstępujemy od procesu — odpowiedzieli włościanie — jak chce Szymon niech się tam procesuje, tylko trudno będzie odebrać te pieniądze, które od nas wyłudził.

— Wiecie moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba — złóżmy się każdy, ja dam parę set reńskich i kupmy sobie kawał lasu i pastwiska od dziedzica, który ma wkrótce przyjechać do Dąbrowy, i najlepiej na tem wyjdziemy, bo jedno i drugie mieć będziemy a nie damy z siebie korzystać lada jakiemu wydrwigroszowi.

— Słusznie, bardzo słusznie — odpowiedzieli włościanie dziękując Stanisławowi Skibie za radę i poszli każdy ku domowi.

Pół roku nie spełna minęło a gromada Dąbrowy razem z Stanisławem Skibą zrobiła już ugodę kupna części lasu i pastwisk od dziedzica, płacąc jednę część należytości gotówką, a resztę ratami mają oddać, lub odrobić.

Józef z Medyki.

Pomoc niespodziewana.

Gdzie tylko ludzkie zdoła dojrzeć oko,
Wezbrane rzeki rozlały szeroko,
Zakryły pola, zniszczyły zagrody
I nic nie widać prócz nieba i wody.

A lud na brzegu załamując dłonie,
Modli się kornie, jęczy, we łzach tonie,
I czeka, rychło prąd szalonej fali
I ten brzeg także, jak inne, powali.

Straszny to widok! bałwany spienione
Niosą na grzbiecie domy rozwalone,
I sprzęt domowy i różne narzędzie,
Z szumem i hukiem rwiąc się w bystrym pędzie.

Aż oto płynie!... Hej! hej! czy widzicie?
Strzecha, a na niej pięcioletnie dziecię;
Dach trzeszczy, dziecię z lęku prawie kona!
Jeszcze do brzegu wyciąga ramiona...

I niby mówi, bo ustami rusza,
Ale huk fali głos jego zagłusza.

Widzi to z brzegu wieśniak jeden młody,
Odzież na sobie co żywo rozrywa:
Chcą go powstrzymać, on pędzi do wody,
I już go fala po szyję zakrywa.

Ne brzegu cisza, rzekłbyś tchu nie stało,
A co tam w sercach tych ludzi się działo,
Ci tylko wiedzą, co kiedyś widzieli
Stojąc na brzegu, jak drudzy tonęli.

On walczy, rwie się, lecz droga daleka,
A dach z dziecięciem wciąż dalej ucieka,
Aż mu nakoniec i sił już nie stanie,
I poszedł na dno... o! zlituj się Panie!

Wówczas przypadkiem, czyli też z przestrachu,
I owo dziecko zsunęło się z dachu.

Jak gdyby gromem rażona gromada
Czołem ku ziemi, na kolana pada
A kiedy znowu wzrok poszle ku fali,
Dziwne zjawisko obaczyli w dali.

Tam jakaś łódka rwiące pruje wody,
A w łódce młodzian anielskiej urody,
Srebrzysty promień wieńczy jego czoło
A boska wonność rozlała się w koło.

Wyskoczył z łódki i spuścił się na dno;
Obu tonących wyniósł ztamtąd snadno
I tchnął w nich życie; wiosło ujął w dłonie,
Szybko przerzyna niezgłębione tonie.

Już lud na brzegu — ocalonych wita,
Lecz gdzież jest zbawca? gdzie jest? ten, ów pyta;
Już jego łódka zmieniła się w chmurę,
A on w tej chmurze lekko sunie w górę.

Ślad jego drogi znaczy obłok tęczy...
Znikł — tam przed tronem pańskim pewnie klęczy.
I rzesza także pada na kolana,
Gorące modły zaseła do Pana:

— Ty co tonących masz w swojej obronie,
Aniołów po nich posełasz w wód tonie,
Zmiłuj s ę Panie nad Twym wiernym ludem,
i nas z powodzi ocal! ocal cudem!

Stanisław Krakowczyk.

Karczma w Malechowie.

Pół mili od Lwowa, przy gościńcu do Żółkwi, jest po prawej stronie wklęsłe bagno, wiecznie zgniłe i mokre nawet w suche lata; ze wszystkich stron w koło piękne pola urodzajne pochyło zniżają się ku niemu; zarosło jakiemś czarnem trawskiem i smutne siedzi i ciemne wśród niw wesołych. Wioska Malechów z kościołem i dworem i białemi chaty patrzy z dala, już bardzo wiele, wiele lat na to brzydkie bagnisko. Nieraz już chciano je osuszyć i ziemię spożytkować, ale nie dało się; kto jedzie gościncem pogląda i żegna się z westchnieniem. — Chłopkowie Malechowscy i sąsiedni wiedzą dobrze zkąd się wziął ten moczar tak niespodzianie wśród pól wzgórzystych, i jeden z nich opowiadał mi całą historję moczaru, bo i on ma swoją historję a smutną, jak nie jedno stare drzewo, nie jeden wzgórek, nie jedna figura, choć o niej ludzie nie wiedzą, albo dawno zapomnieli.

Dawno już, bardzo dawno, w miejscu gdzie dziś bagno, stała na równem wzgórzu karczma, a siedział w niej jakby dziś żyd rudy, i jakby dziś ssał krew z Malechowskich ludzi — borgując wódkę, gromadząc zastawy, pisząc podwójną kredką, podmawiając do ostatniej zguby i wyprawiając huczne muzyki co niedzieli i święta, aby ludzie tam gubili, co rano z nieba w kościele zyskali, aby poniewierali cnotę, rozum, pieniądz i życie. Otóż takie huczne muzyki słynęły w karczmie malechowskiej. — Młodzież wiejska zbiegała się hurmem, niejeden już przepił tam zdrowie i majątek, nie jedna przehulała swoją cnotę i swoją dolę, nie jeden już żałując po niewczasie przeklinał miejsce występku i pokusy. O wiele tam było przekleństwa nad tą karczmą. Były przekleństwa wdów, których mężowie zniszczywszy gospodarstwo i zdrowie, katowali je, ostatnią

niosąc koszulę — i pomarli w nędzy; były przekleństwa sierót, których matki zapomniały lub odumarły przez pijaństwo i swawolę; były przekleństwa rodziców, których dzieci zgubiły się, igrając za często w tej karczmie, a potem poszły w świat na gorsze jeszcze życie, albo płakały krwawemi łzami, albo się potopiły. Były przekleństwa pokrzywdzonych, okradzionych, bo procesa, bójki, kradzieże wychodziły z karczmy jak ze swego rodzinnego gniazda i sypały się na biedny lud. Tam na górze brzmiał nieraz głos staruszka kapłana tak groźnie i tkliwie razem że biedny lud płakał rzewnie; nie jeden nawet wyrzekł się karczmy, ale pokusa tam na dole ciągła jak żelazem i zły duch wojował z Aniołem niebieskim. — Wołał Bóg na lud swój przez usta kapłana, przez głos sumienia, przez rady dobrych ludzi, wołał czart na lud Boży przez usta żyda, przez zapach wódki, przez dźwięk muzyki — i gdzież lud szedł, i kogo słuchał? Ach — smutno, boleśnie powiedzieć...

Miara się jednak przebrała. Już zubożała połowa Malechowa, wyszła na pijaków i łotrów połowa młodzieży, na nierządnice połowa niewinnych dziewcząt, dzieci bawiły się w święto najmilej pod karczmą, czychały łakomo na krople wódki i słuchały z śmiechem wszetecznych słów i śpiewek, słowem pląsał z radości czart ohydny a płakali kryjąc oczy, Anieli tego ludu.

Było to w ostatki, miał nastąpić post i popielec; w karczmie aż wrzało od dymu, krzyku, śpiewów, hulanki i swywoli. Przepito, przehulano, i przebito niedzielę, poniedziałek; nadszedł wtorek ostatni — żyd sprowadził paradną muzykę, dolewał hojnie mocniejszej wódki, traktował grzecznie, dogadując że to ostatek, że to musi wystarczyć na długo, że czemuby sobie nie pozwolić na ostatni dzień, że cały świat dzisiaj bawi się i używa. — Ochota się rozszalała do upadłego ostatniej nocy, minęła północ, zapiały koguty, jak wtedy gdy się świat wyparł Chrystusa, ale ich za muzyką słychać nie było, dzień zaświtał biały, w kościele już na Mszę świętą dzwoniono, tysiące już głów w naszej pobożnej Polsce posypał popiół pokuty, a żyd zamknął okiennice, w karczmie tańczono na zabój i pito na umór. — Panie odpuść, taki zły duch przystąpił do ludzi że choć dzień widzieli wielki, hulali, krzyczeli i pili śmier-

telnie. — Południe dobiegało — dzień był smutny i pochmurny — musiało się niebo zamroczyć od grzechów na ziemi, w tem dziwna jakaś, niesłychana burza zagrała nad Malechowem. Kościół się sam zamknął z trzaskiem, taki wicher porwał drzwiami — jakby drzwi miłosierdzia zamknęły się dla ludu; wstrzęsła się wieś i jęczała przed gniewem Bożym, ciemno się zrobiło strasznie, zawyły wichry i grzmoty koło karczmy jeszcze huczniejsze jak wściekła muzyka, zatrzęsła się okropnie, zakołysała jak łódź na morzu, grom uderzył, błysło i pociemniało. Rozpadła się ziemia jak czeluście dokoła i z piekielnym rumem karczma zapadła się w przepaście z wszystkim ludem. I nic nie było, nic nie zostało; ucichło, zapłakało coś i popiół lekki posypał wielki dół zasunięty.

Niebiosa w ten straszny Popielec posypały grzeszników popiołem nie pokuty ale wiecznego zatracenia.

Nie było pogrzebu, nie było zawodu, nie było modlitwy ani nic świętego.

Na górze w kościele biały gołąb święty płakał modląc się w ciszy; parę sierót małych, kilkoro dobrych ludzi, tuliło się głucho do stóp ołtarzy i Wielki Post obchodzili.

Od tego dnia zgniły moczar niczem niezasypany, niczem niewysuszony, dusi się między wzgórzami ślicznemi; — a głos z góry woła do ludu Bożego: Ludu mój! zrzuć grzechy twoje abyś nie wpadł w otwarty grób bez pokuty! *B. F.*

Pustelnia w Cięszkowicach.

Muszę wam tu opowiedzieć o ładnej rzeczy, a o której zapewne jeszcze nie wiecie, a to o Pustelni w Cięszkowicach. To tak jest: Przed kilku latami przybyła do nas niejaka panna Meizner, z pod rządu pruskiego. — Panienka ta czując od młodości powołanie do zakonu, przyjechała do Galicji, po to aby w którym klasztorze zostać zakonnicą. Lecz gdy jej to dlatego, że nie miała żadnego majątku, trudno było, obmyśliła ona inny sposób, bodaj czy nie pożyteczniejszy służyć Panu Bogu. Oto przywdziawszy czarną szatę, jako siostry zakonnej,

ułożyła sobie chodzić jak szeroki kraj Galicji, po dobrych ludziach, aby uzbierać tyle, iżby w jakowem na to obranem miejscu, i za przyzwoloniem Rządu, wystawić taki domek, w którym by jak na pustyni, z dala od świata osiąść mogła, i wychowywać sieroty ludowe, które albo nie mają rodziców, albo też mają ale biedne zupełnie. Czyn ten pobożny i pożyteczny, pobłogosławił Pan Jezus, a ta pobożna panienka przez lat niespełna pięć, potrafiła sobie z jałmużny uzbierać tyle, że postawiła domek w Cięszkowicach pod lasem, w którym jedynie z jałmużny utrzymuje dziesięcioro sierotek wiejskich, lub miejskich dziewczątek, dając im jeść, odzienie, i ucząc czytać i pisać, a potem wszelakich robót, jakie kobietom w służbę idącym są potrzebne; jednem słowem wychowuje je na dobre, pracowite i zręczne sługi. Nie mogąc sama wszystkiemu dać rady, gdyż i tak co rok musi pójść na kwestę, przyjęła sobie drugą siostrę do pomocy, która w jej niebytności ma o domu i sierotach staranie.

Ma ona w tym swoim domku i ołtarzyk do pomodlenia się, i kiedyś może uzyska, że tam i Msza święta będzie niekiedy bywać. Ma i ogródek spory, gdzie dzieci na świeżem powietrzu, uczą się i tej pracy; i kiedyś jak jej Bóg poszczęści, a kraj pomoże jej swemi darami, to tam stanie taki pożyteczny dla kraju zakład, w którym sieroty znajdą przytułek, a z którego dobre i pracowite sługi, po całym kraju się rozejdą.

Widzicie, jak to Bóg błogosławi dobre zamysły, w których jest szczera, prawdziwa miłość bliźniego Jedna uboga niewiasta że poczęła z miłością Boga i bliźniego, co potrafiła — i wiele dobrego zrobi dla kraju! Róbcież więc wszystko moi kochani w imię miłości Boga i bliźniego, a wszystko pójdzie wam dobrze, i jakby cudem wasze sprawy na dobre rozwijać się będą. Zostańcie z Panem Jezusem. *Ludka z Myślenic.*

O chowie i dozorowaniu bydła.

Dobry gospodarz powinien dbać o bydełko swoje bo z niego, przy niewielkiem staraniu, może mieć wielki pożytek. Wszakże wół pracuje na ciebie przez całe życie, a jak go

zarzniesz, masz z niego mięso i skórę; krowa dostarcza ci mleka i cielęta rodzi, a przychowek możesz z zyskiem sprzedać na jarmarku. Dochodem z bydełka moglibyśmy nieraz zaratować się w potrzebie. Teraz czasy ciężkie, o grosz trudno, a wiele to tych groszy potrzeba, żeby jakoś wyżyć, podatek zapłacić, dziecku i żonie sprawić co im się należy. Owóż byłoby to dobrze i bardzo, gdyby gospodarz mógł mieć z bydełka swego jaki taki przychód, ale cóż, kiedy my bardzo mało dbamy o nasze bydełko, a przynajmniej nie tak, jakby należało.

Gdy krowa cielna, trzebaby jej podtykać jakie lepsze jadło, trzebaby się z nią trochę lepiej obchodzić, i pamiętać aby miała wygodę, a u nas kto tam o tem myśli? Byle sobie dogodzić, to i dosyć, a krówka biedna niech sobie żyje jak jej się podoba. Nie mówimy tu o tych, co sami jeść co nie mają, bo jakże taki, co sam wygody nie ma, mógłby ją dać bydlęciu, ale o gospodarzach zamożnych, którzy mogą, a tylko nie chcą.

Wielki to nierozum nie dbać o swoje bydlę, bo gospodarz co tak postępuje, samemu sobie źle czyni, a i grzech także odpłacać mu złem za dobre. Tymczasem krówka jak głodna idzie na paszę, tak i głodna powraca do stajni, a wygody jaka jej się należy rzadko kiedy zazna, czasem i nigdy przez całe życie. Czy więc można się spodziewać, aby krowa tak źle chowana, wydała krzepkie cielę, z któregoby gospodarz doczekał się kiedy, rosłego i silnego wołu? Gdzietam! Żebyśmy choć o cielętach pamiętali! Ale cóż? U nas ledwie cielę przyjdzie na świat, to je czemprędzej sprzedajemy rzeźnikowi, a jeżeli je mamy chować, to mu żałujemy tej trochy mleka, które z matki wyssie. Cóż to za bydlę wyrośnie z cielęcia tak chowanego i jakiego pożytku możemy się z niego spodziewać?

A czyimże to rękom powierzamy bydełko nasze gdy idzie w pole na paszę, aby się tam pożywnemi ziółkami pokrzepiło? czy zapobiegamy aby przez ten czas, pilnie było strzeżone od wszelkiego wypadku? Gdzietam! W jednem miejscu zajmują się tem starcy i kaleki niedołężne, które już żadnym innym sposobem na kawałek chleba sobie zarobić nie mogą; gdzieindziej zaś dzieci pustaki. I to źle i to nie dobrze, bo ani starcy niedołężni ani dzieci bydła jak się należy nie dopilnują,

jak to o tem wszyscy wiemy dobrze z doświadczenia, a kto nie wie, niech idzie gdziekolwiek na pastwisko i niech się z boku dobrze przypatrzy co się to tam z bydłem dzieje.

Taki staruszek co się całe życie napracował, i teraz potrzebuje spoczynku, albo kaleka, co się ruszać nie może, najęty do paszenia bydła, o tem tylko myśli aby się spokojnie wyleżał i wyspał, a potem wziął swoją zapłatę; a co jego tam cudze bydło obchodzi? Dziecko, zwyczajnie jak dziecko, jemu figle i pustactwa w głowie, toż o to mu tylko idzie, aby mogło swobodnie zbytki wyprawiać. Dobrze mu z tem że w polu nikt na niego nie patrzy, że tam może broić jak mu się podoba, toż chętnie idzie niby paść bydło, a w rzeczy samej tylko po to aby dokazywać i próżnować. Zaślepieni w dzieciach swoich rodzice może mi nie uwierzą; ja się temu nie dziwię, bo kto kogo miłuje, wad jego nie czuje, ale każdy mi przyzna że z takiego paszenia bydła, jak się ono u nas odbywa, wynikają rozliczne szkody dla gospodarzy. Tu wół wlazł w szkodę, w sąsiedzkie albo pańskie pole, sąsiad albo pan obaczył, kazał go zająć, ztąd kłótnie, przekleństwa i obraza Pana Boga, a często i koszta. Gdzieindziej znowu bydłe najadło się koniczu, wzdęło je i padło. Wie każdy, że takie wypadki nie z czego innego pochodzą jeno z niedozoru; pastuch zdrzemał się albo o czem innem myślał, ot i nieszczęście gotowe. Prawda, że takie wypadki nie codzień się zdarzają, ale i to prawda, że bydełko bardzo często powraca z paszy głodne, a nieraz z poobijanemi bokami. O bo też pastuszkowie nasi nie żałują batoga, a jak który nie ma batoga pod ręką, to kamieniami rzuca.

Dlatego też zdaje nam się, że należałoby powierzać chudobę w inne pewniejsze ręce. Starcom i kalekom niech gromada za darmo daje jałmużnę i jakie opatrzenie, niech ich nie przymusza do tego, do czego oni nie są już zdatni; dzieci zamiast czas marnotrawić przy paszeniu bydła na zbytkach i próżniactwie, niech idą do szkoły, gdzie się nauczą żyć uczciwie i Pana Boga chwalić. Do chudoby najmijmy sobie człowieka ze statkiem i poczciwością, i zapłaćmy mu dobrze, aby sobie nie krzywdował i sumiennie swój obowiązek wypełniał — a jeżeli wszystko bydło gromadzkie pasie się razem, na jednem pastwisku,

wtedy kilku pastuchów przyjmijmy, bo jeden nie da sobie rady i bydła nie upilnuje, tak samo jak dziecko, albo kaleka.

Gdy u nas taki zwyczaj nastanie, to starcy i kaleki będą nam błogosławić i modlić się za nas, i wyproszą nam łaskę u Pana Boga, dzieci wyrosną na rozumnych i cnotliwych, a pracowitych gospodarzy, a bydełko nasze odżyje pod okiem dobrego pasterza i sowicie nam się wypłaci za trochę większe koszta, które na nie wyłożymy.

Aby bydło było piękne i zdrowe, powinno mieć dobrą paszę, czystą wodę za napój i ochędóstwo w stajni. Siano musi być słodkie, czyste, zdrowe. Pasza z koniczu czerwonego lub białego, skoszona przed okwitnięciem i dobrze wysuszona, lepsza jest jak siano, a wyka tak sucha jak zielona wyborną jest paszą dla bydła; polewanie paszy wodą słoną zaostrza w bydlęciu ochotę do jadła, więc kogo tylko stać na to, niech nie żałuje kilka groszy na sól, bo bydlę, co więcej i lepiej je, zdrowsze jest i silniejsze. W lecie i w jesieni dobrze jest bydło pławić i polewać często zimną wodą, ale trzeba przytem uważać, aby nie szło do wody zgrzane i spocone; pasterz powinien baczyć aby podczas wielkich upałów, w godzinach południowych, bydło nie piekło się na słońcu, lecz je powinien spędzić w miejsce zacienione. Pastwisko powinno być podzielone na części, aby jedna mogła zarastać, podczas gdy bydło będzie się pasło na drugiej — a nie trzeba paść bydła na moczarach ani w ich pobliżu, bo to bydłu szkodzi. Przy każdem przejściu z paszy suchej do zielonej, trzeba się strzedz aby bydłu nie dawać jadła za wiele lub za mało. Gdy bydło na wiosnę zaczyna wychodzić w pole, zapada często na febrę, którą ludzie nazywają trawną febrą. Na tę chorobę najlepsze jest lekarstwo wymywać bydlęciu nozdrza i zaropione oczy spirytusem kamforowym i ciepłą wodą. Tego spirytusu dostanie w każdej aptece, więc dobrze jest mieć go z wiosną w domu przynajmniej odrobinę, aby bydełko jeżeli potrzeba zaratować.

Największą klęską dla gospodarza, piękne bydełko mającego, jest zaraza. Trzeba się bardzo pilnie strzedz od tego nieszczęścia, bo jak zachoruje, to już trudny ratunek. A kiedy dzisiaj tyle o bydle mówimy, to muszę wam także powiedzieć,

jak też to prosty i łatwy środek wynalazł jeden dobry gospodarz aby bydło ochronić od zarazy. Owóż przekonał się on że bydła nic tak nie zachowuje od zarazy jak czosnek. Radzi on tak, że skoro gdzie, broń Boże, wybuchnie zaraza, trzeba wziąść kilka listków czosnku, utłuc z kawałkiem chleba, albo z jabłkiem i zadawać bydłu codziennie, na czczo. Na jednym folwarku, gdzie już próbowano zadawać czosnek chudobie, ani jedno bydlę nie zachorowało, chociaż zaraza była naokoło.

RÓŻNOŚCI.

Sztuczne członki. W tej części ziemi co się nazywa Ameryką są ludzie ogromnie przemyślni co z wszystkiego korzystać umieją, byle zarobić, a każden zarobek ma to do siebie, że i temu jest pożyteczny co go bierze, i temu co go daje, ztąd w Ameryce wszystkim się dobrze dzieje. Była tam przez kilka lat wielka wojna, która się dopiero przed dwoma laty skończyła Po tej wojnie błąkało się po kraju wielu inwalidów do pracy niezdatnych, bo bez rąk, albo nóg. Ale znaleźli się zaraz ludzie przemyślni, którzy wzięli ich w opiekę, i poprzyprawiali im, oczywiście nie za darmo sztuczne ręce i nogi. Te sztuczne członki amerykańskie a osobliwie nogi, wyglądają całkiem jak prawdziwe, tak że poznać nie można kto ma swoje własne, a kto przyprawione. W jednem mieście dwóch inwalidów, mających nogi od kolan przyprawione założyło się, który dłużej i prędzej potrafi biegnąć. Wybrali sobie czas i miejsce, i dalejże pędzić gościńcem, ten prędko, a ten jeszcze prędzej. Mnóstwo ludzi przypatrywało się temu i wierzyć nie chcieli aby w tem nie było jakiego oszukaństwa, aż jeden z tych inwalidów usiadł na trawie, poodpinał sobie nogi i przekonał niedowiarków. — W tej tam Ameryce nie uświadczy już nigdzie ani jednego kaleki wyciągającego rękę po jałmużnę. Inwalida na stucznych nogach pracuje tak dobrze jak ten co ma własne nogi, a skoro może pracować i zarabiać, nie potrzebuje żebrać.

Robaczek robiący żelazo. Wszystkim wiadomo że jedwab z którego robią wstążki, przędą gąsienice, ale teraz odkrył jeden uczony Szwed, że są takie owady, co robią żelazo. Są to robaczki takie maleńkie że ledwo je okiem dojrzeć można, żyją w głębi lasów w kraju szwedzkim, gromadami tak jak mrówki, tylko że ich gromady są bardzo, bardzo wielkie. Owóż te robaczki snują z siebie cieniuteńkie nitki żelazne, i oprzędzają się niemi, jak jedwabniki jedwabiem. Pokłady tego żelaza, przez robaczki zrobionego, znaleść można często po lasach w kraju szwedzkim; mają nieraz po sto łokci długości, a ćwierć łokcia i więcej grubości.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. **Nr. 4.**

1. sierpnia **1867.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Franciszek Seraficki.

Jest siedmiu świętych Franciszków, a wszyscy wsławili się wielkiemi cnotami za życia a cudami po śmierci. Pierwszym świętym tego imienia był święty Franciszek z Asyżu albo Seraficki, co jedno jest, bo i tak i tak zowią tego świętego.

Święty Franciszek z Asyżu był synem bogatego kupca w temże mieście, w kraju włoskim, otrzymał na chrzcie św. imię Jan i dopiero później nazwany został Franciszkiem, jedynie dlatego, że był bardzo biegłym w języku francuskim.

Święty ten w młodości swojej prowadził życie bardzo lekkomyślne ku wielkiemu zmartwieniu swoich rodziców i całej rodziny, a żadne napomnienia poprawić go nie mogły. Przestawał ze złymi towarzyszami i dopuszczał się różnych zdrożności choć nawet był już w tym wieku, w którym sam rozum pokazuje człowiekowi co jest złe, a co dobre. Aż oto nawiedził go Pan Bóg ciężką chorobą, która prawie cały rok trwała. Przyszedłszy szczęśliwie do zdrowia, zmienił się nagle nie do poznania. Już nietylko żadnych nie popełniał lekkomyślności ale owszem stał się dziwnie pobożnym i cnotliwym. Gardził świa-

tem i jego rozkoszami, żył w samotności trawiąc czas na rozpamiętywaniu nauk i męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, odwiedzał i doglądał chorych, pocieszał więźniów. Nakoniec powróciwszy raz z kościoła, gdzie się wielce zbudował kazaniem pewnego pobożnego księdza, postanowił prowadzić odtąd życie pustelnicze. Jakoż rozdał zaraz wszystko co miał, ubogim, a przyodział szatę z grubego sukna z kapturem, przepasał się sznurem i osiadł w maleńkiej chatce w lesie, niedaleko rodzinnego miasta. Odtąd żył jak pustelnik i utrzymywał się tylko z jałmużny którą go ludzie pobożni wspierali.

Niedługo zwiedzieli się wszyscy o świątobliwem życiu Franciszka i znalazło się kilku księży, którzy go chcieli naśladować. Ci poszli do niego i za jego pozwoleniem zamieszkali z nim, a on był im wzorem i przykładem. Wszyscy żyli pobożnie, wielbiąc Boga i pracując nad zbawieniem duszy, a ponieważ wyrzekli się wszystkiego co niegdyś posiadali na świecie, żyli tylko z jałmużny.

Z każdym rokiem coraz więcej towarzyszów przybywało świętemu Franciszkowi. Gdy ich już było dziesięciu, święty Franciszek ułożył na piśmie regułę zakonną, to jest przepis jak się mają zachowywać i żyć, aby się mieli czego trzymać, gdy jego Pan Bóg do siebie powoła, a zalecił im w tej regule największe ubóstwo i zupełne wyrzeczenie się wszelkiej własności, tak aby żaden nic nie posiadał, coby się jego własnem nazywać mogło. Napisawszy regułę, udał się do Rzymu do ojca św. papieża Innocentego i prosił aby ją ojciec św. zatwierdził, ale papież nie znając jeszcze św. Franciszka i nie ufając mu, odmówił jego prośbie. Dopiero później przychylił się do życzeń św. Franciszka i zatwierdził regułę, ale i to nie pisemnie, lecz ustnie co nie było dostatecznem.

Ale św. Franciszek uradowany że ojciec św. przynajmniej nie potępił jego reguły, powróciwszy do domu, rozesłał zaraz braci zakonnych do różnych miast włoskich, aby tam zakładali klasztory i sam ich kilka założył, a potem chciał popłynąć do Afryki, ale w drodze zachorował.

Odtąd zakon przez niego fundowany wzrastał coraz bardziej i coraz więcej zyskiwał przyjaciół i zwolenników, co widząc papież Honoryusz zatwierdził go pisemnie.

Święty Franciszek stawał się coraz świątobliwszym. Na dwa lata przed śmiercią objawił mu się Pan Jezus. Raz widział także w zachwyceniu anioła Serafina i odtąd nazywano go Franciszkiem Serafickim. Umarł dnia 4. października 1226 roku w pustelni pod Assyżem, a w dwa lata później policzony został w poczet świętych przez papieża Grzegorza dziewiątego, temu lat sześćset pięćdziesiąt.

Od imienia św. Franciszka, nazwano jego braci zakonnych Franciszkanami; od nich pochodzą Bernardyni, Reformaci i Kapucyni.

Litania do Matki Boskiej.

Święta Maryo! Matko Chrystusowa!
Panno przeczysta! łaskawa i wierna!
Usłysz rzewliwej prośby naszej słowa!
Matko najmilsza bądź nam miłosierna!

Gdy w złej przygodzie rady nam potrzeba,
A nie poradzi żadna dusza żywa,
Radę skuteczną racz nam zesłać z nieba,
O Ty stolico mądrości prawdziwa!

Gdy bez sił padniem, znużeni, złamani,
Ciężką przez życia pustynię podróżą,
Osłoń litośnie cierń każdy co rani!
Cudownem kwieciem, o duchowna różo.

Gdy sroga niemoc rzuci nas na łoże,
Gdy jękiem każde naszych piersi tchnienie,
Gdy nic już ulgi przynieść nam nie może,
Ty nas podźwignij, chorych uzdrowienie!

Gdy ciągną tłumy pokus niezliczone,
Gdy w nich nam wieczna zguba już gotowa,
Ty daj bezpieczną przed niemi ochronę,
Ty bądź nam twierdzą, wieżo Dawidowa

Gdy w niebezpieczeństw bezdennej powodzi
Łódź naszą miota burza nieustanna,
Gdy przystań w mroku a słońce nie wschodzi,
Oświeć nam drogę, o gwiazdo zaranna!

Gdy sprawiedliwym gniewem Bóg zapłonie
I strasznej kary zbliży się godzina,
O Matko nasza, spiesz nam ku obronie!
Ratuj nas, grzesznych ucieczko jedyna!

Kiedy ze szczęścia ziemskiego wyzuci,
Stracim pociechę i otuchę wszelką,
Niechaj przez Ciebie radość nam się wróci,
Ty utrapionych bądź pocieszycielką!

Wśród wszelkich życia naszego kolei,
W trwodze, zwątpieniu, smutku i chorobie,
Bądź źródłem męztwa, wiary i nadziei,
Obronicielką ufających w Tobie.

Adam Pług.

O Szymonie co źle syna wychował.

Wieczór był ciepły i pogodny. Lubił takie wieczory ksiądz Franciszek, proboszcz w Żarnowie, toż jak się tylko słońce spuszczać zaczęło, wyszedł na przechadzkę. Zazwyczaj tak on te przechadzki odbywał, że najprzód szedł na cmentarz gdzie spoczywała jego matka, tam na jej grobie pomodlił się, podumał, a potem puszczał się gościńcem ku wsi i doszedłszy do której z chat przydrożnych, odpoczywał tam chwilę na ławeczce przed domem, albo i na murawie; wypocząwszy, wracał tą samą drogą na plebanię. Gospodarze żarnowscy szanowali bardzo księdza Franciszka i każden miał sobie za wielkie szczęście, gdy przed jego domem odpoczął — a dzieci to na kilka godzin przed wieczorem myły ławeczki i przygotowywały dla Jegomości.

I dziś także, podług swego zwyczaju, ksiądz Franciszek idąc na przechadzkę, wstąpił na cmentarz, ukląkł i mówił pobożnie Anioł pański, gdy oto usłyszał po za sobą płacz wielki i narzekanie. Skończywszy modlitwę, obejrzał się i spostrzegł klęczącego na mogile siwiuteńkiego staruszka, wynędzniałego

i bardzo licho odzianego. Smutno to patrzeć na łzy ludzkie, ale najsmutniej, gdy je wylewa starzec pochylony wiekiem. Toż i ksiądz proboszcz tknięty litością, pośpieszył zaraz ku płaczącemu staruszkowi, aby go zapytać czego tak zawodzi i pocieszyć po chrześcijańsku — ale przypatrzywszy się mu lepiej, cofnął się nagle z wielkiem zdziwieniem i wykrzyknął:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!.. Czy to wy Szymonie, czy mię oczy zwodzą?

Staruszek się podniósł, skłonił się księdzu.

— Ja to jestem, proszę Jegomości — rzekł ocierając oczy z łez — jeszcze mię nosi święta ziemia, choć wolałbym żeby mię już przykryła i co dzień o to proszę Pana Boga.

— Cóż się z wami dzieje? gdzieście bywali przez te lata ża ani słychu o was nie było? Oj, bieda koło was, jak widzę, i coś podstarzeliście się okropnie...

— Oj bieda Jegomość, wielka bieda! Bóg mię strasznie pokarał... Wiedzą Jegomość com tu stracił, boć sami trzy pogrzeby sprawili... Czegoż tu miałem siedzieć? Poszedłem w świat, szukać mojego Walka jedynego i włóczę się za nim z kąta w kąt, a znaleść go nie mogę.

— To jeszcze Walek.. jeszcze Walek! Oj Szymonie Szymonie, a co ja zawsze mówiłem?

— Jegomość, wybaczcie; Jegomość wiedzą swoje, a ja swoje; to było moje najmilsze dziecko.. onby mię dziś pocieszył starego, onby mi nagrodził za to wszystko com przecierpiał.

— Oj nie... Szymonie, on by was do grobu wpędził. Proście raczej Boga, aby wam nie dał nigdy z nim się spotkać. Chybabyście chcieli wymodlić u niego żeby się poprawił, ale to już za późno! trzeba było dawniej, dawniej... póki był dzieckiem. Pamiętacie com się z nim napracował? a na co się to zdało?

— Jegomość, nie rozdzierajcie mi serca... on zawinił, to prawda, ale nie tyle co ludzie mówili — a jeżeli jeszcze żyje, to pewnie nie zapomniał com mu świadczył, jakem go kochał, com poświęcił dla niego.

— Tak, poświęciliście dla niego na hulankę całe gospodarstwo, poświęciliście żonę a jego matkę, co z nędzy i zgryzoty

umarła i dwie córki sieroty, co wkrótce poszły za matką, ale mój Szymonie, takie poświęcenie to przekleństwa warte a nie wdzięczności.

— Święte słowa Jegomości; ja to wszystko czuję i wiem żem go źle wychował; zamiast powściągać pobudzałem go do grzechu, zamiast dobry przykład dawać, dawałem najgorszy. Rozhulał się, rozpił, mnie to cieszyło, że on taki chwat! dogadzałem mu... ciągnąłem się z ostatniego, byle jemu nie zbywało na niczem, aż w końcu żyd zabrał grunt za długi, jeno chałupa została i gołe ściany... żona się rozchorowała, nie było ratunku; taj cóż miał robić mój Walek, jeżeli nie pójść w świat?

— Oj był ratunek jeszcze — zawołał żywo ksiądz proboszcz — trzeba było opuścić złą drogę, a wezwać Boga na pomoc i wziąść się do pracy; ale Walek jak zobaczył że grunt zabierają i rodzice będą musieli iść o żebranym chlebie, nie czekał, jeno drapnął co prędzej.

— Tak, tak, źle zrobił; wiem ja o tem, toż przed chwilą kiedym się tu przywlókł na grób żony i dzieci a to wszystko rozważył, ledwo mi serce z żalu nie pękło... ale przecie tak sobie jeszcze myślę, że gdybym Walka odszukał...

— Daj wam Boże, ale mnie się zdaje że jeszcze pożałujecie tego spotkania.

— Jegomość tak mówią — odezwie się Szymon — jakby coś o nim wiedzieli. Dla Boga Jegomość, jeżeli coś wiecie, to się zmiłujcie a powiedzcie. Ja już nad grobem stoję, pójdę niedługo na sąd boski... a już niczego nie pragnę i nie chcę innej pociechy, jeno abym go choć raz jeszcze przed śmiercią obaczył.

— Kilka miesięcy temu — rzecze ksiądz, — jak czytałem w gazecie że był posądzony o morderstwo.

— To fałsz! — krzyknie Szymon — Jegomość, to straszny fałsz! a kto go posądził, będzie za to ciężko odpowiadał przed Bogiem.

— Być może, bardzo być może; nieraz się to zdarza że niewinnego posądzą fałszywie, ale Bóg ma w opiece takich biedaków i żadnemu włos z głowy nie spadnie.

— A gdzieby to się popytać o niego? gdzie on siedzi?

— Wówczas siedział w Rzeszowie.

— Jegomość, niech was Bóg stokrotnie nagrodzi, ja zaraz dziś pójdę do Rzeszowa.

— Niech was Bóg prowadzi — rzekł ksiądz; dobył z kieszeni kilka groszy i wetknął staremu w rękę.

Rozeszli się. Szymon skłonił się księdzu i poszedł w górę, a ksiądz na dół ku wiosce.

Biedny starzec rozmyślając o synu szedł drogą smutny. Odwrócił oczy od miejsca gdzie stała jego chata, dziś własność żydowska, odwracał się od pobliskiej karczmy. Z karczmy zalatywał go gwar, zdawało się mu że poznaje głosy gospodarzy żarnowskich, dawnych swoich towarzyszy i sąsiadów. Rzucił okiem w tę stronę. Stały tam wozy napełnione jakiemiś ludźmi w szarych sukmanach i żołnierzami, a wójt kręcił się koło wozów, bo właśnie przystawił podwody. Szymonowi aż pociemniało w oczach, toż i jego Walek siedzi na wozie między drugimi. Wzrok ma dziki, zmieniony, twarz jego ogorzała, ale rysy te same. Szymon osłupiał, jakby go przykuł do miejsca, kroku postąpić nie mógł.

Ludzie co stali przed karczmą, poznali także Walka i przypatrywali się mu, a nie było tam ani jednego, któregoby oko, na widok dawnego hulaki siedzącego na wozie pomiędzy żołnierzami, nie zaszło łzą. A jedna z kobiet to tak boleśnie zawodziła płaczem że aż i Walek się obejrzał i utkwił w nią dziki swój wzrok. Snać nie mogła już dłużej znieść tego widoku, bo się zabrała i poszła — a gdy przechodziła koło wozu Walek nachylił się ku niej i szepnął z cicha:

— Chrzestna matko, ani słowa nie rzekniecie do mnie?

Ona mu podała bochenek chleba i kilka groszy, ale nie rzekła ani słowa i odeszła zawodząc gorzko.

Wówczas i Szymon nie mógł już dłużej wytrzymać, podbiegł do wozu i wyciągając ramiona zawołał:

— Walku! Walku! przecież cię znalazłem!

Walek popatrzył na starca, zasępił czoło.

— Walku, dziecię moje jedyne, ty nie poznajesz starego ojca?

Ale Walek nie okazał uciechy na widok ojca; starzec się zasmucił i spomniał sobie słowa księdza proboszcza.

— Znaleźliście mię — rzekł w końcu do ojca — może po to aby mnie kusić znowu do hulanki, do kieliszka.,. może wam się zdaje żeście mię jeszcze mało nauczyli jak się świata używa!

Zadrzał Szymon usłyszawszy te słowa, a Wålek mówił dalej:

— Ojcze, ojcze! patrz jak mnie wychowałeś! twoja to sprawa! Pamiętasz jak mię wiodłeś do karczmy kiedym był jeszcze dzieckiem, jak mię uczyłeś pić wódkę i skakać przy muzyce? pamiętasz jak biłeś matkę, gdy ci to wytykała, lub mię napędzała do pracy? Pamiętasz to wszystko — O! niech ci to Bóg przebaczy! niech ci tego nie pamięta w ostatniej godzinie życia!

— Synu! — jęknie Szymon — jam wszystko poświęcił dla ciebie, jam o siebie nie dbał żebyś ty miał dosyć — dziś żebrakiem jestem przez ciebie, a ty mi jeszcze wyrzucasz?

— Ty ojcze jesteś żebrakiem — wykrzyknął Walek — a ja...

Podniósł się groźnie na wozie, wyciągnął skute ręce i zadzwonił ojcu kajdanami nad uszyma.

— A ja mordercą!

Starzec się zatoczył, jęknął boleśnie, krew mu do głowy nabiegła, oczy słupem stanęły. Chciał coś mówić, ale język bełkotał tylko niewyraźne słowa. Obecni patrzyli nań z litością, a jednak każden czuł że Walek miał prawo narzekać na ojca. Nakoniec Szymon spojrzawszy jeszcze raz z wielką boleścią na syna, postąpił kilka kroków jakby chciał odejść, ale nagle drgnął na całem ciele i upadł.

Poskoczyli ludzie aby go ratować a i w Walku jakoś nagle odezwało się wrodzone uczucie, żołnierze nie bronili, wyskoczył więc z wozu i z wielkim płaczem rzucił się na ojca, którego serce już przestawało bić.

— Tatusiu, tatusiu — wołał Walek — popatrzcie na mnie jeszcze raz, przebaczcie, pobłogosławcie... mnie cały świat złorzeczy, cały świat odwraca się odemnie, szydzi i urąga... o mój tatusiu! przebaczcie... przebaczcie! Ja wiem że wy mi dogadzali ze zbytniej miłości... już wszystko przepadło, już się nie wróci, mnie tracić będą niedługo, niechże mi sumienie nie wyrzuca, żem i was o śmierć przyprawił.

Żołnierze otoczyli Walka i stali z wymierzonemi w niego bagnetami, bo się bali aby w tłumie nie umknął, a nie mieli serca oderwać go od umierającego ojca.

Ale to wszystko nie długo trwało. Starzec raz jeszcze otworzył oczy, zrobił ręką krzyż w powietrzu na znak przebaczenia i skonał.

Ludzie pozdejmowali kapelusze, pouklękali i mówili modlitwę. I Walek ukląkł także ale się nie modlił jeno jęczał głosem serce rozdzierającym.

— Nie umiem pacierza... nie umiem się modlić!

Aż litość brała na taki widok.

Właśnie w tej chwili ksiądz proboszcz wracał z przechadzki. Ujrzawszy zbiegowisko przed karczmą, zatrzymał się i wkrótce dowiedział się o wszystkiem Pośpieszył więc z pomocą, ale tak duchowna jak i wszelka ludzka pomoc była już spóźniona. Pomimo tego proboszcz zakręcił się koło umarłego, wydawał jakieś rozkazy a żołnierze tymczasem odciągli Walka, wsadzili go na wóz i ruszyli.

Ksiądz proboszcz zabawił chwilę przed karczmą, a gdy już wracał ku plebanji i przechodził koło cmentarza, postrzegł tam te same wozy ze złoczyńcami, które niedawno widział przed karczmą i poznał po głosie Walka, błagającego żołnierzy aby mu pozwolili odwiedzić grób matki. Żołnierze nie chcieli pozwolić, bo się bali zapóźnić, a już mrok był szary.

Ksiądz zbliżył się do wojaków, wetknął jednemu i drugiemu po kilka groszy i przemówił im do serca że nakoniec zmiłowali się nad biednym więźniem.

A Walek ujrzawszy księdza, rzucił się mu do nóg, rył ziemię czołem i jęczał. Podniósł go ksiądz, zapłakał także, a położywszy ręce na jego głowie, rzekł wzruszonym głosem:

— Matka już z grobu nie wstanie, ojciec się nie zbudzi, młode lata nie wrócą, co się stało już się nie odstanie; ale Bóg widzi twoją skruchę, słyszy twój płacz, ufaj mu, bo nieprzebrane jest miłosierdzie Jego.

Stanisław Krakowczyk.

Król Łokietek bije Krzyżaków pod Płowcami.

Małego był wzrostu król polski Władysław, tak że aż go przez to Łokietkiem nazwano, ale za to był wielkim z rozumu i odwagi. Dzielny wojak, wojował prawie do ostatniej chwili życia, a najwięcej z Krzyżakami, co to byli niby zakonnicy, a przecie żołnierze, niby świątobliwi, a przecie gorsi od największych złoczyńców. Polacy wpuścili ich do swego kraju z dobrego serca, dając im kawał ziemi nad morzem aby tam mieli przytułek, a oni zamiast się odwdzięczyć za gościnność, radzi byli całą Polskę zagarnąć pod swoją władzę, i co ich trochę król Łokietek poskromił, to oni znowu podnosili głowę.

Król będąc już w wieku podeszłym, bo miał siedmdziesiąt lat, pragnął wypoczynku i spokoju, ale się go nie mógł doczekać. Wichrzyli nieprzyjaciele, wichrzyli też i swoi, a najwięcej jeden wojewoda, nazwiskiem Wincenty z Szamotuł. Padło na niego podejrzenie że zdradza, że się układa z Krzyżakami o rozebranie Polski; król się o to bardzo rozżalił, Wincentemu urząd odebrał, on zaś czemprędzej uszedł do Krzyżaków i począł ich namawiać i podburzać żeby na Polskę napadli.

Im w to graj! Nie trzeba ich było długo namawiać. Zaraz się do wojny przysposobili, a Wincentemu oddali dowództwo nad jednym oddziałem. Jak wpadli do Polski, to przez dwa miesiące ogniem i mieczem pustoszyli różne wsie i miasta, nie przepuszczając kościołom i klasztorom, chociaż sami byli niby zakonnicy. Król Łokietek nie miał tyle wojska żeby mógł wyjść naprzeciwko nieprzyjaciela i zgnieść go jednym zamachem, ale podjazdami urywał go ciągle po trochu i dobrze dał się mu we znaki. Nakoniec stanął Krzyżakom oko w oko pod Płowcami.

Aż w tem ozwało się sumienie w Wincentym; widząc ile złego Polsce, ojczyźnie swojej wyrządził, zapłakał gorzko nad swą własną sprawą, i postanowił wynagrodzić to złe o ile się da, i pomódz Łokietkowi do zwycięztwa nad Krzyżakami. Pewnej nocy więc wymknął się przebrany i przybył tajemnie do polskiego obozu. Straż go przytrzymała, kazał się czemprędzej prowadzić do królewskiego namiotu. Nikt go nie po-

znał. Króla zaraz zbudzono i powiedziano mu, że jakiś człowiek przybył do niego w pilnej sprawie. Zerwał się więc zaraz i począł się ubierać, aż tu wchodzi wojewoda Wincenty i pada królowi do nóg. Król był tak na niego zagniewany, że ani gadać nie chciał, ale jak zobaczył jego żal szczery, dał się przebłagać. Wincenty zachęcał króla aby zaraz bitwę rozpoczął, bo krzyżactwo się popiło, to nietrudno będzie dać mu radę, a on dopomoże.

Król kazał cichaczem zbudzić wojsko i sobie podać konia a Wincenty tymczasem powrócił do krzyżackiego obozu.

Wojsko się ruszyło, król naprzód; Krzyżacy jeszcze spali w najlepsze, kiedy im zabrzmiały nad uszami krzyki że Polacy zbliżają się do obozu. Zerwali sie czemprędzej, a ponieważ gęsta mgła nie pozwalała Polakom zaraz uderzyć, mieli czas uszykować się do boju. Wszczęła się bitwa zażarta, Krzyżacy choć wpół senni bronili się dzielnie. Król Łokietek walczył ciągle na przedzie, i choć taki siwy staruszek, siekł mieczem lepiej jak nie jeden młody, i jak błyskawica przelatywał z miejsca na miejsce zagrzewając swoich wojaków.

Ale Krzyżacy ciągle stali jak mur i nie można im było dać rady. Dowodził nimi niejaki Dytryk z Altenburga, także dzielny żołnierz, ten zobaczywszy że źle, bronił się do upadłego. Wincentego nie było widać z pomocą, król już myślał że go znowu zdradził. Aż oto zjawia się niespodziewanie po przeciwnej stronie oddział rycerstwa i uderza z tyłu na Krzyżaków.

Zaraz pomiędzy nimi powstało straszne zamieszanie, parci z dwóch stron nie mogli się długo bronić: kto mógł ratował się ucieczką, drudzy polegli lub się dostali do niewoli.

Tak nakoniec Polacy odnieśli zwycięztwo i Wincenty naprawił trochę tę krzywdę, którą ojczyźnie wyrządził przez swoją zdradę, ale pomimo tego, jego dawni znajomi, sąsiedzi, przyjaciele, ujrzawszy go po bitwie w polskim obozie, odwracali się od niego i usuwali ręce gdy ich chciał przywitać, a tylko król dobrotliwy przebaczył mu wszystko, owszem dziękował mu że się tak gracko spisał i obiecał go przywrócić do dawnych urzędów.

Bitwa pod Płowcami trwała do ciemnej nocy. Nazajutrz król Łokietek objeżdżał pobojowisko zasłane tysiącami trupów nieprzyjacielskich i czemprędzej grzebać je kazał. Pomiędzy poległymi znaleziono też Dytryka z Altenburga i wielu innych znaczniejszych Krzyżaków.

Król Łokietek dotrzymał słowa Wincentemu z Szamotuł i w dowód że już nie ma do niego żadnego żalu, przywrócił go do wszystkich urzędów, które był przez zdradę utracił. On też prowadził odtąd żywot poczciwy i wszelkiemi siłami starał się zagoić biednemu ludowi zadane rany, był dobroczyńcą ubogich i pomocy potrzebujących. Długo, długo jeszcze gryzło go sumienie i wstyd mu było pokazać się między ludźmi, toż siedział samotny w swoim zamku, i chyba kiedy niekiedy do lasu na łowy wyjeżdżał. Ale z czasem dawni przyjaciele przestali odwracać się od niego, owszem nawiedzali go w zamku i do siebie zapraszali. Wówczas zdało się Wincentemu że już wszystko zapomniano, że już i Bóg i ludzie przebaczyli dawne grzechy; dał się więc namówić, że z zamku swego, gdzie dotąd samotny siedział, wyjechał raz na wielki zjazd. Na tym zjeździe było wielu jego znajomych, ale jeszcze więcej takich, którzy go tylko jako zdrajcę znali. Ci krzywem okiem patrzyli na niego, daremnie ich mitygowano. Nieszczęście chciało że Wincenty odezwał się bez myśli z jakiemś słowem które się im nie podobało; zaraz rzucili się na niego i choć drudzy bronili, rozsiekali go w sztuki. Taka to zawsze zdrajcy zapłata.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

O zimnicy.

Najpospolitszą chorobą jest zimnica. Choroba ta bardzo męczy i jak się raz w człowieku zagnieździ, to jeżeli się jej zaraz nie zaradzi, może się ciągnąć przez cały rok, a nawet i dłużej. Przez cały ten czas tak wyniszczy chorego, że na nim zostaną skóra i kości, cała twarz zżółknie, tylko brzuch wzrośnie, a po obu bokach ciągle siedzi ból, bo z prawej strony twardnieje wątroba, a z lewej narośnie śledziona i tak

bolą, że nie dadzą ani spać uczciwie, ani chodzić, ani siedzieć. Oj! biedny ten człowiek którego zmogła ta choroba.

Zimnica nie wybiera: czy dzieci, czy starcy, czy mężczyzni, czy niewiasty, czy bogaci, czy ubodzy, wszystko dla niej jedno. Najczęściej nawiedza ona ludzi na wiosnę, zaraz po zimie i w jesieni, w zimie zaś i w upały mało gdzie o niej słychać. Przyczyna tego jest taka:

Jak u nas, tak i na całym świecie są góry, doliny, lasy, łąki, błota, stawy, rzeki itd. Wszędzie jest powietrze, bo bez niego żadne boskie stworzenie żyćby nie mogło. Póty człowiek jest zdrów, póki może oddechać zdrowem powietrzem, ale jeżeli powietrze się zepsuje, to tak dobrze człowiek jak i wszelkie zwierzęta chorują i wymierają, bo wciągając w siebie złe i nieczyste powietrze, zatruwamy w sobie krew i ztąd powstają rozmaite choroby. Otóż zimnica jest także chorobą z otrucia krwi zatrutem powietrzem. Powietrze zatruwa się wyziewami które są bardzo rozmaite, ale te co zatruwają krew i zaraz sprowadzają choroby, są dwojakie: jedne tworzą się ze zgniłych roślin, drugie ze zgniłych ciał wszystkich zwierząt. A że najwięcej roślin gnije w wodzie i błotach, a zwierzęta zaś wszędzie zdechają i gniją, złe więc wyziewy znajdować się mogą wszędzie gdzie są wody stojące, błota, oparzeliska, i gdzie żyją ludzie i zwierzęta.

Zaraz po zimie, kiedy słonko wiośniane wyżej już świeci ziemi a zatem i lepiej ją ogrzewa, wtedy rośliny gnijące w wodach i błotach przez całą zimę, poczynają od ciepła słonecznego zamieniać się w złą parę i para ta wsiąka w powietrze, a kto takiego zatrutego powietrza nałyka się, ten dostaje tej choroby która się nazywa zimnicą. Często też zdala od ludzi, i oparzelisk, bagien i innych miejsc, gdzie są płytkie wody stojące, wiatr sprowadza takie złe powietrze na ludzi. Toż samo co na wiosnę, dzieje się i w jesieni, w lecie zaś podczas wielkich upałów i w zimie gdy jest mróźna to tego wszystkiego nie ma, i dlatego nie bywa u nas zimnicy.

Skoro kto zaraził się złem powietrzem, co krew truje i sprowadza zimnicę, to ona najczęściej nie zaraz się pojawia,

bo potrzebuje czasu żeby się w całym rozsiadła człowieku a nawet w samej zakręciła głowie, a tam jest mózg, co rządzi całą istotą ludzką jak gospodarz całą swoją chudobą. Więc zrazu jakoś człowiek niedomaga, to mu jest źle, to znowu dobrze, to go mgli czasami, że nawet womituje, a samą gorycz i słoność; potem coś go przechodzi po kościach, że sam nie wie co mu jest, aż też zaczyna go trząść, że aż kłapie zębami, a tak mu zimno, że radby wleść w piec gorący, ale napróżno, bo nic nie ogrzeje, a zaraz też okropny ból włazi w krzyże, do kolan, że człek sobie od tego wszystkiego rady dać nie może. Leży też chory i skurczony jak niebożątko, z kolanami pod brodą, tuląc się do poduszki, do pierzyny, a nic nie mówiąc, tylko trzęsąc się i jęcząc. Tak mu jest źle bez mała całą godzinę, albo i więcej, ale potem dzieje się jeszcze gorzej, bo zaraz następuje druga przemiana, z zimna na gorąco, że znowu trudno wytrzymać; wtedy chory wszystko czem był odziany zrzuca z siebie i woła pić, byle czego zimnego. Leży biedak rozpalony jak węgiel, w ustach ma sucho, głowa pali, całe ciało po tak wielkiem zimnie co przeminęło, jest osłabłe i zbolałe, człowiek dyszy w największej gorączce, której nie ochłodzi żadna, choćby najzimniejsza woda. W takim stanie męczą się ludzie godzinę, a czasami dwie i jeszcze dłużej. Dopiero trzecia następuje przemiana a ta już najgorsza, ale za to ostatnia; z wielkiego gorąca następują poty, ale to takie, że choremu zdaje się że albo przemieni się w wodę, albo że w niej cały leży. Wtedy cierpi jak na madejowem łożu, nic nie żąda, tylko w duchu prosi Boga, żeby się nie rozpłynął, żeby to złe zaraz się skończyło, i Bóg też daje, że w godzinę lub dłużej osycha sam przez się i naraz zdrów się zdaje jak ryba. Gdyby się już na tem skończyć miało toby bardzo dobrze było, ale gdzie tam, ta choroba tak jest niegodziwa że powraca nazajutrz, albo na trzeci, czwarty dzień, i to prawie o tej samej godzinie, jakby kto ją zamówił, albo na nią czekał. Ci co dobrze znają się na tej chorobie, wiedzą że zimnica co wraca później jak drugiego dnia, jest najgorsza.

Dzięki Opatrzności a chwała rozumowi ludzkiemu że przeciwko tej strasznej chorobie jest jakie tylko może być najdo-

skonalsze lekarstwo, ale tego lekarstwa samemu sobie zrobić nie można, jeno trzeba iść najprzód do doktora po kartkę, a z kartką do apteki gdzie zrobią lekarstwo za niewielką zapłatę. Ale nie trzeba słuchać bab wiejskich co radzą ni to ni owo, nie trzeba łać w siebie tych paskudztw, które niby mają zaraz pomódz, a nigdy nie pomagają, jeno koniecznie do doktora pójść potrzeba. Chwała Bogu mamy doktorów w każdem miasteczku, a to, co się zapłaci doktorowi i w aptece za lekarstwo, nigdy tyle nie znaczy, co strata czasu i zarobku kiedy się człowiek spuszcza tylko na Opatrzność, albo gdy więcej wierzy głupiej babie, jak uczonemu człowiekowi. Prawda że są choroby na które i najmądrzejszy doktor nie pomoże, ale z zimnicą to co innego.

Powiadają też ludzie że kiedy się zjawi zimnica, to jej zaraz nie trzeba gubić, ale dopiero po kilku dniach. Niech nikt takiej nierozumnej gadaninie nie wierzy i jak tylko dostanie zimnicy niech zaraz idzie do doktora.

Kiedy kogo zimnica trzęsie, trzeba mu prostemi sposobami pomagać, odziewać go lekkiemi a ciepłemi przykryciami, poić dobrze ciepłemi ziółkami z bzowego i lipowego kwiatu; a jak już dostanie gorączki, można mu dawać zimną wodę w małej ilości. Chory powinien być lekko ale dobrze okryty, żeby się w tej przemianie z zimna na gorąco nie zaziębił. Jeżeli dokucza silny ból głowy, to bardzo pomagają zimne okładania z wody i octu. W czasie zaś wolnym od zimnicy, trzeba chorego dobrze żywić, nadewszystko mięsem, trzeba baczyć na to, aby oddechał czystem, zdrowem powietrzem, żeby miał dobrą wodę do picia i żeby się zbytków żadnych w jedzeniu i piciu nie dopuszczał.

A skoro zimnice nie z czego innego powstają jeno z niezdrowych wyziewów, starszyzna gromadzka powinna nad tem czuwać, aby wszędzie gdzie są wody stojące lub stawy zarosłe, i bagniska, miejsca takie zostały zawsze na początku wiosny i z końcem lata osuszone i wyczyszczone, jakoteż aby ludzie zdrowi nie pijali wody ze stawów, z kałuż, jeno ze źródeł i studni.

RÓŻNOŚCI.

Powódź. Rok teraźniejszy na długo pamiętny ludziom będzie z tej okropnej powodzi jaką mieliśmy w przeszłym miesiącu w tej naszej Galicji, albowiem prawie wszystkie większe rzeki wezbrały i wylały straszliwie jako to: Dunajec, Biała, Wisłoka, Wisłok, Wiar, San. Wsie i miasteczka zalane, drogi poniszczone, domy poobalane oto obraz tej strasznej powodzi. Sama kolej żelazna tak została popsutą że trzeba będzie pół miliona reńskich żeby ją naprawić; ileż, ileż by to potrzeba, żeby wynagrodzić te wszystkie szkody i straty jakie ponieśli mieszkańcy wsi przez tę okropną powódź!

Wczesne żęcie zboża. Jak doświadczenie poucza, wczesne żęcie zboża wielce jest korzystnem, a szczególniej żyta, które na dwa tygodnie przed stwardnieniem zbierać można. Wcześnie zżęte zboże i rozłożone na pomiotach lepszą wydaje mąkę niż przejrzałe na pniu; nadto słoma jest pożywniejsza i zdrowsza niż uschnięta na pniu.

Jakto prędko idzie robota w fabrykach. Właściciel pewnej fabryki sukna w Ameryce założył się ze swoim przyjacielem że z wełny dwóch owiec, o piątej godzinie rano ostrzyżonych, będzie miał o dziewiątej godzinie wieczór uszyty surdut. O czwartej godzinie po południu wełna była już uprzędzoną, utkaną, wypłukaną, sukno uwałkowane, postrzyżone, ufarbowane, z prasy wyjęte i krawcowi oddane. W niespełna pół godziny po szóstej surdut był gotowy, a ten co wygrał zakład, ubrał się w niego i poszedł pokazać się przyjacielowi. Obydwie owce zaraz upieczono na wieczerzę dla robotników fabryki, a za to że się tak prędko z robotą uwinęli dostał każdy garniec dobrego piwa.

Ściółka leśna. Wielkiej zbrodni na lesie dopuszczają się leśniczy, zabierając ściółkę z lasu, lub pozwalając drugim takową zabierać, a jednak widzimy w wielu miejscach to nadużycie. Tu biorą ściółkę dlatego, bo taki zwyczaj jest od niepamiętnych czasów, tam znowu dlatego bo na to prawa dawne pozwalają. Za dawnych czasów gdy lasów było znacznie więcej jak dziś, i nikt o nie nie dbał, pozwalano chłopkom grabić ściółkę, ale dziś kiedy coraz więcej lasów z ziemi naszej niknie, grabienie ściółki leśnej powinno być zakazane. Jeżeli chcecie wiedzieć dlaczego, to wam powiem że ściółka leśna ochrania korzenie drzew, utrzymuje w ziemi wilgoć, maści grunt i poprawia go, i wtedy tylko drzewa rosną bujnie, gdy mają ściółkę obfitą. Oprócz tego ściółka użycza dziczyźnie, sarnom i zającom przyjemnego legowiska i pożywienia, a skoro się ściółkę z lasów zabierze, to i zwierzęta je opuszczają. Ale mniejsza już o zwierzęta. Gorzej, że jak lasów nie stanie to nie będzie z czego chaty postawić. Trzeba więc lasy ochraniać i nie zabierać z nich ściółki którą sobie drzewiny posiały wcale nie na to aby im ją człowiek zabierał.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. **Nr. 5.**

11. sierpnia **1867.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Paweł Woronicz

biskup i uczony Polak.

Gmina Zaleszów ma pobożnych i bardzo porządnych gospodarzy. Szkoła wiejska stoi na prost kościoła, kilka kroków od plebanii, jakby dworek jaki, między gruszami i jabłoniami, ma aż dwie izby osobne do nauki mniejszych i większych dzieci, gdzie co niedziela schodzą się znowu starsi na czytanie Dzwonka, Nowin ze świata, żywotów świętych i innych pism i druków, jakie piszą mądrzy panowie, Xięża i piśmienni gospodarze i mieszczanie. Z tej szkoły poszło już do stu chłopaków na dalszą naukę to do Tarnowa, to do Rzeszowa a nawet do Lwowa i do Krakowa, i wyszli już na Xięży, urzędników i oficerów niektórzy i cieszą się z tego razem z ojcami. Otóż do szkolarzów Józka Szajny i Wojtka Kudronia w Krakowie, przyjechali raz ojcowie sami, Kuba Szajna i Tomek Kudroń; a że w Krakowie są ładne ciekawości po polskich Królach, biskupach, panach i mieszczanach, toż i gospodarze starzy, Szajna i Kudroń, łazili po Krakowie całym i zaglądali do każdego prawie kącika, jak każdy dobry gospodarz patrzy na

całe swoje gospodarstwo. A synowie ich Józek i Wojtek oprowadzali swych ojców po kościołach, po pałacach i zaszli na ostatku do pałacu, gdzie siedzieli biskupi krakowscy. Weszli tam do środka, a tu pokoje pomalowane i różne obrazy po ścianach i znowu dziwne podpisy, co widząc stary Kudroń, powiada:

— A nie słyszał ty mój Wojtku kiedy, który to biskup dał malować tak pięknie te ściany i obrazy?

Na to rzecze syn:

— To wszystko, jak widzicie Ojcze, fundował biskup Jan Paweł Woronicz, dlatego ten pałac zowie się pałacem Woronicza — ale cóż? był on kiedyś daleko piękniejszy, a teraz po ogniu podupadł wiele i dopiero go na nowo naprawiają Krakowianie.

Na to nadszedł stary sługa, który pilnuje zawsze pałacu i pokazuje ciekawości każdemu a przytem umie opowiadać doskonałe wszystko o dawnych polskich biskupach. Toż on powiadał tak:

— Jeżeliście ciekawi gospodarze, to ja wam opowiem z mej starej głowy wszystko o tym biskupie Woroniczu, a nie zmylę się ani na jedno słowo.

I słuchali obaj ojcowie i ich szkolarze, co stary sługa zaczął opowiadać.

— Ten mądry i sławny biskup Woronicz nie urodził się w naszej Galicji, ale aż daleko za Lwowem, w kraju polskim co się nazywa Wołyń, a co teraz ma Moskal niedobry i tam strasznie dokucza katolikom naszym.

Ojciec tego biskupa, Jan i matka Salomea, byli z rodu pańskiego, ale nie mięli majątku, jeno byli possesorami po różnych dworach, a dotego było kilkoro dzieci. A choć nie było tam majątku dużego, to przecie ojciec dawał syna do szkoły i myślał sobie: niech się uczy i biedujе za młodu, a na starsze lata będzie mu może lepiej niż mnie. I zgadł ojciec, bo ani mu się śniło wtedy, że syn jego zostanie kiedyś biskupem. A jak się syn wyuczył i pokończył szkoły to w mieście Łucku, to po klasztorach różnych, zawiózł go ojciec aż do Warszawy, gdzie były takie wielkie szkoły, jak w Krakowie, i dał go wyuczyć na xiędza.

Jak się kto chce koniecznie czego nauczyć, to się wyuczy. I ten syn został księdzem i tak się prowadził pobożnie, że go lubił arcybiskup w Warszawie i sam Król polski. A to się stało roku 1794, kiedyto Moskale i Prusaki zabierali kraje polskie i kazali Polakom zostać Moskalami albo Niemcami, a to przecie być nie może.

Stary Kudroń powiada na to:

No to jak syn został księdzem, to się skończyła bieda ojca i matki, boć pewnie wziął ich do siebie.

— A naprawdę tak było, rzecze stary sługa, bo młody ksiądz Woronicz dostał dobrą parafię koło Warszawy, w mieście Liwie, gdzie była fara wielka, toż mógł wtedy ojców swoich trzymać przy sobie, jako dobre dziecko. Ale niedługo on tam popasał na jednem miejscu, bo dobrego księdza każdy łapie i bierze, toż i ksiądz Woronicz przeniósł się na lepszą parafię do miasta Kazimierza nad Wisłą, niedaleko Sandomierza, a którąto farę fundował Król Kazimierz W. i nazwał ją po swojem imieniu. Miał teraz czem tam żyć i miał co i drugim rozdawać, toż nie marnował grosza, ale fundował szkoły, szpitale, i sam chodził do szkoły codzień i uczył dzieci miejskie i wiejskie na rozmaitych książkach. Aż go panowie poznali dobrze i zaprowadzili na dwór księcia Czartoryskiego w Puławach. A w tych Puławach koło Warszawy fundował książe Czartoryski Adam szkoły, potem nakupił strasznie dużo starych książek ciekawych i te książki poustawiał w wielkich szafach w osobnym domu, na to, aby każdy ciekawy Polak mógł się uczyć na tych książkach a potem napisać znowu inne jakie książki ciekawe. Sama pani dworu, księżna Czartoryska, spraszała do swego dworu wszystkich mądrych Polaków, tam ich traktowała po pańsku, a jej córka Izabela uczyła sama w swojej szkole wszystkiego parobków i furmanów dworskich oraz i ich dzieci.

— A czy ten dwór jest tam jeszcze dziś taki sam? zapytał stary Szajna.

— Dwór stoi wprawdzie, rzecze stary sługa, ale zabrali go Moskale i tam uczą polskie dzieci po moskiewsku, przerabiają ich na wiarę moskiewską z katolickiej religji, a książki zrabo-

wali i zawieźli aż do Petersburga, gdzie siedzi car moskiewski. Do tego dworu w Puławach jeździł też często i ksiądz pleban Woronicz z Kazimierza, a tam lubili go wszyscy dla jego nauki. On ciekawy opatrzył tam wszystkie książki we dworze, a gdy się przypatrzył wszystkiemu dobremu w całym dworze to napisał sam taką książkę, w której opisał wszystko, co tam widział i czego się nauczył, a książkę tę porozbierali Polacy wszyscy i do dziś trzymają ją po dworach i kościołach i czytają z niej dawne polskie ciekawości.

— A to może jaka pobożna książka? pytał szkolarz Kudroń.

Stary sługa mówi nato:

— Nie jest to książka do nabożeństwa w kościele, ale do nauki w domu, jakto bywało w polskim kraju i co to porobili Czartoryscy w Puławach. Nazywa się „Sybilla polska". Za tę książkę nazwali Polacy mądrzy z Warszawy księdza Woronicza uczonym Polakiem, zapisali go do złotej książki na wieczne czasy, i chcieli go koniecznie sprowadzić do Warszawy na kanonika albo biskupa. Ale nie było miejsca dla niego przy kościołach w Warszawie na te czasy, toż uprosili go Czartoryscy, aby sobie osiadł w jednej wsi koło Warszawy. Na tej wsi uczył on sam codzień chłopskie dzieci, pisał dla nich książki do nauki i do nabożeństwa, ratował chorych, gadał im kazania, a co miał rozdawał ubogim. A gdy po te czasy umarł jeden kanonik w Warszawie, toż biskup warszawski zrobił go zaraz kanonikiem i osadził koło siebie. Toż widzicie jak mu Bóg dawał dobre za jego dobre życie i za naukę. Jak się dostał na kanonika do Warszawy, zaczął tam gadać takie kazania, że z całej Polski zjeżdżali się ludzie, aby słuchać jego nauki. I te kazania wszystkie są spisane i zostały po nim do dziś.

— A jakże dostał on się do Krakowa i wyfundował tu ten pałac dla biskupów? zapytali gospodarze.

— A jak by się dostał inaczej, rzecze stary, oto akuratnie umarł wtedy biskup w Krakowie a Król polski i wszyscy Polacy obrali go zaraz na biskupa tutaj, i tak też przyjechał tu

z Warszawy, wyfundował ten pałac, najął malarza z Krakowa Stachowicza, który tu miał ojca mieszczanina i tu się wyuczył malować kościoły, dwory, pałace, i ten to Stachowicz pomalował te wszystkie ściany takiemi rozmaitemi obrazkami na rozkaz biskupa i porobił te napisy wszędzie, jak mu sam biskup powiedział. Otóż macie teraz coście chcieli wiedzieć o pałacu Woronicza. Ponaprawiał on potem kościoły w Krakowie, wyfundował nowy kościoł we wsi Jangrodzie tu koło Krakowa i tę wieś nazwali Polacy po imieniu biskupa Jangrodem dla tego, bo biskupowi było na imię Jan i ta pamiątka dobra została po nim na wieczne czasy.

— A czy on tu umarł? pytał stary Kudroń.

— Umarł on na obcej ziemi, rzecze stary sługa, a to tak się znowu stało: Jak umarł arcybiskup w Warszawie, to wzięli go Polacy drugi raz do Warszawy i zrobili go arcybiskupem, był on teraz najpierwszym biskupem na cały polski kraj i rządził wszystkiemi kościołami, był po Królu zaraz pierwszym i nazywał się dlatego prymasem, co znaczy z łacińskiego tyle na polskie, że był najpierwszy i największy nad biskupami.

Dopóki siedzieli Królowie polscy w Gnieźnie i Krakowie, to biskupi gnieźnieńscy byli takimi prymasami, a odkąd znowu siedzieli Królowie polscy w Warszawie, był prymasem biskup warszawski. Widzicie teraz, jakto syna biednego possesora wyprowadził Bóg do takiego państwa, a to wszystko zrobiła nauka i dobre życie. A jak wyszedł na takiego prymasa, to nie zapomniał nigdy na tych ludzi wsiowych, między którymi się urodził i wychował. Napisał on też znowu książkę ciekawą o pieśniach ludowych, w której opisał wszystko, gdzie i jak i co spiewali ludzie po wsiach czy to na weselu, czy przy jakiej zabawie. Miał wielkie zmartwienie z tego, że polski kraj zabrali Moskale i Niemcy i prosił Boga, aby dał Polakom, to co mieli od dziadków — kochał on wszystkich Polaków, i był rad im nieba przychylić i robił wszystko dla nich przez całe swoje życie, dlatego był dobrym Polakiem. Ale zachorował i wyjechał do Marienbadu kąpać się w wodzie uzdrawiającej — to mu już nic nie pomogło i umarł tam. Ciało jego sprowadzili Polacy do Krakowa i tu pochowali roku pańskiego 1830 zaraz

drugiego dnia po Trzech królach. Pałac ten został na wieczną pamiątkę jego tu w Krakowie i tu idą Polacy, aby zobaczyć ciekawości tego dobrego i mądrego biskupa.

Stary sługa przestał mówić a gospodarze Kudroń i Szajna razem z szkolarzami opatrzyli ten pałac do okoła, gadali o nim jeszcze długo, a wróciwszy do dom do Zaleszowa, opowiadali co widzieli i co słyszeli dobrego w Krakowie.

Ksiądz Wojciech z Medyki.

ŻNIWO.

Minął maj zielony,
I czerwiec gorący;
Pożółkły już plony,
Boże Wszechmogący!

Słowik już nie śpiewa,
W zaroślu pod lasem,
Bo zboże dojrzewa,
Bo żniwo za pasem.

Oj! żytko jedyne,
Oj! przeniczko złota,
Wnet w ranną godzinę,
Zacznie się robota.

Jęczmieniu wąsalu,
Co się dumnie chwiejesz,
Narobiąż ci żalu,
Ani się spodziejesz.

Owiesku mój ładny,
Co tak szumisz hożo,
Zetnie cię sierp zdradny,
Na ziemię cię złożą.

Hejże dalej, hola!
I ty ciężkie proso,
Zabiorą cię z pola
Do stodoły zniosą.

Pójdzie z pola jarka,
Człek się uspokoi,
I pani tatarka
Sama nie dostoi.

Hejże cała wioska,
Wyruszy gdzie trzeba,
Niech się nikt nie troska,
Będzie dosyć chleba.

Serce się raduje,
Choć spocone czoło,
Bo gdy człek pracuje,
Zawsze mu wesoło.

Ostrz że mi sierp żywo,
Mój kowalu złoty,
Boć nadeszło żniwo
Czas mi do roboty.

Danaż moja dana!
Mija dzień po dzionku
Od samego rana
Człowiek już na słonku.

Lecz potem też miło
Wspomnieć przy kominku,
Jak się to tańczyło
Skocznie na wyżynku.

Emilia L.

Jak się w nieszczęściu zachowywać należy.

W jednej z pięknych wiosek naszego kraju żył pewien poczciwy i pracowity gospodarz, imieniem Marcin. Rola jego nie bardzo rozległa, ale dobrze uprawiona, obfity wydawała plon, a domostwo piękne i schludne świadczyło, że Marcin jest człowiekiem porządnym i że mu się dobrze powodzi. Skoroś tylko wszedł do świetlicy, spostrzegłeś ład i porządek, bo też Marcin miał równie pracowitą żonę, która dbała o wszystko co do niej należało. Po izbie uwijało się kilkoro drobnych dziatek, czysto umytych i porządnie odzianych a w karności i bojaźni Bożej przez oboje rodziców wychowanych. Widocznie błogosławił Bóg poczciwej rodzinie i widocznem tam było szczęście i dostatek, obok bojaźni Bożej, pracy i oszczędności.

Widząc wesołe oblicze Marcina, zawsze jakąś pracą zajętego, krzątającą się koło dobytku gosposię, a dzieciny bawiące się przyzwoicie, nie jeden sąsiad może westchnął sobie w duchu i nie jeden zapewne zazdrościł Marcinowi pięknych koników, ładnych krówek, wełnistych owieczek — ale szanować i kochać nikt go nie przestał.

Dla sierot był Marcin miłosiernym, dla sąsiadów usłużnym, dla sług ojcem. Rzetelny w najmniejszej rzeczy, za największe złe poczytywał chciwość, kradzież, skąpstwo, marnotrawstwo, pijaństwo, lenistwo, kłótnie i gniewy, plotki i obmowy. Wszystkiego tego strzegł się jak ognia, i mawiał często, że lepiej wszystko postradać, aniżeli Boga jednym z tych grzechów obrazić.

Dziedzic i ksiądz proboszcz bardzo kochali i szanowali Marcina, a dziedzic nieraz przyzywał go do dworu i rady jego jako człowieka rozumnego zasięgał, a jak Marcin ze swoim interesem przyszedł do dworu, to pan choćby miał najwięcej gości, wszystkich porzucał, a szedł do Marcina.

Przez długie lata używał Marcin spokoju i dostatku z rodziną swoją i aniby się kto spodział ile to nieszczęść spadło jak grom na poczciwego rolnika.

Owóż ni ztąd ni z owąd pochorowało mu się bydło i w ciągu kilku dni cztery krowy padły. Był to dla Marcina wielki

cios, bo choć się miał dość dobrze, nie było w mieszku pieniędzy złożonych aby mógł tak zaraz stratę sobie wynagrodzić a zapożyczać się nie chciał. Marcin jednak zniósł ten cios mężnie a płaczącą żonę karcił, upominał i pocieszał. Aliści ledwie Marcinowie cokolwiek po tem nieszczęściu ochłonęli, spotkało ich drugie: wilki porwały ich owieczki pasące się spokojnie pod lasem, a wkrótce potem podkopali się złodzieje do stajenki i skradli im konie.

Teraz już trudno sobie było dać radę. Marcinowa krzyczała, płakała, ręce łamała i ledwo jej serce nie pękło od wielkiego żalu — ale Marcin jak ów dąb wyniosły, którego lada burza nie ugnie i nie złamie tak łatwo, nie poddał się rozpaczy, jeno się modlił i prosił Boga o zmiłowanie.

I pan Bóg go wysłuchał, przynajmniej tak się zdawało... Dziedzic przywołał go do dworu, użalił się nad nim, pani przytuliła dziatki małe. Znalazła się we dworze praca tak dla Marcina jak i dla jego żony, a przy pracy znaczny zarobek. Oboje Marcinowie nie żałowali rąk, pracowali od świtu do nocy, składali grosz do grosza na krówki i koniki — i gdy dawniej byli dla całej gromady wzorem cnoty przy szczęściu i dostatkach, tak teraz nie jeden mógł się z ich przykładu nauczyć, jak to człowiek ma znosić nieszczęście. Po niejakim czasie i Marcinowa zapomniała trochę o przebytych ciosach i nabrała ufności w Bogu i Jego łasce.

Ale miara nieszczęść nie była jeszcze wyczerpana. Pewnego razu, gdy Marcinowie wraz z dziećmi spoczywali w twardym śnie po całodziennej pracy, straszny pożar ogarnął ich domostwo. Spali tak twardo, że nie wiedzieli o niczem, aż ich zbudziły krzyki sąsiadów, którzy się zbiegli na ratunek.

Już było zapóźno ratować, cały dom spalił się do szczętu. Marcinowie ledwo z życiem uciekli z płomieni, niosąc dzieci na rękach.

Wszystkim dziwno był dlaczego ani dziedzic ani ksiądz proboszcz nie przybyli do ognia, choć to zawsze było ich zwy-

czajem, że jak tylko gdzie we wsi wybuchł pożar, zaraz spieszyli z pomocą. Dopiero jeden sługa dworski oświecił ludzi, że u księdza proboszcza jest dzisiaj wielki zjazd gości.

Ale jeszcze bardziej dziwno ludziom było, że Marcinowa, co dawniej przy każdem nieszczęściu tak zawodziła, że ją słychać było na drugim końcu wsi, a tak zaraz traciła przytomność, że sobie w niczem rady dać nie mogła, jeno mąż musiał myśleć o wszystkiem i za nią i za siebie, teraz przeciwnie krzątała się ciągle, wynosiła, ratowała co mogła i za siebie i za męża, a Marcin tak uczuł to nowe nieszczęście, że prawie zmysły utracił i ani się nie ruszył do niczego, jeno siedział jak martwy: do nikogo nic nie gadał, i tylko biedak dzieci zwoływał do siebie i co chwila rachował czy są wszystkie, na całem ciele trząsł się jak w febrze, i to bladł, to znowu czerwieniał. Cuciła go żona, cucili go sąsiedzi, ale to nic nie pomogło.

Aż gdy ostatnia głowienka zgasła i ludzie się rozeszli, a na pogorzelisku zostali tylko sami Marcinowie z dziećmi, dopiero wtedy przyszedł cokolwiek do siebie; ukląkł na zgliszczach, odkrył głowę i modlił się głośno z wielkim płaczem a obok niego poklękały dzieci i żona i wszyscy się modlili i płakali. A ten płacz i ta modlitwa wielką były ulgą dla ich serc zbolałych, osobliwie zaś dla Marcina.

Wschodzące słońce zastało ich modlących się jeszcze i płaczących. Wówczas zdało się im że słyszą turkot i domyślili się, że to pewnie goście z plebanii dopiero teraz odjeżdżają. Ale turkot coraz się bardziej przybliżał, a wkrótce ujrzeli i poznali siwki księdza proboszcza i jego samego ku nim jadącego.

Ksiądz proboszcz kazał stanąć, wysiadł z bryczki i poszedł prosto na pogorzelisko; Marcinowie oboje do nóg mu się rzucili. Proboszcz zaś wyjął z kieszeni spory worek, a dając go Marcinowi, rzekł:

— Bóg wam przez moje ręce przyseła; to wam wystarczy że sobie jaką taką chatę odbudujecie.

— Jegomość, to chyba cud, to już za wiele, wyjąkał Marcin nieśmiało; — tyle łaski... Jegomość, my tego nie godni.

— Godny pomocy, kto tyle co wy wycierpiał, rzekł ksiądz; Bóg was zasmucił i Bóg was teraz pociesza, to od niego a nie odemnie, mnie nie stać na taki podarunek. Ale oto miałem wczoraj gości, zgadało się o waszem nieszczęściu, Bóg natchnął serca panów że się na was złożyli.

— O mój Jegomość drogi, czemże my wam i tym panom dobrym odwdzięczymy?

— Bądźcie tylko tacy cnotliwi jak dotąd.

To powiedziawszy nie czekał na podziękowania, jeno czemprędzej wskoczył na bryczkę i wracać kazał na plebanię. W tejże chwili odezwał się dzwonek na kościółku, a Marcinowie dziwnie wzruszeni i uradowani, na mszę świętą pospieszyli, aby podziękować Bogu za niespodziewaną pomoc, jak mu przed chwilą dziękowali za nieszczęście, którem ich nawiedził.

Jak Marcin, tak każden człowiek postępować powinien w nieszczęściu. Gdy kogo dotknie pożar, powódź lub inna klęska, nie narzekać ani na żebractwo się puszczać, ale pracować, być mężnym i wytrwałym należy — a jeżli nieszczęście będzie tak wielkie, że przejdzie słabe siły człowieka — o! to wtedy jedna łza wymodli u dobrotliwego ojca w niebiesiech pocieszenie, a często i nadspodziewaną pomoc.

I. P.
nauczyciel z Lutczy.

Z czego powstają wiatry i chmury?

Cała ziemia jest otoczona powietrzem. Powietrze jak się rozgrzeje, to się rozrzedza i rozszerza. Weź pęcherz czyli mecherzynę, zawiąż dobrze i włóż do ciepłego pieca, a powietrze w pęcherzu tak się rozszerzy, że aż go z hukiem rozsadzi. Powietrze zaś rozszerzone, ciepłe, jest lżejsze niż zimne i dla tego wznosi się w górę.

Dlaczegoż to tak trudno opalić wysokie izby? Oto dla tego, bo ogrzane powietrze ucieka ciągle do góry. Dlatego

też w izbie jest zawsze chłodniej na podłodze, jak na powale. Wyleź jeno po drabinie trochę w górę, a przekonasz się o tem. Dla tego samego w zimie, człowiek siedząc w izbie, prędzej zmarznie w nogi, choć je ma dobrze owinięte i w butach, aniżeli w gołe ręce. Także i muchy dla tego w jesieni uciekają ciągle pod powałę, bo tam jest cieplej jak na podłodze, gdyż ogrzane powietrze jako lżejsze, uciekło do góry.

Podobnie jak w izbie, dzieje się i na ziemi Słońce ogrzewa powietrze, powietrze ogrzane idzie w górę, z boków zaś napływa powietrze zimniejsze; to się także ogrzewa i znowu idzie w górę, a powietrze zimne pcha się na jego miejsce. Ztąd to powstają wiatry.

Pewnie widział każdy, że jak w zimie jest wielki dym w izbie, a otworzy się okno albo drzwi, to dym wychodzi górą, a dołem powraca. Pochodzi to ztąd, że górą ucieka z izby ciepłe powietrze i dym z sobą zabiera a dołem przypływa ze dworu zimne powietrze i dym wpędza do izby. Kto się nad tem trochę zastanowi, ten pewnie zrozumie jak wiatry powstają. — Teraz zaś wam powiem jak powstają chmury.

Skoro która gospodyni chce prędko swoje chusty wysuszyć, wiesza je tam, gdzie wietrzyk wieje; tak się należy, bo wiatr lepiej suszy, jak słońce bez wiatru.

Ale dla czegóż to tak jest? Oto dla tego: Suche powietrze wsiąka w siebie wilgoć. Gdy niema wiatru, to powietrze napiwszy się wilgoci, leży na chuście i już więcej wilgoci nie wsiąka, jak zaś wietrzyk zawieje, to zaraz spędzi wilgotne powietrze a napędzi świeżego, suchego, które przeciąga po wilgotnych chustach i je suszy.

Bardzo się myli kto mówi że samo ciepło suszy chusty, bo w zimie, choć jest mróz, chusty wyschną, byle tylko był wiatr a każda gospodyni wie dobrze, że jak wyszuruje w izbie podłogę, a chce aby podłoga prędzej wyschła, to musi poroztwierać drzwi i okna aby dobrze do izby nawiało, bo to prędzej pomoże, jak największe palenie w piecu przy zamkniętych drzwiach i oknach. To też dzieje się tym sposobem, że powietrze wciąga w siebie wodę rozlaną po podłodze.

Podobnie jak postawisz przy otwartem oknie szklankę z wodą, to wody ciągle będzie ubywać, aż nakoniec całkiem zniknie i szklanka będzie sucha. Gdzież się woda podziała? Oto powietrze, wietrzykiem przypędzane, piło ją po trochu, wciągało w siebie, aż nakoniec całkiem ją wypiło.

Jak z mokrej chusty, z wilgotnej podłogi i ze szklanki, tak też i z całej ziemi powietrze ciągle pije wodę. Powietrze unosi się nad morzami, nad jeziorami, nad rzekami, strumieniami i źródłami, po nad wilgotnemi lasy i łąkami i wszędzie zabiera w siebie cząsteczki wody. A cóż powietrze robi z temi cząsteczkami wody? gdzież się one podziewają?

Owoż te cząsteczki wody schodzą się z sobą i tworzą chmury, z których potem na ziemię pada deszcz, albo śnieg, albo grad.

Kto chce dobrze zrozumieć jak się to dzieje, niech posłucha uważnie co mu powiem.

Skoro kto w ręce zziębnie i chucha żeby je ogrzać, to zaraz poczuje, że mu ręce od tego chuchania jakoś zwilgły, a skoro pochucha na suchą szybę, to wnet szyba okryje się wilgocią, czyli wodą. To pochodzi ztąd, że chuchamy powietrzem wilgotnem, bo para ludzka nic innego nie jest, jeno powietrze wilgotne, czyli powietrze z wodą zmięszane. Pary w ciepłej izbie niepostrzeżesz, za to w zimnej widać ją doskonale; ta para na bardzo zimnem szkle tworzy krople wody, które nawet marzną i zamieniają się w śnieg, ta sama para gdy jest silny mróz, zamienia się w sople, które wiszą człowiekowi na wąsach gdy długo chodzi po mrozie.

Tak samo i tam w górze, w zimnem powietrzu, z cząstek wody powstaje mgła, z mgły krople, z nich zaś śnieg, a nakoniec lód, a to takim sposobem:

Po nad naszemi głowami przeciąga ciągle to ciepłe, to zimne powietrze. Gdy takie powietrze co się dużo wody napiło, zejdzie się z innem, zimniejszem powietrzem, wtedy cząsteczki wody, nagle ochłodzone, zamieniają się w mgłę. A mgła to nic innego nie jest tylko chmura. W głębokich górach często widać wierzchołki gór chmurami okryte, ale jak się tam wyjdzie na wierzchołek, to nic w około nie widać tylko mgłę, bo mgła a chmura to jedno.

Gdy koło chmury przeciąga powietrze ciepłe a suche, to wtedy z chmurą dzieje się to samo co z mokrą chustą na płocie. Powietrze ją całkiem wypije, tak jak wilgoć z mokrej chusty i chmura zniknie, a niebo się wyjaśni. Ale skoro do chmury przypłynie jeszcze zimniejsze powietrze, wtedy cząsteczki wody w chmurze zamieniają się w krople, tak samo jak para na szkle a krople niemogą się utrzymać w powietrzu, bo są za ciężkie i spadają na ziemię jako deszcz.

Śnieg zaś i grad wtedy powstają, gdy chmura spotka się z takiem bardzo zimnem powietrzem, że aż zmarznie od wielkiego zimna; z mgły zmarzniętej mamy śnieg, a z kropli deszczowych zmarzniętych, grad.

Kiedy już tyle o tem mówimy, muszę wam opowiedzieć jedno ciekawe zdarzenie.

W głównem mieście moskiewskiem Petersburgu, jeden minister sprosił dużo gości na wielki bal. Było to wśród bardzo mocnej zimy, o jakiej my tu ani wyobrażenia nie mamy, a w sali gdzie się bal odbywał, było takie straszne gorąco, że goście nie mogli wytrzymać, a kobiety mdlały. Chcieli otworzyć okno, ale było tak zamarznięte, że się niedało otworzyć. Wtedy jeden oficer poradził stłuc szybę, i zaraz to uczynił. Cóż się stało?

Oto w pokoju zaczął śnieg padać.

Dziwne to zaprawdę zdarzenie, ale my je sobie umiemy wytłumaczyć. Oto para, którą ci wszyscy ludzie z siebie wydawali unosiła się w powietrzu pod samą powałą, całkiem jak chmura; gdy nagle powietrze lodowate zawiało przez stłuczone okno, zmroziło parę, czyli zamieniło ją w śnieg, — a tak tutaj nie z nieba, ale z powały sali balowej, wypełnionej ludzkiemi wyziewami, padały płatki śniegu.

Stanisław Krakowczyk.

RÓŻNOŚCI.

(List do gromady Smerekowa.) Pani B. E. o której pisaliśmy w Dzwonku, z jakim to żalem gromada Smerekowa żegnała ją przy odjeździe,

napisała teraz do tej gromady bardzo piękny list, który nietylko tych, do których jest pisany, ale każdego poczciwego człowieka ucieszyć i rozrzewnić powinien. Jest on za długi żebyśmy go tu cały pomieścić mogli, podajemy więc z niego przynajmniej co ważniejsze wyjątki.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Mili moi, sercem kochani Przyjaciele!

Gdy Bóg dobrotliwy zrządził żem się z wami rozłączyć musiała, i opuścić drogą waszą rodzinną wioskę, w której już rada byłam spocząć w mogile między wami, gdym was żegnała wszystkich jak własną rodzinę z gorącemi łzami żalu, żądaliście abym wam donosiła listownie o sobie i całem powodzeniu mojem. Dotrzymuję słowa bardzo chętnie, bo niewymowna tęsknota moja za wami, za lubemi stronami, za wszystkiem miłem co zostawiłam, myśl moją i serce zawsze unosi do Was. Wierzę że wszystko co Bóg względem mnie postanawia jest dla dobra mojego, więc i ten smutek przyjmuję wdzięcznie i ofiaruję panu Jezusowi, który dla miłości naszej opuścić musiał ojczystą ziemię i uchodzić w obce i nieprzyjaźne strony, który dla miłości ludu swego opuścić musiał cichy domek Nazaretu gdzie mieszkała Marja, a iść nauczać i zbawiać ludzi. Bóg widzi z jak sierocym bólem opuściłam mój domek, moje sioło, mogiły moich dzieci, Was moi mili... a jednak błogosławię Jego świętą wolę, i was kochani proszę abyście zawsze wolę Boską przyjmowali chętnie, pełnili wiernie, a mnie zawsze serdecznie kochali.

O sobie bardzo mało jeszcze w tym liście donieść Wam mogę.

Później wszystko Wam o sobie donosić będę, teraz pozwólcie że z przepełnionego jeszcze żalem serca, wypowiem Wam moją wdzięczność, podziękuję Wam jeszcze raz za Wasze serce, Waszą poczciwość, Waszą miłość, bo żegnając Was niemogłam tylko płakać i nie podobna mi się było wyrwać z rąk Waszych serdecznych, rąk pracowitych, błogosławiących mnie na drogę i smutnie załamanych.

Dzieckiem jeszcze prawie przybyłam do Waszej miłej wioski i Wasi Stróże Anieli stali się i mojemi, a Archanioł Patron Waszej cerkwi wziął i mnie wraz z wami pod skrzydła swojej opieki. Przeżyłam z Wami lat 18 i cała moja młodość przekwitnęła między Wami, przepłynęła nie jedną łzą smutku, jakim Bóg dotknąć raczył. Wyście każden ten smutek widzieli; Wyście mnie młodą, niedoświadczoną nauczyli nie jednej rzeczy gospodarskiej, nie jednej pracy około tej świętej ziemi, Wyście płakali ze mną na grobach moich dzieci, któreście odnieśli i skryli między dziatwą Waszą upodobaną Bogu, Wyście mi radą i dobrem słowem zawsze służyli, słabą nieraz doglądali, Wyście mi chaty otworzyli i w Waszych frasunkach i smutkach wołali jak swoją, Wyście mi dziatki Wasze powierzali, ze mną się kumali, Wyście mnie darzyli chle-

bem w Waszych weselach, wieńcem w Waszych zbiorach, Wasi żywi mnie kochali, Wasi umierający modlili się ze mną, Wasi pomarli wstaiawją się za mną do Boga, niech że Wam to Bóg płaci! niech Wam to Bóg odda i błogosławi Was i dzieci Wasze... ja wam wypłacić nie mogę... Wasz płacz przy rozstaniu poszedł za mną w całą wędrówkę mojego życia, brzmi w mojej duszy i nie umilknie w niej do śmierci! Nie na daremnie on poszedł i nie przyjdzie dla mnie jak wspomnienie tylko. On się domaga uroczyście i żałobnie abym zazasłużyła na niego, abym się stała godną Waszej miłości, abym się poświęciła dla braci Waszych, dla ludu, który jeszcze mocniej kocham teraz, po owym dniu ostatniego maja, pamiętnym dla mnie!... Ten płacz dopomina się nieustannie wielkim bolesnym głosem współczucia i pracy dla Was, miłości dla Was.

Gdy przyszłam na świat w zielonej wiosce nad Sanem, a matka moja śmiertelnie chora, zaledwie nie odeszła sieroty i nie poszła do nieba, kobieta wiejska była dla mnie drugą matką, z własnem dziecięciem mnie karmiła i kochała, i zdrową piersią wychodowała Bogu i ludowi, wypielęgnowała na macierzyńskiem łonie. Od powicia więc stałam się przybranem dzieckiem wiejskiego ludu; wyssałam jego zdrowie i przywiązanie dla niego; w młodości byłam Wam mleczną siostrą, mili bracia ze Smerekowa, a dałby Bóg abym dziatkom Waszym mogła być matką i dopełnić obowiązków, jakie mam dla Was. Wy wiecie najlepiej jak kocham Wasze dzieci!... Dziś jeszcze choć daleko od was, jestem jakby z Wami, i nad każdem dziecięciem W szem pochylam się z błogosławieństwnm a proszę Boga, aby je zachował od największego złego, od grzechu.

Jeszcze raz dziękuję Wam, jeszcze raz żegnam Was! obaczymy się jak Bóg pozwoli, a jeżeli nie na tej ziemi, to jako szczęśliwi chrześcianie, obaczymy się w wieczności, i tam ja przyjdę do Was jak Wasza, a otoczą mnie moje i Wasze dziatki.

Po szczególności zaś pozdrawiam Was kumie mój Stefanie Hubaju, wierny przyjacielu nasz, wraz z żoną waszą, dobrą Kseńką. Nie zapomnę Wam do śmierci, jak wiernie przez wiele lat doglądaliście pracy naszej jakby własnej. Maleńkiego pochrzestnika mojego całuję i błogosławię, niech Wam rośnie zdrów i czerstwy na pociechę, uczcie go posłuszeństwa, pobożności, pracowitości; gdy podrośnie posełajcie go do szkółki aby się nauczył czytać i sam czytał listy od chrzestnej mamy. Pozdrawiam cię mile, dobra moja, łagodna Małanko! dziękuję ci jeszcze raz za dziesięć lat wiernej służby, za przychylność twoją, za piastowanie moich dzieci. Pozdrawiam Olexę Procaiła, plenipotenta gromady, starszego brata przy cerkwi. Odjeżdżając żegnałam umierającą żonę jego i płacząc obie powiedziałyśmy sobie „do widzenia“ w innym świecie Słyszałam że umarła i posłałam tej duszy serdeczną modlitwę. Pozdrawiam dawnego wójta,

zacnego Iwana Pryjmę, dziękuję mu za ufność dla nas, za dobrą nieraz radę, za życzliwe serce. Pozdrawiam kochaną i dobrą Odmaszczychę, dziękuję jej za okazywaną zawsze wielką życzliwość, za gościniec jakim mnie na drogę obdarzyła. Pozdrawiam sąsiadkę Gudrychę, niezapomnę nigdy jak mnie w słabości odwiedzała i przysmaki znosiła, i sąsiada Bazylka, którego koniki woziły mnie często do kościoła. Daj mi Boże zawsze takich spokojnych, dobrych sąsiadów, bo jak zły ściąga często złość złego ducha, tak dobry z panem Bogiem żyje. Pozdrawiam moje dziatki łacińskiego obrządku, a szczególnie Jasia Fremuta i Hanię Jaremy co najpiękniej katechizm umiały. Niech niezapomną nigdy pierwszego dnia swojej spowiedzi i komunji, do której przygotowywałam i woziłam ich. Moich biednych pozdrawiam serdecznie! Maruńka Słomiana co tak rozpaczliwie załamała ręce gdym odjeżdżała, jakby już nie było dobrych ludzi na świecie a najlepszego Ojca na niebie, niech nieutyskuje na to co Bóg zsela, niech pracuje i modli się, Bóg nieopuści jej dobrych dziatek. Pałamarycha, co tak kocha dzieci, i gdym była bardzo młoda, odratowała mi moje własne, gdy było niebezpiecznie chore, niechaj będzie zdrowa z swojemi wszystkiemi, niech ratuje ludzi z prawdziwą miłością bliźniego, a nigdy niech źle nie czyni i nie mówi. Stach taki biedny, niech przyjdzie kiedy do mnie, bo wie drogę, a niechaj go Bóg wspiera. Jewka moja co najżałośniej zawodziła, niech się pocieszy, niech służy wiernie swojej Pani, niech będzie cicha, zgodna, ja jej nigdy nie zapomnę jak kochała moją Marynię i jak serdecznie nazywała mnie matką, a z odjazdu mojego uczyniła prawdziwy pogrzeb.. Ksenia ładna i żwawa co przyrzekła moje mogiłki ubierać kwiatami, niech się szanuje, niech pięknie i skromnie nosi wieniec dziewiczy, aby czyste sumienie miała przed Aniołami a grzech niepomazał jej duszy.. Młodość i uroda uleci jak puch kwiatka polnego a zostanie cnota, która jedna na świecie znaczy przed Bogiem i tysiąc razy piękniejsza i droższa jak skarby całego świata. Pozdrówcie odemnie dziadka lirnika co przyszedł w poranek mojego odjazdu i śpiewając „Sierotkę“ rozżalił wszystkich tak strasznie.. i wszystkie inne dziadki i babki, częste goście w Smerekowie. Kum Kuźma Martyn niech będzie zdrów! choć kuma moja i pochrzestnik w grobie... i spią koło moich dziatek, niechaj mnie mile wspomina i sierotki swoje pięknie chowa. Nigdy z pamięci mojej nie wyjdzie miła kuma moja. Rozumny i zacny Tomasz Lewko, coby nie jednego zawstydził uczonego, niech tam pomaga gromadzie swoją głową.

Nakoniec mili moi Przyjaciele! pozdrówcie odemnie wszyscy i pokłońcie się Waszemu szanownemu Pasterzowi, który i dla nas był prawdziwym Ojcem, którego nam tak brakuje w życiu i już zawsze brakować będzie. Pokłońcie się w cerkwi waszej drogiej, do której tak tęsknię, Marji Pannie i Świętym pańskim i westchnijcie za mną. Już na głos jej dzwonów niemogę przyjść do Was... Ale duch mój z Wami, serce garnie się do Was i czeka Was przed Bogiem!

Bywajcie mi zdrowi i szczęśliwi! żyjcie z Bogiem na świętej ziemi Waszych Ojców, sprawionej potem Waszym! w tym stanie chlebodajnym co najłatwiej trafia do nieba.

Bywajcie mi zdrowi, kochani moi, dziękuję Wam za wszystko i będę zawsze Waszą do śmierci przywiązaną.

B. E.

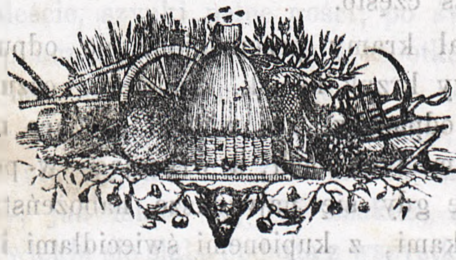
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. **Nr. 6.**

21. sierpnia **1867.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O odpustach.

Świątobliwy u nas zwyczaj chodzenia po odpustach do miejsc cudami słynących, od wieków trwa z równą gorliwością, a Bóg błogosławiąc kraj tak pobożny, obdarzył go tyloma świętemi miejscami cudów, jak żadną inną krainę.

Rok rocznie ciągną pobożne procesye z śpiewem i chorągwiami, spieszą gromadki wiejskie i miejskie i cisną się tysiące ludu do źródła łaski i miłosierdzia.

Dla wierzących Bóg zdziałał cuda, na wierzących i pobożnych zlewa zawsze łaski z skarbnicy swojej, a smutni, słabi, żałujący grzesznicy, obdarzeni odpustami kościelnemi, odchodzą z miejsc cudownych pocieszeni, wzruszeni, skruszeni, poprawieni.

Wielki to grzech gdy na odpusta do miejsc cudownych, ludzie idą aby się napatrzyć, ubawić, coś utargować, a jeszcze większy, gdy grzesznik zastarzały niesie swoje grzechy do miejsc świętych bez myśli poprawy, bez chęci pokuty, przyjmując odpust bez żalu i pobożności. Znieważa największy skarb

łaski, popełnia świętokradztwo, miłosierdzie boskie depce, zaprawdę ciężki grzech! a przecie zaprzeczyć nie można, że zdarza się u nas często.

Kto widział kramy przepełnione po odpustach piwem i wódką, hałaśliwy krzyk i ścisk, kradzieże i oszukaństwa popełnione w czasie odpustów, kto widział pędzące na odpust fury, ładowne pierogami i chlebem, a wracające w południe już nazajutrz, właśnie gdy się największe nabożeństwo odbywa, z śpiewem i krzykami, z kupionemi świecidłami i przysmakami, niewymijające karczem, musi przyznać mi że mam słuszność, a jeżeli jest człekiem nabożnym i uczciwym, musi westchnąć nad tem wszystkiem.

Często gęsto też niejeden nabroiwszy co niepoczciwego w swojej wsi, w swej parafii, wstydzi się swego księdza, boi się aby nie musiał oddać co ukradł, nagrodzić w czem kogo ukrzywdził, albo co podobnego, i przez wstyd, złą wolą wiedziony nie idzie do spowiedzi do swego pasterza, co jak dobry lekarz zna swego chorego i przykre ale zbawienne daje lekarstwo, ale idzie spowiadać się w mieście, albo jedzie na odpust i myśli w swojej ciemnocie, że uczyni zadość sumieniu, jeżeli wywiezie grzechy po za granicę domu i parafii, otrzyma rozgrzeszenie; bo czy pokutę odprawi czy nie, tego spowiednik wiedzieć nie będzie, ludzie się nie dowiedzą.

Jest to nadużycie wielkie i bardzo smutne Bóg nie odpuści, choć człowiek oszuka i siebie i kapłana, a kto wie jak trzeba będzie pokutować wstydnie i ciężko za te spowiedzie i odpusta nadużyte.

Jest w jednej wsi kobieta, wielka pijaczka, która już kilka razy odprzysięgała się wódki i zapisywała do bractwa trzeźwości, ale nigdy nie dotrzymała, a ile razy zasmakuje, to pije i cały tydzień ciągiem i leży pod płotem i choruje potem i stęka. Zawsze żółta jak glina, obdarta jak żebrak, chociaż zresztą zręczna jest z niej sługa.

Od niejakiego czasu ta kobieta widząc, że własny proboszcz rozgrzeszenia by jej dać niechciał, chodzi do spowiedzi do miasteczka. Raz poszła była właśnie, przyodziawszy się porzą-

dnie i wziąwszy ze sobą pięć reńskich zasług od gospodarzy, którzy ją trzymali przez wzgląd że krewna. Była to niedziela, luda dużo w mieście, szynki pełne gości; po świętej spowiedzi, niepoprawiona pijaczka poszła na rynek, spotkała się ze znajomemi i musiał tam być traktament nie lada, bo wieczorem nie było jej jeszcze w domu Minął poniedziałek, wtorek, i tak dalej, baby jak nie ma, tak nie ma. Ludzie się dziwili i wpadali na domysły, już miano jej iść szukać, aż we czwartek wieczorem przywlekła się słaba obdarta z wszystkiego, bez grosza przy duszy, i nikomu nic mówić nie chciała. Ludzie potem mówili, że gdy spała w szynku, okradli ją, a policya zabrała do aresztu, inni znowu, że gospodarz z drugiej wsi zabrał ją na wóz a na gościńcu zrzucił i rzeczy zabrał. Niewiedzieć co tam prawda, dosyć, że wszystkie pieniądze i odzież straciła, a rękę zwichnęła i odleżeć musiała; ale co najgorzej, to, że taką spowiedź św. odbyła! takiego grzechu świętokradztwa została winną! dotychczas niepoprawiona, żyje w pijaństwie i grzechu śmiertelnym, a od swojego pasterza stroni.

Podobnie stało się raz w innej wsi. Jednego wieczora, gdy bydło wracało z pola, zginął był piękny baran, gospodyni wdowy. Szukano daremnie i w nocy i nazajutrz. Spłakała się z dziećmi wdowa, a baran poszedł jak pod ziemię. Tak było jakiś czas, aż zaczęto przebąkiwać, że chłopaki bawiący się widzieli jak baran wpadł w podwórze Wasyla Hawrylaka i tam przepadł. Były już dawniej różne posądzenia na tego Wasyla i zdawało się, że tą razą prawda się pokaże. Niebyło jednak można dowieść nic i nic zrobić podejrzanemu człowiekowi. Dowiedział się o tem proboszcz miejscowy, który miał różne przyczyny posądzenia Wasyla, ale gorliwy o swoje owieczki, nie chciał zawstydzić gospodarza i zrazu milczał, aż dopiero po niejakim czasie kazał go zawołać do siebie.

Tymczasem cała wieś głośno mówiła, że Wasyl ukradł barana, i różne sekreta z domu jego wychodziły powoli na jaw. Posłany od księdza wieśniak, niezastał Wasyla w domu, bo właśnie pojechał z żoną na odpust do Sokala. Idzie więc nazad i poskrobawszy się w głowę, rzecze:

— Proszę Jegomości, nie ma Wasyla, powiózł barana do Sokala!

Zrozumiał czcigodny kapłan i zabolał gorzko, że wkradł się pomiędzy lud taki podwójny grzech. Wasyl obawiał się, że będzie musiał krzywdę nagrodzić, honor stracić, wysłuchać naganę, i powędrował na odpust! Ach czemuż go nie odepchnięto od świętych progów, które przestępował świętokradzko? Czemuż nieokrył się zasłoną obraz cudowny?

Bóg miłosierny czeka cierpliwie i znosi grzesznika, i zbrodnie nawet największe przebacza, ale kiedyś osądzi i ukarze strasznie tego, co znieważa bezbożnie Jego łaski i miłosierdzie.

B. E.

Tęsknota za krajem.

Król jeden chciwy ruszył na wojnę,
Wiodąc ze sobą szeregi zbrojne,
I naszedł ziemię swego sąsiada,
Gdzie go ciągnęła chciwość i zdrada.

Zburzył mu miasta, popalił sioła,
Nieuszanował nawet kościoła,
A gdy już wszystko zmienił w ruinę,
Przywłaszczył sobie jego krainę.

Waleczny książe tego narodu,
Poległ w obronie ojców swych grodu,
I tylko po nim spuścizna cała,
Biedna sierotka została.

Król dokonawszy niecnej roboty,
Chciał świat okłamać pozorem cnoty,
I niby dbały o los dzieciny,
Wziął ją ze sobą do swej krainy.

Na dworze króla świetnie, wesoło,
Pełno rozkoszy, uciech w około,
Ale dziecina od uciech stroni,
I pokryjomu gorzkie łzy roni.

Dano jej piękne suknie, szkarłaty,
Śliczne obrazki, przecudne kwiaty,
Dano jej złote cacka, klejnoty;
Lecz nic niemogło zająć sieroty.

Aż wreszcie król ją ofuknie gniewny:
„Zkąd ci ta żałość i ten płacz rzewny?
„Wszak masz tu wszystko, co pragnie dusza,
„Co cieszy oko i serce wzrusza,
„Masz piękne stroje, złoto, zabawę;
„Dlaczegoż zawsze twe oko łzawe?“

— „O! szczodry królu,“ rzecze sierota:
„Mnie niepotrzeba twojego złota;
„Obdarzaj innych skarbami twemi,
„A mnie daj garstkę rodzinnej ziemi!

„Weź twe rozkosze, twoje dostatki,
„A mnie daj trawkę z grobu mej matki;
„Bo nad słów twoich urok miodowy,
„Milsze mi dźwięki ojczystej mowy;
„A nad niewolę, chociażby w raju,
„Milsza śmierć dla mnie w ojczystym kraju!“

I zapłakała łzami gorzkiemi;
Taka jest miłość ojczystej ziemi!
A król co przyszedł gniewny i butny,
Odchodził teraz cichy i smutny,
Swego postępku żałując skrycie:
Lecz już nazajutrz umarło dziecię.

Fr. W.

Rybak nadwiślański.

Po sławnej bitwie pod Raszynem dnia 19. Kwietnia 1809 w której ośm tysięcy Polaków pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego biło się dzielnie z czterdziestu tysiącami wojska austryackiego, pobity arcyksiążę Ferdynand ofiarował taki układ, żeby Polacy opuścili Warszawę i jemu tam wejść pozwolili. Wojsko księcia Józefa, a było go już tylko sześć tysięcy, zabrawszy ze sobą zapasy wojenne, wyniosło się z Warszawy a

we dwa dni potem arcyksiążę Ferdynand otoczony swoimi jenerałami wjechał do stolicy, i zaraz obstawił się na około armatami, a po ulicach rozesłał patrole i warty, bo się bał i nieufał mieszkańcom. Książę zaś Poniatowski przeszedłszy most na Wiśle, kazał go za sobą zniszczyć, i stanął ze swojem wojskiem na przedmieściu Pradze, odciętem Wisłą od Warszawy.

Arcyksiążę jak z pałacu swego obaczył, że Polacy palą most i z Pragi się nie ustępują, a tak jakoś wojennie patrzą, jakby mieli ochotę jeszcze raz Raszyńską bitwę powtórzyć, układał sobie, żeby to można jako napaść na nich znienacka, a wyciąć co do nogi. Lubował sobie w tych myślach i prawie nie mógł już dłużej wytrzymać, aż oto zdarzyło się, że jednego dnia przyszedł do arcyksięcia ubogi ksiądz warszawski ze skargą na żołnierzy i ten ksiądz wysłuchał przypadkiem, jak się arcyksiąże nad tem naradzał ze swoimi jenerałami.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, cicho było w stolicy, tylko się szyldwachy tu i owdzie odzywały. Pośród ciemności, jakiś człowiek zawinięty w płaszcz, przesuwał się po przedmieściu zwanem Rybakami. Przyszedł do jakiegoś małego domku rybackiego i zastukał, a wnet otworzyły się stare drzwiczki. Skoro tam wszedł, pochwalił Pana Boga, powitał gospodarza i zaraz tak do niego zagadał:

— Stanisławie, kochasz ty ojczyznę?

— Czy ja ojczyznę kocham? odpowie rybak; toż miałem lat szesnaście, jakem poszedł służyć krajowi; a że dotąd nie noszę bagneta, to tylko dlatego, bo mi pod Zieleńcami pies Moskal odciął dwa palce.

Pokazał rękę.

— Jest jeszcze inny sposób służenia ojczyźnie, rzecze znów obcy; słuchaj Stanisławie, wiesz że książę Poniatowski...

— Książę Poniatowski! przerwał rybak niechętnie, nie mówcie mi o nim. I ja i cały naród myśleliśmy, że on jest naszym opiekunem, tymczasem on sobie spokojnie wychodzi z Warszawy i przypatruje się, jak tam wpadają Austryacy.

Obcy się oburzył jakby go kto ukropem oblał.

— Milcz zaraz, krzyknął — a nie sądź tego, czego nie rozumiesz; tośty chciał, żeby książę Józef bronił Warszawy mając ledwie sześć tysięcy wojska? kiedyś taki mądry, to bądźże mi zdrów.

To powiedziawszy zabierał się do wyjścia, ale go rybak zatrzymał.

— Już mi wybaczcie, prosił — wybaczcie prostemu rozumowi, już nie rzeknę ani słowa, ale nie odchodźcie, póki nie powiecie pocościeprzyszli.

— Czy kochasz ojczyznę?

— Kocham, tak mi panie Boże dopomóż, a jeżliście równie dobry Polak jak ja, to niepytajcie o więcej.

— Słuchaj więc... oto pismo... los Polski zależy od tego pisma; jeżeli je oddasz księciu Józefowi do jutra przed południem, uratujesz nasze wojsko.

Rybak się zadumał.

— Most zniszczony, łodzie albo popalone, albo w mocy nieprzyjacielskiej... a jakże ja się tam dostanę?

— Mój kochany, rzecze mu obcy — gdyby się tam można było dostać po moście, albo łodzią, pewniebym tu do ciebie nie przychodził; alem ja właśnie dlatego do ciebie przyszedł, bo wiem, że ty się tam dostaniesz i bez mostu i bez łodzi, a ja tego nie potrafię.

Rybak się zamyślił, a po chwili machnął ręką i rzekł:

— Dobrze, będę posłuszny, dajcie mi ten papier, książę Józef odbierze go w swoim czasie.., jeżeli mnie austrjackie kule nie zgładzą pierwej; jeżeli zaś zginę, pamiętajcie o mojej żonie i o moich dzieciach!

Obcy włożył mu na szyję krzyż z Chrystusem Panem i szepnął:

— Boże dopomóż!

Już noc okryła ziemię, księżyc wyglądał z za chmur, i odbijał się w Wiśle, a szmer fali przygłuszał robotę Stanisława, gdy odwiązywał małą łódkę, aby na niej popłynąć na Pragę.

Wiatr północny obiecywał pomyślną przeprawę, w tem, gdy łódka plusnęła w wodzie, zbudził się szyldwach i zawołał:

— Werda!

Zaraz ze wszystkich stron krzyknięto we trwogę. Żołnierze w białych mundurach snuli się po brzegu jak duchy nocne. Spuszczono kilka łodzi, dognano Stanisława, pojmano go i zaprowadzono do komendanta straży. Komendant kazał go przetrząść pilnie: rozebrali go i szukali nawet w kapeluszu i koszuli, tylko krzyża na szyi nie ruszali, bo któż by się domyślił, że w tym krzyżu może być co ukrytego. Tym sposobem papier, który powierzony został Stanisławowi, uszedł badawczego oka Austrjaków, bo właśnie był w tym krzyżu ukryty.

Stanisław się tłumaczył, że chciał ryby łowić, bo i on i jego rodzina nie mają co jeść; ale żadne tłumaczenie niepomogło, pogruchotano łódkę a jego samego zamknięto w areszcie.

Łatwo sobie wyobrazić strach Stanisława, gdy ujrzał słońce wschodzące. Niecierpliwił się, krzyczał i domagał się aby go puścili do żony i dzieci. Uproszony przecie komendant, pozwolił mu przechadzać się po pod wartą, póki nie przybędzie oficer, który go każe wypuścić albo zamknąć.

Stanisław odetchnął wolniej na powietrzu.

— Precz ztamtąd! wrzasnął żołnierz, widząc, że Stanisław coś za długo przypatruje się Wiśle.

— Precz ztamtąd! powtórzył jeszcze raz z gniewem, widząc, że jego rozkaz nie pomaga

Stanisław nic nie słyszał; żołnierz zbliża się i odpycha go.

— Niech cię bieda bierze! zawołał rybak — chwytając silnie Austrjaka, i razem z nim rzucił się do Wisły... oba znikli pod wodą.

— Do broni! do broni! zabrzmiało na brzegu.

— Ognia! zakomenderował oficer.

Trzydzieści strzałów padło. Austrjacy spuścili czólno; po chwili znaleziono ciało zabitego żołnierza i... kapelusz Stanisława.

— Gdzież on? pytał się jeden drugiego. Nikt nie wiedział, dopiero po długiej chwili Stanisław wypłynął na powierzchnię wody.

Biedny rybak! pewnie zginie, pewnie nie wymknie się taraz! Gdziekolwiek się zwróci, śmierć go czeka. Rzeka szeroka, na środku mielizna, zarzucą go kulami, a jeżli pójdzie z biegiem wody, osłabnie i utonie. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, tysiąc strzałów pada i tysiąc strzałów chybia... W dali już tylko punkt czarny miga. Austrjacy nabijają armatę najbliższą, strzelają; chmura dymu zakryła punkt czarny. Ach! pewnie on tam kona walcząc z bólem i śmiercią; czekają aż chmura się rozejdzie.

Ale nietylko Austrjacy najedli się tyle trwogi. Z wierzchołka dzwonicy starego kościoła, człowiek jakiś, z szkłami w ręku, patrzy na prawy brzeg Wisły, widzi czołgającego się po piasku rybaka i trwoży się o niego.

— Boże! zbaw Polskę! zawołał usłyszawszy huk armatni, i upadł na kolana.

W tem, o cudzie Opatrzności! rybak zakryty chmurą dymu dostał się na drugi brzeg. Tam uwiązał na żerdzi chustkę i dał znak umówiony owemu człowiekowi na wieży.

Niedługo potem uderzono w Pradze we wszystkie dzwony, książę Józef odebrawszy pismo od rybaka, dowiedział się z niego, że arcyksiążę zamyśla uderzyć na niego; nie czekał więc, jeno postanowił go uprzedzić i stoczył bitwę pod Grochowem, w której austrjacki jenerał Mohr został strasznie pobity.

Po tej bitwie nieprzyjaciel cofnął się daleko od brzegów Wisły, a w sześć tygodni potem wyniósł się het za granicę.

Nazajutrz po owym dniu, ubogi proboszcz najuboższego kościoła w Warszawie odprawiał cichą mszę św. na podziękowanie Panu Bogu za zwycięztwo Polaków, a do mszy służył mu biedny rybak Stanisław.

Niedługo potem był w Warszawie Cesarz francuski Napoleon, dowiedział się o wszystkiem i własną ręką ozdobił

Stanisława takim orderem, co się nazywa krzyżem legii honorowej. Proboszcz też taki sam order otrzymał.

Mogiły pod Chęcinami.

Pan Bliziński, starosta Chęciński, długie lata pod królem Janem Sobieskim wojował z Turkami. Był pod Wiedniem, gdy Sobieski to miasto od Turków obraniał, i tak się tam popisał, że Niemcy wydziwić się nie mogli jego męztwu; potem poszedł z królem na Węgry, ścigać uciekających Turków, nabił ich co niemiara, i później jeszcze kilka razy dziwów na wojnach dokazywał. Ale nosił wilk, ponieśli i wilka. Jednego razu jak się przysadzili Turcy, tak porwali pana starostę do niewoli i pognali w dalekie kraje, a tam już nie mógł starostować i rozkazywać, jeno musiał służyć i bydło paść, jak prosty parobek.

Tam w niewoli poznał jednego Araba, który był człowiekiem szczerym i dobrego serca, a że był biedny, to służył u tego samego pana, u którego Bliziński zostawał w niewoli. Polubili się bardzo starosta z Arabem. Starosta mu rozpowiadał o swoim kraju, o swym pałacu w Chęcinach, o swoich skarbach i przyjaciołach, a Arab go pocieszał i ulżywał mu w pracy.

Trwało to przez czas jakiś, aż nakoniec niewola dojadła Blizińskiemu, że już niemógł dłużej wytrzymać i postanowił uciękać. Zwierzył się z tem przyjacielowi swemu Arabowi. Poczciwy przyjaciel nie zdradził go, owszem zachęcał, ośmielał, pouczał jak sobie ma postąpić, i tego jednego żal mu tylko było, że się z nim rozstanie, że utraci przyjaciela, którego tak pokochał.

Wzruszył się tem Bliziński, a gdy nadto rozważył, że bez pomocy Araba nie da sobie rady, bo ani drogi nie wie, ani języka tamtejszego dobrze nie umie, to się i popytać nie będzie mógł, bo zaraz po mowie poznają że zbieg i złapią, zaczął prosić przyjaciela, aby mu towarzyszył i obiecywał mu złote góry, jeżeli się z nim wybierze. Ale Arab podziękował

mu pięknie za wszystko i prosił aby tego nie żądał od niego, bo jemu żal ojczyzny, żal mu tej pustyni, w której się urodził; i choć tu nie ma rozkoszy, nie rad by ztąd się oddalać, bo woli biedę w ojczyźnie, jak największe szczęście za górami. Usłyszawszy to Bliziński, dalejże prosić go, namawiać i nakłaniać słodkiemi słowy.

Arab dla przyjaźni dał się namówić, i przyrzekł staroście że mu będzie towarzyszyć. Zaraz więc zaczęli radzić co mają czynić, jak się przygotować, które konie wybrać na drogę; a gdy nadeszła noc umówiona, byli całkiem w pogotowiu i dalejże w czwał przez stepy, co koń wyskoczy. Blizińskiemu serce biło z radości, bo uciekał do swoich, do ojczyzny, ale Arab był smutny i milczący, a im bardziej oddalał się od rodzinnej pustyni, tem posępniejszym się stawał; napróżno cieszył go starosta obietnicami.

Z tych dalekich krajów głębokiej Turecczyzny zajechać do Polski, to niełatwa rzecz była dla naszych wędrowców! Uciekali tylko stepami i polami, tylko nocą, bo się bali pogoni, do tego w tym kraju niebyło ani dróg, ani gościńców a tylko księżyc i gwiazdy służyły im za przewodników. Obadwa biedowali więc okropnie, ale jeden drugiego wspierał: Starosta Araba rozumem, jako człek w książkach uczony, a Arab starostę doświadczeniem.

W wielu razach i rozum i doświadczenie nie pomogło, wówczas modlili się oba, każdy po swojemu, prosząc Boga o ratunek, a Bóg milosierny łaskawym był dla nich i sił im dodawał. Na domiar złego, padł ze znużenia ten koń, na którym jechał Arab, i odtąd albo oba razem na jednym koniu jechali, albo się mieniali.

Ale nakoniec po wielu dniach podróży przykrej a uciążliwej przybyli przecie do polskiej granicy. Od granicy aż do Chęcin nie było im już tak trudno. A kiedy dojechali do pałacu starosty, wierni słudzy wyszli naprzeciw z wielką radością i witali go jak dzieci ojca rodzonego. Nazajutrz zjechali się panowie z okolicy, zastawiono stoły, napełniono kielichy i pan starosta wypił najprzód za zdrowie swojego przyjaciela Araba,

który mu ucieczkę ułatwił, a potem drudzy panowie pili także zdrowie Araba, ściskali go i całowali, dziękując mu, że im powrócił przyjaciela. Nazajutrz znowu przyjechali panowie na ucztę, i to się powtarzało dzień w dzień. Wesoło było w pałacu pana starosty, muzyka przygrywała, dworzanie wytaczali z piwnicy beczkę za beczką, a panowie pili a cieszyli się. Arab ciągle obok swego przyjaciela starosty, w złocistych szatach, jada ze złotej misy, pija ze złotego puhara.

Starosta i koniowi, na którym z Turecczyzny przyjechał, dogadza w czem może. Stoi ów koń przy marmurowym żłobie, jada kiedy chce, pije kiedy chce, a nikomu nie wolno siąść na niego.

Czemuż to mimo tego wszystkiego czoło Araba zasępione, oko żałośne? Czemu i koń tak smutnie głowę zwiesza, a nóżką ziemię grzebie?

Pyta starosta Araba o przyczynę, ale on rzecze:

— Zdaje ci się panie, jakże bym mógł być smutny, kiedyś ty taki dobry dla mnie, kiedy mam wszystko u ciebie, czego tylko człowiek zapragnąć może.

Starosta niepytał już, ale śledził każden krok Araba. Długo nic nie mógł odgadnąć, aż raz w nocy ujrzał, że Arab wstał cichuteńko z łoża, przyodział się, i kędyś wyszedł z zamku. Czekał chwilę starosta, w godzinę Arab wrócił, legł znowu na łożu i zasnął.

Nazajutrz to samo się powtórzyło. Starosta był bardzo ciekawy, przysadził się więc na trzecią noc, i jak tylko Arab wyszedł z izby, krok w krok za nim postępował. Arab zeszedł na dziedziniec zamkowy a potem do stajni, do tej, w której stał ów koń, co starosta na nim przyjechał z Turecczyzny.

Koń jak tylko posłyszał kroki, zarżał z cicha, Arab ku niemu postąpił, objął go za szyję i pieścili się z sobą, i jedno się tuliło do drugiego, a Arab płakał.

Widział to wszystko starosta, ale się z miejsca nieruszał, jeno stał z boku, dobrze ukryty i przypatrywał się pilnie.

Arab głaszcząc konia, szeptał coś do niego. Starosta nie mógł dosłyszeć wszystkiego, tylko tyle zrozumiał:

— Biedna, biedna ojczyzno, już cię nigdy nie ujrzymy; pomrzemy tu z tęsknoty, zdala od ciebie, i obca ziemia nas przykryje!

Jak to starosta usłyszał, domyślił się wszystkiego i wrócił cicho do zamku, a nic niemówiąc nikomu, ani służbie ani Arabowi, rozmyślał tylko, jakby jemu i temu koniowi, który takie uczucie pokazywał, ulżyć w tęsknocie, i ułożył sobie dać Arabowi dużo pieniędzy na drogę, i puścić go z koniem, aby sobie jechał do domu.

Zaraz też nazajutrz poszedł z tem do Araba, ale zastał go bardzo, bardzo chorym, w ciężkiej gorączce. Biedaczysko ani się ruszył na łożu. Starosta posadził przy nim najlepszego doktora, i sam siedział obok, i cieszył go, że go odeszle do ojczyzny, a Arab, choć tak ciężko chory, usłyszawszy to, uśmiechał się wdzięcznie, ale palcem ku niebu wskazywał, jakby chciał powiedzieć, że tam pójdzie, a nie do ojczyzny.

Jakoż nic nie pomogło, umarł biedak. Także i koń, gdy Arab przestał go odwiedzać, zachorował ciężko, rżał, rzucał się i zrywał, a jeść niechciał, najbardziej zaś niespokojny był w nocy, osobliwie o tej godzinie, o której Arab zwykle do niego przychodził. Nakoniec zdechł właśnie wtedy, gdy Arab umierał.

Zapłakał starosta, a nie mogąc odwdzięczyć się tym, co jego wolność życiem swojem okupili, chciał przynajmniej ich pamiątkę na wieki przechować. Kazał więc obudwom na podzamczu usypać mogiły: Arabowi z ziemi, a koniowi ze stu korcy owsa.

Kopce te do dziś dnia istnieją, i kto do Chęcin przyjedzie może je widzieć. Leży to miasto w kraju Polskim w powiecie Kieleckim, i sławne jest z tego, że tam marmur w wielkich masach wydobywają. Niegdyś było to miasto z wioskami okolicznemi przeznaczone na uposażenie wdów po królach polskich, i one mieszkały tu sobie spokojnie a wygodnie w wspaniałym zamku na wyniosłej górze. Z tego zamku są teraz tylko ruiny, bo go Szwedzi zburzyli. *Stanisław Krakowczyk.*

Piękna zabawka dla chłopców wiejskich.

Wiedzą o tem gospodarze wiejscy, jakie to szkody wyrządzają co rok gąsienice w ogrodach, po polach i lasach, wiedzą i o tem, że choćby ludzie najtroskliwiej je obierali, nic by w tem ludzka praca nie pomogła, gdybyśmy nie mieli ptaszków, co robaków wytępiają, bo temu co ptaszki robią, nie podołałyby miliony rąk ludzkich.

Posłuchajcie tylko: W jednym ogrodzie było kilka wysokich krzaków róż. Te róże od góry aż do dołu obsiadły maleńkie robaczki, co się nazywają weszkami, i tak je niszczyły, że róże omal nie poschły. Rozumny ogrodnik zmiarkował zaraz, że ani za tydzień nie potrafi tych krzaków oczyścić z robaków; nie zabierał się też wcale do tej roboty, ale wziął się na taki sposób, że przyniósł w klatce sikorę, i wpuścił ją pomiędzy róże. Sikora jak się przysiadła, tak nie długo ani jednej weszki nie było na różach.

Trznadle są także bardzo skore do wytępienia robaków. Doświadczeni ludzie wyrachowali, że para trznadli przynosi swoim pisklętom więcej jak trzydzieści robaków na godzinę.

Jest jeden gatunek motyli, którego każda samiczka znosi dwa razy do roku po sześćset i ośmset jajek. Z tych jajek wylęgają się gąsienice, które ogromnie dużo liści zjadają. Ale poczciwa sikora nie czeka, aż się z jajek wylęgną gąsienice, jeno zjada te jajka, gdzie je tylko napotka i swoim pisklętom znosi je bardzo pilnie. Tym sposobem wytępia codziennie kilka tysięcy szkodników. Sikorze pomagają wilgi i dzięcioły, bo przeszukują wszystkie drzewa w sadach i w łasach i wytępiają owady tak w lecie, jak w zimie.

Hrabia Kazimierz Wodzicki z Olejowa opowiada, że w roku 1848, niezliczona moc gąsienic objadła wszystkie liście na drzewach owocowych w jego sadzie, tak, że tylko gołe gałęzie sterczały. W jesieni ujrzał miliony jajek na wszystkich gałęziach. Coż tu począć? Najął ludzi i kazał te jajka zbierać; kosztowało to dużo, ale nie wiele się pomogło, bo ludzkie ręce do tej pracy nie sposobne. Hrabia już był przygotowany, że

straci najpiękniejsze drzewa, gdy oto zjawia się niezliczona chmura sikor i trznadli, a w kilka dni potem nie było już w sadzie ani jednego gniazda gąsienic.

Wróble są także bardzo pożyteczne, bo wraz z pisklętami zjadają ogromną moc robaków, a przez to wyświadczają gospodarzom przysługę, która daleko więcej warta, jak ta garść wiśni, albo kilkanaście kłosków zboża, które przytem zjadają. Puszczyki co rano i co wieczór polują na robaki i ćmy, i niszczą je tysiącami; szpaki, kawki, wrony, dudki i sroki zjadają mnóstwo chrabąszczy, a krogulce i sowy wytępiają myszy.

Najpożyteczniejsze ptaki w gospodarstwie są: drozdy, kosy, szpaki, pliszki, sikory, skowronki, ziemby, wróble, jaskółki, dzięcioły i czyżyki. Wszystkie zjadają miliony jaj motylich, gąsienic, robaków, much, komarów, chrabąszczy i ćmów, a to tak, że zbierają je albo z liścia, albo z kory drzew, albo je chwytają w powietrzu, albo też wygrzebują z ziemi.

A kiedy te ptaszki są takie pożyteczne, to gospodarze wiejscy nie powinni ich prześladować i płoszyć, jak to się często dzieje, ale powinni je owszem przynęcać wszelkiemi siłami, i baczyć, ażeby się u nich gnieździły. Ptaszki lubią się gnieździć w wypruchniałych i dziurawych drzewach, takich więc drzew nie trzeba niszczyć, ale je ochraniać; trzeba dziury czyścić, a nad dziurami położyć deszczułkę, żeby woda deszczowa ściekała. Trzeba też chłopcom zakazać wybierania z gniazd, owszem, niech się nauczą robić i przybijać gniazda dla szpaków i sikor, jak to się dzieje w innych krajach, gdzie gospodarze już od dawna wiedzą, jaki to z ptaków pożytek, i szanują je bardzo.

Te gniazda dla ptaków robią się tak, że bierze się gałąź jaką dziurawą, albo zbija się skrzyneczkę ze starych deszczułek i w zimie przymocowuje się ją na drzewie, nie spełna dziesięć łokci nad ziemią. Wybiera się zaś do tego takie drzewa, co leżą ku wschodowi, a na wiosnę wcześnie się rozwijają. Skrzyneczki dla sikor muszą mieć ćwierć łokcia długości, szerokie i wysokie na trzy palce, dla innych ptaków muszą być trochę większe. Jak już skrzyneczka gotowa, trzeba ją obwiązać

mchem i korą z drzewa, żeby ptak nie poznał, że to ludzka robota, bo się boi zdrady.

Można także pleść koszyczki z wikla zielonego i przybijać je gwoździem pod grubemi gałęziami drzew, takie zaś koszyczki muszą być na pięć palców szerokie a na cztery palce głębokie.

Rodzice i panowie professorowie, powinni zachęcać dzieci, aby próbowały robić i przybijać takie skrzyneczki i koszyczki. Będzie to dla malców uciecha, a dla gospodarstwa nie mały pożytek.

RÓŻNOŚCI.

(Sposób wygubienia mrówek.) Jeżeli kto chce pozbyć się mrówek z domu albo ogrodu, niech kupi wielką gąbkę, niech ją dobrze wymyje i wyciśnie, a potem wysuszy, aby jej komórki poroztwierały się; dalej niech na tę gąbkę nasypie trochę tłuczonego cukru, i niech ją położy w miejscu, którędy mrówki najwięcej przechodzą. Wkrótce zaczynają się one do tej gąbki schodzić, i w komórkach jej swoje mieszkania zakładać. Wtenczas potrzeba tylko od czasu do czasu, gąbkę do gorącej wody włożyć, a tysiące mrówek tym sposobem wygubi się. Tak postępuje się ciągle, dosypując czasem cukru, a doświadczenie pokazało, że tym sposobem można się w mieszkaniach i ogrodach na długi czas od mrówek uwolnić.

(Bardzo dobry ser z maślanki.) Robi się tak: Najprzód przegotowuje się maślankę, i stawia się ją w spokojnem miejscu, aby wychłódła, potem wlewa się ją do worka z mocnego płótna, aby serwatka odciekła, soli się ser, ale nie zanadto i dodaje się na kwartę sera, łyżkę rumu. Zagniata razem, i nadaje serowi kształt, jaki kto chce. Tak zrobione sery suszą się, poczem bierze się czyste płótno zmoczone gorącą serwatką, i sery zawija się w to płótno; naostatek pakuje się sery w faskę, dobrze przykrywa i stawia w ciepłem miejscu a w czternaście dni są już dobre do jedzenia. Im dłużej w fasce leżą, tem są smaczniejsze a zawsze lepsze od zwyczajnych serów.

(Ile też jest wody w człowieku.) Uczeni doktorowie wyrachowali, że człowiek ważący 150 funtów ma w sobie 113 funtów wody.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 7.

1. września 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marta i Magdalena.

Były dwie siostry o których nam Ewangelia Ś. opowiada, dwie siostry dziwnie miłe Chrystusowi Panu, które do końca świata sławić się będą, póki Ewangelia zbawienia głoszoną będzie. Te święte dwie siostry, jedna bogomyślna, druga pracowita, to jakby dwie śliczne gwiazdy od stóp Chrystusa i Maryi, jaśniejące na niebie Chrześćjaństwa, a szczególnie na niebie naszej Polski, co tak pobożna i gospodarna, a szczególniej nad wiejskim ludem, co pracą dobija się nieba, a najszczególniej nad niewiastą naszą, która powinna być razem Martą i Magdaleną, aby się podobać Chrystusowi Panu. Starsza z nich Marta, była to bogobojna gospodyni, cicha, pracowita, zabiegliwa; od miłosiernych wrót jej, ubogi cdchodził szczęśliwy, a smutny, pocieszony; w domu jej panował pokój i zgoda i miłość; dla próżniactwa lub niecnoty nie było tam miejsca, duch pobożności, czystej skromności napełniał wszystkich i wszystko, a uczciwą pracą gromadzone mienie szło na święty pożytek i na lichwę u samego Pana Boga, bo z tego mienia mieli opatrzenie apostołowie, ucznie, kościoły, ubodzy i sam

przenajświętszy a najuboższy Syn Boży, który nie miał gdzie złożyć głowy. Błogosławieństwo wielkie było nad domem i gospodarstwem Marty, a swoją skromną cnotą domową, swojem miłosierdziem, swoją skrzętną pracą zasłużyła sobie ona szczęśliwa gospodyni na to, że w progi jej wstępował mile Pan Jezus i w domu jej rad gościł gość ów niebieski. O przezacna gościno! daj nam Panie zasłużyć na nią! O przeczysta uciecho! jako żeś tam przepełniała rajem domek Marty gospodyni!... Jakże się wtedy krzątała ona, jak służyła gościom swoim... jak po każdej takiej gościnie, świętszą i pracowitszą była... a ziarna Chrystusowego słowa padały na serce jej, jak na obfitą rolę by plony zbawienia wydać. I nie była Marta niczem innem tylko pobożną, cichą, miłosierną gospodynią. Ona to skłaniała od początku siostrę swą Magdalenę do nauki Boskiej, ona to wiodła ją do słuchania słów Chrystusowych, ona modlitwą wypraszała duszę jej zbłąkaną u Boga, przykładem i radą i słodyczą zachęcała do cnoty, jej to żywot bogobojny był od początku potępieniem złego życia, jakie wiodła Magdalena a serce jej pełne miłości dla siostry nie odpychało jej nigdy i nie gardziło w rozumieniu lepszem o sobie, ale przeciwnie, brzydząc się grzechem, grzesznikiem się nie brzydziło nigdy. Bóg w miłosierdziu nie pojęty dopuścił, że ta siostra kochana i opłakana miała przejść jeszcze Martę w wysokiej świętości i zostać oblubienicą pańską. I wtedy znowu Marta radowała się na uboczu z łask udzielonych siostrze i w pokorze nic nie zazdroszcząc, w cichości pracowała i gospodarzyła Jezusowi. Magdalena dotknięta łaską wielką, poznała nicość rozkoszy ziemskich, obrzydziła tak silnie wszelki grzech, że wolała była umrzeć jak zgrzeszyć, uczuła tak wielką miłość dla słodkiego Zbawiciela, że pobiegła szukać Go w domu Szymona Faryzeusza, upadła do nóg Jego, obmyła je łzami swemi, otarła włosami, drogim skropiła balsamem, a Chrystus widząc jej żal, silną wolę i wielką miłość, odpuścił jej wszystkie grzechy, mówiąc:

— Odpuszcza ci się wiele, boś wiele umiłowała, idź w pokoju. I od nóg Chrystusowych wstała Magdalena już odrodzona

już inna, i odtąd nigdy, nigdy nie zgrzeszyła, ale z dniem każdym rosnąc w doskonałości, stała się wielką świętą, a pokutą wielką, zmyła wszelką skazę swej duszy, tak że ta dusza wybielała jakby anielska. Ona to nie odstępowała Chrystusa, ona rozprószyła wszystko mienie na ubogich, wyrzekła się wszelkiej rzeczy światowej, umarła światu i wszelkiemu grzechowi, i zatopiona w Bogu, żyła tylko dla Boga; ona to u nóg Chrystusowych siadając, najmilej słuchała mądrości słów Jego i tajemnice miłości Jego czerpała, dla niej to upomniał Chrystus samą Martę; bo gdy raz przybył do Betanji do obu sióstr, a Magdalena u nóg Jego siedziała, Marta zaś krzątając się sama około przyjęcia gości swych, zafrasowała się zbytnie i użaliła Panu mówiąc:

— Owo siostra moja nic mi nie pomaga, każ jej to uczynić Panie.

Wtedy odrzekł jej Chrystus z słodyczą ale powagą:

— Marto! Marto! troszczysz się o wiele, a jednegoć tylko trzeba, siostra twoja lepszą cząstkę obrała.

I tu upomniał Chrystus w osobie Marty wszystkie niewiasty, które za nadto zapobiegają i frasują się około rzeczy doczesnych, około bytu i kłopotów a zapominają o najważniejszej rzeczy, to jest o dobru duszy, która tylko jednej rzeczy potrzebuje, zbawienia. Upomniał także wszystkich w osobie Marty, aby nie mieli za złe osobom pobożnym i ku Bogu gorętszym, że przestrzegają modlitwy i przebywania z Bogiem, bo i to łaska Boża w nich działa, a lepszą cząstkę obierają ci, którzy się mogą zupełnie Bogu poświęcić. Takich mniej bywa na świecie. Chrystus obie kochał siostry, obie błogosławił, jedna była jego oblubienicą, druga gospodynią, obie mu służyły dobrze, obie zostały świętemi, każda w swoim zawodzie. Marta przyjęła upomnienie Pańskie, pracowała, ale mniej się frasowała; Magdalena została pokornie u nóg Chrystusowych mając się za pośledniejszą, a obie na swojem miejscu chwały Bożej szukały. Gdy brat ich Łazarz, przyjaciel Pański, zachorzał, z wiarą obie siostry wezwały Jezusa, mówiąc:

— Przybądź Panie, ten co go miłujesz umiera. —

A z większą jeszcze wiarą czekały, gdy Chrystus nieprzychodził, a brata do grobu złożono. Czekały one i wierzyły, że Chrystus przyjdzie i wszystko dobrze uczyni. A gdy przybył nareszcie, z jakąż gorącą miłością porwała się Magdalena z miejsca na którem płakała, gdy rzekła jej Marta: Nauczyciel idzie! Z jak wielką wiarą odpowiedziała Marta, gdy ją zapytał Chrystus czy wierzy że brat jej zmartwychwstanie: Wierzę Panie! a wtedy rzekł jej Pan: Jam jest Zmartwychwstanie i Żywot, kto we mnie wierzy, choć by umarł, żyw będzie. I brat ulubiony powstał żyjący.

Wielka wiara i wielka miłość cudu Bożego doznają. A później gdy zbliżała się chwila odkupienia, a Zbawiciel był bliski męki krzyżowej, któż to przeciskając się wśród uczniów a nawet wśród niechętnych, spieszy z kosztownym olejkiem, aby go wylać na głowę Chrystusową? to Magdalena żarliwa, miłująca Magdalena, zawsze pierwsza do ofiary, do usług Chrystusowi. Szmer niechęci uczyniono na nią, że lepiej te kosztowność sprzedać i pieniądze dać ubogim, a Judasz zdrajca powstał najżywiej, ale ona się nic nie lęka a Pan ujmuje się za nią mówiąc:

— Zostawcie jej czynić; ubogich zawsze mieć będziecie a mnie już maluczko; ona namaści to ciało do pogrzebu a co uczyniła, sławić będą do końca świata.

A gdy na szczycie Golgoty stanęło drzewo naszego odkupienia, drzewo nowego życia, na którem podniesion od ziemi tocząc krew wszystką zawisnął Zbawiciel świata, i konał z miłości ku nam; któż to pod krzyżem obok najświętszej Marji matki Pańskiej i dziewiczego ulubieńca Jana? któż to z taką miłośną pokorą i bolem obejmuje krzyż? to Magdalena, co nie opuściła Jezusa, gdy go wszyscy opuścili, niezwątpiła choć zwątpili Apostołowie; Magdalena, gorąca miłośnica Pańska! A ktoż to czuwa u grobu Jezusa płacząc, kto pierwszy przybywa z woniami i kwieciem, i z tęsknotą woła, znalazłszy grób próżny:

— Gdzie Pan mój? oddajcie mi go!

Któż najpierwszy dostępuję łaski oglądać Jezusa po zmartwychwstaniu? To Magdalena. Jezus stanął przed nią i po imieniu zawołał: Marjo! a ona już była u nóg Pana swego! i pierwsza niosła wielką wieść zmartwychwstania do Jerozolimy. Cóż wtedy uczyniła Marta? W cichości zapewne i utajeniu modliła się, płakała i radowała potem z chwały. Po Wniebowstąpieniu Pańskiem i wzroście pierwszego Chrześćjańswa, gdy prześladowanie wielkię spadło na wiernych, Magdalena i Marta z bratem uchodzić musiały z ziemi świętej, jako najgorliwsi wyznawcy Chrystusowi i morzem na okręcie szukać schronienia w dalekich stronach. Wola Boża zawiodła ich na brzegi południowej Francji, i tam obie siostry spędziły resztę życia w wielkiej świętości. Magdalena opuściwszy wszystko udała się w pustynię dziką i tam w dziwnych dziełach pokuty, w głębokiej bogomyślności, w trapieniach wielkich, zatopiona w Bogu, dostąpiła łask i objawień cudownych, aż duch jej wyzwalając się zupełnie z ciała, uleciał nareszcie do Boga. Przed śmiercią swoją anielskie muzyki słyszała i ujrzała Chrystusa, Pana swego ulubionego wzywającego ją słodko, a ona jak zwykle niegdyś czyniła, przypadła do nóg Jego z niebieską rozkoszą. Duszę jej niesioną do nieba, widziała zdala mieszkająca siostra jej Marta, która zwyczajem swoim gospodarnym zebrała sobie panienki i niewiasty, i założyła rodzaj domu świętego, niby zakonu i ucząc je prawdy Bożej, dobrze czyniąc bliźnim i pracując do zgonu, wkrótce po siostrze swojej, szczęśliwie umarła. Przed śmiercią przyszedł do niej Chrystus, gość jej niegdyś święty i rzekł jej:

— Marto! tyś mię gościła w domu swoim, pójdź już do gościny mojej wiekuistej po nagrodę twoją!

Marta ku gościowi swojemu korne wyciągnęła ręce i przeszła błogo z tej ziemi wygnania i pracy do wiecznego przybytku szczęścia i spoczynku. Niewiasto chrześciańska! jeżeli chcesz ażeby Chrystus wstępował w twoje progi z błogosławieństwem jak w progi Marty gospodyni, bądź jak ona pracowita i skrzętna, nie frasuj się zbytnie, ale ufaj w Bogu i spokojnie, wiernie, twoje choćby najmniejsze pełń obowiązki; pełniąc

je służysz Chrystusowi, sposobiąc rodzinie, dziatkom wygodę i usługę, sposobisz je samemu Chrystusowi; gromadząc uczciwie dobytek, zarabiając na życie, gromadzisz i zbierasz z Jezusem; wspierając ubogiego przechodnia, wspierasz i gościsz Jezusa, bo każden kaleka, staruszek, sierota, to Jezus, Jezus zaprawdę, jako to sam powiedział. Przestrzegaj w domu zgody, uczciwości, trzeźwości, czuwaj nad cnotą dziatek i sług, a do takiej zagrody wejdzie Jezus i zasiądzie za stołem twoim. Gdzie krzyk, obraza boska, niewstydność, opilstwo, tam Jezus nie wstąpi, ale ominie... i biada tej zagrodzie gdzie go niemasz, gdzie go wygnano przekleństwem, próżniactwem lub rozpustą. Jeżeli chcesz aby cię Chrystus miłował jak Magdalenę i odpuścił wszelkie winy, przebywaj zawsze pokornie u nóg Jego i słuchaj słów Jego, to jest módl się serdecznie choć nie długo, kochaj się w kościele i kazaniach choć w święto, przystępuj z wielką skruchą do sakramentów św., i za każdą razą stawaj się lepszą a grzechów unikaj. Przedewszystkiem szukaj zbawienia duszy a reszta przydana ci będzie, a że szukać zbawienia jest to kochać Boga, pełnić Jego przykazania a zatem pełnić wszystkie obowiązki swoje jako chrześcianki, gospodyni, żony, matki, więc ślicznie się tu łączy urząd Marty i urząd Magdaleny. Jednę naśladując w pracy, drugą w miłości Bożej, bądźcie według słów Pawła Apostoła: Nie leniwi, a duchem gorący. Kto nie leniwy do rzeczy Bożych, nie leniwy i do pracy. Magdalena ubiegała wszystkich w gorliwości dla Jezusa, Marta ubiegała w usłudze i robocie. Czyńcie podobnie o ile łaska Boża i siły wasze mogą. Chęciom poczciwym, przy całej stałości ludzkiej, przy przeszkodach różnych, Bóg przychodzi w pomoc, a ten co z grzesznicy zrobił wielką świętą, dopomagać wam i wspierać was będzie.

Przyjdzie godzina i prędzej nim się domniemacie, w której Gość niebieski przyjdzie i wierne sługi, dobre gospodynie, cnotliwe niewiasty, po trudach, pracy i cierpieniu zawoła do gościny wiekuistej! Szczęśliwa która wtedy głos ten usłyszy z radością...

B. E.

Piosnka pracowitych parobków.

Ja parobek, ty parobek,
Chodźmy oba na zarobek!
Mamy zdrowe ręce obie,
Ty zarobisz, ja zarobię.

Bez zarobku wyżyć trudno,
A bez pracy smutno, nudno,
Już pożółkło w polu zboże,
Nuże! hola! nie pomoże.

Ja parobek, ty parobek,
Chodźmy oba na zarobek,
Czyli tędy, czy owędy,
Pracowitym radzi wszędy.

Dalej bracie tylko żwawo,
Smagaj cepem w lewo, w prawo,
Korzec zboża niby piórko,
Nieśże prędzej przez podwórko.

Ja parobek, ty parobek,
Chodźmy oba na zarobek,
Ja nie stary a ty młody,
A więc bracie nuż w zawody.

Co tam bieda, co tam troska!
Jest nad nami ręka boska,
Kto pracuje, ten w potrzebie,
Zawsze znajdzie pomoc w niebie.

Ja parobek, ty parobek,
Idziem sobie na zarobek,
I ty słuchaj naszej rady:
Kochaj pracę, chroń się zwady,

Pracuj tydzień a w niedzielę,
Choć godzinę bądź w kościele,
Po nieszporach podskocz sobie,
A jak umrzesz, spoczniesz w grobie.

S. K.

Anioł na drodze.

Wieczór był cichy, pogodny. We wsi Późnikach, poczciwy Bartłomiej, wójt, z dwoma sąsiadami Wojciechem i Józefem siedział przed domem i gawędził. Bydło z pola wracało, pędzili je chłopcy brudni, obdarci z rozczóchranemi głowami.

— Bieda, bieda u nas, utyskiwał wójt, co to będzie kiedyś z tych dziecisków? Rodzice o nich nie dbają, szkoły nie mamy, do kościoła daleko; oj Boże, Boże, zmiłuj się nad nami.

A w tem przemknął się chłopczyna jakiś, może ośmioletni, w białej koszulce, z książeczką pod pachą, a przechodząc mimo, uchylił kapeluszyka i pięknie pochwalił Pana Boga.

Wójt z radości aż podskoczył na ławce.

— To jedyne dziecko w całej wsi, co z niego będzie człowiek. Jasiu pójdźno tu bliżej, pokaż nam książeczkę, powiedz czego się uczysz.

Zbliżył się chłopczyna, skłonił się grzecznie wójtowi i obu starszym gospodarzom.

— Któż ciebie uczy? zapytał Wojciech.

— Panicz.

— A przecie panicz w szkołach, odezwie się Józef.

— Przyjeżdża co lato i mnie uczy.

— A nie zapomnisz tego przez zimę, czego się w lecie nauczysz? zagadnie znów Wojciech.

— Zapominałem z początku, ale teraz już nie.

— I gdzież cię panicz uczy? czy chodzisz do dworu? pytał wójt.

— Nie, panicz wychodzi co dzień na pole i jak mnie ujrzy, pokaże mi to i owo, a ja się już potem sam uczę, póki znowu nie ujrzę panicza.

— A dużo już umiesz?

Jaś na wszystko przytomnie odpowiadał, wójt go pogłaskał i rzekł:

— Dobrze robisz chłopcze, że się uczysz, bo nauka to największy skarb człowieka, to światło w ciemności, w przygodzie ratunek, w utrapieniu pociecha. Kto chętnie i z pilnością szuka nauki, ten koniecznie musi być szczęśliwym, a nawet majątku i sławy między ludźmi nabędzie.

Bardzo się te słowa spodobały Jasiowi, bo dla niego nauka była dotychczas zabawką, — dopiero teraz po raz pierwszy usłyszał, do czego ta zabawka może go doprowadzić. Toż tak sobie nabił głowę, że zasnąć nie mógł, jeno myślał ciągle nad tem, co wójt powiedział i tak było nazajutrz, tak przez wszystkie dni następne, póki panicz znowu do szkół nie odjechał. Ba i potem nie zapomniał jeszcze, ale wówczas już nie mógł wytrzymać, jeno naprzykrzał się rodzicom, aby mu pozwolili chodzić do szkółki, a gdy rodzice pozwolili, chodził pilnie i uczył się bardzo dobrze. Do szkółki było bardzo daleko. Jak przy-

szła zima mroźna, śniegi zawiały, nie chcieli go puszczać rodzice aby gdzie nie zmarzł na drodze, ale jego nie można było niczem zatrzymać, taki był zapalony do nauki, do tego skarbu, co jak pan wójt powiedział jest światłem w ciemności, rutunkiem w przygodzie, pociechą w utrapieniu a z czasem przynosi szczęście, majątek i sławę, i marzył sobie malec jaki to on kiedyś będzie szczęśliwy, bogaty, jak go ludzie szanować będą i kiedyś wójtem obiorą.

Po kilku latach Jaś wyrósł na Janka i musiał przerwać nauki, bo trzeba było ojcu pomagać. Z ciężkością mu to przyszło, bo jeszcze nie zaznał w nauce ani jednej z tych słodyczy, które mu stary wójt obiecywał. Ale nie mogło być inaczej bo ojciec był już w latach a miał tylko jego jednego. Nabyta nauka nie poszła w las. Janek był zawsze skromny, przyzwoity, obyczajny, cichy i wzrastał na cnotliwego a pracowitego młodzieńca, nie tak jak inni parobcy, dla których niczem było czas marnować w karczmie, albo bijatyki wyprawiać jak to u starszych widzieli. Chociaż ciągle był zajęty przy gospodarstwie, zawsze znalazł chwilkę do czytania pożytecznych książek, tylko z tego miał wielkie zmartwienie, że taka chwilka rzadko się zdarzała, a ojciec skąpił na książki.

W tem zabrał mu pan Bóg niespodziewanie oboje rodziców. Był to wielki cios dla Janka, co jako dobre dziecko rodziców czcił i kochał, ale przypomniał sobie co mu niegdyś stary Bartłomiej powiedział, że nauka będzie dla niego pociechą w utrapieniu; szukał więc tej pociechy w czytaniu i znalazł ją. A gdy już odbolał stratę rodziców i objąwszy gospodarstwo, został samowładnym panem swojego czasu i majątku, mógł już znacznie więcej jak dawniej oddawać się naukom. Nikt go nie naglił do roboty, nie potrzebował nikomu rachować się z pieniędzy, toż jak tylko miał jaki grosz, spieszył zaraz do miasta po książki a po całych dniach czytywał albo pisał. Ale przez to zaniedbywał gospodarstwo. Czy to przy orce, czy przy żniwie, czy przy młocce spieszył się na łeb na szyję, byle prędzej skończyć, aby mieć więcej czasu do czytania, a przy takim pospiechu nic porządnie nie zrobił. Pole niedbale uprawiane coraz mniej rodziło, chudoba schudła, zmarniała,

strzechę na domu deszcze podziurawiły a nie miał jej kto naprawić. Sam chodził brudno, obdarto, jakby nie miał za co dać chust wyprać, albo nowej przyodziewy sprawić.

Co się z nim potem stało opowiemy wam w przyszłym numerze.

Jak sobie pierwszy król Polski Mieczysław radził z Niemcami?

Pierwszy chrześcjański król polski Mieczysław I. chociażby był nic więcej nie uczynił, oprócz tego jednego, że lud swój nakłonił do przyjęcia wiary świętej, już by dla nas był dość wielkim i sławnym, ale ma on jeszcze inne zasługi. Nie łatwa to rzecz była utrzymać w karbach lud ciemny, świeżo nawrócony, co w ciemnocie swojej może i żałował starych bogów, może i rad był powrócić do bałwochwalstwa, nie łatwo mu było obronić się poganom, co naokoło z Polską sąsiadowali a teraz ją za to, że z niemi zerwała, znienawidzili. Ale to wszystko niczem było w porównaniu z tem, co Mieczysławowi groziło od Niemców; byli oni bowiem wówczas napotężniejszym narodem na świecie i czyhali na to aby zgnieść młodziuchną i jeszcze słabą Polskę.

Mieczysław umiał sobie dać radę ze swymi poddanymi a pogańskich sąsiadów przetrzepał kilka razy i mieczem swoim przymusił siedzieć cicho. Z Niemcami trzeba było radzić sobie inaczej. Przysłowie mówi: gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleść, — skoro nie można być odważnym lwem, trzeba być chytrym a przebiegłym lisem. Tak sobie Mieczysław postępował. Zaprawdę jedyny to był sposób, aby wybrnąć na otwartą drogę. Mieczysław ciągle Niemcow zapewniał o swojej przyjaźni, jeździł kilka razy do cessarza niemieckiego, kłaniał mu się i hołdy składał wraz z innymi książętami. Gdy się zbuntowali Słowianie pogańscy, co Niemcom podlegali, i poczynili w niemieckim kraju wielkie spustoszenie, Mieczysław poszedł Niemcom pomagać, a cesarzowi niemieckiemu powiózł

nawet w podarunku wielbłąda Taki był pokorny, że w obecności cesarza niemieckiego i jego najwyższych urzędników nie śmiał usiąść gdy oni stali, ani we futrze pokazać się, przed nimi. Na tej zaś uległości lisiej bardzo dobrze wychodził bo nietylko miał spokój od Niemców, ale czasem i pomoc od nich dostawał; niestety tylko czasem, bo mu nie pomogli ani wtedy, gdy Czesi Kraków zabrali, ani wtedy, gdy Rusini wydarli Polsce Przemyśl i inne zamki, co od wieków do Polski należały.

Niemcy jednak mieli zawsze wielką ochotę zawojować Polskę i czyhali ciągle na jej zgubę. Niektórzy niemieccy grafowie widząc Mieczysława takim zawsze pokornym i uniżonym, wzięli to za znak jego słabości, z pogardą na niego poglądali i gotowali się na Polskę uderzyć z wojskiem. Mieczysław obaczywszy to, postąpił sobie jak ów lis, co widząc, że przebiegłością wskórać nie może, wyszczerza nakoniec zęby i pokazuje pazury. Zebrał wojsko i jednego grafa Udona, przed którym nieraz usiąść nie śmiał, tak tęgo dwa razy przetrzepał, że graf jak niepyszny musiał ze swymi Niemcami umykać z pola bitwy. Były oto skargi do cesarza, i cesarz się bardzo rozgniewał na Mieczysława, ale Mieczysław pojechał zaraz do niego i tak go swoim hołdem, uległością i podarkiem udobruchał, że wnet znowu zgoda nastała.

Skoro jeden cesarz umarł, a Niemcy drugiego obierać mieli, Mieczysław musiał się do tego wmięszać, ale nie myślcie że on się bardzo o to troszczył, aby Niemcy mieli dobrego cesarza; gdzietam! On takiego popierał, który się najniedołężniejszym wydawał, aby go mógł, z łatwością w pole wyprowadzać. Jeżeli mu się zaś nie udało, i właśnie ten został cesarzem, którego najbardziej sobie nie życzył, Mieczysław nic się tem nie zrażał, ale o ile był dawniej nowemu cesarzowi przeciwny, o tyle znowu teraz nadskakiwał mu, mydlił mu oczy swoję uległością i udawał pokornego.

Tym sposobem Mieczysław uratował Polskę od napaści niemieckiej. Przyszedł czas, że Niemcy się poznali na tej chytrości polskiego króla, poznali że tylko udawał życzliwość

dla nich a uległość dla ich cesarza, w sercu zaś nienawidził ich i rad ich był wszystkich w łyżce wody potopić, ale gdy go chcieli za tę przebiegłość ukarać, Mieczysław już nie żył, a na tronie polskim siedział syn jego Bolesław, który ojca przewyższał chytrością, a oprócz tego był taki dzielny, taki potężny, że go się bali wszyscy sąsiedzi, nie wyjmując i Niemców.

Nieco o Danji i o tamtejszych chłopkach.

Kraj ten co nazywa się Danja, nie jest wam obcy mili gospodarze, bo macie synów przy wojsku, co tam przed niewieloma laty byli na wojnie, toż wam nie jedno o tej Danji opowiadać musieli.

Danja składa się z półwyspu, to jest kawału ziemi morzem z trzech stron oblanego i kilku wysp. Nadmorski to kraj, toż morze jest Duńczyka zaufanym przyjacielem, a tysiące statków na około wybrzeży krążą jakby rozpierzchłe stada gęsi i kaczek i wracają z bogatym łupem. Ale często przyjaciel zmienia się w żarłocznego potwora i pochłania ogromne kawały ziemi. Na wschodniem wybrzeżu półwyspu skały wapienne i kredowe bronią wodzie morskiej przystępu, ale na zachodniem, morze od wieków wrzyna się w ląd i tworzy wcięcia i zatoki. Gdzieindziej znowu wznoszą się góry z piasku morskiego, ciągnące się milowemi pasmami, na dziesięć do pietnastu łokci wysokie, które często zasypują uprawne pola i zagrzebują domy. Z poodrywanych kawałków stałego lądu potworzyły się tu i owdzie wysepki, które często morze zalewa, i dlatego jeżeli kto chce budować się na takiej wysepce, to musi najprzód usypać z piasku i ziemi dość wysoki pagórek i dopiero na tym pagórku chatę stawia.

W południowej części kraju duńskiego to jest w Szlezwiku i Holsztynie, które to krainy w ostatniej wojnie duńskiej Prusacy zagarnęli, są pobudowane sztuczne tamy i groble dla ochrony od morskich bałwanów. W krainach tych gospodarstwa

włościańskie wyglądają tak: Zielony trawnik otacza każda zagrodę i poboczne budynki. Na około idzie szeroki, głęboki rów, którego brzeg wewnętrzny jest obsadzony drzewami, tak że wierzchołki domów wyglądają zawsze z pośródka drzew. Wjeżdża się przez wysoką bramę. Z tyłu leżą grunta do właściciela należące. W każdym domu można widzieć bardzo porządne sprzęty, szafy dębowe i orzechowe, naczynie porcelanowe i srebrne, a wszędzie przestrzegają jak największej czystości, toż nigdzie proszku nie ujrzysz, a we wszystkich izbach nie znajdziesz takiego miejsca, nie wyjmując nawet wierzchu pieca, gdziebyś nie mógł położyć najbielszej chusty. Takie urządzenie domów, jest skutkiem zamożności gospodarzy i urodzajności ziemi, przytem w Holsztynie i Szleswiku kwitnie gospodarstwo mleczne, a możnaby powiedzieć, że Holsztyn jest ojczyzną dobrego masła i sera.

Wszystko tu bardzo okazałą ma postać. Ludzie są dobrej tuszy i pięknie zbudowani, konie rosłe równie jak woły. Odpowiada temu wszystkiemu powierzchowność kraju: pagórki, i doliny, jeziora i łąki, lasy dębowe i bukowe obok pól pszenicznych. W stronie zachodniej bydło całe dnie przepędza na łanach koniczu, płotem otoczonych, jedna zaś krowa daje dziennie sześćdziesiąt do ośmdziesięciu kwart mleka. Koń holsztyński jest wyborny do pociągu i jak się zdaje największy w tamtych krajach.

Wszystkie pola są tu obwiedzione żywemi płotami z głogu i leszczyny. Domy po wsiach są rozrzucone, i tylko kościół bywa otoczony kilku zagrodami razem stojącemi. We wsiach rybackich ciągną się domostwa długim porozrywanym szeregiem.

Wnętrze półwyspu duńskiego jest jałowe, przerznięte szerokiemi ławicami piasku, wznoszącemi się bardzo wysoko, szczególnie ku północy ciągną się rozległe płaszczyzny piaszczyste, gajami zacienione, gdzie wypasają się stada owiec. Zatrudnienie gospodarzy zależy od rodzaju ziemi. Kobiety tkają sukno i płótno, robią pończochy i tiuliki, mężczyzni zaś uprawiają rolę, puszczają się na morze, łapią ryby, polują na ptaki morskie, które wszędzie w licznych stadach unoszą się nad brzegami

morza i jezior; na wiosnę zbierają na brzegach bursztyn, który burze wyrzucają na ląd, w jesieni podbierają miód, a głównem ich pożywieniem jest tatarka czyli hreczka, której też sieją tam bardzo wiele. W zimie zamiast śniegu i lodu często tylko mgła wilgotna okrywa ziemię, wówczas wieśniak zajmuje się różnemi domowemi pracami, i wyrabia trzewiki drewniane. Zwyczaj noszenia drewnianych trzewików, panuje od granicy szlezwickiej w całej Danii. Bywają takie trzewiki dość zgrabne, ozdobione na wierzchu blaszką mosiężną. Wszyscy je tu noszą, nawet ludzie, co idą do miasta na służbę, nie lubią innych butów i narzekają, że im w skórzanych źle stąpać po kamieniach, za to para takich trzewików kłapie po bruku jakby szło ze sześć koni kulawych. Pomimo tego chodzą zgrabnie i trzymają się prosto, do czego wprawiają się przezto, że pomniejsze ciężary noszą zawsze nie w rękach ale na głowie.

Najgłówniejsza wyspa duńska nazywa się Zelandya. Tam jest miasto stołeczne kraju, które się nazywa Kopenhaga i tam mieszka król. Brzeg Zelandyi bardzo piękny. Gdy się tam przybliżasz na okręcie, widzisz z dala błonia zielone, chaty rybaków i ich samych zapuszczających sieci, opodal znowu ujrzysz piękną jaką wioseczkę, albo kościół, albo jezioro. Na powierzchni wody ślizga się mnóstwo czółen, statków i łodzi, na nich siedzą majtkowie, czyli żeglarze, i nawzajem pozdrawiają się wesoło. Na Zelandyi ziemia jest urodzajna, lasami i pagórkami poprzerzynana, powietrze zdrowe, mieszkańcy zaś pracowici i roztropni, toż mają się dobrze i głodu nie znają, o czem się zaraz przekonasz, jak tylko na nich popatrzysz, bo każden ma policzki pełne, rumiane, każden się przyzwoicie odziewa, ładnym wózkiem i dobremi konikami jedzie na targ do miasta. Lud jest bardzo pracowity i zajmuje się najwięcej uprawą roli, a kobiety i dzieci, nawet siedmio i pięcioletnie trzymają ciągle druty w rękach, i dzieją albo pończochy albo inne robótki. To tylko dziwne, że tam lud wiejski nigdy nie śpiewa piosneczek jak u nas.

Domy po wsiach na Zelandyi leżą porozrzucane między polami do nich należącemi, są po większej części z gliny ule-

pione i pokryte słomą albo trzciną. Przed domami zwykle nie ma podwórka tylko gnojnica i zaraz obok ciągnie się pole. Płóg i brona są jedynemi narzędziami rolniczemi tu używanemi. Konie na Zelandyi są średniej wielkości i dobrze zbudowane; kark mają nie długi ale mocny, przytem piękną grzywę i ogon co się zowie, krowy są dość wielkie, owce nieszczególne. Bydło po całych dniach pasie się na skoszonych łanach koniczu.

Duńczycy są ludzie spokojni nie kłótliwi, ale ogromnie gadatliwi, i to jest u nich zabawne, że każdy co chwila coś z kieszeni wyciąga i je. Owoż tym sposobem nietylko ręce, ale i usta i brzuch nieustannie pracują. Lubią we wszystkiem wygodę, a nie mogą znieść opiętej sukni albo ciasnej chustki na szyi. Są otwarci i szczerzy, u każdego co w sercu to i w ustach, poczciwi, rozsądni we wszystkiem co tylko czynią; dla cudzoziemców uprzejmi i gościnni, dla sierót i wdów, dla ubogich i chorych wylani. Jedną z najpiękniejszych ich cnot jest miłość ojczyzny. Duńczyk kocha swój kraj i chętnie niesie mu w ofierze życie i mienie. Lubi czytać stare dzieje swojej ojczyzny, toż wie jak to dawniej bywało, i ile razy zeszle Bóg na kraj złą dolę, wojnę i klęski, pociesza się, że dawniej nieraz i gorzej było, a przecie Bóg łaskaw złe w dobre przemienił.

RÓŻNOŚCI.

(Pająk minier.) Jest jeden osobliwy pająk, który się nazywa minier. Ten pająk wygrzebuje sobie na mieszkanie dołek w glinie w kształcie naparstka, ściany tego dołku wylepia bardzo trwałym kitem, i od góry przyprawia drzwiczki, które się tak całkiem zamykają jak drzwiczki w samotrzasku do łapania ptaków. Drzwiczki te są przymocowane do ściany niciami, które pająk sam sobie przędzie. Po tej stronie drzwiczek gdzieby powinien być zamek, robi pająk maleńkie dziureczki, i gdy go jaki robak ściga, to on wpadłszy do swego domku wsadza nogi do tych dziureczek i tak mocno drzwi trzyma, że ich nigdy nieprzyjaciel nie otworzy.

(Lekarstwo na paskudnik.) Znaną jest gospodarzom choroba u bydła rogatego i koni zwana kolkami w brzuchu albo paskudnikiem, której bydło najczęściej dostaje, gdy się obje koniczu zielonego. Jestto choroba bardzo trudna do wyleczenia a nawet mówią niektórzy że nie ma na nią lekarstwa. Ale jeden doświadczony gospodarz przekonał się, że wybornem na tę chorobę lekarstwem jest kamfina czyli nafta, jakiej się teraz zamiast oleju do świecenia używa. Zadaje się zwykłym sposobem z flaszki. Jak tylko kto postrzeże że jego bydlę drepce nogami, wącha po sobie i pokłada się, to jest znakiem, że cierpi na paskudnika, czy jak tam kto nazywa tę chorobę. Wówczas zadaje się bydlęciu kwaterkę nafty, i to powinno pomódz, a jeżeli nie pomaga, to trzeba po kwadransie zadać drugą kwaterkę a czasem i trzecią. Koniowi dość jest zwykły kieliszek, ale trzeba mu przy zadawaniu lekarstwa mocno zacisnąć nozdrza i tak trzymać zaciśnięte póki nie połknie, co czasem trwa sporą chwilę.

(Wiory i jaki z nich pożytek.) U nas, jak gdzie jest fabryka, a stolarze narobią dużo wiorów, to ludzie zbierają te wiory i palą niemi. Ale to się pali jak słoma i nie wielki z takiego ognia pożytek. W tej części ziemi, która się zowię Ameryką, kładą wiory do maszyny, i maszyna rozdziela je na cieniuteńkie wstążeczki. Temi wstążeczkami wypychają poduszki do powozów, stołki do pańskich pokojów, a te poduszki i stołki choć tylko wiorami wypchane, mają być takie miękkie i trwałe, jakby końskim włosieniem wysłał.

(O sadzeniu drzewek.) Czas sadzenia drzewek jest jesień i wiosna, kiedy już drzewa potraciły liście, lub się jeszcze nie rozwijają. Jeżeli można, dobrze jest, chcąc na wiosnę sadzić, doły już przed zimą pokopać. Wykopuje się doły ośm łokci jeden od drugiego, w dobrej ziemi łokieć szerokie, łokieć długie i łokieć głębokie; w piaskach i bardzo mocnej glinie trzeba większe doły kopać, żeby cokolwiek dobrej ziemi w nie wsypać zanim się drzewko wsadzi. W te doły wstawia się drzewko i wolno ziemią zasypuje, uważając na to, żeby wierzchnia żyźniejsza ziemia przyszła na korzenie, gorsza na wierzch Jak się zasypuje, trzeba od czasu do czasu drzewko poruszyć, ażeby korzonki się nie pozaginały i ziemia wszędzie między nie się dostała. Skoro już korzonki przykryte, trzeba ziemię mocno udeptać i resztę dosypać, udeptując ją również. Drzewko tak wsadzone trzeba podlać, jeżli można wodą, zmieszaną z trochą gnojówki. Przy sadzeniu trzeba najwięcej na to uważać, żeby drzewek zbyt głęboko w ziemię nie wsadzić, bo później źle rodzą. Łatwo poznać można jak głęboko dawniej stały w ziemi, tak je też znów w ziemię wsadzić trzeba. Zanim się drzewko wsadzi, trzeba zbytnie gałązki skrócić trochę nożem ostrym, a takie drzewko lepiej się później rozwija.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 8.

11. września 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Anioł na drodze.

(Dokończenie.)

Wojciech i Józef, dwaj gospodarze, co dawniej kochali i szanowali rodziców Janka, jego zaś dzieckiem znali, widząc że Janek ták sobie źle poczyna, uradzili upomnieć go po ojcowsku i pewnej niedzieli wybrali się do niego. Nie było z nimi starego wójta Bartłomieja, bo już nie żył.

Janek zamiast wziąść sobie do serca poczciwe rady przyjaciół obruszył się tem wielce, że go chcą odwodzić od nauki a do pracy koło roli zachęcać.

— Prostaki jesteście, krzyknął, u mnie nauka nad wszystko; ale kto gnojem przesiąknie, to się na tem nie rozumie.

Gospodarze usłyszawszy taką mowę, zmartwili się bardzo że ich dobre chęci tak źle przyjęto.

— Mój Janku, tyś to prostak, rzecze mu Wojciech, kiedy nawet nie umiesz uszanować siwych włosów.

Janek jeszcze się bardziej obruszył.

— Co wam do mnie, pilnujcie sobie swoich synalów, co tacy mądrzy jak i wy, a mnie dajcie pokój.

Gospodarze wynieśli się nic nie mówiąc, jeno Józef obrócił się jeszcze w progu i pogroził pięścią Jankowi:

— Poczekaj mędrku, pożałujesz ty tego!

Jakoż Janek pożałował swojej porywczości i swego pyszałkowstwa jeszcze tej samej niedzieli, bo gdy przechodził drogą, rzuciło się na niego kilku parobczaków, wciągli go do karczmy i zbili na kwaśne jabłko.

Nie było nikogo coby Janka pożałował, owszem wszyscy się śmiali z niego:

— Dostał mędrek po czuprynie! powtarzał jeden.

— Szkoda że sobie nie wysłał pleców książkami, zauważył drugi.

Odtąd w całej wsi szydzili ludzie z Janka i z jego nauki i z jego upadającego gospodarstwa a skazując palcami na niego i na jego walącą się chatę, wzruszali ramionami z politowaniem i dziwowali się do czego to nauka doprowadzić może. Wszyscy stronili od niego a żadna z dziewek nie byłaby poszła za niego; nawet jednooka Maryna, najbrzydszą w całym Późniku, odwracała się od Janka, szukając dla siebie godniejszego męża.

Janek uczuł się wkrótce bardzo nieszczęśliwym.

— O! nauka szczęścia nie daje, rzekł raz sam do siebie. Oszukał mnie stary, gdy mówił, że prowadzi do majątku i sławy, bo oto na mnie ściągnęła nędzę i szyderstwo. Gdybym go był niesłuchał, byłbym dziś takim prostaczkiem jak drudzy, ale szczęśliwym jak oni i dobrze by mi z tem było. Przeklęte książki! ileście wy mi przyniosły nieszczęścia! O Bartłomieju! kiedyś mię widział na złej drodze, czemuś mnie nie odwiódł, jeno popychał jeno zachęcał?

Odtąd porzucił książki, ani nie zajrzał do żadnej; ale ponieważ odwykł od ciężkiej pracy i teraz jeszcze nie bardzo pilnie pracował koło gospodarstwa, jeno po całych dniach siedział zadumany, zgryziony, żałując lat zmarnowanych. W tem zmartwieniu przyszło mu na myśl stare przysłowie: na frasunek

dobry trunek. Zachciało mu się zakosztować tego lekarstwa i wybrał się do karczmy. Ale wstydził się pójść do karczmy w swojej wsi i poszedł aż do drugiej. Idąc tam, musiał przechodzić koło szkółki i kościoła; przypomniał sobie dziecinne lata, rozrzewnił się bardzo, aż tu idzie ksiądz proboszcz, ten sam co go niegdyś uczył katechizmu. Skłonił się mu, ksiądz go poznał zaraz i zatrzymał.

— Jak się masz Janku? co u ciebie słychać? jak ci się powodzi?

Janek stanął, odkrył głowę, a tak mu się smutnie zrobiło że się ledwie nie rozszlochał.

— O mój jegomość kochany, rzekł — źle mi się powodzi książki mię zgubiły..., i dalejże opowiadać księdzu wszystkie swoje nieszczęścia i zmartwienia; jeno tego nie powiedział gdzie teraz idzie, bo go wstyd było.

Ksiądz go wysłuchał uważnie, wyrozumiał i pomyślawszy chwilę rzekł tak:

— Sameś sobie winien mój Janku. Mędrek i pyszałka niewart jeno wzgardy, a taki co się uczy, ale z nauki nie umie czerpać pożytku, gorszy jest od największego prostaka. Moja rada taka: Najprzód pojednaj się z ludźmi; kogoś obraził, przeproś, a kto ciebie obraził, temu odpuść, książek zaś nie odrzucaj, nie wyrzekaj się ich, ale czytaj nie dla tego aby czytać, albo ciekawość zaspokoić, tylko dla tego, żeby z przeczytanego mieć pożytek. Czytasz historje święte, ucz się z nich jakim masz być względem pana Boga, czytasz historję swojego narodu polskiego, ucz się z nich jacy to byli nasi przodkowie i staraj się być takim, jakimi oni byli, a chroń się tego, co ich zgubiło; czytasz książki gospodarskie, które popisali nasi właśni polscy uczeni dla swoich rodaków, czemu z nich nie korzystasz? Masz tam naukę jak koło roli chodzić, jak bydlę pielęgnować, jak się sady zakłada, jak się pszczoły hoduje, a czemu tego wszystkiego nie czynisz co tam wyczytasz? Czytasz opisy różnych krajów dalekich, a czyś gdzie wyczytał aby był jakiś naród na świecie co by tam ludzie domów nie podpierali gdy im się walą, albo coby książki czy-

tali wtedy, kiedy w polu robota? Tak, tak mój Janku, nie dość czytać, ale trzeba ciągnąć pożytek z czytania, a pysznym nie trzeba być, gdy się więcej wie od drugich, bo i najmądrzejszy nie pojadł jeszcze wszystkich rozumów, a nie ma takiego prostaczka, od którego by się i największy mędrzec nie mógł czego nowego nauczyć.

Tak mówił ksiądz proboszcz. Słuchał go Janek z uszanowaniem, z spuszczoną głową, i rozważał sobie pilnie wszystko co słyszał. A gdy powracał do domu, bo już go odeszła ochota wstąpić do karczmy, dziękował Bogu, że mu pozwolił spotkać w sukni księżej dobrego Anioła, który go odwiódł od grzechu.

Przemówienie księdza proboszcza odniosło pożądany skutek. Janek wezwawszy Boga na pomoc, począł czynić to wszystko co mu ksiądz zalecił, i zrobił się nagle taki rzutki, taki obrotny, że aż się ludzie dziwowali. Urządził sobie gospodarstwo na taki sposób, jak to ludzie doświadczeni w książkach spisali, poprawił dom, założył sad z pasieką. Wszystko to nie odrazu się stało, trzy lata minęło nim wszystko do ładu przyprowadził. A co tylko robił to pierwej i do książek zaglądał, które o tem pisały i radził się starszych gospodarzy.

Od tego czasu zaczął stopniowo przychodzić do dobrego mienia, i odtąd już nikt z niego nie szydził, owszem garnęli się ludzie, aby go mieć pomiędzy sobą, i słuchali go chętnie gdy co mądrego opowiadał. Toż nie trudno mu było znaleźć sobie uczciwą dziewkę za żonę. Właśnie gdy się żenił, przyjechał panicz (ten sam, który go uczył w dzieciństwie), aby objąć gospodarstwo i dziedzictwo po ojcu. Zobaczywszy Janka gospodarstwo i starania, wydziwić się nie mógł jego rozumowi i nacieszyć tą myślą że to on dał temu wszystkiemu początek, a dowiedziawszy się że Janek się żeni, podarował mu na początek parę najpiękniejszych wołów ze swojej stajni. Odtąd Jankowi ciągle coraz lepiej się powodziło i miał u ludzi wielkie poważanie. Toż nic dziwnego, że gdy nie długo potem gromada miała obierać wójta, wszyscy byli zatem aby jego obrać.

Janek nie miał teraz do tego ochoty, i wymawiał się że czasu nie ma, bo i koło gospodarstwa było dość do roboty i do czytania zawsze spokojnej chwili potrzebował. Ale był we wsi staruszek jeden, Mateusz, niegdyś polski żołnierz, ten usłyszawszy że Janek nie chce przyjąć tak zaszczytnego urzędu, wmieszał się w tę sprawę i opowiedział mu ku nauce co następuje a cała wieś przysłuchiwała się pilnie opowiadaniu:

— Trzydzieści kilka lat temu, jak wybuchła rewolucja w Warszawie i Polacy bili się z Moskalami, a każden dobry Polak śpieszył do Warszawy pomagać swoim. Ja wtenczas służyłem we dworze. Jednego dnia nieboszczyk pan woła mnie do pokoju i tak rzecze:

— Mateuszu, wiesz co nowego? ja jadę do Warszawy.

— Domyśliłem się już po co i rzekłem jeno: — Jakto? sam?

— A nie sam, bo z tobą, odpowiedział pan.

— Łzy mi się zakręciły w oczach i rzekłem: Dla Boga, dla Boga, panie, u mnie w polu jeszcze nic nie zrobione, żona z niemowlęciem u piersi, nie da sobie rady, bo i niezdrowa jakoś — a jak mnie zabiją, co się z nią wtedy stanie? W tem pan mnie przeszył takim ognistym wzrokiem, aż ciarki po mnie przeszły i krzyknął groźnie:

— Mateuszu, toż ojczyzna woła a ty się ociągasz?

— Sprawiły te słowa na mnie taki skutek, żem jeszcze tej nocy przedzierał się z panem do granicy. Oj! czemuż dziś głos w mej starej piersi ochrypł, i ogień w oku wygasł, że i do ciebie Janku z takim samym zapałem zawołać nie mogę: „Janku, ojczyzna woła“; bo wieś i gromada to twoja ojczyzna, a to, co oni po tobie żądają, to obowiązek względem ojczyzny...

Jeszcze stary nie skończył, a Janek rozrzewniony rzucił mu się na piersi i dziękował za te jego słowa.

— Przyjmuję wybór, sąsiedzi, zawołał głośno, i tak mi panie Boże dopomóż, święcie dopełnię obowiązku względem ojczyzny.

Zostawszy wójtem Janek, poszedł zaraz nazajutrz do księdza proboszcza, aby mu jeszcze raz podziękować za jego rady i nauki, a gdy od niego powracał, wstąpił i na cmentarz aby się pomodlić na drodze starego niegdyś wójta Bartłomieja. Znalazłszy skromną mogiłkę, ukląkł na niej, modlił się długo, a gdy odchodził z tamtąd, szeptał sam do siebie:

Święte, wasze słowa Bartłomieju: nauka to skarb to światło w ciemności, w przygodzie ratunek, w utrapieniu pociecha. Kto chętnie i z pilnością szuka nauki, ten koniecznie musi być szczęśliwym, a nawet majątku i sławy nabędzie! Ale i wasze słowa księże proboszczu, święte są: nie ma takiego prostaczka, od któregoby i największy mędrzec nie mógł się czego nowego nauczyć. Ach! jakże wiele ja się od starego Mateusza nauczyłem! *N.*

Wójtowa córa.

Ptaszka lekkopióra,
Ta wójtowa córa,
Oczy czarne duże,
A lica jak róże.

Używał swobody,
Krakowiaczek młody,
Przy niej stał się tkliwy...
Oj dziwy! oj dziwy!

U chłopca co w głowie,
Co w sercu to w mowie;
Zakochał się w Zosi,
O rękę ją prosi.

I pędzi godziny,
Przy boku dziewczyny,
Aż powiędniał wszystek
Jak w jesieni listek.

Ściga ją oczyma,
Dogoni, zatrzyma,
— Zosiu stotysięcy,
Nie dręcz mię już więcej!

Ale Zosia płocha,
Stasieńka nie kocha,
Widzi jak usycha,
Przecie go odpycha.

Zaiskrzą mu oczy,
Na konika wskoczy:
— Bądź zdrowa na wieki,
Pójdę w świat daleki.

I w dalekie strony,
Pognał przez zagony:
— Żyj sobie szczęśliwa,
Mnie ojczyzna wzywa.

Przeszła noc, poranek,
Niewrócił kochanek.
Zosia główką wstrząsa,
Gniewa się i dąsa.

Boleść cierpi srogą,
Może łzy pomogą?
Toż żałosnym głosem,
Płacze nad swym losem.

Dziewczęta przybiegły,
Płacz Zosin postrzegły:
— Ej, teraz nie pora,
Trzeba było wczora!

Tak mija dzień po dniu,
Tydzień po tygodniu,
I roczek przeminął,
On już może zginął.

Żałosna dziewczyna,
Swą płochość przeklina,
I po kątach płacze:
— Czy ja go obaczę?

Za lasem, za górą,
Mkną żórawie chmurą,
Pędzą po murawie,
Ej! to nie żórawie,

Na konikach gonią,
Szabelkami dzwonią,
W rękach chorągiewki,
Hej! patrzcie no dziewki!

A ten co na przedzie,
Rząd krakusów wiedzie,
Poskoczy z kopyta
I o kogoś pyta.

Mignął między krzaki,
To nie on..., któż taki?
Zosia zdala stoi,
Domyślać się boi.

Prędko, coraz chyżej,
Coraz bliżej, bliżej,
Przypadł do dziewczęcia,
Porwał ją w objęcia,

Zosia się zapłoni,
Ale się nie broni,
— Dziewczyno, tyś moja!
— Ach twoja! ach twoja!

Matka błogosławi,
Wójt nauki prawi,
Zosia drużki sprasza.
Wiwat! wiwat nasza!

Gotowe wesele,
Ksiądz czeka w kościele,
Klękną na kolana,
Już para związana.

Wracają wesoło,
A krakusy w koło,
Na konikach gonią
Szabelkami dzwonią.

Stanisław Skiba,

opowiadanie o dawnej pańszczyźnie.

Siedział i czytał książkę Stanisław Skiba, znany nam z poprzednich numerów, gdy weszli do izby wójt, przysiężni i kilku starszych gospodarzy, dziękując mu za pośrednictwo

w kupnie lasu i pastwisk od dziedzica Dąbrowy; między nimi był i Szymon Świerk, który to koniecznie chciał procesu.

— Moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba, nie macie za co dziękować, bo to i dla mnie wypadło z korzyścią.

— Oj mamy za co dziękować, mówił wójt, bo jak byśmy byli nie słuchali, to i lasu i pieniędzy nie mielibyśmy. Kiedyś widziałem się w miasteczku z wójtem ze Zbirowa, który mi opowiadał, że się już od lat kilku procesują o lasy, i wszyscy się tak na ten proces pozadłużali, że niektórzy muszą już role sprzedawać, a do procesu namówił ich i prowadzi go ten sam pan Diebcejg, który i nami się chciał opiekować.

— I cóż? pytał się Stanisław Skiba — odebraliście od niego pieniądze, które mu Szymon dał na proces?

— Ale gdzietam, wyrachował za pisanie, za stęple i jeszcze chciał żeby mu dopłacić, odpowiedział przysiężny.

— A widzicie — mówił Stanisław Skiba, zwracając się do Szymona Świerka, że nie trzeba być tak łatwowiernym; przez to i sami straciliście i drugich przyprawiliście o szkodę.

— Ta i któż tam może wiedzieć, odpowiedział Szymon Świerk, może i to kupno na dobre nam nie wyjdzie, bo jak mówił pan Diebcejg, to kiedyś może dziedzic od nas odebrać cośmy od niego kupili a wyprocesowane byłoby pewniejsze.

— Chyba dla tego tylko, że byłby wyciągnął od was ostatni grosz; kupno jest zupełnie prawnie zrobione, i gromada jest już zaintabulowana, to jest kupno zapisane do ksiąg własności i zabezpieczone na wieczne czasy.

— Bóg tam raczy wiedzieć, kto ma słuszność — mówił Szymon Świerk; jak zacznie prawić i przedstawiać, to zdaje się że mówi świętą prawdę, a zawsze nas przestrzega, byśmy z dworem w zgodzie nie żyli.

— Tylko się zawsze procesowali, przerwał Stanisław Skiba — by on z tego ciągnął zyski.

— Straszy nas, mówił Szymon Świerk, że na nas panowie napowrót mogą nałożyć pańszczyznę.

— Ej! najlepiejby było, mówił Stanisław Skiba, żebyście więcej takich wydrwigroszów nie słuchali, co to chcą dla swej korzyści kłócić nas między sobą, pletą wam głupstwa, a wy wierzycie. Pańszczyzna, jak świat światem już się nie powróci.

— Jak ją dawniej panowie nałożyli, mówił Szymon Świerk, tak i później mogą nas do niej zmusić.

— Pan Diebcejg takie chciał nałożyć na was pańszczyznę, rzekł Stanisław Skiba, byście mu co chwila składali pieniądze. Starajcież się tylko by wasze dzieci uczyły się, to nie dadzą się przymusić do żadnej pańszczyzny ani do płacenia takim przybłędom jak pan Diebcejg. Jak ciemnota rodzi złe rzeczy, tak oświata je wykorzenia i do dobrego nakłania.

— A zkąd to wzięła się pańszczyzna? pytał się wójt.

— Przyszła bardzo prosto, mówił Stanisław Skiba. Dawniej gdy nie było urzędników ani becyrków, ani stałego wojska, byli starsi, którzy sądzili spory. Gdy trzeba było, to szli na wojnę, ci zaś co pozostali w domu obrabiali im rolę; a że wojna trwała prawie nieustannie, bo napadał Niemiec, Turek, Moskal lub Tatar, jedni więc się bili, drudzy w roli pracowali.

Z czasem robocizna przeszła w powinność, a ztąd początek pańszczyzny. Później, szczególnie na Rusi, gdzie zrabowane i wyludnione napadem wrogów ziemie dostawali na własność ci, którzy się odznaczyli w wojnie, znosili trudy wojenne i narażali swe życie w obronie całego kraju, ci nowi właściciele sprowadzali ludzi z dalszych okolic kraju, różnemi sposobami ich przynęcając. Obwoływali na różnych miejscach, na jarmarkach i praźnikach o zakładaniu osady na prawach s ł o b o d y, to jest z uwolnieniem od wszystkich powinności i danin na pewną liczbę lat, a gdzieniegdzie dla lepszego poznania na ile lat jest słoboda założona, wbijano na wygonie słupy na kształt krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy już te lata minęły, winni byli osadnicy opłacać czynsz właścicielowi ziemi lub odbywać nałożone powinności. W niektórych

miejscach dawano jeńcom wziętym podczas wojny do niewoli kawały lasu, które korczując przemieniali na orne pola. Ci byli także uwalniani na pewien przeciąg lat, i dopiero po upłynięciu tego czasu obowiązani bywali również do pracy lub danin.

— Czy to wszędzie tak było? zapytał się wójt.

— We wszystkich krajach chłop czyli włościanin był poddanym i zależnym od swego pana, któremu płacił czynsz, daniną lub robocizną, za to nie płacił takich podatków i nie służył w wojsku, chyba że szedł z własnej ochoty, za co mu płacono, lub czasem za odznaczenie się, robiono go szlachcicem czyli panem; dano mu jakąś włość i później sam miał swoich poddanych. Poddany zaś w każdym nieszczęściu miał ratunek u zwego pana, i tak gdy mu chata zgorzała to za darmo dostał drzewa, gdy mu chudoba wyzdechała, to ją dostał, i w każdej potrzebie uciekał się do swego dziedzica.

— To my byli jakoby komornicy? pytał się wójt.

— Tak jest, odpowiedział Stanisław Skiba, z początku byliśmy jako komornicy, później nam przyznano prawo niby wiecznej dzierzawy, a czynszem była nasza praca, i widzicie jasno zkąd się wzięła pańszczyzna. Ci co się osiedlali na gruntach dawanych im przez właścicieli za dobrowolną zgodą, podejmowali się warunków na się przyjętych. Tylko to było niedobre, że każden był uważany za poddanego.

— Jak mi mówił pan Diebzejg, odezwał się Szymon Świerk, z chłopem się tak obchodzono jak by nie był człowiekiem.

— Były wprawdzie nadużycia, mówił Stanisław Skiba, ale to wszędzie, nietylko u nas. W Niemczech taki pan, gdy w zimie na polowaniu zmarzł w ręce, to się w rozprutym brzuchu swego poddanego ogrzewał, i za to mu nic nie było; a w Moskwie do niedawna jeszcze było tak, że poddanych sprzedawano i rachowano na dusze, i tak mógł taki bojar czyli pan sprzedać męża od żony, lub żonę od męża, dzieci od rodziców, rozłączając ich na zawsze. Czasami się zdarzało, że poddany różnemi uczciwemi sposobami przyszedł do majątku, osiadł

w mieście, będęc kupcem lub jakim rzemieślnikiem, prowadził porządne życie, wychowywał delikatnie swoje dzieci, w tem taki bojar sprowadzał go lub dzieci jego zabrał do siebie, i musieli to robić co im kazano, czasem najcięższe roboty. U nas bywały także nadużycia, ale bardzo rzadko i tak wielkich nie było jak gdzie indziej, a gdyby który z was miał władzę i siłę, to tak samo by jej nadużywał, bo to już taka słabość ludzka, że kto może to swoją nad drugim wyższość i władzę ukazuje.

— Z jednej strony było to dobrze, mówił wójt, bo człek nie płacił podatków i nie chodził na wojnę; ale zawsze była to niewola.

— Były niektóre wsie, mówił dalej Stanisław Skiba, a których gospodarze poszli na wojnę z własnej ochoty, lub też co zrobili dla dobra kraju, to król uwalniał ich na wieczne czasy od pańszczyzny i mianował ich szlachtą, a taki szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie.

— Nie mogli tak wszystkich uszlachcić? wtrącił Szymon Świerk.

— Żeby byli wszyscy poczuwali się do obowiązku służenia krajowi w spokoju i wojnie, to byłoby pewno tak było, nawet za ostatniego króla polskiego zebrani na sejmie w Warszawie posłowie, uchwałą 3. Maja 1791 roku, zrobili początek do uwolnienia włościan od pańszczyzny, chcąc zachęcić do obowiązków względem swej ojczyzny, ale Moskal i Prusak, którzy już od dawna mieli zamiar rozdzielić między siebie kraje polskie, przeszkodzili temu, nie chcąc by naród polski wzrósł tym sposobem w potęgę, a i oni by musieli natenczas także i u siebie tak zaprowadzić. Zalali więc swojem wojskiem kraj polski, wzięli króla do Moskwy, senatorów powięzili i na Sybir wysłali, a krajem polskim się podzielili, i w zabranych ziemiach okropnych nadużyć się dopuszczali. Gdy Polakom jarzmo rosyjskie dokuczyło do ostatniego, zrobili powstanie roku 1830 i wypędzili Moskali z Warszawy i kraju. Podczas tego jedni się bili drudzy na sejmie radzili, i wtedy także

w Warszawie na sejmie radzono nad zniesieniem pańszczyzny, a najgorliwszym popieraczem był poseł z województwa krakowskiego, Szaniecki, lecz wkrótce upadek powstania przerwał zabiegi gorliwych o dobro ludu, a Moskale zaczęli gospodarować tak jak dawniej po całym kraju. Dopiero r. 1863 kiedy Moskale uciskiem wywołali znowu powstanie. Władza narodowa wydała dekret zniesienia pańszczyzny we wszystkich krajach dawnej polski, ale wtedy i rząd moskiewski toż samo uczynił, chcąc sobie przywłaszczyć pierwszeństwo. I w naszej krainie Galicji, która także do Polski należała, robiono usiłowania ku zniesieniu pańszczyny; i tak, w r. 1843 na sejmie we Lwowie (choć wówczas włościan tam nie było), uchwalono podać prośbę do cesarza o pozwolenie wysadzenia komisyi, któraby ułożyła projekt zniesienia pańszczyzny. Na co przyszła odpowiedź i po wielu staraniach wybrano taką komisję r. 1845, a kilka lat potem zupełnie zniesiono pańszczyznę.

Włościanie z uwagą słuchali tego opowiadania.

— Tak moi sąsiedzi, mówił dalej Stanisław Skiba, tylko postęp oświaty dał początek zniesienia pańszczyzny, tak samo oświata nie dopuści jej powrotu i nie potrzebujecie się obawiać ani wierzyć podszeptom złych ludzi, którzy dla swej korzyści chcą nas kłócić między sobą. A skoro będziemy oświeceni, co teraz nie jest trudno, bo każdy ma wolny przystęp do szkoły, to z pewnością nie damy się balamucić wydrwigroszom i żyć będziemy wszyscy w zgodzie jak równi z równymi.

— Gdzie tam panowie przystaną, wtrącił Szymon Świerk.

Tak wam się tylko zdaje, mówił Stanisław Skiba, ot widzicie, ja chłopski syn, a gdzie się tylko zejdę z którym panem, to mię serdecznie wita, rozmawia i zaprasza do siebie, choć wie o tem, że ja nie szlachcic; i na sejmie na jednych ławkach siedzą panowie i chłopi, tylko bieda że nasi włościanie nie mają tyle nauki by mogli być pomocnymi w pracy dla dobra kraju, bo tam tylko siedzą i czasami dają się jeszcze obałamucać takim co to sieją niezgodę. Teraz rozróżnia ludzi tylko wykształcenie, a zrówna nas wszytkich tylko oświata.

— Święta prawda, mówili włościanie i wyszli z postanowieniem pilnowania dzieci, aby się uczyły wszystkiego co im może być pożytecznem.

Józef z Medyki.

Marja, gwiazda morza.

W roku 1854 d. 26. Listopada wypłynął pewien okręt na morze, a celem tej podróży była to część świata daleka, co się zowie Ameryka. Z tamtąd to mamy kartofle, wiele złota, bawełny, cukrowej trzciny, indyki, drogie tytonie, i wszelakie różności zbytkowe i prawdziwie potrzebne. Tam to bił się niegdyś za wolność tamtejszych ludów nasz wielki Kościuszko, tam zginął nasz dzielny Puławski co w konfederacyi barskiej tak sławnie bił Moskali, tam i teraz niejeden rodak tęskni za ojczystą ziemią, biedny wygnaniec, bo Moskale nie dają mu oddychać rodzinnem drogiem powietrzem i w rodzinnej lekkiej legnąć mogile...

Na okręcie tym było wielu katolików ale było także więcej jak dwudziestu protestantów, to jest heretyków, podobnych lutrom, którzy mszy św. i Sakramentów nie odbywają, Matki najświętszej i świętych nie szanują i od kościoła świętego odpadli. Większa część tych podróżnych płynęła do Ameryki za złotem, którego najwięcej znajduje się w krainie zwanej Kalifornia, a mało bardzo było takich między nimi, którzyby myśleli kiedy o tem że są skarby daleko godniejsze trudów i poszukiwania jak wszystko złoto starego i nowego świata. Był także na okręcie pokorny kapłan, uczeń Chrystusowy, jeden z tych gorliwych sług bożych, zwanych missionarzami, którzy rok rocznie po całym świecie się rozchodzą, nie za złotem ale za połowem dusz. Pogoda nie sprzyjała podróży; wytrzymano już dwie wielkie burze, gdy d. 2. lutego trzecia najokropniejsza napadła okręt, a na domiar nieszczęścia, jeden okręt straszliwie uderzył o drugi. Niesłychanie wyła nawałnica na morzu, bałwany wznosiły się wysoko i zapadały topiąc prawie statki,

ciemność okropną przerywały czerwone błyski piorunów, zdawało się że sądny dzień nastał... Kapitan okrętu utracił zupełnie nadzieję ratunku, jęk i płacz był wielki, każden wyglądał pewnej śmierci lada chwila. Ach! okropną jest burza na morzu! Niejeden już w takiej chwili choć bezbożny, nawrócił się do Boga.

Naraz, gdy już niebezpieczeństwo doszło do najwyższego stopnia, kapłan ów zawsze tak cichy, zawołał śmiało do towarzyszy:

— Bracia, miejcie ufność! dzisiaj jest święto Matki Boskiej gromnicznej, wołajmy do Niej z żywą wiarą, aby nas w tej strasznej godzinie płaszczem Swej opieki okryła! Ale są tu między nami protestanci niech z nami wołają i modlą się, niech z nami się połączą, niech od tej chwili obiorą Marję za matkę, jeżeli ich od śmierci wyrwie!...

— Ach dobrze, dobrze! zawołali wszyscy jednym głosem i padli na kolana, bo groza śmierci przeszyła ich serca... a zbłądzone dusze szukać musiały Marji matki i ucieczki wszystkich. Niebo wysłuchało modlitwy tej wspólnej, w kilka godzin burza ucichła, niebezpieczeństwo zniknęło a podróżni odetchnęli swobodniej. Niepodobna opisać ich radości! Protestanci dotrzymali słowa. Pouczeni od pobożnego missionarza wyznali wiarę katolicką i jakby na nowo ochrzczeni przyjęli św. Sakramenta pokuty i ołtarza. Na pokładzie okrętu urządzono ołtarz, przed którym wszyscy podróżni razem składali dzięki Bogu. Reszta podróży odbyła się szczęśliwie. D. 12. Czerwca 1855 roku okręt zarzucił kotwicę w porcie amerykańskim. Pierwszą myślą i pierwszą czynnością podróżnych było, udać się do kościoła, pana Boga i najświętszą Pannę, gwiazdę morza pochwalić.

Ona to, patronka żeglarzy, opiekunka wędrownych, ratunek tonących, śliczna gwiazda naszego życia i gwiazda morza, świecąca wśród nocy i burz, nietylko ich od śmierci wyratowała, ale zawiodła do bezpiecznego portu katolickiego kościoła.

B. E.

Ziele Szalej.

Wszelkie rośliny jakie znajdujemy na tym wielkim świecie, mają bez wątpienia swoje właściwe, pożyteczne przeznaczenie. Jest jednakże wiele jeszcze takich roślin, których właściwego użytku dotąd ludzie całkowicie nie poznali. Do tej liczby roślin, których pożytek jest jeszcze nie wiadomy, a które są znane tylko ze swojej szkodliwości, zalicza się szalej, inaczej zwany lulkiem, a gdzieniegdzie blekotem. Rośnie on zwykle pod płotami, na miedzach, w ogrodach i na pastwiskach.

Roślina ta lubi osobliwie grunt gliniasty; zwykle kwitnie w czerwcu a we wrześniu wydaje już nasionka dojrzałe podobne do maku. Rośnie w miarę dobroci ziemi mniej lub więcej rosochato, kwiat ma lepki a zapach nieprzyjemny; zresztą nie ma potrzeby tej rośliny opisywać, bo ją wszędzie dostatecznie znają.

Szalej zalicza się do roślin bardzo szkodliwych. Ktoby zjadł jego nasienie, dostanie zawrotu głowy, a nawet szaleństwa, które kończy się śmiercią. Nawet zwierzęta najadłszy się korzeni albo nasion tego ziela popadają w odurzenie; taczają się jak pijane, włócząc za sobą chwiejące się nogi tylne.

Utrzymują wprawdzie niektórzy, że roślina ta ma być pomocną na ból zębów, a w razie takim ma się jej używać w sposób następujący: Najprzód rozżarza się węgle drzewne, a wziąwszy garść liści szaleju, rzuca się je na węgle. Potem po nad parą powstałą z palących się liści trzyma się rozwarte usta, tak aby para dochodziła wprost do bolącego zęba. Po takiem naparzeniu ból ma niezadługo ustać, ale tego nie każdy doświadcza i nie zawsze.

Nie wielki to pożytek z szaleju a daleko większa jest jego szkodliwość, dla tego zaleca się gospodarzom, aby to zielsko wszędzie wytępiali ścinając młode łodygi jeszcze przed okwitnięciem.

Chciwość ukarana

Przeszłego roku połowa wsi Mokrotyn wymarła na cholerę. Pan Bóg dotknął kraj nasz, aby się ludzie poprawili. Otóż w wiosce owej była chata, gdzie wszyscy już wymarli; gospodarz, syn jego żonaty, córki wnuczę, sługi, została tylko wdowa po gospodarzu i synowa jej, którą niedawno syn wprowadził do chaty ojcowej. Młoda była potulna i pobożna kobiecina, ale stara okrutnie kłótliwa i niezgodna Przyszła kolej straszna, matka zachorowała także i na łożu śmierci jeszcze doskulała biednej zapłakanej synowej; czując się źle bardzo, kazała zawołać swoich własnych krewnych ze wsi i wszystką odzież swoją, korale, bieliznę i cały majątek kazała im zabierać sobie; synowa pokrzywdzona odezwała się nieśmiało: Matko! przecie mnie nie wyganiajcie z chaty bez niczego. Ale niedobra kobieta złajała ją i kazała ruszać precz z chaty, gdzie nie ma nic swego, bo nic nie wniosła.

Wkrótce umarła wśród swych krewnych, którzy skrzętnie zbierali kożuchy i świty, a biedna synowa co się napracowała ciężko, stała pod płotem i płakała z sieroctwa swojego. Cóż się stało? Chciwi krewni co zabrali cały majątek i cieszyli się piękną odzieżą, nie myśląc nawet, aby choć jedno dać pokrzywdzonej synowej, zabrali sobie zarazę z domu umarłych, niespożytkowali pięknej odzieży, wszyscy do jednego wymarli; a wypędzonej biednej kobiecie, przyznał potem sąd zabrane mienie. Ona dzięki Bogu zdrowa i czerstwa krząta się teraz koło gospodarstwa i wychowuje sierotę. Oby jej pan Bóg błogosławił

Tak to zwykle karze Stwórca niebieski wszelką chciwość. Strzeżcie się tego grzechu, bo chciwość nigdy nikomu nie wyjdzie na dobre, owszem zaszkodzi często, a ten co się spodziewał przyjść do dobrego mienia z krzywdą bliźniego, nigdy długo nie cieszy się owocami swego występku.

B E.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 9.

21. września 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Poświęcenie kościoła farnego w Żółkwi.

W całym kraju mówią teraz o Żółkwi. Przed kilkoma dniami odbyła się tam uroczystość poświęcenia kościoła farnego. Prócz księdza Arcybiskupa ze Lwowa i inni biskupi nasi zjechali na tę uroczystość, państwa z rozmaitych stron przybyło bardzo wiele, ludu wiejskiego kilka tysięcy, a miasta poprzysełały deputacje. Godna zaiste, abyście się wszyscy cokolwiek o Żółkwi i o tym zjeździe dowiedzieli.

Miasteczko Żółkiew leży w prześlicznej i żyznej okolicy, półczwartej mili od Lwowa. Założył to miasto jeden z największych hetmanów i wojowników polskich, Stanisław Żółkiewski, co zaczął służyć od prostego żołnierza a walecznością i męztwem dobił się najwyższych stopni; całe życie przepędził na wojnach i zginął za ojczyznę, a tak kochał chłopków, że raz czterdziestu, co się w jednej bitwie odznaczyli, szlachcicami porobił i nadał im swoje nazwisko, a odtąd wszyscy ci nazywali się Żółkiewskimi, jakby byli rodzonymi synami onego wielkiego

hetmana. Stanisław Żółkiewski miał córkę Zofią, bardzo bogobojną i miłosierną panią, którą wydał za Jana Daniłowicza wojewodę ruskiego i dał jej Żółkiew jako wiano, a ona tu szpital dla biednych fundowała. Po niej odziedziczyła Żółkiew jej córka Teofila, wydana za bardzo mądrego i cnotliwego pana, Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego i zbudowała tu kościół i klasztor dla księży Dominikanów. Jej mąż, Jakób, jeździł często do różnych monarchów zagranicznych, wysełany od swego króla jako poseł, i wszędzie słynął z wielkiego rozumu. Fundował także kilka kościołów i klasztorów, a to o nim jeszcze na jego pochwałę powiadają, że gdy synów wysyłał dla nauki za granicę, to im tak rzekł: „Poznawajcie cudze obyczaje i uczcie się wszystkiego co wam się w ojczyźnie przydać może, oprócz tańca, gdyż tego nauczycie się w Polsce, w harcach z Tatarami“; starzy Polacy bowiem bitwy z Tatarami nazywali tańcem.

Był on ojcem króla polskiego Jana III. Sobieskiego, który zasłużył sobie na imię zbawcy Europy i Chrześcijaństwa. Jako wódz wydźwignął Polskę z grożącego jej od Turków niebezpieczeństwa, a gdy Turcy potem poszli na Austrję i Wiedeń oblegli, król Jan III. zebrał wojsko polskie, poszedł pod Wiedeń i tam ich pobił i odpędził, a Wiedeń uratował, co tak jemu jak i imieniowi Polskiemu wielką sławę na wieki zjednało.

Król Jan III. bardzo lubił Żółkiew, którą po rodzicach odziedziczył i często tu z żoną i całym dworem przebywał. Miał tu wspaniały Zamek, który dziś rozsypuje się w gruzy. Za zamkiem był zwierzyniec i okazały ogród królewski. Na wzgórzu nad zwierzyńcem leżały winnice, a opodal jest góra, z której śliczny jakby w raju przedstawia się widok, toż Sobieski wyszedłszy raz na tę górę, zawołał: „Ha! raj!“ i odtąd nazwano to miejsce harajem i zbudowano tam pałacyk.

Król Jan był także wielkim dobroczyńcą dla ubogich i kościołów. Kościół farny w Żółkwi, przez Stanisława Żółkiewskiego zbudowany, przebudował, i ozdobił obrazami i pomnikami, które się do dnia dzisiejszego przechowały w całości,

a nawet żydom dopomógł, że sobie tu bardzo piękną bożnicę zbudowali.

Po śmierci króla mieszkali w Żółkwi synowie jego, królewicze Jakób i Konstanty, tu pomarli i w kościele farnym pochowani zoztali. Potem odziedziczyła Żółkiew, krewna króla, Katarzyna księżna Radziwiłłowa, niewiasta rzadkiej cnoty, która nieraz mawiała: „Dobra Francja, chwalebna Hiszpania, wesołe Włochy, bogate Niemcy, ale mi najmilsza Polska.“ Po upadku kraju dobra księcia Radziwiłła a z niemi i Żółkiew sprzedano. Od tego czasu Żółkiew coraz bardziej upadała, zamek opustoszały zaczął rozsypywać się w gruzy, winnica chwastem zarosła. Kościół farny także bardzo podupadł, aż w naszych czasach, dopiero przed kilkoma laty, wzięto się do jego odnowienia.

Zacny proboszcz tego kościoła, ksiądz infułat Nowakowski, zabrał się do dzieła z szlachetną gorliwością, wytrwałością i ufnością w Bogu, za co mu też Bóg pobłogosławił, i kościół stanął przed nami taki świeży, taki piękny, jakim był niegdyś za Zółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich. A nie tylko kościół cały z gruntu odnowiono, ale także wszystkie, co tu były od wieków, pomniki i obrazy, że wyglądają jakby dopiero co wyszły z pod dłuta albo penzla. Są tu zaś pomniki Stanisława Żółkiewskiego, jego syna Jana, jego żony i córki, Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana i jego szwagra Daniłowicza, który umarł w niewoli tatarskiej. Prócz tego są tu ogromne obrazy, przedstawiające rozmaite bitwy Stanisława Żółkiewskiego i króla Jana. Między niemi jeden przedstawia bitwę pod Kłuszynem, po której Żółkiewski czterdziestu chłopów szlachcicami uczynił, a drugi zwycięztwo króla Sobieskiego nad Turkami pod Wiedniem. W grobowcach fary spoczywają Stanisław i Jan Żołkiewscy, Jakób Sobieski, królewicze Konstanty i Jakób i wiele innych osób.

Gdy już to wszystko odnowiono i odświeżono trzeba było kościół poświęcić. Odbyło się to poświęcenie dnia 12. Września jako w rocznicę bitwy pod Wiedniem. Na tę uroczystość zjechali do Żółkwi, księża arcybiskupi lwowscy, łaciński czyli polski i ormiański, biskupi przemyski i tarnowski, tudzież naj-

wyżsi urzędnicy ze Lwowa, posłowie sejmowi i deputacje od wielu miast a ludu było jak mrówia, bo zewsząd ciągnęli pobożni z chorągwiami jakby na odpust. Ponieważ się wszyscy nie mogli zmieścić w kościele, odbywało się jednocześnie nabożeństwo i w kościele i pod namiotem. Poświęcał kościół ksiądz arcybiskup lwowski łaciński, nabożeństwo skończyło się prawie o czwartej godzinie po południu, poczem się ludzie zwolna rozchodzić zaczęli, dziękując Bogu że im pozwolił doczekać tej radosnej chwili, w której pobożne dzieła bohaterów polskich na nowo takim blaskiem i chwałą zajaśniały a przezco i pamięć tych świątobliwych a tak zasłużonych mężów i niewiast, odżyła na nowo. — *r* —

Nasza wioska.

Piękna nasza wioska, rozkoszna choć cicha,
Dostatek ma chleba, swobodą oddycha,
W koło ciemne lasy, dalej sine góry,
A na jasnem niebie blade ciągną chmury.

Pomiędzy parowy ciągnie się dolina,
Chatami zasiana, rozkoszna jedyna,
Pośród chat się wiją jak wstążki drożyny,
A dolinę wieńczą brzozy i kaliny.

Bujnie rośnie trawa na zielonej łące,
Tam bydełko skubie kwiatki woniejące,
Tam brzęczy wesoło, pracowita pszczółka,
Krząta się ochoczo, zbiera miodek z ziółka,

Na boku olszynka a za nią na prawo,
Pośród wierzb cienistych zdrój bieży murawą,
Na lewo zamczysko, tam orzeł na skale,
Ostrzy sobie szpony, trzepie się zuchwale,

Mija dzionek, mija, srebrny blask księżyca,
Wiosce naszej ślicznej uroczo przyświeca,
A wieża kościółka pośród nocnych cieni,
Tym blaskiem oblana, purpurą się mieni.

W gaju nuci słowik w gęstym skryty cieniu,
Tu i ja pod dębem siedzę na kamieniu,
I słucham, jak ptaszki wesoło pieśń nucą,
Jak czasem igrają a czasem się kłucą

A czasem się kłucą, czasem się i czubią,
Lecz gdy strach na karku, to się znowu lubią,
I wszystkie się społem ratują jak mogą,
Złapanemu w potrzask wyrwać się pomogą.

O jakże to pięknie leśni żyją ptacy!
W naszej wiosce ludzie nie tacy! nie tacy!
U nas niema zgody, swary, kłótnie wiecznie,
A wróg na nas potrzask nastawia bezpiecznie.

Prawda, są poczciwi, radzi biedakowi,
Resztką z nim się dzielą, grosz mu niosą wdowi,
Ale są i tacy, ach! a takich krocie,
Co wydrą ostatek wdowie i sierocie.

Piękna nasza wioska, rozkoszna choć cicha,
Ale nasza cnota jeszcze bardzo licha,
Ach! zlituj się panie, zagrzej serca cnotą,
Bo cnota nad wszystko, nad srebro, nad złoto.

Próżniak poprawiony.

Było to przed samym południem, w dniu gorącym, sierpniowym. W ubogiej chacie młoda kobiecina krzątała się koło chorego dziecka, płakała i wybiegała co chwila na próg chaty, jakby kogoś upatrywała.

Zbliżało się ku chacie dwóch wieśniaków w brudnej, podartej odzieży, wyżółkłych na twarzy, trochę podpitych. Jeden zatrzymał się przed chatą, drugi pobiegł naprzód.

— Mateuszu, Mateuszu, wołał pierwszy, a nie bawcie się tam długo.

— Bądźcie cierpliwi Józefie, odpowie Mateusz, może zaraz powrócę.

— Jak to może? Ot, nie dajcie się babie bałamucić, bo i czego tam będziecie siedzieć, skoro nic nie poradzicie.

— Zaraz, zaraz.

— Oho! nie tak prędko, zawoła kobieta stojąca na progu. Dziecko chore, warto w domu posiedzieć skoro roboty nie ma, a widzę że nie ma, kiedy wy już razem. O! ciężka moja dola! ale poczekajcie..., rozdzielę ja was.

I dalejże oglądać się za kijem, czy może za miotłą. Ale Józef nie czekał na takie nieprzyjemne przywitanie, jeno się w głowę poskrobał i zawrócił tam zkąd przyszedł, a oboje małżonkowie weszli do izby.

— No i cóż? zapytała męża Mateuszowa, stając przed nim z załamanemi rękoma; cóżeś sprawił?

— A cóż miałem sprawić? Nic! Stryj jakiś chory, pojechał do Szczucina krew puszczać, ani gadać do mnie nie chciał, jeno mnie ofuknął że znowu do niego przychodzę pożyczać, a nigdy nie oddaję. Po mojej śmierci, rzekł, wszystko odziedziczycie, bo ja na tamten świat nic nie zabiorę, ale póki żyję, to mnie nie rabujcie. Idę do dworu, proszę pana, a pan krzyczy: ty próżniaku, ty leniwcze, tylkobyś żebrał, a zarobić ci się nie chce, dość już tego, ruszaj sobie precz!

— Dobrze ci tak! to zapłata próżniaka, powie Mateuszowa, ocierając łzy fartuchem.

— Poszedłem do sąsiadów, do Jana, do Piotra, do Bartłomieja, proszę, zaklinam, zmiłujcie się..., gdzietam! to serca z kamienia. Jeden tylko Józef co mi dobrze życzy, co by mię chętnie wsparł, gdyby tylko mógł, ale ty do niego coś cierpisz nie wiedzieć za co...

— Józef ci dobrze życzy? oj Boże, Boże! lepiej nam było, kiedyś ty nie przestawał z Józefem...., przypomnij sobie.

— Józef nic nie winien. Lepiej nam było, bo my się lepiej mieli; człowiek zjadł dobrze, były siły do pracy, a teraz co?

— To zarabiaj, nie włócz się po całych dniach, a będziesz miał co jeść, ja na troje nie zarobię, tem bardziej teraz, kiedy to biedactwo takie chore.

Umilkli oboje, Mateuszowa popatrzyła na dziecko, poprawiła mu poduszeczkę pod główką i zaczęła się zbierać.

— Gdzież ty idziesz? zapytał ją mąż.

— Do księdza pójdę, do nóg mu upadnę i błagać będę o zmiłowanie; może się ulituje nad biednem chorem dzieckiem.

Mateusz usiadł na łóżku, wziął do ręki gałązkę zieloną i z much dziecko oganiał, żona wyszła.

Chory Janek wyciągnął rączęta do ojca.

— Tatusiu, ratujcie, głowa mi pęknie.

— Cicho dziecko, cicho, przyjdzie matka, przyniesie ci lekarstwo na głowę.

— Tatusiu, ja nie doczekam, ja umrę.

Mateuszowi żal ścisnął serce ojcowskie.

— Boże, Boże! zmiłuj się nademną!

— Tatusiu, dajcie mi się napić jakiego kwasu, wołało znowu dziecko.

— Nie ma ani kropli..., matka przyniesie.

— Choć wody!

Napiło się i ucichło na chwilę, a potem znowu.

— Tatusiu..., wiecie co?

— Cóż dziecko moje?

— Ja umrę...

— Nie umrzesz, nie umrzesz mój Janku jedyny.

— Oj! umrę tatusiu..., mnie się nawet śniło żem już umarł i żeście mi kupili śliczną trumienkę, malowaną, a matusia przynieśli kwiatków i zrobili mi wianuszek na głowę. Wszystko było takie śliczne i trumienka i wianuszek i koszułka na mnie biała...

Mateuszowi łzy pociekły po twarzy.

— Wszystko w ręku boskiem, pomyślał sobie; ale jakby to biedactwo broń Boże zmarło, to by i trumny nie było za co kupić. Przeklęte próżnowanie! do jakiejże to biedy mię doprowadziło!

Upadł na kolana, wyciągnął ręce do wiszącego na ścianie Zbawiciela ukrzyżowanego i zawołał w głos:

— Boże, zmiłuj się nademną! daj niechaj to dziecko wyzdrowieje a ja ci ślubuję, że jeżeli mi tę łaskę wyświadczysz, to życie odmienię, nie będę już próżniakiem ale do ostatniego tchu życia chwili jednej nie stracę, jeno pracować będę ile sił starczy, tak mi Najświętsza Panienko i wszyscy Święci dopomóżcie.

Dziecko zasnęło. Mateusz dech w piersi zapierał, aby go nie zbudzić. Po chwili wróciła żona od księdza z lekarstwem. Przyniosła też pożyczonych od Dobrodzieja kilka groszy, nieco mąki i kaszy. Rozpaliła i wzięła się do gotowania. Dziecko spało. Mateusz posiliwszy się poszedł do dworu od południa na zarobek, nic żonie nie mówiąc jaki sobie ślub uczynił.

Mateuszowa siedzi i płacze nad dzieckiem, a wtem zbudził się Janek i jakoś mu lepiej. Wieczorem wrócił Mateusz i w duchu ponowił chwalebny swój ślub. Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz skoro świt on znowu poszedł na zarobek. Żona pojąć nie może co mu się stało, nie posiada się z radości i składa Panu dzięki za to prawie cudowne przemienienie, krząta się koło dziecka, a ono się uśmiecha, rączęta wyciąga do matki i obejmuje ją za szyję.

Wtem nagle powraca Mateusz, a jakiś dziwnie zmieniony, aż się żona przelękła.

— Co się stało! zapytała go żywo; przeczuwając jakieś nieszczęście.

— Oj co się stało? ty się tego pewnie nie spodziewała; stryj umarł.

— Co ty gadasz? czy cię rozum odstąpił? przecie wczoraj jeździł do Szczucina.

— To też ze Szczucina wrócił bardzo chory, podobno mu żyd za dużo krwi upuścił. Gdym szedł na robotę, zajrzałem tam przez okno, a dziewka kiwa na mnie abym wszedł co tchu. Wchodzę, stryj mię już nie poznał. Kazałem chłopakowi czem-

prędzej konie założyć i jechać po księdza, aliści on skonał.

— Jezus, Maria, Józefie święty, ani się opamiętać nie mogę.

— Ratujże się tu jak możesz, bo ja muszę iść do nieboszczyka i zająć się nie jednem.

Wychodząc, popieścił dziecko i żonie nie żałował dobrego słowa.

W trzy dni potem Mateusz był już jednym z najbogatszych w całej wsi włościan, bo po stryju jako najbliższy i jedyny krewny, odziedziczył cały majątek.

A co teraz będzie ze ślubem? Póki Mateusz był ubogi, może by go dotrzymał, ale teraz? A co się stanie z dzieckiem, jeżeli ślub nie zostanie dotrzymany?

* *
*

Było to dodnia. Człowiek jakiś brudny i obdarty szedł ku chacie porządnej, biało wybielonej, ale jakby się tam nie śmiał przybliżyć, stanął na boku i czekał, a ujrzawszy idącą do stajni dziewkę, zapytał ją;

— A gdzie gospodarz?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— W izbie, zbiera się na robotę.

W tejże chwili wypadła Mateuszowa z miotłą w ręku.

— Znowu go chcecie kusić? Dobrze żem trochę odetchnęła. Ale nic z tego ja wam tu zaraz sprawię gorącą łaźnię, kiedyście już zabaczyli co ja to umiem.

I dalejże ku niemu. Ale Józef, bo to był on, nie czekał aż guza od baby oberwie, któregoby oddać nie mógł, bo to wstyd wielki bić się z babami, i dał co tchu drapaka.

Gdy się to działo przed chatą, Mateusz w izbie już całkiem gotowy, z kobiałką na plecach i siekierą w ręku zabierał się do wyjścia. Przez okno widział Józefa i pomyślał sobie:

— Dawny znajomy..., dawny towarzysz w biedzie..., może potrzebuje jakiej pomocy? Nie, nie..., chciał tylko pogadać ze mną, dziwi się że się z nim nie schodzę, że pracuję teraz tak pilnie choć tego nie potrzebuję... nie wie o niczem.

Markotno mu było że żona odpędza Józefa, ale jednak nie rzekł jej za to ani słowa i nawet nie wyszedł za próg, aż ujrzał że Józef już daleko, że się z nim nie spotka, bo jeszcze sobie nie dowierzał, czy się nie da skusić, a ślubu chciał dotrzymać koniecznie.

* * *

Rok minął, Mateusz wracał z jarmarku, obok niego siedział na wozie siedmioletni Janek, czerstwy i rumiany jak pączek. Spotkali idącego drogą człowieka w lichej odzieży, poznał go Mateusz i zagadnął.

— Przysiądźcie się Józefie, powiozę was do wsi.

— Nie potrzebuję waszej łaski, odrzekł tamten. Jedźcie sobie, ja z panami nie przestaję.

— Ja nie pan, odezwie się Mateusz, i to nie łaska żadna; już was proszę, przysiądźcie się koniecznie.

Mateusz stanął, Józef wskoczył na wóz, jechali razem. Mateusz był w dziwnie wesołem usposobieniu, co mu się dawniej bardzo rzadko zdarzało, Józef zaś siedział zadumany i milczał. W końcu rzekł Józef do Mateusza:

— Dawno my się nie widzieli, dużo się zmieniło od tego czasu.

— Ha! zmieniło się! odpowie Mateusz; i jam się zmienił, ha! ha! ha! wy mię nie poznajecie Józefie.

— Ale coś wy Mateuszu dzisiaj bardzo rozmowni, powie Józef.

— Niech was to nie dziwi, odrzecze Mateusz; dziś dla mnie wielka rocznica, rocznica jakem nad konającem dzieckiem ślubował panu Bogu życie odmienić i pracować. Dziecko wyzdrowiało, pan Bóg mi dał dobre mienie. Były pokusy niesłychane, alem przecie wszystkie zwyciężył i ślubu nie zła-

małem. Wiem że w tem wszystkiem większa łaska pana Boga jak moja zasługa, ale i to mię cieszy, żem tej łaski nie zmarnował.

Józef milczał, Mateusz rzecze znów do niego:

— Mój Józefie, pójdźcie i wy za moim przykładem, weźcie się do pracy a i wam Bóg dopomoże.

— Co mi tam za niewola pracować, odpowie tamten.

— Tak mówicie, boście jeszcze nie zaznali tego szczęścia, jakie daje praca.

Przed karczmą Józef podziękowawszy wysiadł, a Mateusz pojechał w swoją stronę. Ujechawszy parę kroków obejrzał się za siebie i ujrzał że Józef nie wstąpił do karczmy, lecz wolno, z głową zwieszoną poszedł prosto ku swojej chacie. Tak go to zadziwiło, że stanął i patrzył ciągle za dawnym towarzyszem.

Józef idąc ku domowi zatrzymał się przed figurą na drodze stojącą, zdjął kapelusz, ukląkł i modlił się. Mateusz skoro to ujrzał, zatarł ręce z radości, wzniósł oczy ku niebu i westchnął:

— Panie Boże, tyleś mi dobrego wyświadczył, uczyńże mi jeszcze tę łaskę, abym tego biedaka ujrzał nawróconym. Matko najświętsza, zmiłuj się nad nim!

Stanisław Krakowczyk.

Piękny przykład,

o poczciwej gospodyni z Makowisk.

W Makowiskach umarła gospodyni i zostawiła dziecko półroczne, co jeszcze było przy piersi. Nie miał się kto zająć biedną sierotką, bo ojciec był ubogi i nie miał tyle, żeby dziecko dać na wychówek. Chrzestni ojcowie maleńkiej Zosi dość byli zamożni i mogli byli pomyśleć o jej losie, ale jakoś nie mieli do tego ochoty. Ojciec się tem martwił bardzo, nie wiedział co począć z dzieckiem, aż oto przychodzi sąsiada, matka kilkorga dzieci, która też miała dzieweczkę w tym samym wieku

co Zosia, i prosi żeby jej dać dziecko na wychowanie, a wymawia sobie z góry, że nie chce za to żadnej zapłaty.

Ojciec Zosin znał sąsiadę, że była bardzo poczciwą kobietą, toż ucieszył się jakby mu pan Bóg anioła zesłał na ratunek i chętnie powierzył jej swoją jedynaczkę.

Maleńkiej Zosi było jak w raju, już i u rodzonej matki nie mogło jej być lepiej. Przybrana matka karmiła ją i niańczyła jakby własne dziecko, a taka była poczciwa, że gdy jej ojciec Zosin przyniósł czasem zato jaki mały podarunek, to przyjąć nie chciała.

Zosia chowała się zdrowo, wyglądała czerstwo, rumiano jak jabłuszko.

We trzy lata potem ojciec Zosin ożenił się i napomknął sąsiadce że teraz Zosię odbierze, aby ją macocha wychowywała. Ale sąsiadka ani sobie tego mówić nie dała, i prosiła aby jej Zosię jeszcze przez parę lat zostawić, póki trochę nie podrośnie. Macocha zaś wcale nie miała ochoty zajmować się Zosią i bardzo była z tego kontenta, że jej sąsiada oddać nie chce. Zmiarkował to ojciec i więcej nie nalegał. Zosia więc chowała się ciągle u swojej przybranej matki.

Znowu minęło lat kilka, Zosia trochę podrosła i chodziła do szkółki, a macosze tymczasem dał pan Bóg dwoje dziatek. Gdy jej się drugie dziecko urodziło, ni ztąd ni z owąd naparła się koniecznie, żeby jej Zosię oddać. Przybrana matka znowu się wypraszała, ale jak macocha zaczęła Zosi złote góry obiecywać, jak zaczęła mężowi przygadywać, że to brzydko, aby się jego dziecko w cudzym domu chowało, musiała ustąpić i oddać swoją wychowankę, choć ją to nie mało kosztowało, bo w sercu tej poczciwej kobiety nie było żadnej różnicy między jej własnemi dziećmi a przybraną sierotką.

Zosia nie miała ochoty iść do ojcowskiej chaty i wnet poznała różnicę, bo przybrana matka kochała ja, pieściła, dogadzała w czem mogła, a macocha napędziła ją zaraz do ciężkiej pracy, do jakiej dziewczę nie nawykło.

O chodzeniu do szkółki już ani gadania nie było. Zosia była zawsze posłuszna, robiła ile jej sił starczyło, ale to wszy-

stko nadaremnie, bo im więcej i lepiej robiła, tem więcej macocha na nią nakładała. Dziewczyna płakała, żaliła się przed ojcem i przed poczciwą sąsiadą co ją wychowała, nic to jednak nie pomagało, owszem coraz gorzej jej było.

Tak minęło gorzkich parę lat. Pan Bóg ulitował się nad Zosią i natchnął jednego dość zamożnego, a co ważniejsza pracowitego, trzeźwego, a rodzicom swoim posłusznego parobka, że zapragnął wziąść ją sobie za żonę i do tego przedsięwzięcia uzyskał błogosławieństwo od swoich rodziców.

Macocha na żaden sposób nie chciała Zosi pozwolić za mąż, ale to tylko dla tego, bo jej żal było stracić dobrą robotnicę co ją nic nie kosztowała. Ojciec jednak widział że ów parobek będzie dla Zosi dobrym mężem, że lepszego ani bogatszego nie dostanie i obiecał mu ją święcie. Widząc macocha że nie może postawić na swojem, odgrażała się że choćby miała zginąć, nie da jej wynieść z chaty ani jednego strzępka, ani wesela jej żadnego nie sprawi.

Żeby kłótni w domu nie było, ojciec tylko pokryjomu pokupił Zosi co najpotrzebniejsze do gospodarstwa, a resztę dołożyła ze swego owa poczciwa sąsiada, co ją wychowała. Zapożyczyła się biedaczka, aby Zośki nie puścić z gołemi rękami, nakupiła płótna, uszyła jej co mogła, a potem jeszcze nawarzyła mięsiwa i napiekła różnych kołaczów na Zosine wesele.

Kochani ludkowie, weźcie sobie za przykład tę poczciwą kobietę i naśladujcie ją w cnocie.

Ksiądz Jan z Makowisk.

Kretów nie trzeba wytępiać.

Niektórzy ludzie myślą że krety obgryzają korzonki roślin, że zjadają marchew i pietruszkę w ziemi. Jeden uczony co się chciał przekonać czem się krety żywią, kazał złapać kilka, zamknął ich do skrzyni i wrzucał im rozmaite jadło. Owóż przekonał się że krety lubią muchy, motyle, wszelkie robaki, glisty, ślimaki, zdechlinę, ale nie jedzą ani marchwi ani pietru-

szki, ani też korzonków roślin. Krety czynią wprawdzie czasem wielkie szkody w polach i ogrodach przez to, że kopią sobie nory podziemne, w której mieszkają i wylęgają się, ale nie trzeba ich posądzać, że obgryzają korzenie roślin, bo to wcale nieprawda.

W jednej wsi w Niemczech było bardzo dużo kretów. Dwanaście lat temu, jak się wszyscy ludzie z tej wsi do tych kretów zabrali, jak ich zaczęli łowić i zabijać, tak wszystkich wyłowili i wytępili. W całej wsi nie było jednego kreta, choćby na lekarstwo.

Cieszyli się ludzie że Bóg wie co na tem zyskają, ale gdzie tam! Nie wiedzieć dla czego najpiękniejsze łąki zniszczały tak, że tam gdzie dawniej najbujniejsza rosła trawa, teraz i zdziebełka nie było.

— A to co takiego? myśleli sobie ludzie. Kretów my wytępili, cóż to znowu za licho niszczy nam łąki?

Jak zaczęli szukać nieprzyjaciela, tak go wnet znaleźli: otóż doszli, że to pędraki obgryzają korzenie i dla tego trawa usycha.

Pędraki są to młode chrabąszcze, czyli chrząszcze. W postaci gąsienic siedzą głęboko w ziemi przez kilka lat, zanim im skrzydła urosną. Są one białe, z rudemi łedkami, żywią się tylko korzonkami roślin, i dlatego wyrządzają wielką szkodę, jeszcze większą jak krety, jest ich zaś wszędzie bardzo wiele, bo jedna samica chrząszcza znosi trzydzieści i więcej jajek, z których się potem te pędraki wylęgają.

Gdy wieśniacy zaczęli się namyślać co począć z temi pędrakami, jak się od nich uwolnić, jeden mądrzejszy odezwał się z dobrą radą:

— A nuż spróbujmy nie zabijać kretów! Były dawniej krety, nie było pędraków, pozwólmy się znowu kretom rozmnożyć, może nas od pędraków wyratują

Usłuchali gospodarze dobrej rady i dali pokój kretom, owszem ochraniali ich pilnie, a gdy się znowu w kilku latach rozmnożyły, pędraki znikły a łąki i pastwiska zazieleniły się na nowo.

Ztąd dla nas nauka, że kretów nietrzeba wytępiać, bo pędraki są od nich daleko szkodliwsze.

Tych pędraków nie tylko krety wytępiają, ale także ptaki rozmaite a osobliwie szpaki. Czatują na nich pilnie i jak tylko pędrak z ziemi ma wychodzić, szpak go wyciąga i zadziubuje. Wrony także zlatują się na pola świeżo zorane i szukają pędraków, które są dla nich bardzo smacznym kąskiem.

RÓŻNOŚCI.

(Rozległość i ludność Galicji.) Jak też długa, jak szeroka jest ta nasza Galicja? ile w niej ludzi mieszka? nie jednemu przyda się wiedzieć. Owóż Galicja ma długości ośmdziesiąt mil, licząc od miasta Białej aż do rzeki Zbrucz i miasta Żwańca nad nią leżącego; szerokość nie jest wszędzie jednakowa, największa zaś, od Barwinku w karpatach do Bindiuchy nad Bugiem, wynosi mil czterdzieści. Na tym pięknym szmacie ziemi ośmdziesiąt mil długim, a czterdzieści mil szerokim, mieszka pięć milionów ludzi. Pięć milionów to nie mała liczba, ale są kraje daleko ludniejsze. Belgia jest więcej jak o połowę mniejsza od Galicji a ma także pięć milionów ludności.

(List z Australji.) Jeden pan miał syna, który pojechał w daleką podróż na morze, do piątej części ziemi, co się nazywa Australja. Minęła jesień, nadeszła zima, syn nie wrócił. W wilią Bożego Narodzenia, pan ów, ze swoją żoną i innemi dziećmi zasiadł do wieczerzy. Na kominie płonął ogień, a i tak wszystkim było dość chłodno, bo zima była ostra.

— Co też tam nasz Jan porabia dziś w Australji? mówił ojciec.

— Czy też tam także tak zimno jak u nas? pytało któreś z dzieci.

W kilka miesięcy potem przyszedł list z Australji od Jana, pisany w samo Boże Narodzenie. Stało w tym liście tak: „U nas tu ogromne upały, w izbie wytrzymać nie można od wielkiego gorąca. Aby ten list napisać, uciekam pod cieniste drzewa do ogrodu. Przyjemnie tu, bo kwiaty najśliczniejsze kwitną, i owoców wybornych na drzewach pełno, ale i tu przecie za nadto gorąco, pot wielkiemi kroplami spływa po mojem czole.“

Jakże to być może, że w Australii są takie upały, kiedy u nas zima? Oto ta część ziemi, na której my mieszkamy jest na jednej półkuli,

bo ziemia jest kulą, a Australja na drugiej; pory roku zaś zmieniają się tak, że gdy na jednej półkuli jest lato, to na drugiej jest zima i odwrotnie. Gdy u nas największa zima, w Australji są największe gorąca, a gdy u nas lato i upały, w Australji śnieg pada.

(Pieprz.) Ziarna pieprzu, które w sklepach sprzedają, są to jagody z krzewu, który się wije na innych roślinach, jak dzikie wino albo bluszcz, a rośnie w dalekich krajach zamorskich, na miejscach skalistych. Pieniek tego krzewu jest grubości palca, z każdego kolanka wypuszcza nowe korzonki i niemi czepia się drzew pobliskich albo tyczek, a wyrasta sześć do ośmiu łokci w górę i kwitnie biało. Jagody pieprzu są z początku zielone, potem czerwienieją, a nakoniec stają się całkiem czarne. Z jednego krzewu zbiera się sześć do siedmiu funtów ziarna. Jak kto przyjdzie do sklepu kupić pieprzu, to go się pytają, czy chce czarnego czy białego. Oba te gatunki pochodzą z tego samego krzewu i tylko taka jest między niemi różnica, że jedne jagody zbierają się nim zupełnie dojrzeją i suszą się; zwierzchnia skórka z nich się nie obdziera i ta się na nich marszczy, a te jagody dają pieprz czarny; drugie zaś zbiera się gdy zupełnie dojrzeją i obdziera się je z mięsistej skórki, a z tych jest pieprz biały. Pieprz czarny jest więcej piekący jak biały.

(A to potęga!) Za dawnych czasów byli ludzie ogromnie silni, daleko silniejsi jak teraz. Za króla Jana Sobieskiego wsławił się z nadzwyczajnej siły rycerz jeden, imieniem Wojciech Cieński. Był on i w owej sławnej bitwie pod Wiedniem, a ujrzawszy zmykającego jednego z przedniejszych wodzów tureckich, puścił się za nim w pogoń, schwycił go niespodzianie jedną ręką z tyłu za kołnierz, podniósł w górę jakby małą dziecinę, posadził przed sobą na koniu i uprowadził do niewoli. Król stał w pobliżu, widział wszystko, zdumiał się i zawołał:

— A to potęga!

Słyszeli te słowa wszyscy ci, co byli przy królu, rozpowiedzieli drugim, i odtąd w całym obozie zaczęli wszyscy Cieńskiego nazywać Potęgą. Wieść o tem rozeszła się wkrótce po całej Polsce i niebawem nigdzie inaczej nie nazywano tego sławnego siłacza, tylko Potęgą. On też przybrał sobie to nazwanie za przydomek i podpisywał się odtąd Wojciech Potęga Cieński, a zaprawdę godzien był tego przydomku, kiedy się tak dzielnie popisywał. Dziś nie ma już takich siłaczów, ale też dziś nie wojują już tak jak dawniej. Dziś na wojnie wszystko zależy od sztucznych obrotów, od doskonałości broni, a dawiej szła siła na siłę, chłop mierzył się z chłopem

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 10.

1. października 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Legenda o najświętszej Marji Pannie i pobożnym kapłanie.

Dawno już bardzo żył pewien świątobliwy kapłan, który bardzo gorąco miłował najczystszą Panienkę, królowe nieba i ziemi i wszystkich serc pobożnych, i wszystkich krajów katolickich i naszej polskiej ziemi królowę. Służył on gorliwie Bogu i duszom ludzkim, a co mu się przytrafiło z tej miłości wielkiej dla Matki najświętszej, nie podpada żadnej wątpliwości, bo wielki Święty w kościele, Ś. Antonin sam to opowiada chrześcijanom ku wdzięcznej pociesze i większej dla Marji miłości. Bo kto kocha Marję, mili bracia, niebo będzie jego nagrodą..., bo kochając Marję, służy jej duszą i sercem i żywotem, więc Marja mu furtą do nieba. Kapłan ów zacny modlił się nieustannie do Marji aby mu dopomagała swojem u Boga wstawieniem, aby mógł codziennie lepiej Ją kochać i lepiej poznawać Jej doskonałość. Zaprawdę święta to była modlitwa, bo kochając coraz lepiej Marję, kocha się coraz lepiej Boga, a poznając ją coraz więcej, pragnie się coraz goręcej naślado-

wać Jej cnoty. Cnoty Marji każdemu człowiekowi potrzebne, bo były to cnoty ciche, domowe, do życia nieodzowne i do nieba wiodące. Któż był cierpliwszy, pokorniejszy, pracowitszy, łagodniejszy, posłuszniejszy jak Marja? Świętą więc była modlitwa kapłana, i każdy z nas gdyby się tak modlił, lepszym byłby i ochotniejszym do wszystkiego dobrego.

Takie modlitwy i ćwiczenia wzbudziły w pobożnym mężu gorącą chęć zobaczenia Najświętszej Panny. O słodka Matko! wzdychał często; o cudowna Matko! użycz mi choć na chwilę widzenia Twojej niezrównanej piękności, która niebo zachwyca.

Za śmiała była ta prośba u śmiertelnego człowieka, aby za życia widzieć Marję, kiedy dorabiać się trzeba cierpliwie i ciężko nieraz, aby doznać tego szczęścia po śmierci. Obaczymy jak wysłuchała Marja prośbę swego sługi.

Dnia jednego ukazał mu się Anioł i oznajmił mu wielkie szczęście, że zobaczy Najświętszą Marję Pannę, ale pod warunkiem, że oczy które ją raz ujrzą, nic więcej widzieć nie będą i ociemnieją.

— O! chętnie przystaję na to, zawołał w swojej gorliwości kapłan, chętnie całe życie zostanę ciemnym, abym tylko na chwilę mógł oglądać Marję!

Anioł mu oznaczył dzień tego widzenia, a on gotował się i oczekiwał go z największą tęsknotą. Wszakże słabość ludzka niedozwala często odebrać godnie tej łaski, o którąśmy wołali, i słabość ta ozwała się w dobrym kapłanie, jakby na powstydzenie go za zbyt śmiałe i gorące żądze. Smutek jakiś przejął go na myśl, że utraci wzrok na zawsze, i nocą ciemną otoczony będzie aż do śmierci; umyślił więc dogodzić i chęci swojej i żalowi swemu, i postanowił jednem tylko okiem patrzeć na Marję, a drugie zamknąć i tym sposobem ochronić choć jedno od ciemnoty. W oznaczonym dniu ukazała mu się Marja w takim przedziwnym blasku, i w takim majestacie nieopisanym, w takiej piękności i jasności niebieskiej, że oko którem na Nią patrzał, zgasło i siłę widzenia straciło. Widok

ten jednak napełnił go taką słodką pociechą, że zamiast żałować oka, boleśnie narzekał i obwiniał sam siebie, że nie patrzył na Nią i drugiem okiem.

— Dla czegoż, mówił on, ochroniłem jedno oko, aby patrzyć na szpetne rzeczy, które mi się już podobać nigdy nie mogą po widzeniu piękności Marji! O matko miłosierdza, przebacz mi niegodność moją, przebacz żem się sam pozbawił połowy łaski. Pozwól mi jeszcze raz widzieć Ciebie i stracić oboje oczu, a będę szczęśliwy!

Litościwa Marja Panna wysłuchała jeszcze tę prośbę i powtórnie mu się ukazała w całej wspaniałości i słodyczy, ałe zamiast odbierać kapłanowi drugie oko, które chciał Jej ofiarować, powróciła mu jeszcze światło tamtego, które utracił i dała mu zrozumieć, iż żąda aby obojgiem oczu służył Jej, obojgiem oczu wszędzie postrzegał doskonałości Boże, i zamiast ludziom być ciężarem, aby się poświęcił dla ich dobra, dla ich wsparcia, dla ich zbawienia.

Zrozumiał więc w pokorze pobożny kapłan, że oczy które widziały Marję, powinny się wznosić z miłością do nieba, i z pokorą wielką do ziemi, i na nic nieczystego nie patrzeć, i służyć Marji w czystości żywota, w pełnieniu cnót Marji, w usłudze bliźnim.

Tęsknił kapłan jeszcze więcej do Marji, ujrzawszy Ją, ale nie prosił o widzenie Jej w życiu, czego się nie czuł godnym, ani o śmierć rychlejszą, z czem się zdał na Boga, ale o większą gorliwość w cnocie i widzenie Marji na wieki.

Abyśmy i my oglądali wspaniałość Marji w niebie, której tylko promyczek ukazała swemu słudze, a już niebieskiego zakosztował szczęścia, naśladujmy Marją. Wydalmy z serca i żywota wszystko, co było nieczyste i módlmy się często z Dawidem królem: Serce czyste stwórz we mnie o Boże i ducha prawego odnów we wnętrznościach moich!

B. E.

*

Westchnienie ojca rodziny do Boga.

Boże! Tyś natchnął miłością świat cały,
Twoją wszechmocność stworzenia uznały;
Pomnażaj miłość Twą w każdej godzinie,
W mojej rodzinie!

Niechaj się modli w szczęściu lub niedoli,
Według Chrystusa przenajświętszej woli,
Krótką modlitwą, a nad wszystko świętą,
Przez nas pojętą!

Ojcze nasz któryś na wysokiem niebie!
Bądź z nami zawsze, bo też nic bez Ciebie.
Nic nie poradzim i nic nie poczniemy,
Jak sami chcemy!

Niechaj się zawsze Twoje imię święci!
I w sercach naszych i w naszej pamięci,
I niech to imię zawsze będąc z nami,
Świeci łaskami!

Niech Twe królestwo na ziemi osiędzie,
Niech nam Bóg ojcem, oraz panem będzie,
O to Cię Boże serdecznie błagamy,
Ile sił mamy!

Bądź wola Twoja w niebie i na ziemi,
Niechaj panuje nad nami wszystkiemi,
A my się zgadzać będziemy w potrzebie,
Z Ojcem na niebie!

Udziel nam Boże chleba powszedniego,
Tak jak potrzeba u nas dla każdego,
Niech łaska Twoja co nad nami świeci,
Nakarmi dzieci!

Odpuść nam Boże wszelkie nasze winy,
Czy bez przyczyny czyli też z przyczyny,
Jakieśmy przeciw tobie popełnili,
I obrazili!

Wszak i my naszym winnym odpuszczamy,
A od dziś żalu nic uie zostawiamy,
Więc też miej litość i przyjmij wołanie,
Odpuść nam Panie!

Nie dozwól kusić siebie przez złość ducha,
Niech młodszy, starszych rad i nauk słucha,
Co starsi ludzie mają z doświadczenia,
Dla ich zbawienia!

I zbaw nas Panie od wszystkiego złego,
Nam samym trudno uniknąć od niego,
Prostuj kiedy kto na złą drogę zbacza,
Niech nie wykracza!

Amen! mój Boże, mój ojcze, mój Panie!
O co Cię prosim, to niechaj się stanie!
Bądź nam łaskawym i bądź nam pomocą,
I dniem i nocą!

Niechaj te prośby przebiją niebiosa,
Twej opatrzności niechaj spadnie rosa;
Błogosław Boże wielki! mej rodzinie,
W każdej godzinie!

Józef G.

O zgubionym Sobku z Niegłowic.

Piękna wioska Niegłowice rozłożyła się na ślicznej równinie w zachodniej stronie obok Jasła. Opasana rzeką Jasiółką i Ropą, jakby wstążką srebrzystą, a na góreczce lasek bukowy, nito ogród miluchny, w którym mieszkańcy Jasła podczas lata dla rozrywki przesiadują. Pod samym laskiem wznosi się schludny domek, który zamieszkuje dziedzic.

W tej wiosce przed laty, żył kmieć dosyć zamożny i poczciwy z dwoma synami. Młodszy pomagał ojcu w pracy, a starszy imieniem Sobuś, chodził w Jaśle do szkoły i nie źle się uczył. Ukończywszy w Jaśle szkoły, prosił ojca aby go

dalej do szkół posełał; lecz ojciec, czy rzeczywiście nie był w stanie, czyli też nie chciał, dość że mu odmówił pomocy. Otóż Sobuś widząc, iż od ojca nie może się spodziewać, aby go do szkół posyłał, cichaczem uciekł z domu i poszedł w świat szukać sposobów kształcenia się dalej. Tak więc o głodzie i trudach zaszedł do Krakowa i tam udał się do pewnego księdza, a opowiedziawszy mu swój stan i swcje chęci, prosił ze łzami o służbę, choćby do posług najniższych, byle mógł do szkół uczęszczać. Ów ksiądz chociaż sam ubogi, ulitował się i przyjął go do siebie, ale pod tym warunkiem, iż tylko obiad u niego za służbę może dostawać. Chłopczyna przystał chętnie na to i zostawszy, chodził pilnie do szkoły. Nieszczęście jednak chciało, iż ksiądz ten wkrótce umarł. Sobuś nie mogąc znaleźć dla siebie innego dobrodzieja, poszedł gdzieś na wieś do gospodarstwa i po niejakiej praktyce wyszedł na ekonoma, ożenił się, lecz nigdy do domu znać nie dał o sobie.

Odziedziczywszy po żonie jakiś mająteczek i trochę z własnej pracy dorobiwszy, wziął później wioskę w dzierzawę, i znów gdy mu żona umarła, ożenił się z drugą, bardzo poczciwą kobietą. Ale przez nieszczęścia różne w niejakim czasie postradał cały majątek; musiał odejść z possesji i szukać służby na nowo.

Szczęście na ziemi jak się raz od kogo odwróci, nie łatwo da się przeprosić, rzadko też komu uda się w wieku sędziwszym stracone szczęście pozyskać na powrót. Jak różni więc ludzie żyją na ziemi, tak każdy różnych sposobów się chwyta, byle pozyskał to czego pragnie. Jedni podwoją pracę, zmniejszą wydatki; znosząc wszystko cierpliwie, proszą tylko Boga gorąco, aby zamiary ich pobłogosławił; drudzy po lada jakiem nieszczęściu opuszczą ręce i są ciążarem innych, myśląc że chleb żebraczy najlepszy jeszcze dla nich. Inni zaś, a ci najgorsi, szukają sposobów, jakiby cudzą własnością i pracą polepszyć sobie fortuny; brną jak to mówią, po uszy w grzechach, innym będąc nieszczęściem a dla swej duszy zgubą. Najprędszym zaś pomysłem do wydarcia cudzej własności jest

teraz proces. Jest to jak rdza, która i najmocniejsze żelazo zeżre. Każdy to przyzna, kto zakosztował tej powolnej na mienie i życie trucizny, a której obydwie walczące strony ulegają. Cóż to za straszne te sądy ludzkie; a jakaż trudna sprawiedliwość! Zanim sędziowie odgadną, której stronie słuzność przysądzić należy, ileż papieru spisać, ile stępli nakupić, ile nastawać i nachodzić się trzeba na te nieszczęsne termina, ile przekleństw z obu stron padnie, a ile życia tym wszystkim się skróci co proces prowadzą! A cóż mówić o stracie na samych pisarzy, i któż to obliczy.

Ciekawi więc jestecie kochani czytelnicy, jakiej też drogi chwycił się nasz Sobuś, aby odzyskać stracony majątek?

Trwało to już lat trzydzieści jak był zniknął z domu rodziców. Oni lamentując z razu, później, gdy nic o nim słychać nie było, tak sobie mówili:

— Musiał gdzie w świecie zginąć, bo cóżby było przyczyną, żeby się dotąd nie wrócił, lub chociaż znać nie dał o sobie? Trzeba ożenić naszego chłopczynę, co w pracy nam pomaga i grunt mu oddać, który z łaski Boga i pana posiadamy, niech on znów na siebie pracuje a starość nasza niech będzie spokojną. Pomódlmy się za duszę Sobusia.

Tu ojcu i matce łzy z oczów policzki zrosiły, a usta cichą modlitwę szeptały. Jak rzekli tak i zrobili; wkrótce też potem anioł śmierci powiódł ich przed tron Najwyższego, by zdali rachunek z życia i czynności na ziemi, a syn ich pracując uczciwie na ojcowiźnie, nieraz powtarzał do żony:

— Oj! niemasz c inigdzie, jak w ojców swych domu, bo cóż to za rozkosz pracować na tej roli, na której pradziadowie nasi pracowali. Te zagony, to jakby karty spisane o życiu, szczęściu i niedoli ojców naszych, a te dęby, lipy i grusze, to jak świadkowie ich życia i czasów minionych. Ha! Bóg to raczy wiedzieć, co się z nami stanie; ale tej roli, tego kraju nie opuściłbym za żadne skarby świata, a nawet gdybym po śmierci za grzechy pokutę odprawił, prosiłbym Boga, by nad tym krajem, nad domem ojców duch mój się choć czasem unosił.

Tak żyjącego poczciwie podobało się Bogu powołać do siebie. Została więc jego żona z kilkorgiem dzieci na gruncie.

Otóż nasz Sobuś niewiedząc przez lat kilkadziesiąt co się w rodzinnem miejscu jego dzieje, gdy przyszedł na biedę, nie szukał innego środka wydobycia się z takowej, tylko powiedział do siebie:

— Nic nie zrobię, tylko pójdę do Niegłowic, gdzie ojciec mój pewno nie żyje i jako najstarszy syn, według przysługującego mi prawa, odbiorę grunt, choćby przez proces, brata spłacę pomału i będę się miał dobrze.

Pewnego dnia o śródwieczerz wyszła przed dom wdowa po bracie Sobka w Niegłowicach, by przypatrzeć się jak słonko daleko od zachodu, czyli już czas wieczerzę drużynie zastawiać. Po drodze zaglądała w ogródek, który ozdabiał ubogi jej domek. Dzieci na drodze wiejskiej, po pod dom idącej, bawiły się ścigając jedno drugie, w czem im i piesek, stróż domu i dobytku pomagał. Nagle bryś zaszczekał i wszystkich oczy obróciły się ku stronie gdzie szedł podróżny w surducie szaraczkowym z torbą skórzaną u boku, już dobrze podstarzały. Dzieci czy wiedzione przeczuciem czyli też z bojaźni, uciekły prędko do matki, chwytając się jej szat, a biedna wdowa karcąc ich bojaźliwość, sama przecież zatrzymuje się i zalękniona przeczuwa dla siebie coś złego, bo lica jej zapłomienione a oczy niespokojnie zwrócone na idącego w prost do niej podróżnego. Tę cichość przerwał podróżny, wyrzekłszy słowa pozdrowienia:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, odpowiedziała wdowa, z kądże Pan Bóg prowadzi?

— Ja kobieto kochana z daleka dosyć przybywam, ale przychodzę do mojej rodzinnej wioski, w której kilkadziesiąt lat nie byłem. Tu w tym domu, rzekł wskazując na domek wdowy, urodziłem się i wychowałem, później odszedłem ojców a dziś złamany latmi i różnemi trudami przyszedłem i kogoż zastaję? oto jak mi w karczmie mówiono, tylko was kochana bratowo, bo pewno wy jesteście gospodynią tego domu.

— Witajcież! witajcie! chodźcie do chatki biednej wdowy, spocznijcie i opowiedźcie o życiu waszem! Dzieci witajcież stryjka!

Tak weszli do wnętrza chatki, gość naprzód a gospodyni z dziećmi za nim.

Chatka ta składała się z dwóch izb nie wielkich, których ściany pobielone, ozdobione były obrazami Chrystusa na krzyżu i Matki Jego Najświętszej, kilku świętych Pańskich na przeciw powieszane w ramach za szkłem. Niebyłyto takie bohomazy czerwoną farbą wyciskane, jakto zwykle na wsiach przylepiają, co nawet do niczego nie podobne, pobudzają do śmiechu, ale pięknie farbami namalowane osoby. Za obrazem była palma i świeca woskowa, związane wstążeczką z wetkniętym robionym kwiatkiem. Na środku tragarza wisiał świat z opłatków a przy progu gliniana kropielniczka z wodą święconą. Pod oknem stał stół biały porządnie umyty a pod ścianą w kącie łóżko porządnie słomą wysłane i prześcieradłem pokryte, na którem pierzyna zwinięta i wyrównana z poduszką leżały. Dalej ławki poustawiane, szafka z miskami powieszona i innych wiele rzeczy, o czem nareszcie tyle powiem, że było poukładane, czyste, z prochu obtarte; okna umyte, pająki omiecione, co dobre świadectwo gospodyni domu dawało, że lubi porządek.

Tu się więc przywitali dosyć serdecznie i dzieci tożsamo ucałowały rękę stryjkowi, uciekając do drugiej izby i z tamtąd z za drzwi spoglądając. Podróżny rozgościł się, otarł pot z czoła, a gospodyni rozniecіła ogień, aby zgotować wieczerzę, tymczasem zaś położyła chleb powszedni, duży, piękny i smaczny, masło na miseczce czyste i mleko w polewanym nieokopconym garnuszku. Nakoniec uwolniwszy się trochę, usiadła obok Sebastjana i jęła wypytywać go, jak to mówią co z większa, o jego przygody, żonę, dzieci i t. p., po wieczerzy zaś słuchała do późnej nocy opowiadań gościa swego i dowiedziała się całego życia tegoż. Również i on słuchał opowiadań bratowy. Tak razem płakali i wzdychali, aż nareszcie znużeni pokładli się każde na przeznaczonem miejscu,

gość na łóżku a wdowa na usłanej pościeli. Podróżny wkrótce zasnął, a biednej kobiecie, gdy skutkiem tych zajść szczególnych sen oczów nie kleił, a różne przeczucia miotały jej myślami, długo przed obrazem Chrystusa klęczała i tam dla siebie spokoju i wesela szukała; nareszcie i ona zasnęła.

Na drugi dzień gdy gospodyni od dwóch godzin krzątała się około gospodarstwa a dzieci wstawać poczęły, i nasz Sebastjan się zebrał, co nieco jeszcze do swej historji dodał, w końcu oświadczył bratowej, iż po to tylko przyszedł, aby się mógł sprowadzić do Niegłowic na swą ojcowiznę, gdyż w takim jest stanie, że się nie ma gdzie podzieć. Po niejakim namyśle nasza wdowa oświadczyła Sobkowi, że jeżli już naprawdę nie ma się gdzie podzieć, to niech się do niej sprowadzi, dodawszy:

— Czem chata bogata tem będzie rada; ja kobieta i tak sama rady sobie dać nie mogę, to jakoś się porozumiemy, abyście i wy panie bracie nie byli z krzywdą i ja dzieciętom przyszłość zapewniła.

Wnet jakoś potem Sebastjan pożegnał bratowę serdecznie, dosyć zadowolniony i strawą podróżną obdarzony. W kilka dni przyjechał z żoną, dziećmi i rzeczami do Niegłowic i złożył to wszystko w domku biednej wdowy.

Wdowa serdecznie wszystkich przyjęła, wyprzątła swoje a poustawiała ich rzeczy, ugościła i wycałowała dzieci przybyłe i byli wszyscy zadowoleni. Minął tydzień na rozpoznaniu się wzajemnem i na odwiedzinach sąsiadów, którzy się schodzili z zadziwieniem na wieść o przybyciu Sobka; słuchali jego opowiadań, czasem mu też przynieśli czy kurę, czy masła czy mleka, czy owoców jakich nareszcie i było dobrze. Ale Sobek myślał wciąż tylko o gruncie, nie długo też potem, gdy raz wszyscy razem siedzieli i rozmawiali o gospodarstwie, Sebastjan tak się odzywa:

— Moja bratowo! wiecie że grunt ten, co wy trzymacie, jest po moim ojcu i mnie się jako najstarszemu synowi należy. Czy wy też myślicie oddać mi go, a sama iść na wymowę? dzieciom dałbym spłat.

— Bracie kochany i wy też kochana pani bratowo, odpowiedziała wdowa, prawdać to iż wy jesteście najstarszym synem, i po ojcu wam się grunt podług prawa należy, ale sumienie inneby prawo nadało, bo wyście od dziecka ojcom nic w pracy nie pomagali, poszliście w świat szukać lepszego chleba, a mój nieboszczyk pracował z ojcem ciężko, dawniej dla pana i dla siebie, a potem na swojem gospodarstwie; same gorzkie czasy przechodził, bo były przednowki jak wiecie ciężkie, kiedy to Bóg rozgniewał się na naród, że się dał uwieść podłym podszeptom i powstał na własnych braci, dopuszczając się różnych bezprawi. Wtedyto głód, choroby tak wszystkich dotknęły, iż ledwo było można ostać się przy tej roli, także zagniewanej na nas, boć przecie pamiętacie, że wtedy ziemniaki psuć się zaczęły. Otóż więc później znowu ja przeróżne ciężary znosić i budynki poprawiać musiałam, tak, że i ze mną nieraz ciężka dola się spotkała. Więc ja sobie tak w mej słabej głowie układam, żebyście mnie z dziećmi bardzo skrzywdzili, odbierając mi grunt cały, ale tak po dobroci to wam na jesień oddam połowę na wieczne czasy, a połowę radabym trzymać, i kiedyś po mojej śmierci, albo jakbym pracować nie mogła, niech by znów dzieci pamiątkę po ojcach miały.

Gdy najpierw żona Sebastjana, kobieta bardzo uczciwa na taką zgodę przystała, przystał też i Sebastjan; a gdy się o budynki i resztę sprzętów umówiono, była zgoda taka, jak lepsza być nie mogła. W jesieni Sebastjan połowę gruntu odebrał, przy pomocy bratowej i sąsiadów zarobił i zasiał, domek cały po ojcu zamieszkał; wdowa zaś dla siebie inny wystawiła i zamieszkała: sam Bóg się z tego radował.

Cóż się nie dzieje? Szatan wojując na ziemi, najczęściej na ludzi znów ludzi używa. Znaleźli się więc tacy, którzy poczęli się naśmiewać z Sebastjana, iż głupi że taką ugodę z bratową zawarł, że jemu się cały grunt po ojcu należy, że on z pietnastu morgów nie wyżyje, słowem: że nie wiele straci a przez proces odbierze cały grunt, bratowej zaś da jaką wymowę, a dzieci po bracie spłaci. Że więc Sebastjan nie był

dobrze wyuczonym w szkołach, bo tylko co nieco połapał nauki, przytem gdy mu się zachciewało być jeszcze panem, dał się wkrótce namówić do tego haniebnego procesu. Poszedł więc do Jasła i na nieszczęcie spotkał się z jednym trochę znajomym, który się trudnił pokątną adwokaturą, to jest pisaniem suplik.

— Jak się macie obywatelu? przywitał pisarz Sobka.

— Ot tak tam, jak biedny zagrodnik, to też i kiepski obywatel.

— Duży to grunt trzymacie, i czyście to kupili?

— I nie kupiłem, tylko to po ojcu nie dawno odziedziczyłem, a że bratowej dałem połowę, to mam tylko pietnaście morgów.

— Zkądże bratowa przychodzi do połowy?

— A tak, my się dobrowolnie ugodzili.

— A któż widział taką ugodę zawierać? za to można grunt stracić i karę zapłacić, bo chłopskich gruntów dzielić nie wolno.

— Kiedy bratowa nie chce mi oddać całego.

— Co to nie chce, a od czegoż są cesarscy sędziowie? wyrzucą, a dzieciom spłat i kwita.

— Ba, kiedy proces dużo kosztuje.

— No cóż, trochę kosztuje, mnie trzebaby dać teraz pięć złr., po ukończeniu procesu pietnaście zlr., czasem się co napijemy a wygra się pietnaście morgów w wartości tysiąc złr., interes czysty, sumieniem zaręczam czysty! bo jak są pieniądze to i cnota; zresztą należy się i basta.

Załaskotały te słowa Sebastjana, zaprosili się więc na krople, co to mają być dobre na frasunek, i gdy mu wiele i różnych rzeczy ten pisarz nagadał, zgodzono się na wniesienie prośby o spis pośmiertny po ojcu, stęple kupiono i już tego samego dnia pozew do sądu wniesiono.

Sebastjan przyszedłszy podchmielony do domu, powiedział żonie co zrobił, ta zaś na wszystko go prosiła, aby odwołał wniesioną prośbę i biednej bratowy nie procesował, lecz nic

nie pomogło. W kilka tygodni woźny termina doręczył i kilka dutków biednej wdowie na wstępie wydarł bez potrzeby.

Nastały potem termina, pertraktacje i tak dalej. Biedna wdowa musiała szukać adwokata do bronienia swej sprawy, nastała nienawiść między rodzicami, żona Sebastjana tylko tajemnie widywała się z wdową, którą bardzo szanowała i kochała, ale zgadnijcie co jeszcze nastało? Oto zwaliły się nieszczęścia na dom Sebastjana! nie rodziło się w polu, bydło się marnowało, nastała bieda, która go nawet na służbę wygnała. Żona jego sama gospodarowała i mieszkała z dziećmi, proces szedł nie bardzo pomyślnie dla Sebastjana, żona go wciąż prosiła, aby dał pokój wszystkiemu, lecz on wlazł w sidła czartowskie i marzył wciąż o wygranej, trudno mu więc było wywikłać się z tego. Potem się wrócił na powrót ze służby na rolę, lecz nieszczęścia jak szły tak idą, coraz to większe; proces dużo kosztuje, a co najgorsza, dzieci, jedyna pociecha rodziców i już odchowane, umierają jedne po drugich, a na ostatku proces przegrany.

Wiadomość ta zastała naszego Sebastjana już w takim stanie, że był prawie nędzarzem, bo zadłużony, sam gospodarz sam czeladnik, bez inwentarza i o głodzie. To też częścią ze zmartwienia, a częścią z pracy tak cierpiał na zdrowiu, iż wkrótce potem zakończył życie, żałując swego błędu i narzekając na ludzi, których rady stały się dla niego tylu nieszczęść powodem.

Po jego śmierci, obie wdowy choć bardzo biedne, bo i ta druga zniszczyła się zupełnie na koszta procesu, nie poginęły z głodu. Bóg się nad niemi zlitował i dawał im przez lat kilka takie urodzaje, że z czasem wygrzebały się z biedy. Odtąd żyją sobie spokojnie, zgodnie, kochają się i wspierają wzajemnie, a ich dziatki chowają się pięknie i dorastają na pociechę swych matek.

Edmund J. nauczyciel z Błaszkowy.

Kmieć Cholewa,

co króla obronił i został za to szlachcicem.

Zdarzyło się raz przed laty, a dawno to już temu, bardzo dawno, że srogi nieprzyjaciel wpadł niespcdziewanie do Polski. narobił straszaie wiele szkody, złupił kilka zamków i kilkadziesiąt wsi, zrabował i popalił kościoły, nabrał ludzi co niemiara do niewoli i dalej w nogi. Panował wówczas w Polsce król Bolesław, ten sam, którego zwali jedni śmiałym, a drudzy szczodrym, ten sam co potem zabił św. Stanisława. Był to jeden z największych królów polskich, rozjemca zwad pomiędzy sąsiedniemi książętami i królmi, zwycięzca w wielu bitwach, a taki hojny, taki szczodry dla swoich, że nie widział w bogactwach innej rozkoszy oprócz tej jednej, że je mógł między biednych szafować.

Owóż jak tylko król Bolesław usłyszał, że nieprzyjaciel wpadł do Polski i tak ją zuchwale łupi, przywdział czemprędzej zbroję, miecz potężny przypasał do boku, dosiadł konia dzielnego, ognistego i na czele mnogiego rycerstwa puścił się w pogoń. I ścigał uciekających wrogów trzy dni i trzy nocy, a dogonić ich nie mógł, bo jak tylko usłyszeli, że król Bolesław idzie na nich z wojskiem, podwoili kroku, aby się z nim nie zetknąć, i ani spali, ani odpoczywali, jeno pędzili co żywo do swoich granic.

Król Bolesław gdzie przyszedł, widział ślady zniszczenia, spotykał ludzi biednych, co mu drogę zachodzili ze łzami, i opowiadali okrucieństwa i rabunki, mordy i pożogi, których byli świadkami, albo których sami doznali. Ale nieprzyjaciela nie ma i nie ma. Był tu wczoraj, widzieli go ludzie, ale gnał prędko, ciągle w prawo a prawo, spieszy tam Bolesław, pyta o nieprzyjaciół: byli, ale w lewo pognali. Czwartego dnia król Bolesław zajechał z rycerstwem w straszną puszczę, lasem odwiecznym zarosłą, a tu ślady kopyt końskich, przez nieprzyjaciela znaczone, rozchodziły się na tyle dróg i ścieżek, że trudno było zgadnąć, którą właściwie uciekali, a tu jak na nieszczęście nikt owej puszczy nie znał, ani król, ani żaden z jego rycerstwa.

Król Bolesław stanął i zadumał się. Słucha i patrzy czy gdzie nie ujrzy kogo, coby mu drogę wskazał, ale nigdzie nie widać, nie słychać nikogo, tylko las szumi a na gałęziach ptactwo wyśpiewuje. Król się zafrasował bardzo.

Aż nagle w oddaleniu kędyś między drzewami, usłyszał Bolesław jakby stuk siekiery. Popędził co tchu w tę stronę z której głos wychodził, rycerstwo za nim, i wnet ujrzeli chłopka, co sobie spokojnie rąbał drzewo na chatę.

Chłopek ów, jak obaczył rycerza w złocistej zbroi a obok niego mnogo panów i rycerstwa, olśniony tym blaskiem zawstydził się bardzo, rad się był gdzie schować, ale już nie starczyło czasu, bo król stał tuż przed nim, patrzył na niego oko w oko i zaraz zagadał miłościwie:

— Daj ci Boże szczęście miły człecze!

Chłopek skłonił się do nóg królowi.

— Niewidziałeś tu nieprzyjacielskiego wojska, jak uciekało tędy z jeńcami i łupami?

— Widziałem, miłościwy królu, pędzili tędy wczoraj wieczorem a już byli mocno pomęczeni i konie im ustawały, pewnie nie daleko zaszli do teraz.

— Ale gdzie się obrócili? gdzieby ich tu zajść można? zapytał król znowu.

— Jest tu miłościwy królu w lesie źródło, odpowie chłopek, tam się pewnie rozłożyli i obozują.

— A ty wiesz drogę do tego źródła? potrafisz nas tam zaprowadzić?

— Czemu by nie? tum się urodził i wychował, a nie znałbym drogi? I po omacku trafię wszędzie.

— Więc nas prowadź, zawoła król Bolesław.

— Dobrze miłościwy panie, ja gotów.

— A jak się zowiesz?

— Cholewa, odpowie kmieć.

— Słuchajże mój Cholewo, rzecze król łaskawie, jak nas będziesz dobrze prowadził, nagrodzę cię po królewsku; a jak zdradzisz, zginiesz na pierwszym lepszym buku.

Cholewa ruszył naprzód co żywo, król za nim a dalej wszystko rycerstwo postępowało. Król ciągle rozmawiał z chłopkiem wypytując go o siły nieprzyjacielskie, jacy to ludzie, jaką broń mieli, jakie konie, co za jeńców prowadzili, a Cholewa na wszystko przytomnie i bardzo rozumnie odpowiadał. Nagle chłopek zatrzymał się, przyłożył ucho do ziemi i słuchał. Niebawem podniósł się, poskoczył do króla, szepnął mu coś cicho, a król zaraz dobył miecza. Rycerstwo zrozumiało ten znak i w tejże chwili wszyscy to samo zrobili i uszykowali się. Król wyciągnął szeregi jak można było najlepiej, potem je zawiódł w pólkole i posuwać się kazał, jak mu chłopek poradził. Wnet ujrzeli przed sobą obóz nieprzyjacielski i z wielką wrzawą wpadli na wroga nieprzygotowanego, rąbiąc i siekąc na wszystkie strony.

Nieprzyjaciel potykał się zacięcie, ale Polacy choć zmęczeni pogonią byli silniejsi i wzięli nad nim górę. Wtem sam wódz nieprzyjacielski przedziera się i pędzi z boku na Bolesława z gołym mieczem, a był to chłop setny i siedział na ogromnym koniu.

Zobaczył to Cholewa jeszcze prędzej jak król, rzucił się więc ku niemu aby go uprzedzić, aliści wstrzymał się, bo jakże uderzyć z gołemi rękami; dopiero teraz pożałował, że siekiery w pospiechu zapomniał. Ale trzymał w ręku dwie klamry żelazne do spinania drzewa, więc z temi tylko klamrami rzucił się na owego wodza nieprzyjacielskiego, i jedną klamrą podciął nogę koniowi, koń się potknął i zrzucił pana, wtedy Cholewa jak przyskoczy do niego z drugą klamrą, jak mu da w łeb, tak go zranił śmiertelnie, a potem nie wiele myśląc wyrwał mu miecz z ręki i odciął głowę wodzowi nieprzyjacielskiemu, co wszystko król Bolesław widział dobrze i dziwił się bardzo.

Nieprzyjaciele jak tylko zobaczyli że ich wódz nie żyje, co tchu uciekać zaczęli, zostawiwszy na placu dużo trupów i wszystko co Polsce zrabowali i jeńców. Król po bitwie dotrzymał Cholewie obietnicy, a najprzód zrobił go szlachcicem czyli panem herbowym, i nadał mu za herb owe dwie klamry, któremi go obronił, a potem darował mu ową puszczę, i dopomógł że tam założył kilka wsi, zemek sobie wystawił i w nim mieszkał, a w długie lata potem, z owego zamku wychodzili na obronę ojczyzny dzielni rycerze, potomkowie prostego chłopka, co roztropnością swoją dopomógł rycerstwu do zwycięztwa, a w braku innej broni, lichą klamrą króla swego ocalił.

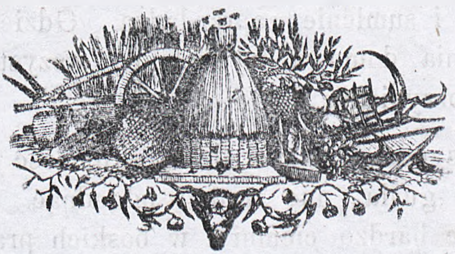
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 11.

11. października 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O gusłach, przesądach i zabobonach.

Nie ma wsi u nas, żeby tam ludzie nie wierzyli w rozmaite gusła, żeby nie mieli przelicznych zabobonów i przesądów; a już to djabłom to taką moc wszędzie przypisują, o jakiej się im ani śniło.

Zginie komu bydlę, albo mu je ukradną, idzie zaraz do znachora i płaci grubo, aby mu wywróżył, co się z niem stało. Okuleje koń, albo krowa przestanie dawać mleko, właściciel szuka czemprędzej człwieka, co by jego bydlęciu te choroby zażegnał. Wierzą ludzie, że są tacy, co jednem spojrzeniem drugich ludzi zarażają; nazywają to urokami i mają na te uroki różne gusła. Gospodyni w dzień świąteczny ognia z domu nie wyda, a w żaden wieczór śmieci z izby nie wyrzuci, powiadając, że to by jej chacie nieszczęście przyniosło. O djabłach wierzą ludzie, że złodziei do kradzieży namawiają, że lasy walą, dachy z budynków zrzucają, że się włóczą po

bagnach i oczeretach i tam duszą przechodniów, że puste domy zamieszkują a gotowi są zawsze pójść na służbę do tych, co im duszę swoją i sumienie zaprzedadzą. Gdzie głód, zaraza albo nawet kłótnia domowa wybuchnie, wszystko djabelskiej sprawie ludzie przypisują.

Zkąd u nas pochodzi tak łatwa skłonność do zabobonów, i taka wiara w gusła, nie trudno odgadnąć. Oto ztąd, że ludzie są jeszcze bardzo ciemni i w boskich prawdach świętej naszej katolickiej religii nie dość wyuczeni; bo wiadomo, że gdzie ludzie do kościołów na kazania pilnie uczęszczają, a za młodu do szkoły chodzili, tam znachory i wróżkowie nie mają co robić, tam uroki się nie zdarzają i djabły tak nie broją jak gdzieindziej, a złodziej na gorącym uczynku schwytany nie śmiałby składać winy na djabła.

Wiarę w gusła, zabobony i przesądy utrzymują po wsiach ci właśnie znachorowie, wróżkowie i stary baby, choć sami nie wierzą w to, co czynią. Nie trzeba im się dziwić, boć to ich rzemiosło, z którego żyją, ale tym się trzeba dziwić, co im dają na tem rzemiośle zarabiać.

Ciężkim jest grzechem wierzyć w gusła i pan Bóg nieraz surowo karze za tę wiarę. W naszej wsi zdarzył się raz taki wypadek. Gospodarz pewien miał parę koni i trzymał je w stajni, bo to była zima, ale nie sypiał przy nich jeno w izbie. Jednej nocy złodzieje podkopali się do stajni i konie wyprowadzili. Gdyby był, postrzegłszy stratę, uciekł się do pana Boga i dobrych ludzi, byłby może konie odzyskał; ale on inaczej sobie postąpił. Owoż najprzód do południa płakał i jęczał, czemu się zresztą dziwić nie można, bo taka strata boli, ale przez to dał złodziejom czas do ucieczki. Ochłonąwszy trochę, poszedł do jednego chłopa, o którym ludzie powiadali, że potrafi złodziei oczarować i w taki ich obłęd jak zechce wprowadzi, że albo rzecz skradzioną oddadzą, albo się z nią z miejsca ruszyć nie mogą. Znachor ten, wysłuchawszy sprawę naszego gospodarza, kazał sobie postawić garniec wódki i zapłacić reński, co też poszkodowany chętnie uczynił, bo zdało

się mu, że lepiej stracić reński jak parę koni. Potem znachor wziął się do gusłów; rozniecił ogień, rzucał na niego to wodę, to jakieś ziele, szeptał Bóg wie co, wzdychał, żegnał się i w końcu upewnił gospodarza że konie odzyska. Kazał mu wrócić do domu i czekać trzy dni, po upływie których złodzieje mieli sami konie przyprowadzić i postawić w tem samem miejscu zkąd je wzięli. Tylko to jedno mu zalecił, aby się przez całą drogę ni razu nie obejrzał za siebie, gdy będzie wracał do domu.

Gospodarz czekał cierpliwie całe trzy dni, ale nadaremnie. Czwartego dnia poszedł znowu do znachora, i wziął ze sobą sporą laskę, aby się na nim pomścić i za konie i za wódkę i za ów reński. Ale stary miał rozum, umiał się przed nim pięknie złożyć i wmówił w niego, że się pewnie gdzieś w drodze obejrzał i że to dlatego czary się nie udały. Chciał nawet jeszcze raz swoją sztukę powtórzyć i żądał za to już tylko pół garnca wódki i pół reńskiego, gospodarz jednak nie dał się namówić a konie tymczasem przepadły. Dopiero po roku jednego konia z biedą odszukał, a i to nie przez czary, ale przypadkiem, prawie cudem Bożym.

Słyszałem też o jednej kobiecie co dziecko straciła tym sposobem, że zamiast je, gdy zachorowało, jakiemi lekami ratować, zawołała baby, co by mu uroki odczyniła. Baba trzy razy odczyniała uroki, i dziecko jej w rękach skonało, a uroki nie pomogły.

Wielki już czas, żeby ludzie prości przestali wierzyć w takie baśnie, jakiemi są wszystkie gusła, zabobony i przesądy, co wstyd przynoszą rozumowi ludzkiemu. Bóg tylko jeden cuda czynić może. Gdy zechce uzdrowi chorego, szkodę powróci, strapionego pocieszy; ale człowiek żaden, a tem bardziej grzesznik taki i pijak, jakiemi są wszyscy znachorowie i znachorki, tego nie potrafi. Zabobony takie, jak o ogniu, o śmieciach o upiorach i bardzo wiele innych, pochodzą jeszcze z owych czasów, kiedy przodkowie nasi nie znali Boga prawdziwego i byli poganami. Tyle już lat minęło jakeśmy się nawrócili, a przecie owe pogańskie a zatem grzeszne zabobony

jeszcze się między nami utrzymują. Człowiek pobożny i rozumny w to tylko wierzyć powinien, co Bóg objawił i kościół święty do wierzenia podaje, a ponieważ ani gusłów, ani zabobonów pan Bóg nie objawił, kapłani, pasterze nasi od nich nas odwodzą, wierzyć w nie nie powinniśmy.

A nie dosyć jest nie wierzyć w nie, ale owszem i drugich od tej złej wiary odwodzić należy. Obowiązek to wszystkich rodziców, wszystkich gospodarzy. Rodzice dzieci swoje, gospodarze czeladź swoją oświecać powinni, powinni wszelkiemi siłami wykorzeniać wiarę w gusła, przesądy i zabobony, w czem dobry przykład ze strony starszych zawsze najwięcej znaczy.

Dzień zaduszny.

Wyjątek z pieśni o domu naszym.

Zdala słychać wiejskie dzwony,
I lud tłumem ciągnie w bieli
Od kościoła przez zagony, —
To znać pogrzeb będziem mieli!
Śpiew żałobny płynie rosą:
Ale trumny coś nie niosą....?
To po zmarłych upominek!
Po cmętarzu się rozbiegli;
Klęcząc każdy krzyż oblegli;
Więc i — „wieczny odpoczynek!“
Dzień zaduszny serce święci,
I powszednie dzieje chaty,
I najcięższe życia straty
Stają żywo tu w pamięci...,
Kmiecie stoją zadumani:
Śmierć nie straszna lecz sąd Boski —
I niedola serce rani —
Owo całe dzieje wioski!
I na grobach każdy składa
Upominki i obiaty —
I o swoich opowiada —
Owo dzieje polskiej chaty!

. . . .

Stoją kmiecie zadumani:
Próżno dumać — próżno prawić —
I to boli — i to rani —
Więc żywot‹ nam poprawić.
I jak przyszli tak wracają,
Zadumani i wzruszeni;
Gwarząc jeszcze często stają —
Aż już znikli gdzieś wśród cieni.

Na cmentarzu tylko troje
Ludzi jeszcze pozostało:
Znać małżeństwo — bo tu dwoje
A tam wdowa z dziatwą małą.
W trzy mogiłki młode stadło
Patrzy z żalem —
A tam wdowa.
Płacze! — „Biedna moja głowa,
„Że sierotą być nam padło!“

„Chodźmy żono — mąż powiada:
„Nie wypłaczem, nie wystojem —
„Ot zabierzmy wdowę z trojem;
„Stypę sprawić im wypada.“

I zabrali wdowę ciesząc,
Co przybyła gdzieś zdaleka —

A ode wsi bieży, spiesząc
Jakaś psina — i zaszczeka —
A więc patrzą: koło płota,
Pod piołunem — a na grobie
Siedząc, płacząc jak sierota,
Jakaś nędza na mogile,
Aż usnęła w końcu sobie —
Bo jej rzekli tylko tyle:
„To grób matki, i znaj o tem:
„Grób bez krzyża a pod płotem!“

Stoją — patrzą wszystko troje —
Psina legła przy sierocie —
I nie pomną smutki swoje;
Lecz w litości i szczerocie
Biedne dziecię z sobą wzięli,

I odchodzą ze cmentarza:
Psina przodem się weseli:
A na twarzy gospodarza
Myśl zabłyśnie i pociecha:
„Słuchaj żono — Bóg wziął troje;
„Gdy bez dziatwy nasza strzecha,
„Weźmy dziecię to za swoje —
„Wszak nie darmo świat to prawi,
„Że gdzie chowa się sierota,
„Bóg domowi błogosławi,
„I słoneczko tam we wrota.“ —

„Bóg przemówił sam przez ciebie“ —
Rzekła żona — i przytuła
Biedne dziecię już do siebie —
I rańtuchem omatuła —

I przyjęli na gościnę:
Biedną wdowę z sierotami,
Błędne dziecię, błędną psinę —
I nie byli w sercu sami.

Trzeba zdrowie szanować.

Najszczęśliwszy jest człowiek kiedy jest zdrów, a bez zdrowia to i największy dostatek na nic się człowiekowi nie przyda. Zachować zdrowie czerstwe jest w mocy człowieka, bo jeno trzeba pana Boga o łaskę prosić i wystrzegać się wszystkiego co choroby przynosi. Chcecie li zaś wiedzieć co choroby przynosi? powiem wam zaraz, oto: ospalstwo i próżnowanie, a niemniej też i praca nad siły, zbytnie zimno, zbytnie gorąco, głód ciągły, jakoteż i wszelki zbytek w jadle i napoju; oprócz tego zaś wszystkie namiętności gwałtowne, gniew, żal bez granic, rozpacz. Wszystko to podkopuje zdrowie człowieka i niszczy je, tież wszystkiego tego człowiek wystrzegać się powinien i chronić, jeżeli się chce cieszyć czerstwem zdrowiem. A gdy pan Bóg zeszle chorobę, trzeba się zaraz według możności ratować, trzeba się zaradzić ludzi

umyślnie do tego wyuczonych, i na leki skąpić nie trzeba, a kto inaczej postępuje, ten zginie marnie jak Marcin Kobylak.

Jak Marcin? A cóż to za Marcin? spytacie; owóż poznacie go zaraz. Właśnie powraca do domu, z grabiami na plecach, zachmurzony, markotny, bo na niebie czarna chmura zawisła, pono gradowa, i nie mógł skończyć roboty.

Już niedaleko chaty, kędy go żona, dziećmi otoczona, oczekiwała, stanął i zaklął okropnie. Dzieci się polękły i pokryły za matkę, ona zaś wstała aby popatrzeć co go tak zgniewało i wnet odgadła przyczynę. Marcin ujrzał kurę grzebiącą w pszenicy.

Wpadł zaraz w taki gniew, jakby mu kto największą krzywdę wyrządził. Aż się zapienił ze złości. Porwał kamień i jak rzucił, tak zabił kurę na miejscu a potem dalejże z grabiami do żony.

— A ty taka, ty owaka... Nauczę ja cię dbać o moją pracę... Czemu sobie kury nie pilnujesz?

Rozpłakała się Marcinowa, podniosła drgającą jeszcze kurę i poszła z dziećmi do izby. Marcin jeszcze się fukał i skakał do niej z pięściami.

— Boże, Boże, rzekła, czy też to nie szkoda zdrowia? czy to warto tak się gniewać o lada co? Poczciwa kobieta, nie chodziło jej o siebie, ani o kurę, jeno o zdrowie męża.

W tejże chwili zagrzmiało i z owej chmury co Marcina z pola spędziła, lunął grad. Łatwo pojąć, co się teraz działo z Marcinem, który tak dbał o swoje mienie, że prawie w szaleństwo wpadł, ujrzawszy kurę w szkodzie.

Na widok gradu języka w gębie zapomniał, załamał dłonie. A grad tymczasem walił się i walił aż ziemia pobielała, i w pół godziny wytłukł wszystko zboże na Marcinowem polu. Marcin jakby zmysły postradał, wypadł z izby, biegał po polu, rwał włosy z głowy, krzyczał i jęczał.

— Co ja teraz pocznę, co ja pocznę... wszystko przepadło... nie ma już dla mnie ratunku!

Spokoiła go żona jak mogła, ale tylko się ofuknął na nią i jęczał znowu:

— O nie mam już po co żyć na świecie... utopię się, albo powieszę, niechaj się wszystko skończy!

Powychodzili też na pole sąsiedzi i sąsiadki, których taka sama dotknęła klęska. Wszyscy byli zmartwieni, zapłakani ale nikt przecie takich brewery i jak Marcin nie wyrabiał. Zdawało się że tam już zginie na polu, ledwie go starsi gospodarze umitygowali.

Poznaliście już tedy Marcina, jak był łatwy do gniewu i do rozpaczy, i pewnie już nie będziecie pytać co on za jeden, jeno chyba co się z nim potem stało.

Owóż nazajutrz zbudził się do dnia i strasznie zmartwiony poszedł z domu, nie rzekłszy słowa ani do żony ani do dzieci. Przeszło południe i wieczór się zbliżał, a jeszcze go nie było z powrotem. Żona się zgryzła, spłakała, bo myślała że się może doprawdy powiesił albo utopił, i dalejże szukać go po całej wsi. Spotyka kumę, a ta jej prawi, że Marcin od rana siedzi w karczmie.

Marcinowa zdziwiła się tem okrutnie, bo Marcin jako żywo nigdy nie chodził do karczmy, a to nie dlatego że nie lubił wódki, jeno dlatego że był trochę skąpy. Idzie do karczmy, patrzy, a Marcin rozogniony siedzi na ławie, bije w stół pięścią i krzyczy:

— Na frasunek dobry trunek! Zabrał djabeł pszenicę, niech się i resztą ucieszy! Żydzie, dawaj gorzałki!

Żona się przelękła, nigdy jeszcze nie widziała Marcina w takim stanie. On ją ujrzał, wypadł rozjuszony z za stołu, ledwie go ludzie wstrzymali.

Marcinowa odeszła smutna; on zaś został, pił w karczmie całą noc, i nazajutrz nie wrócił do domu. Żona choć ze strachem, po kilka razy na dzień zaglądała do karczmy, ale się nie mogła ośmielić do niego. Pił tak bez upamiętania przez trzy dni i trzy noce.

Czwartego dnia żona go zastała jakimś spokojniejszym, choć ją widział, już się nie zrywał do bicia. Przybliżyła się więc do niego i rzekła łagodnie:

— Bój się Boga Marcinie, dość już tej pijatyki, pójdź przecie do domu.

Marcin się zerwał z ławy, jakby go nagle wodą oblał i prędko wdział kapelusz na głowę.

— Tak, dość, zawołał; dość się już zmarnowało, teraz trzeba się wziąść do pracy, żeby odzyskać co się straciło.

— Da Bóg że się odzyska, tylko już chodźmy, chodźmy, prosiła Marcinowa; dzieci płaczą w chacie.

Marcin zapłacił resztę co jeszcze był winien i wyszli. Zataczał się, bo mu dobrze w głowie szumiało, ale przecie musiał jeszcze być dość przytomny, bo szeptał sam do siebie:

— Tak, dość już tego, dość tej rozpaczy..., teraz już nie spocznę, nie odetchnę, póki znowu nie stanę na nogi; oho! i djabeł się zadziwi jak zobaczy co ja mogę.

Nie łatwo to było takie postanowienie wykonać, bo zkądże by wziął sił do pracy po trzechdniowej pijatyce. Ale przecie zaraz bardzo raźno zabrał się do roboty, i zwijał się jakby dwudziestoletni parobek. Ile go takie wysilenie kosztowało, to pan Bóg raczy wiedzieć, ale choć mu ręce mdlały, kości trzeszczały a z czoła pot lał się strumieniem, nie ustawał w pracy. Sąsiedzi wzruszali ramionami i dziwili się bardzo że on tak dokazuje a żona go prosiła:

— Bój się Boga, zdrowie zmarnujesz, czego się tak natężasz; jak zachorujesz, co wtedy poczniemy?

— Tak, tak, rzecze jej Marcin szyderczo, zdrowie trzeba szanować, szanujże swoje, kiedy ci się robić nie chce.

— Ja pracuję ile mogę, odpowie mu, ale miłe mi zdrowie i życie, bo mam dzieci.

Widząc że z nim nie wskóra, dała pokój, ale ułożyła sobie dawać mu przynajmniej posilniejszą strawę, i zaraz poszła do karczmy kupić kawałek mięsa. Lecz Marcin ledwo mięso ujrzał zaraz narobił krzyku:

— A to zkąd? a to na co? to ty już taka pani że sobie możesz mięso gotować?

— Marcinie! rzecze ona, to nie dla mnie, ja ani nie skosztuję, to dla ciebie; napracujesz się ciężko, trzeba ci się przecie posilić, bo jak stwór wyglądasz...

— A ty taka, a ty owaka... ty zbytnico... dawaj tu kija!

Już się rozjuszył; pianę z gęby toczy, a z oczu ogień mu tryska. Już lata jak szalony, jak niedźwiedź się rzuca i ryczy, myślałbyś że mu się Bóg wie co stało.

Poszedł przecie do roboty, żona sobie popłakała w cichości. Aliści wieczór Marcin wraca do domu jakiś skulony i stęka.

— Oj gwałtu, jakże mię kłuje... gwałtu, czym się oberwał,... gwałtu, gwałtu!

Legł zaraz na łóżku, nic jeść nie chciał, jeno stękał i stękał.

— Może ci jakich ziółek zgotować? może byś się czego napił? pytała go żona; i nie czekając na odpowiedź skoczyła zaraz do dworu po ziółka. Ale państwa nie było i nikt jej nie umiał poradzić.

Nazajutrz Marcin miał się jeszcze gorzej, dostał gorączki i od rzeczy gadał. Gdy go trochę gorączka opuściła, mówi mu żona:

— Marcinie, Marcinku kochany, czekaj mię tu cierpliwie, ja pójdę do miasteczka, do doktora, poproszę o jakie leki dla ciebie.

Marcin ją ofuknie z gniewem:

— Głupia kobieto, cóżto ty myślisz że doktór daje leki za darmo?

— Ba, choćby i zapłacić przyszło, to przecie lepiej, jak leżeć i stękać bez ratunku..

— Patrzcie się, takaś pani! krzyknie Marcin; a gdzież to masz pieniądze?

— Już ja się postaram, już niech cię o to głowa nie boli.

— Ani się waż! ani się waż! wołał Marcin.

— Bój się Boga, na to żałujesz?

Już tylko ręką machnął, bo go znowu bole straszne porwały, a ona też nie czekając długo, zebrała się i pobiegła co tchu do miasteczka. Pół mili w skok przebiegła, więc najprzód z koralami do żyda co dawał na zastawy, a potem do doktora i dalejże go prosić o lekarstwo dla chorego męża.

— A cóż mu jest? zapytał doktor; może się przepił?

— Gdzietam, proszę jegomości, on nigdy nie pije, chyba w rozpaczy; ot spracował się strasznie, czy go żółć oblała, bo jakiś był zrzędny.

— Cóż go boli? zapytał doktor znowu.

— Marcinowa opisała wszystko, doktor przeszedł się po izbie, pomyślał, zapisał lekarstwo i kazał pijawki postawić.

— Poczciwa kobieta spieszy teraz z kartką do apteki; zrobili jej lekarstwo na poczekaniu i pijawki zapakowali w słojku.

— A wiele trzeba zapłacić za wszystko?

— Reński, odpowiedział aptekarz.

— Niech kosztuje co chce, rzekła, byle pomogło; a płacąc myślała sobie w duchu: gdyby on wiedział, żem aż tyle na te leki wydala, oj, dałżeby mi!

Teraz już spieszy do domu i cieszy się, że mężowi zdrowie powróci, i znowu pół mili w skok przebiegła, wchodzi do do chaty. Mąż stęka, ani nie spojrzał na nią.

— Marcinie, miej w Bogu nadzieję, rzekła do niego łagodnie; będziesz zdrów.

On się zerwał na łóżku.

— Co to? lekarstwo? Wieleś zapłaciła? wieleś zapłaciła?

Przelękła się biedna kobieta, słowa przemówić nie mogła a on krzyczał:

— A ty złodziejko przeklęta, okradać mnie będziesz? ostatek mi będziesz wydzierać?

Ręce przed nim załamała:

— Marcinie, to nie za twoje pieniądze, to za moje korale..

Ani słuchać nie chciał, wyskoczył do niej z pięściami, chciał ją bić. Ale nogi się pod nim zachwiały, upadł i krew mu uderzyła do głowy. Żona skoczyła na ratunek, podnosi go ale rady mu dać nie może; ledwie go dźwigła i na łożu złożyła. Teraz pobladł straszliwie, wyciągnął się i przymknął oczy. Marcinowa przelękła się, narobiła krzyku, dzieci też w płacz; przybiegła sąsiadka, chcą ratować chorego, patrzą... a on już skonał.

Tak to bywa tym co zdrowia nie szanują, taki to ich koniec; umierają przedwcześnie, wtenczas kiedy może ich życie byłoby najpotrzebniejsze dla rodziny i zostawiają żony wdowami, a dzieci sierotami. O! zdrowie trzeba szanować.

Stanisław Krakowczyk.

Lutnista biskupem.

Za dawnych czasów, kiedy jeszcze Kraków był stolicą królów polskich z rodu Jagiellonów, co byli wszyscy bardzo dobrymi królami i rządzili narodem jakoby cnotliwi ojcowie swoją rodziną, pojawił się tam raz chłopczyna jakiś ubogi, nikomu nie znajomy, który chodził po domach, grał na lirze czyli na lutni i śpiewał, a za to dostawał tu i owdzie po parę groszy i z tego żył. Nazywał się Erazm Ciołek i pochodził podobno z bogatej rodziny, ale nikt nie znał jego rodziców i on sam o nich nic nie wiedział.

Lutnistę tego poznał jeden dworzanin królewski i bardzo go sobie za jego piękne granie upodobał, tembardziej gdy się dowiedział że go nikt grać nie uczył, jeno on tak sam ze siebie umiał przebierać palcami po strunach. Będąc u syna królewskiego, królewicza Alexandra w łaskach, wstawiał się do niego za owym ubogim lutnistą i prosił o jaką pomoc dla niego.

Królewicz kazał lutnistę przywołać do siebie i także bardzo go polubił, bo też to był wielce urodny chłopczyna, a na

wszystkie zapytania tak roztropnie królewiczowi odpowiadał, że się wszyscy dziwili, zkąd taki dzieciak przez rodziców zaniedbany, i nigdy niczego nie uczony, może mieć tyle rozumu. Królewicz zajął się nim bardzo troskliwie i kazał go uczyć najprzód w Krakowie; a gdy tu szkoły ukończył, wysłał go swoim kosztem do Włoch, gdzie były podówczas najlepsze szkoły, aby się tam w naukach wydoskonalił.

Erazm Ciołek przykładał się do nauk bardzo pilnie i postępował szybko, co mu zresztą nie było trudno, bo i głowę miał do nauk dobrą i pracy nie żałował. Gdy za otzymywane dobrodziejtwa dziękował królewiczowi, który się nim ciągle opiekował, mawiał mu królewicz: Ja od ciebie wdzięczności nie potrzebuję, ale jak wyjdziesz na człowieka, jak zostaniesz biskupem albo i czem więcej, pamiętaj, abyś się ojczyźnie odwdzięczył.

Młodzieniec ani nie marzył jeszcze wówczas o takich dostojeństwach, ale jednak przyszedł czas że się ziściła przepowiednia królewicza; bo ubogi niegdyś lutnista, wyuczywszy się w naukach, został księdzem, potem kanonikiem krakowskim, a nakoniec biskupem płockim. Służy on nam za wzór, jak to wysoko można dojść pracą i wytrwałością, pomimo ubóstwa i opuszczenia i potwierdza się na nim stara jak świat, ale święta prawda, że Bóg nigdy nie opuści sieroty; a kiedy dziecku zabierze rodziców, to wnet mu zeszle innych opiekunów, byle tylko dziecko nie zapominało o tym swoim najwyższym opiekunie w niebiesiech, co widzi z góry wszystkie jego troski i potrzeby a przytem także wszystkie skrytości jego serca.

Erazm Ciołek, nazwany Witelionem, zostawszy biskupem, zajaśniał na tem dostojeństwie wielką mądrością. Przyszła teraz kolej na niego odwdzięczyć się swemu dobroczyńcy, który już był królem. Dla ojczyzny położył zasługi wielkie przez to, że się przyczyniał wielce do rozmnożenia w kraju szkółek po miasteczkach i wioskach, ale to nie dosyć, bo kto taki jak on dług zaciągnie, to się i całem życiem nie wypłaci. Król Aleksander był dla niego zawsze łaskaw. Ufając jego rozumowi

i wierności, wysłał go w poselstwie do Rzymu, na którem też biskup Erazm bardzo dobrze się sprawił, a gdy ten dobry król przedwcześnie umierał, polecił go najmocniej bratu swemu i następcy, królowi Zygmuntowi I.

I bez tego polecenia biskup Erazm byłby miał u nowego króla łaski i względy, jako mąż wielce szanowny i sławny ze swojej mądrości a do tego duchowna osoba. Król Zygmunt używał go także do różnych poselstw, które biskup bardzo dobrze z początku sprawował, ale w końcu pycha skalała jego serce. Przebywając prawie ciągle na dworach cesarzów i królów, tak się rozmiłował w blasku światowym, że już o niczem nie myślał, jeno o nabywaniu nowych dostojeństw i zamiast pilnować dobra swojej ojczyzny i króla, zamiast koło tych spraw chodzić, które jego pieczy i sumieniu powierzono, zaniedbał wszystkiego ze szkodą ojczyzny, a o sobie tylko myślał i starał się u cesarza niemieckiego o bogatsze biskupstwo, a u ojca św. papieża o najwyższą godność kościelną, o kardynalstwo i to tylko miał w głowie.

Król Zygmunt musiał pisać do niego i przypominać mu obowiązki. Biskup zmiarkował że źle zrobił i rad był złe naprawić, ale wstydził się wracać do ojczzzny, bo u nas w Polsce ludzie palcami takiego wytykali, co więcej dbał o własną skórę jak o dobro ojczyzny. To mu zatruło resztę żywota i umarł w Rzymie ze zgryzoty.

Piękny przykład,

Uchwały Rady gminnej w Szymbarku.

Szymbark jest to wieś pół mili za Gorlicami, jak się jedzie do Sącza, przy samym gościńcu co go zowią karpackim, bo prowadzi człeka het aż na nasze piękne góry karpackie. Położenie tej wsi jest górzyste, ale lud pracowity uprawia te góry jak umie i może, aby były nie tylko dla oka przyjemne, ale także na owoc korzystne. W tej wsi prócz kościoła jest także zamek, czyli dom obszerny i wysoki, wystawiony z ka-

mienia przez Jana Gładysza nad rzeką Ropą, dla obrony od nieprzyjaciela, w roku 1359, a więc za czasów Kazimierza Wielkiego króla polskiego.

Wójt tej wsi, gospodarz stateczny, dbający o kościół, o szkołę i o dobro gminy, zawołał pewnego dnia Radnych do szkoły, bo w karczmie uchowaj Boże, nigdy się rady nie odprawiają i tak rzecze do nich:

— Na to nas ludzie do „Rady Gminnej“ powołali, abyśmy im dobrze radzili, aby już nie potrzebowali tak często do urzędów chodzić, co to prawdę mówiąc i wiele grosza kosztuje i wielka ztąd jest mitręga. Wiecie, że roboty w polu już prawie skończone; człek po pracy chciałby się jakoś i rozweselić, a młodzi przy wesołej muzyce i podskoczyć. Aby jednak zamiast rozweselenia nie było obrazy boskiej, uradźmy tak: żeby tylko raz w miesiącu pozwalać na granie, bo człek nie dla zabawy, jeno do pracy jest stworzony, a jakby się ciągle bawił, toby zapomniał o tem, i wiela grosza by zmarnował, a tu nie ma zkąd, bo czasy bardzo złe. Toż żeby tylko do godziny dziesiątej na granie pozwalać, bo gdyby parobcy i dziewki przez całą noc się bawili, jak to dotąd bywało, toby na drugi dzień nijaka robota była z nich, więcej by spali jak robili, a gospodarze narzekaliby na nas, że na tak długie granie pozwalamy.

Podobała się ta rada wszystkim i przystali na nią, lecz jeden radny, tak się jeszcze odezwał:

— Dzieciom nie pozwalajmy na muzykę chodzić, będą mieli nato dosyć czasu jak urosną. Lepiej niech siedzą w domu i niech czytają „Dzwonek“ albo inne pożyteczne książki, a więcej skorzystają jak z muzyki.

Ośmielony tą mową inny radny, tak powiada:

— A wiecie co gospodarze, nie pozwalajmy przy takiej muzyce upijać się, jak to dotąd bywało, a jakby który upił się nieprzymierzając jak bydlę bez rozumu, to go het wypędźmy aby nie przeszkadzał uczciwej zabawie.

Na ostatek jeszcze inny, co jest diakiem w cerkwi, jak u nas organista w kościele, człek bardzo poradny i dobry katolik, odezwał się jeszcze:

— Na nic się nie przydadzą nasze uchwały, jeźli dla nich poszanowania nie będzie, a człowiek zawsze skłonniejszy do złego niżli do dobrego. Przeto uradźmy, aby na każdej muzyce jeden z radnych był przytomny, dla pilnowania porządku i poszanowania naszej uchwały.

Wszyscy się na to zgodzili, i uchwały Rady zostały spisane na wieczne czasy, a my je tu podajemy, aby innym gminom służyły za wzór, jako bardzo chwalebne i użyteczne. Daj Boże, aby wszystkie gminy takie prawa sobie stanowiły i ich przestrzegały, a wtedy na całej ziemi naszej ustaną pijaństwa i rozpusty a zakwitnie pobożność, pracowitość i miłość wzajemna.

Tomasz Kwiatkowski nauczyciel.

RÓŻNOŚCI.

Lekarstwo na krwiotok gdy się bydlęciu róg wyłamie. Jeżeli sobie bydlę przez jaki szczególny przypadek wyłamie róg, puszcza mu się z bolącego miejsca krew, tak gwałtownie, że nieraz bydlę musi z tego zdychać. Jest na to bardzo proste a wielce skuteczne lekarstwo. Robi się tak: Nalewa się na płytką a szeroką miskę trochę octu, tę miskę z octem stawia się na żarzących węglach aby się ocet dobrze rozgrzał; im się dłużej grzeje, tem będzie silniejszy. Potem odstawia się miskę, żeby ocet trochę wystygł, macza się w nim kawałki płótna i przykłada bydlęciu na skaleczone miejsce. Nie długo potem krew płynąć przestanie i rana się zagoi.

Co robić gdy bydlęciu gardło spuchnie? Często z nagłego oziębienia dostaje bydlę zapalenia gardła, co jak się zaniedba bywa niebezpiecznem. Na tę zaś chorobę jest także bardzo dobre lekarstwo: Z mąki razowej, potłuczonego siemienia lnianego i kwiatu rumiankowego robi się ciasto. Do tego ciasta dodaje się trochę słodkiego mleka i ciasto się zagotowuje. Potem bierze się szmatkę, smaruje się ją tem ciepłem ciastem i przykłada się na zapuchnięte gardło. Trzeba często odmieniać te plastry a puchlina zejdzie wkrótce.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 12.

21. października 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O pobożnym rycerzu Dembrodzie.

Pośród równin sandomierskich, w tej części kraju polskiego co teraz jest pod Moskalem, wznosi się bardzo wysoko góra, nazwana Łysą. Na tej górze stoi wielce starożytny kościół Ś. Krzyża, z klasztorem księży Benedyktynów, najpierwszym w całej Polsce.

Klasztor ten założył król polski Bolesław Chrobry, a to z takiej przyczyny. Pewnego razu przyjechał do niego w odwiedziny jego krewny, królewicz węgierski Emeryk, co później został świętym. Zabawiali się obadwa łowami na jelenie, i w pogonce zapędzili się aż na wierzchołek Łysej góry. Tu królewicz Emeryk ujrzał stosy kamieni, zwaliska bożnicy pogańskiej i zdało mu się, że to miejsce byłoby bardzo dogodne na siedlisko dla ludzi, co się chcą od świata oderwać i Bogu swój żywot poświęcić. Dalejże więc w prośby do króla Bolesława, aby tu założył klasztor dla księży Benedyktynów. Bolesław przyrzekł, że to uczyni, a królewicz Emeryk ofiaro-

wał do nowego kościoła drogocenną relikwię, cząstkę krzyża świętego, na którym Zbawiciel poniósł śmierć męczeńską. Relikwia ta, od której kościół otrzymał nazwę święto-krzyskiego była oprawna w złoto i drogie kamienie. Późniejsi królowie polscy i panowie wzbogacili hojnemi dary kościół i klasztor benedyktyński, a tak był on nie tylko najpierwszym, ale wnet stał się najmożniejszym w całej Polsce.

Ale różnemi czasy kilka razy złupili go i spalili nieprzyjaciele. W dwieście lat po założeniu, za innego Bolesława, zwanego Wstydliwym, męża ś. Kunegundy, straszną nawałą wpadli do Polski Tatarzy, spalili Lublin, a przeszedłszy Wisłę po lodzie, bo to było w zimie, pobili waleczne rycerstwo Bolesława pod Opolem, zdobyli Sandomierz, wszystkę ludność wycięli w pień i spustoszyli calą okolicę. Potem znowu po raz wtóry pobili zastępy Bolesławowe pod Wielkim Turskiem, a chociaż zbyt drogo okupiwszy to zwycięztwo, cofnąć się musieli; znowu wkrótce dwoma szlakami całą Polskę zalali. Rycerstwo polskie stawiło im jeszcze opór pod Chmielnikiem, ale i tu poniosło klęskę; Tatarzy, jak niczem niewstrzymana chmura pognali dalej, spalili Kraków i nie oparli się aż o Lignicę na Szlązku, choć zaś i tu odnieśli zwycięztwo, i trupami Chrześcijan zasłali pola, nie śmieli iść dalej, w czterech bowiem wspomnianych walkach, choć zawsze zwyciężali, zawsze niezmierne ponosili straty, i liczba ich przeto zmniejszyła się znacznie. Zawrócili więc ku Węgrom, zkąd dopiero po całorocznym pobycie cofnęli się do swoich siedzib, w dzisiejszej Moskwie.

Napad ten Tatarów był dla Polski straszną klęską, z której się przez wiele, wiele lat podźwignąć nie mogła. Złupili oni kraj cały, spustoszyli i spalili mnóstwo miast, zamków i wsi, tysiące ludu wywiedli w niewolę; kościoły i klasztory także bardzo wiele od nich ucierpiały. Między innemi zrabowali także i klasztor księży Benedyktynów na Łysej górze, w sandomirskiem, i prócz wielu kosztowności zabrali ztamtąd także ową relikwię, przez św. Emeryka ofiarowaną.

Tak dobrze obłowiwszy się w Polsce i krajach sąsiednich, żyli sobie w domu wesoło, ale radość nie długo trwała, nie długo cieszyli się zdobyczami, ani im na dobre wyszły te skarby, spokojnym mieszkańcom wydarte okrutnie. Oto niebawem wybuchła u nich okropna zaraza. Lud marł tysiącami i nikt nie był pewny godziny życia; wkrótce wymarła większa połowa z tych co byli w Polsce, a jeszcze końca nie było, śmierć coraz więcej ofiar zabierała codziennie. Strach padł na cały kraj. Przerażony Chan, czyli król tatarski, wzywa kapłanów swojej wiary, wzywa wróżbitów, pyta co mogło ściągnąć taką klęskę na jego poddanych, o radę pyta Ale wróżbici nie mogą odgadnąć co tak rozgniewało niebiosa, nie umieją dać rady, jak złemu zaradzić. Kapłani nakazują modły, posty, ale na próżno; zaraza nie ustaje, owszem zda się być coraz groźniejszą, zda się coraz bardziej rozszerzać po wszystkich krajach tatarskich. Rozpacz ogarnęła pogańskie plemię, a chan który samowolnie władał tylu milionami ludzi, przed którego potęgą niedawno całe chrześcijaństwo drżało, widząc że tu kończy jego władza, że nie ma mocy rozkazywać powietrzu, zżymał się i gniewał.

Był wówczas w niewoli tatarskiej rycerz polski imieniem Dembrod, jeden z tych starodawnych naszych rycerzy, u których pod żelaznemi pancerzami biły serca pełne wiary, bogobojności, pobożności. Temu raz we śnie objawił się anioł pański i rozkazał mu iść do chana i powiedzieć, że zarazę zesłał Bóg za znieważenie Jego kościołów w Polsce, i za zabranie relikwi z świętokrzyskiego kościoła. Niech odeszlą relikwie, rzekł anioł, a Bóg uśmierzy swój gniew i odwróci rękę karzącą. Zbudziwszy się ze snu Dembrod, rozmyślał w pokorze ducha o tem co mu Bóg objawił, ale do chana iść nie śmiał. Wspomniawszy jednak na Mojżesza i Arona, nabrał serca, poszedł i oznajmił chanowi co mu anioł rozkazał. Chan nawet słuchać nie chciał niewolnika, odpędzono go i zagrożono śmiercią, jeżeli się poważy jeszcze raz stanąć przed nim. Tymczasem zaraza srożyła się coraz bardziej, a płacz i narzekania rozlegały się w całym kraju. Chan powtórnie wzywa

kapłanów i wróżbitów, naradza się z nimi i opowiada co mu obwieścił niewolnik chrześcijański. Wróżbici mówią, że relikwię co prędzej do Polski odesłać potrzeba. Wybrano więc dwóch Tatarów i kazano im gotować się do drogi. Ale o dziwo! gdy przyszli brać relikwię, ów mały kawałeczek drzewa, w blaszkę złotą oprawny, stał się tak ciężkim, że go unieść nie zdołali. Przywołano Dembroda, a on z największą łatwością podniósł święty szczątek. Domyślono się z tego, że Bóg chce aby on odniósł relikwię; udarowano go więc wolnością, i jemu iść kazano, a owych dwóch Tatarów przydano mu jako orszak, aby był w drodze bezpieczny. Dembrod wybrał się więc w drogę, i wziąwszy relikwię ruszył ku Polsce.

I szedł stepami ku zachodowi, a idąc modlił się i śpiewał hymny pobożne a w nocy biło światło z relikwi i wskazywało drogę. Gdy tak szedł i szedł coraz dalej a dalej, ujrzał nareszcie przed sobą kościółek z krzyżem na wieży, i domyślił się, że jest już w kraju polskim, odprawił więc Tatarów, a sam pospieszył co tchu do kościoła, opowiedział zkąd i z czem idzie. Po nabożeństwie ruszył dalej, do drugiego kościoła, a ztąd znowu dalej, aż po wielu dniach podróży przybył na koniec na Łysą górę do świętokrzyskiego klasztoru i ku wielkiej radości zakonników i ludzi pobożnych, którzy w procesji wyszli naprzeciw niemu, wniósł relikwię przy odgłosie dzwonów do kościoła, i złożył ją na dawnem miejscu.

A skoro król usłyszał o przybyciu rycerza Dembroda z tak wesołem poselstwem, i o dziwnych jego w niewoli i podróży przygodach, przyzwał go na swój dwór, kazał sobie wszystko opowiadać i nagrodził go hojnie.

Kwiat życia.

Zosia sierota, bez ojca, bez matki,
Codzień wieczorem i rano,
Wybiega z cudzej — ich niegdyś chatki,
Łzy swe, modlitwy i świeże kwiatki
Nieść na mogiłę kochaną.

„Ojcze mój! matko miła!
„Biedna ja bez was! biedna!
„Sierota, sama jedna!
„Lepiej gdybym nie żyła,
„Bo tam bym z wami była!
„A tu każdemu cudza, w cudzym domu,
„Każdy mię krzywdzi, nikt nie pocieszy,
„Płacz mój ich śmieszy!
„Ni się pożalić komu,
„Ni się mnie kto pożali! —
„Ach! nie tak było, kiedyście wy żyli!
„Wszyscy mnie kochali, chwalili,
„Bo o was dbali. —
„A teraz!... biedna ja, biedna!
„Sierota, sama jedna! —
„O! gdybym was mogła, rodzice!
„Choć raz obaczyć, choć przez sen w raju!“ —

Tak się modli — Bóg dobry wysłuchał dziewicę,
Bo gdy raz wedle zwyczaju,
Znalazłszy swobodną chwilę,
Wybiegła wieczorem z chatki,
Złożyć na miłej mogile
Łzy swe, modlitwy i kwiatki:
Usnęła słodko a sen życzliwy
Takie jej malował dziwy.

Weszła na łąkę piękną, wspaniałą,
Całą zasłoną kwiatami,
Jakich tu ludzkie oko nie widziało;
A wśród nich drzewa, pod liści wieńcami,
A na tych drzewach, i kwiat i zawięzie,
I razem owoc dojrzały;
A ich łagodnym wiatrem pochwiane gałęzie,
Słodką harmonią brzmiały.
Patrzy zdumiona — aż nagle w drzew cieniu
Ojca i matkę postrzegła. —
Krzyknęła, i ku nim pobiegła.

Oni ją tulą w tkliwem uściśnieniu,
I błogosławiąc, mówią: „Lube dziecię!
„Patrz! czyż to płakać nad nami potrzeba?
„Gdzież co równego jest na waszym świecie?
„A i to jeszcze ledwie wstęp do Nieba! —

„Czekać tu będziem, aż już razem z tobą
„Pójdziemy stanąć przed Majestat Boży.“ —

Tu Zosia nagle ujrzała przed sobą,
Śród krzewu cierni, tak cudny kwiat róży,
Że jakby w sobie uczuła ból kwiatka,
„Ach! ja go wyrwę z tych cierni,“ wyrzekła.
— „Spróbuj!“ z uśmiechem odpowie jej matka;
Ona chce zerwać — róża do góry uciekła.
Więc pragnie cudu przyczyny dociec.
„Córko moja!“ rzekł jej ojciec:
„To jest kwiat życia twego; — choć śród cierni,
„Patrz! jak się wdzięcznie uśmiecha!
„Żaden go proch nie kala, żaden cień nie czerni,
„W nim nasza — a w tem twoja niech będzie pociecha!“

— A gdzież są — Zosia zagadła,
„Kwiaty waszego życia?“ — „Widzisz?“ — „Widzę“. —
— „Obok twojego, na jednej łodydze,
Korona cierni już w krąg ich opadła;
Lecz by dojść pełni i dojrzeć dla Nieba!
Cnót twych im jeszcze i twych modlitw trzeba.“ —

— „A toż, mój ojcze czyje
Te kwiaty białe, w szeregu,
Od których taki blask bije,
Jak u nas słońca od śniegu?“
— „To ogród wybranych ludzi,
„Niewinnością ich duszy kwiat się życia bieli,
„Namiętność nie rumieni, występek nie brudzi,
„A straż nad niemi Pańscy trzymają Anieli.“ —
— „A któż stróżem mego kwiatka?“ —
— „Ja i twa matka.“ —
Rzekł — wszystko znikło; — lecz w duszy dziewiczej
Został na za zawsze ów sen tajemniczy,
I choć sierota, w cieniu cudzej strzechy,
Choć kwiat jej życia kwitł w cierniach na świecie:
Ilekroć rajskie przypomniała kwiecie,
Czuła i w sercu blask rajskiej pociechy.

Antoni E. O.

Janek Góralczyk,

jak przemyślną pracą przyszedł do majątku.

Między górami, między lasami mieszka lud biedniejszy jak u nas, bo tam ziemia nie taka urodzajna jak w innych okolicach naszej polskiej ziemi, a żyto i pszenica rzadko się udaje, tylko prawie sam owies sieją i tem żyją. Są tam także i majętni gospodarze, co mają podostatkiem chudoby i sporo owiec, które przez całe lato pasą się po górach i nocują w szałasach, gdzie je juhasy (tak się nazywają ci co pasą owce), doją i robią sery z mleka. Ale więcej jest biednych, którym brak i owsianego chleba.

Zamożne gospodarstwo dostało się po ojcu dwóm braciom Grzegorzowi i Jankowi. Starszy Grzegorz gospodarował w domu i koło roli, młodszy Janek juhasował po górach, i tak się był przyzwyczaił do gór i lasów, że wcale mu się nie tęskniło za chatą; dbał o owce odganiając je od wilków, dla rozrywki śpiewał i grywał czasami na fujarce, i wytrębywał na dużej drewnianej trąbie, którą sobie sam z drzewa zrobił. Czasami wystrugiwał z drzewa różne drobiazgi, wózki, skrzypki, terkotki i inne dziecinne zabawki, a był to sobie wesoły chłopak i sam się bawił i swoich towarzyszy rozweselał.

Grzegorz zaś był zawsze ponury i smutny; dumny ze swego bogactwa, sądził że mu nigdy bieda nie dokuczy, kiedy ma wszystkiego podostatkiem. Nie bardzo troszczył się o gospodarstwo myśląc sobie, że kiedy jest taki bogaty, to mu zawsze będzie wszystko samo przybywało bez trudów i pracy; nie chciało się mu już pracować w roli, trzymał więc sobie kilku parobków a sam po większej części w karczmie przesiadywał, za co żyd bardzo go lubił, bo nie mało pieniędzy Grzegorzowych przechodziło do szkatuły brodatego Abramka za wódkę. Byli też i źli ludzie, którzy namawiali Grzegorza do takiego życia bo Grzegorz i dla nich nie skąpił i ugaszczał ich hojnie.

Gdy już brakło Grzegorzowi pieniędzy, to sprzedawał po kilka owiec, byle tylko prowadzić rozpustne życie, bo to zwykle, jak się człek do złego przyzwyczai, a nie ocknie się zawczasu, to już później trudno się opamiętać. Siedział więc w karczmie, gospodarstwa nie pilnował, owce za owcami sprzedawał, tak że we dwa lata po śmierci ojca, Janek już nie mógł juhasować, bo owiec zabrakło.

Załamał ręce Janek i zapłakał gorzko; nie śmiał nic bratu wyrzucać, bo był dużo młodszy od niego i w domu prawie nigdy go nie widział, a do karczmy byłby nie poszedł, i wiedział że toby nic nie pomogło; nie mogąc dłużej patrzeć na taką poniewierkę ojcowskiego mienia, postanowił zostawić brata i iść w świat, choć żal mu było bardzo porzucać rodzinną wioskę, żal mu było tych lasów i gór, w których echo jego śpiewów się rozlegało, nareszcie żal mu było i towarzyszy; ale cóż miał począć? poszedł do kościoła, pomodlił się Bogu i znikł bez wieści.

Ubiegł ze dwadzieścia mil, bo w bliskości nie chciał nigdzie przyjąć obowiązku, by ani brat o nim, ani on o rozpustnym Grzegorzu nie miał wieści, bo przeczuwał że tam nic dobrego dziać się nie będzie.

Przechodząc przez wieś Dąbrowę, spotkał dziedzica tej wsi. Zapytany zkąd i dokąd idzie, odpowiedział że szuka służby.

— A może byś u mnie przyjął służbę? zagadnął go pan.

— Bardzo chętnie, Wielmożny panie, odpowiedział Janek.

Zgoda odbyła się na poczekaniu.

Janek szczęśliwy że mu się już służba trafiła, brał się z chęcią do każdej pracy, i co mu tylko kazano zrobić, zrobił jak najlepiej i najsumienniej, za co go pan bardzo polubił i wynagrodził sowicie za jego szczerą pracę.

Jednego razu, przed świętami Bożego narodzenia, posłali państwo Janka z kartką do sklepu, gdzie miał pokupić rozmaite rzeczy, między innemi i zabawki dziecinne w kilku pudeł-

kach, z których dzieci były bardzo uradowane A były to ładne zabawki tak, że i Jankowi się podobały i z wielkiem zajęciem się przypatrywał. Pan widząc Janka tak zajętego temi zabawkami, zapytał się go:

— Możebyś i ty Janku chciał się bawić takiemi zabawkami, że się tak przypatrujesz z zajęciem?

— A bo proszę pana takie ładne, aż patrzeć miło.

— Bo też i dosyć drogie, odpowiedział pan.

— Zkąd oni sprowadzają te zabawki? spytał się ciekawie Janek.

— Z zagranicy, odpowiedział pan, z Czech, z Niemiec i innych krajów.

Janek przypatrując się lepiej zabawkom, zrzekł z zadziwieniem:

— Ta to proszę pana z drzewa, tylko pomalowane.

— Tak z drzewa, odpowiedział pan.

— A czyż to brak w naszym kraju drzewa, żeby aż z innych krajów sprowadzać?

— Kiedy tu nikt nie potrafi tak zrobić, i nikt nawet nie robi, odpowiedział pan.

— Bo nie umią, mówił Janek, ale jakby umieli to pewno i u nas takie same potrafiliby zrobić, to nie wielka musi być sztuka.

— Sprobój Janku, śmiejąc się mówił pan, a będziesz wiedział, czy to sztuka.

Janek nie namyślając się rzekł:

— Ano sprobuję; i wziął parę zabawek na model.

Nazajutrz przyniósł pokazać panu kilka powyrzynanych zabawek; nie były one tak ładnie i dokładnie zrobione i nie malowane jak te kupne, ale były bardzo podobne, choć Janek strugał tylko nożem, a tamte były toczone.

Zręczność Janka zdziwiła pana, i rzekł do niego.

— Wiesz co Janku, kiedyś tak zręczny, to wyucz się tokarstwa i rób takie zabawki, a dobrze ci się będzie działo,

bo trzeba ci wiedzieć, że prawie każda rodzina, kilka razy do roku różne kupuje zabawki dla swych dzieci, a gdybyś się nauczył tokarstwa i Pan Bóg poszczęścił, to i inni poszliby w ślad za tobą, i zamiast wysiadywać w karczmie i trwonić mienie, byliby zajęci pożyteczną pracą, którąby zyski niosła dla nich i dla kraju, bo ten pieniądz, co dziś wysełają za granicę, płynąłby dla naszego ludu.

Lecz Janek był głuchy na te rady, i nie chciał porzucać służby i wioski; była w tem także przyczyna.

W sąsiedztwie dworu, u gospodarza Tomasza Rybaka, była młoda dziewczyna Tereska, sierota, którą się Tomasz opiekował; ona podobała się Jankowi bardzo, bo była schludna i pracowita i Janek podobał się także Teresce.

Po niejakim czasie oboje się pokochali, i Janek chciał się dowiedzieć od Tomasza czyby wydał za niego swoją wychowankę; ale Tomasz oburzył się na niego, i powiedział mu że nie wyda Tereski za takiego hołysza. Ludzie naśmiewali się z Janka i dokuczali mu kpinkami, co go bardzo gniewało. Niemogąc tego znosić dłużej, podziękował panu za służbę i puścił się dalej w świat.

Było to w zimie i jakoś nigdzie nie mógł znaleźć służby; udał się więc do miasta, ale i w mieście nadarmo szukał zatrudnienia. Zrozpaczony i zgłodzony wychodząc z miasta, ujrzał na wystawie sklepowej fajki i różne rzeczy toczone, dorozumiał się że tu mieszka tokarz, przyszła mu więc na myśl rada pana z Dąbrowy, i nie namyślając się długo, udał się do niego z zapytaniem czyby go nie przyjął do siebie na naukę. Tokarz z początku go nie chciał, ale na prośby jego z wielką niechęcią dał się namówić i ubłagać, że go przyjął, z warunkiem, że mu będzie robił przez cały rok za darmo, poczem dopiero może będzie mu płacił, jeżeli będzie zręczny. Na co Janek przystał i przez ten czas uczył się i pojmował prędko wszystko co tylko mu ukazano, tak że do roku przewyższał w zręczności swego nauczyciela, bo miał już wrodzony spryt do tego, chęć i zapał. Uskładał sobie także trochę pieniędzy, bo w wol-

nych godzinach robił na swoją rękę różne zabawki i sprzedawał je w mieście.

Po skończonym roku nauki pokupił sobie sprzęty potrzebne do tokarstwa, i w małym kąciku wziął się szczerze do pracy. Toczył różne rzeczy, jak zabawki dziecinne: lalki, żołnierze, kręgle, strugał koniki i inne drobiazgi, jak również i inne sprzęty pożyteczne, nie tylko do zabawy służące; szło mu to z łatwością bo był zręcznym, i na wzory kupował sobie różnorakie ładne rzeczy. Gdy już narobił dosyć takich drobiazgów, jeździł na jarmarki, sprzedawał i wchodził w układy z kupcami, którym zostawiał na sprzedaż swoje wyroby. Kupowali też wszyscy z chęcią, bo każdy woli dać swemu zarobić, niż gdzieś z daleka sprowadzać.

Pieniędzy mu też sporo przybywało i we dwa lata był już majętnym człowiekiem. Chciał więc już gdzie osiąć stale i ożenić się. O Teresce wciąż pamiętał i chciał się dowiedzieć czy też nie poszła jeszcze zamąż, poszedł więc do Dąbrowy, myśląc że teraz, kiedy ma pieniądze i chleb w ręku, to Tomasz nie będzie stawiał oporu.

Jakoż Tomasz nie sprzeciwiał się teraz i wkrótce odbyło się skromne wesele Janka z Tereską.

Z początku mieszkali na komornem. Janek pracował nieustannie i jeździł sprzedawać swoje wyroby. Za uskładane pieniądze zaczął budować chatę, w której urządził sobie warstat w osobnej izbie. Gdy już była skończoną, poprosił księdza by odprawił mszę na podziękowanie Bogu i uproszenie błogosławieństwa.

Odtąd z podwojonym zapałem wziął się do dalszej pracy, przyjął sobie do pomocy kilku ciekawych parobczaków, których wyuczył tokarstwa, i sporo mu szła robota, którą z łatwością spieniężał, bo kupcy z miast prosili go, by czem prędzej przywoził swoje wyroby, i pieniądze naprzód mu dawali.

Dobrze mu się więc działo i w kilku latach dorobił się znacznego majątku, tak że dziś nie tylko domostwo jego wygląda ładnie jak mały dworek, ale i najbogatszym jest gospodarzem na całą okolicę.

Pomimo że tak Jankowi się szczęściło, utęsknił za krewnymi, znajomymi, za górami i lasami, za swą rodzinną wioską, i chciał się tam przenieść. Gdy się o tem dowiedzieli gospodarze w Dąbrowie, przyszli do niego z prośbą i naleganiem by tego nie robił, mówiąc, że tak zacnego i godnego sasiada, który staraniem swojem prowadzi wszystkich do lepszego bytu i oświaty, nie puszczą od siebie. Janka to ujęło bardzo i postanowił tylko odwiedzić brata.

Puścił się więc w drogę, w góry. Lecz jakaż była jego boleść i cierpienie, gdy ujrzał zniszczone gospodarstwo brata, grunt jego zaniedbany i wystawiony na sprzedaż, a Grzegorza posługaczem żydowskim. Bratowej już nie zastał, bo z nędzy umarła, dwaj zaś synowie Grzegorza służyli za parobków. Janek będąc bogatym, kupił grunt po bracie i zapisał go na jego synów, a sam wrócił do Dąbrowy.

Józef z Medyki.

Lud wiejski w kraju szwedzkim.

Niedaleko Danii, o której wam już pisaliśmy, jeno jeszcze dalej ku północy, leży między morzami półwysep, długim łańcuchem gór przerznięty, na którym są dwa kraje, Szwecja i Norwegia, obadwa pod jednym królem. Opowiemy wam tym razem nieco o Szwecji, a później, da Bóg doczekać, o Norwegji.

Wybrzeża Szwecji gdy się płynie na okręcie do tego kraju, smutny przedstawiają widok. Nagie skały piętrzą się w górę, tu i owdzie leżą wysepki skaliste, a nigdzie śladu zieloności; kraj pusty, nie urodzajny, wszędzie cisza głucha, gdzieniegdzie tylko widać chatę w głębokim wąwozie, opodal wiatrak. Ale gdy na brzeg wysiądziesz, a ujrzysz tu żołnierza na warcie, z ręką na szabli i przypatrzysz się jego pańskiej, dumnej postawie, zaraz sobie pomyślisz, że w tym kraju, gdzie takie tęgie i udatne chłopy rosną, nie jest zapewne tak bardzo

źle jak się zdaje. Jakoż postąpiwszy nieco dalej w głąb kraju, ujrzysz miasta zamożne z rozmaitemi fabrykami a w koło miast liczne wsie i folwarki. Na łąkach pasie się bydełko piękne i dzwoni dzwoneczkami, za bydłem idzie pasterz z wielką trąbą i wytrąbuje pieśni. Dzieci wiejskie roznoszą poziomki, wiśnie, gotowane raki, wszystko w ładnych koszyczkach z kory brzozowej, własnej roboty, i przedają gdzie mogą. Wejdziesz do której chaty, ujrzysz tam pięknie wymyte ławki, stoły i szafy, na ścianie obrazy króla i królowej pięknie namalowane, kalendarz rozwieszony; w trzech ścianach izby są okna, pod czwartą stoi piec, obwiedziony u dołu podwójnem wieńcem kwiatów suchych, co je zowią słomianemi albo nieśmiertelnikami. Podłoga posypana gałązkami sosnowemi lub liściem brzozowem, który to zwyczaj utrzymuje się w całej Szwecji. Przed domem bieli się kilka pasków szarego płótna na zielonej murawie pomiędzy owocowemi drzewami, dalej ujrzysz kilka grządek z jarzynami a w koło chodzą kury i gdaczą. Bocianów i jaskółek nie ma nigdzie, bo im tutaj za zimno.

Południowa część kraju jest dość urodzajna, ma mnóstwo jezior i rzek i zimno tam nie jest jeszcze zbyt wielkie; północna, także mnóstwem rzek i jezior poprzerzynana, bardzo lesista, coraz jest uboższa i nieurodzajniejsza im wyżej ku północy. Bogactwo Szwecji stanowią wielkie kopalnie żelaza i miedzi; ról uprawnych nie ma tam tak wiele jak u nas, ale pastwisk jest podostatkiem, a lasów jodłowych i sosnowych jeszcze więcej.

Lud wiejski trudni się nie tylko rolnictwem, ale też i rozmaitym przemysłem. Łowią więc ryby i ptaki, polują, warzą smołę, robią saletrę, a przędą i tkają w każdym domu nieustannie. Chłopi w Szwecji mają także obowiązek dostarczać koni a czasem i wozów dla wszystkich co tylko w kraju są poczt; to im przynosi piękny dochód. Co dwie mile są gospody i tam człowiek umyślny czeka we dnie i w nocy, a jak tylko kto pocztą przyjedzie, bieży zaraz do wsi i od gospodarza, na którego kolej wypada, sprowadza konie. Konie

mają małe, ale kościste, mocne i zawsze jeżdżą galopem. Woźnica trzyma w ręku batóg biały laskowy z krótkim sznurkiem, na końcu którego jest gruby, dobrze namaziony węzeł, i nim szkapy pogania. Drogi są wszędzie bardzo dobre, na skalistym gruncie; myt nie ma, toż tam prawie nikt nie podróżuje pieszo.

Wszystkie pola są obwiedzione płotami, żeby bydło szkody nie robiło. Płoty robią tak, że najprzód wbijają wysokie pale i do nich przybijają w poprzek łaty, a jak palę w ziemi zgniją to je zabijają głębiej. Płoty te są bardzo pożyteczne, ale brzydki sprawiają widok, bo ich tyle jest wszędzie że się człeku zdaje, jakby przez las jechał. W płotach są bramy, dla otwierania których trzeba ciągle złazić z wozu.

Przemysłem i pracowitością lud wiejski w Szwecyi dochodzi w szczęśliwszych okolicach do takiej zamożności o jakiej my wyobrażenia nie mamy. Tam nie rzadko widzieć można chłopka jak pija piwo z srebrnego kubka i nalewa je sobie z srebrnego dzbanka Domy chłopskie bywają bardzo obszerne, mają po dziesięć, dwanaście i więcej izb; gospodarz z rodziną zajmuje wszystkie, jedne w lecie, drugie w zimie. Kilka izb służą do przechowywania odzieży i tam to wisi wszystko w największym porządku, zacząwszy od sukman i kamizeli, a skończywszy na pończochach i rękawiczkach. Wszystkie izby sa bardzo schludne. Obok domu stoją stajnie końskie i spichlerze, dalej stodoły i stajnie dla bydla. Bywają też domy chłopskie na piętro zbudowane, jak kamienice w mieście a w nich ramy od okien pięknie, na biało pomalowane.

Szwedzi są bardzo wytrzymali na zimno, weseli, lubią kwiaty, muzykę i śpiewy; używają też wiele tytoniu, który albo palą w fajkach, albo gryzą. W uboższych okolicach lud jest dobroduszny, rozmowny, usłużny, w bogatszych poważniejszy. Nie chciwy zysku, grzeczny, uprzejmy, żąda też i dla siebie grzeczności i na pierwsze lepsze zawołanie nikt się z miejsca nie ruszy, jeżeli nie jest bardzo grzecznie poproszony. Są też Szwedzi bardzo roztropni i przytomni. Jednemu chłopu pokazał raz król kosztowny pierścień który miał na palcu i zapytał go:

— Jak też ty myślisz, co ten pierścień wart?

Chłopek bez namysłu odpowiedział.

— Pewnie nie tyle, Najjaśniejszy panie, co chwila deszczu w maju.

Ubierają się pięknie, mężczyźni noszą nizkie okrągłe kapelusze pilśniowe, z szerokiemi kresami i czerwonemi kutasami, na kamizelę wdziewają krótkie sukmany, z białej lub granatowej flaneli, dalej spodnie ozdobione wielkiemi guzami i niebieskie pończochy, związane pod kolanem czerwoną tasiemką; w zimie chodzą w kożuchach. Przy robocie tak mężczyźni jak białogłowy noszą długie skurzane fartuchy. Kobiety i dziewczęta noszą kolorowe czapki na głowach, czerwone gorsety i fałdziste wełniane spodnice, takież zapaski, na nogach czerwone pończochy i trzewiki na korkach z czerwonemi kokardami. Miewają też osobliwe pierścionki ślubne; są one srebrne, pozłacane, pod spodem wązkie, a z wierzchu na palcu bardzo szerokie, i tu wisi dziewięć maleńkich wolno ruszających się kółeczek, jak kurczęta koło kwoki.

Północne okolice Szwecyi są mało zaludnione. Ledwie gdzie niegdzie można tam spotkać wśród lasu nie wielką osadę. Osady te coraz bardziej się rozszerzają, bo lud wycina po trochu i karczuje albo wypala lasy, i zamienia je na orne pola. Ci osadnicy są bardzo biedni; głównem ich pożywieniem są ryby, zwierzyna i chleb, a ten chleb nie zawsze mogą piec z mąki żytnej, tylko z kory brzozowej robią mąkę i z niej pieką chleb, który nie jest bardzo smaczny, ale z masłem da się zjeść. W jednem miejscu odkryto także w górach taką ziemię, z której można chleb piec. Biedak jeden ścinał raz drzewo w lesie; drzewo upadając odsłoniło mech i ukazała się biała ziemia jak mąka. Chłop zmięszał tę ziemię z żytną mąką i upiekł chleb, który był dość smaczny. Odtąd zewsząd schodzą się ludzie, i każdy nabiera tej ziemi ile chce i pieką z niej chleb, co jednak lekarze odradzają, bo taki chleb leży długo w żołądku i jest niestrawny. Zresztą ci osadnicy, pozbawieni wszelkiej ludzkiej pomocy, żyją czem mogą, rybami, zwierzyną, przytem hodują krowy, kozy, a gdzie tylko znajdzie się kawałek żyznej ziemi, sieją po garści zboża.

Szwedzi są bardzo pobożni. W północnych okolicach wsie są nieraz dwanaście i pietnaście mil oddalone od kościoła, tak że trzeba w piątek wyjść z domu, aby być w niedziele w kościele, a przecie nie zaniedbują nigdy służby Bożej. To też na ich pochwałę powiedzieć trzeba, że sę jedynym na świecie narodem, w którym nawet u najbiedniejszego ludu wiejskiego nauczyciele wiejscy, coby tylko czytać i pisać uczyli, są całkiem niepotrzebni, bo tam lud wiejski bardzo jest oświecony i nawet najbiedniejsi rodzice sami swoje dzieci nauczają z wielką pilnością, i pomimo największego ubóstwa, pomimo ciągłych trosków o kawałek chleba, znajdują dość czasu, aby dzieci swoje wyuczać co sami umią. Dziecko jeszcze nie wymawia dobrze, a już umie pacierz i odmawia pobożnie rano i wieczór, w piątym roku życia umie czytać z każdej książki szwedzkiej, w szóstym umie na pamięć cały katechizm, w siódmym pisze nie źle. A jeżeli które chłopskie dziecko ma otwartą głowę i ksiądz uzna że wartoby go posłać do miasta do szkoły, to natychmiast wszyscy sąsiedzi składają się, i takiemu wybranemu dziecku, żeby się miało o czem uczyć, dają po trzysta, a jak dorośnie i po sześcset talarów na rok, póki szkół nie skończy. Szkoły zaś są w tym kraju bardzo dobre.

Bardzo uroczyście obchodzą w Szwecji dzień św. Jana i Boże Narodzenie. W oba te święta najprzód zdobią pięknie domy z wierzchu i wewnątrz zielonemi gałązkami i podłogę posypują świeżą sośniną.

Na św. Jan stawiają gdziekolwiek na przestronnem miejscu wysokie drzewo z kory obdarte, łaty w poprzek do niego po sam wierzchołek przybijają i na tych łatach wieszają wieńce, chorągiewki, ptaki drewniane, różne figury; potem w koło tego drzewa zapalają ogień, tańczą i śpiewają. Zabawki zaś dzieciom rozdają. W wilią Bożego Narodzenia jedzą sutą wieczerzę, przy której weselą się, gawędzą i kolędują do późna, a potem idą na pasterską mszę, przyświecając sobie pochodniami i smolnem łuczywem.

Jeszcze dalej ku północy za tą kraina którąśmy opisali, mieszkają Lapończykowie, lud bardzo małego wzrostu, nie mający stałych siedlisk, lecz przenoszący się ciągle ze swemi trzodami z miejsca na miejsce. Te ich trzody nie składają się z krów, ani kóz ale z zwierząt podobnych do jelenia które się zowią renifery; o tych Lapończykach i ich trzodach kiedyś indziej wam opowiemy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 13.

1. listopada 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Krówka Jaremy.

Żył w jednej wiosce Jarema, młodzieniec wesoły, swywolny, jak zwykle są młodzi. Szedł wieczorem z miasta, gdzie był na targu a droga przez las mu wypadała. Pod lasem spotkał krówkę czyjąś, która sama z pola do domu wracała. Jaremę zdjęła swywola, wziął pręta i nuż ją popędzać, tak długo, aż zagnał do lasu Sam poszedł gdzie zdążał a krówka została w lesie.

Nazajutrz rankiem znów idzie do miasta. O krówce i myśl mu nie przyszła; lecz spotkał kobietę ubogo ubraną, która załamując ręce, rzewnemi łzami płakała. Zdjęty litością zatrzymał się Jarema i pyta się kobiety.

— Cóż wam się stało dobra kobieto, że tak narzekacie?

— Zwierz jakiś, odrzekła kobieta, zjadł mi krówkę jedyną, gdy się wczoraj w lesie zbłąkała wracając do domu wieczorem; ona mnie wdowę z pięciorgiem dziatek żywiła, a teraz przyjdzie nam z głodu zginąć.

— A jakaż była krówka wasza? zapytał młodzieniec.

— Płowa, z białą łysiną, odpowiedziała kobieta.

Poznał dopiero, że to on był przyczyną nieszczęścia tej wdowy, pobladł i zamilkł, bo odezwała się w jego sercu zgryzota. Lecz opuścił wdowę i nigdy jej więcej nie widział.

Przeszedł potem czas długi, bo lat kilkadziesiąt. Z czasem się wszystko najczęściej zapomni, to też i Jarema zapomniał zupełnie o wdowie i jej krówce.

Już podstarzały, idzie raz Jarema i zbłąkał się w drodze. Idzie dzień i noc przez puszczę, gdzie ani chaty ani człeka, ani gospody napotkać, i tylko las i niebo ma przed sobą, nic nigdzie nie słyszy, chyba czasem drzewa zaszumią albo ptak nocny zajęczy. Smutno aż mrowie go przechodzi i strach go ogarnia i wreszcie już bardzo strudzony modli się i narzeka.

Wtem zdala błysło światełko, duch wstąpił w niego; dobył sił ostatnich zdążając ku niemu. Gdy przyszedł już blizko, patrzy a tu w około ognia siedzą ponachylani ludzie dzikiej twarzy, uzbrojeni w strzelby a w kotle jedzenie się warzy.

Pomyślał zaraz że to zbójcy być muszą. Strach go przejął na nowo, ale czyż ubogi potrzebuje zbójców się lękać? Odmówił modlitwę a tak zmęczony i głodem i drogą, w pokornej bardzo postawie przystąpił do nich i prosił aby go na nocleg przyjęli, opowiedziawszy wkrótce swoje przygody. Zbójcy, bo oni to byli istotnie, zdjęci litością, nie odmówili mu tej łaski a nawet go do wieczerzy zaprosili. Strudzony usnął po wieczerzy na murawie. Ale nie długo budzi go hałas, patrzy, nie widzi żadnego zbójcy, tylko żołnierzy, którzy go wiążą, szarpią i biorą ze sobą.

Właśnie bowiem wtedy rząd uwiadomiony o miejscu, gdzie zbójcy się ukrywali, wysłał tajemnie wojsko, aby ich pochwytać; ale złoczyńcy pouciekali, tylko Jarema, nic nie winien nikomu, został i był jak zbójca schwytany.

Przyprowadzony przed sędziów, tłumaczy się, przysięga, płacze, ale nic nie pomaga; biją go, męczą, biorą na tortury, bo taki był zwyczaj wtedy, że więźniom różne męki zadawano,

aby się do winy przyznał, lecz do czegóż miał się przyznać kiedy był niewinny.

Tak więc cały rok przesiedział w więzieniu. Tam wynędzniały okrutnie, narzekał:

— Boże mój, Boże! zacóż niewinnie cierpieć muszę?

Wtem razu jednego pojawia mu się we śnie starzec i tak rzecze do niego:

— Czegóż narzekasz na Boga i mówisz że cierpisz niewinnie? Czy zapomniałeś krówkę biednej wdowy? Wiedz że łzy cudze krwią odkapać trzeba! Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy! Teraz jużeś dość cierpiał, wrócisz zatem wkrótce do żony i dzieci.

Poznał teraz Jarema, że słusznie Bóg zesłał na niego cierpienia za dawną swywolę. Nie długo potem zbójców pochwytano, a ci zeznali o jego niewinności i został puszczony na wolność.

I my też kochani bracia! nim na nieszczęścia narzekać poczniemy, obrachujmy się, ażali też w życiu naszem nie znajdziemy tej „krówki Jaremy". Oj pewno znajdziemy! bo jeszcze dużo swywoli i grzechu jest po między nami. Najgorszem złem jest nienawiść bliźniego, cudza krzywda i grabież cudzej własności; cudza skibka ziemi, cudza łąka, drzewko w lesie, owoc w sadzie, snopek w polu, na co nieraz i dzieci lub sługi się wysyła, to wszystko są krówki Jaremy. Pamiętajcie co mówił staruszek Jaremie, a i ksiądz wam to często powtarza, że Bóg choć nie skory lecz w sądzie surowy.

Przerobił z pieśni E. Janicki, naucz. z Błaszkowy.

Chłop i żmija.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chrośniak do sadu;
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem:
Przeziębły, w pół skostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.

*

Chłop zlitował się nad tą mizerją gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek jak własnemu dziecku,
(Nie wiedząc jaką weźmie od gościa zapłatę)
Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet nasrożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął,
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela,
I wskrzesiciela!
— A to co się ma znaczyć, zdziwiony chłop krzyknął,
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mię ukąsić? a ty żmii-synu!
I wnet porwawszy dubasa
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz w pół pasa,
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek;
Rozpadło się żmiisko na troje żmijątek...
Darmo drgają,
I biegają
Ogon za szyją, za ogonem szyja,
Już nie zmartwychwstanie żmija.

Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściej że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

Tomek Szymczak,

jak przez oszczędność wyratował rodziców z nieszczęścia.

Jak niegdyś pan Bóg ukarał mieszkańców Sodomy i Gomory, tak i teraz czasami zseła na ludzi za ich grzechy różne kary, jak głód, ogień lub wodę, jakby przestrogi dla naszej poprawy.

Było to przed dwudziestu laty, kiedy i na naszą krainę pan Bóg zesłał jednę z tych kar, głód; matki nosiły swoje

dzieci po miastach, i prosiły by je kto wziął, lub też podrzucały majętniejszym żeby z głodu nie umierały. Ludzie padali jak muchy nie mając co jeść, bo już nie tylko zboża zabrakło, ale i kolanek ze słomy, które męli i chleb z tego piekli. Mężowie zostawiali żony i szli w świat za chlebem, lecz wszędzie była bieda i wszędzie były trupy.

Widać wielkie były przewinienia ludzkie, to i wielka była kara, ale dzięki Bogu i litościwym ludziom, którzy biednych wspierali i dzielili się ostatnim kawałkiem chleba, przebiedowało się ten okropny rok. Za grzechy winnych cierpieli i niewinni, a może i mało było tych ostatnich.

We wsi Dąbrowie głód się także dał we znaki że i majętnym gospodarzom bieda zaczęła dokuczać. W chacie Mateusza Szymczaka już resztki zboża wymietli i zmęli. Syn Mateusza Tomek, czternastoletni chłopak zadumał się i rzekł do ojca.

— Ojcze! zostawmy tę mąkę matce, może wystarczy dla niej samej na wyżywienie, a sami chodźmy w świat za chlebem; da Bóg że znajdziemy zarobek, to jeszcze i matce przyniesiemy.

Mateusz nie namyślał się długo i poszedł za głosem syna; lecz trudno im było znaleźć zarobek, i o głodzie zaszli aż do Lwowa, gdzie się pożywili. Tomek znalazł miejsce w kamienicy do posługi, a Mateusz to rąbał drzewo, to komu co zaniósł, i tak zarabiali po trochu i żywili się. Gdy już nadchodziła wiosna, Mateusz wrócił do domu do gospodarstwa, a Tomek został we Lwowie, tylko te pieniądze co zarobił dał ojcu dla matki i na zboże do zasiewu. Lecz to wszystko było mało a zboże było drogie, i gdy Mateusz powrócił do domu musiał od żyda pożyczyć na procent, by mógł grunt obsiać i przetrwać przednowek. Ale jak kto się raz zapożyczy i lichwę płacić musi, to już z długu trudno mu wyleźć, choć spłaca bezustannie, bo lichwiarz każe sobie płacić procent czasami większy jak sam kapitał, który wypożyczył, a ten co płaci do szczętu się rujnuje.

Tak było i z Mateuszem; z początku pożyczył 50 reńskich a że pierwszego roku nie mógł spłacić, więc urosło drugie tyle i miał już długu 100 reńskich, w przyszłych zaś latach spłacał i spłacał, lecz dług zamiast zmniejszać się, to jeszcze się powiększał, bo żyd rachowało d tych 100 drugie 100 procentu, a Mateuszowi trudno było od razu wszystko spłacić, i co roku brnął w długi coraz więcej, aż doszło do takiej sumy że równała się mieniu Mateuszowemu wraz z chatą i rolą, i żyd groził skargą i sprzedażą gruntu za długi.

Tomkowi we Lwowie dobrze się wiodło. Został stróżem kamienicznym, miał kilka posług, za które mu miesięcznie płacono, a prócz tego nie lenił się do żadnej roboty choć ciężkiej, bo wiedział, że tylko ciągłą pracą i oszczędnością można się czegoś dorobić. Pracował więc bez ustanku i składał pieniądze. Studenci, którym usługiwał, nauczyli go czytać i pisać, a on też z wielką ochotą się uczył, bo wiedział że to jest potrzebne i pożyteczne.

I tak mu zbiegło lat kilkanaście od czasu jak wyszedł z domu razem z ojcem. Był już dorosłym mężczyzną i chciano go już kilka razy swatać i ożenić, lecz on nie chciał; jemu w mieście było ciasno i duszno, on tęsknił za rodzicami, za swą rodzinną chatą, a tylko dlatego odkładał swój powrót z roku na rok, by więcej pieniędzy uskładać i starym rodzicom zanieść, by ich niespodzianie ucieszyć i podratować w gospodarstwie. Gdy już uważał że ma podostatkiem pieniędzy, podziękował za służbę i dalej do domu z radośnie bijącem sercem.

Z Mateuszem było bardzo źle. Po Tomka iść mu się nie chciało, bo do Lwowa daleko i nie wiedział na pewno czy go znajdzie, do tego do biedy nie chciał go sprowadzać, i prawie zapomniał o nim kłopocąc się długami. Żyd jak groził tak i zrobił; zaskarżył i Mateusza do aresztu zamknął za długi, a jego żonę wypędził z chaty, i już miał wyrobioną licytację na rolę jego i chatę. Wypędzona z chaty żona Mateusza a matka Tomka zachorowała mocno ze zgryzoty i leżała komornem u jednego biednego gospodarza i już mało nadziei o jej

życiu robiono. Dziedziczka Dąbrowy dowiedziawszy się od swojej służącej, Zosi, o takiem nieszczęściu, pospieszyła zaraz z swoją córką do chorej, i zaraz ją leczyły i pielęgnowały, a Zosia nie odstępowała jej ani na chwilę, dzień i noc była przy niej jak przy swej matce, której nie pamięta, bo sierotą jest od maleńkości. Mateuszowa leżała w gorączce, bez przytomności i wołała to Mateusza, to Tomka, ale obu nie było.

Tomek przyszedłszy do Dąbrowy spieszył uradowany prosto do chaty rodzicielskiej, lecz już z daleka uderzyło go w oczy i zrobiło mu się przykro, gdy zobaczył snujących się koło niej bachorów żydowskich. Wszedł do izby, a izba próżna i pusta, nastraszył się nie zastawszy rodziców, wybiegł pełen rozpaczy i pytał się o ojca. Ludzie jak zwykle, jedni śmiejąc się mówili mu że siedzi za długi, drudzy z ubolewaniem opowiadali, że go lichwa zmarnowała.

— A gdzież moja matka? pytał, dowiedziawszy się już o ojcu.

— Na tamtym końcu wsi, u Sebastjana komornem mieszka, mówiła jakaś baba—ale zaniemogła bardzo i już prawie kona, nie wiem czy ją zastaniecie przy życiu.

Tomek zerwał się z miejsca i biegł co mu tylko sił stało do owej chaty.

W chacie Sebastjana cicho było jakby mak siał, na pościeli chora leżała we śnie, zdawało się że już usnęła na wieki, ale ten sen właśnie był lekarstwem dla niej; koło łoża siedziała Zosia służąca, a pani z panną na stole przyrządzały lekarstwa dla chorej gdy się obudzi. Po przed okna migła postać Tomka i omal z łoskotem nie wpadł do chaty, lecz panna wybiegła i zatrzymała go, przestrzegając go że chorą obudzi i nie chciała go w puścić do chaty, mówiąc że tu obcy nie ma po co przychodzić.

— Ależ panienko, na miłość Boską, tu moja matka chora leży, zawołał Janek, a ja chcę ją zobaczyć.

Wtem i pani zbliżyła się do Tomka, i przestrzegła go, żeby nie budził chorej i nie pokazywał się jej, dopóki ją nie

przygotują do niespodzianej radości, bo to mogloby jej zaszkodzić.

Tomek usłuchał i nie szedł do izby, tylko przez szparę odedrzwi patrzył się na leżącą matkę, potem padł na kolana i prosił Boga o zdrowie dla chorej.

Po długim śnie chora się przebudziła i nie pewnym wzrokiem po izbie spoglądała, dano jej lekarstwo; chora miała się lepiej i widocznie gorączka się zmniejszyła.

Pani zaczęła z chorą rozmawiać i pocieszać że wszystko dobrze będzie, niech się tylko nie martwi; że Bóg o wszystkich pamięta, wspomniała także ostrożnie i o synie. Chora za pomocą Zosi usiadła na łożu i dziękowała pani za jej dobre serce, że ją tak ratuje i pielęgnuje i westchnęła ciężko, mówiąc że i tak niema po co żyć na świecie — Mateusz w areszcie a Tomek gdzieś zaginął w świecie.

— Nie turbujcie się, mówiła pani, Mateusz z aresztu wyjdzie i Tomek powróci, jak tylko będziecie spokojna, to wam go sprowadzę.

— O moja droga pani, zawołała chora, będę spokojną, tylko mi go sprowadźcie, niech go zobaczę jeszcze przed śmiercią.

— Dobrze, ale uważajcie, żeby radość was bardzo nie wzruszyła, boby wam to zaszkodziło.

To powiedziawszy wprowadziła pani Tomka do izby. Chora zaraz go poznała, pomimo że tyle go lat nie widziała, przytuliła go do siebie, całowała serdecznie, a Tomek nie posiadał się z radości, lecz pani rozdzieliła ich zaraz, nakazawszy chorej spokój, a Tomkowi powiedziała, że rolę i chatę po Mateuszu sprzedają właśnie, niech idzie tam i będzie obecnym, a nie przychodzi aż wieczór, bo chora wypoczynku potrzebuje.

Tomek wyszedł i spieszył do rodzicielskiej chaty, gdzie mnóstwo ludzi zastał, koło niej i urzędnika który wołał: „Kto da więcej?“ Lecz nikt jakoś się nie odzywał, a żyd już tryumfował że za małą cenę kupi rolę i chatę. Wtem Tomasz krzyknął: ja kupuję! i przewyższył wywołaną cenę; zadzwo-

niono, Tomek wyliczył pieniądze, co zaraz wszystko zapisano. Urzędnik pojechał, a żyd nie był bardzo kontent z takiego obrotu rzeczy, ale trzeba mu było jeszcze więcej zapłacić, by i Mateusza z aresztu uwolnić. Tomek obrachował się z żydem zapłacił wszystko, i natychmiast postarał się o uwolnienie ojca.

Mateusz sam sobie nie wierzył i myślal że to cud Boski, gdy się ujrzał wolnym i napowrót w swojej chacie. Mateuszowa pozbyła się zgryzoty i wkrótce wyzdrowiała, dziękując Bogu i dobrej pani, która ją wyratowała i mówiła do męża i Tomka

— Oj żeby nie nasza pani, tobyście już mnie nie widzieli! Niech jej Bóg nagrodzi i tej panience dobrej jak aniołek, i kochanej Zosi, która jak swą rodzoną matkę tak mię pielęgnowała i ratowała; ona jeszcze przedtem nim zachorowałam przynosiła mi pożywienie ze dworu, uczciwa dziewczyna.

Mateusz i Tomek poszli do dworu podziękować pani i panience za opiekę nad chorą, i o Zosi nie zapomnieli, Tomek przywiózł ze Lwowa ładne wstążki i korale, zrobił jej prezent ale ona nie chciała przyjąć, aż jej pani pozwoliła.

Tomek zaraz pokupił woły, krów parę, zboża na zasiew i do życia i zaopatrzył się we wszystko co tylko potrzebne do gospodarstwa.

Nie tylko ludzie obcy, ale i rodzice sami się dziwowali zkąd on tyle pieniędzy nabrał i pytali się go, na co Tomek odpowiedział:

— We Lwowie jest taka kasa, co się nazywa kasa oszczędności, tam jedni wkładają pieniądze i pobierają za nie procent, a drudzy z tamtąd pożyczają i ratami spłacają kapitał z procentem. I ja także, jak zarobiłem parę reńskich to tam zaniosłem, dali mnie na to książeczkę, gdzie było zapisane ile włożyłem, a odtąd wciąż dokładałem i procent z roku na rok w kapitał wchodził; tym więc sposobem grosza przybywało. Kasa taka jest wielkiem dobrodziejstwem i dla tych co z niej pożyczają, bo procent nie duży płacą i ratami mogą spłacać dług

zaciągnięty, nie tak jak u lichwiarzy co trzeba taki procent płacić, że się równa sumie wypożyczonej.

I nie mógł się naopowiadać jakiem to dobrodziejstwem jest taka kasa oszczędności. A gdy się dowiedział że Mateusza doprowadziły do nieszczęścia pożyczone 50 reńskich, to powiedział, że w takiej kasie płaci się procent na rok 6 od sta, więc od 50 wypada nie całe 3 reńskie; a ci co tam wkładają, pobierają 5 od sta na rok.

Gdy już pokupił wszystko co tylko było mu potrzebne do gospodarstwa, zostało mu się jeszcze 50 reńskich; nie wiedział co z niemi zrobić, aż przyszła mu w pomoc dobra myśl. Sprosił wszystkich gospodarzy, opowiedział im o lwowskiej kasie oszczędności i w końcu namówił ich, by i w Dąbrowie taką małą kasę założyć, aby uwolnić się od lichwiarzy i powiedział:

— Ja ofiaruję na ten cel te co mam 50 reńskich, może kto z bogatych także co przyłoży, by było więcej, a to z czasem może nam się wrócić. Wybierzmy kilku uczciwych i prawych gospodarzy, niech się tem opiekują, jednym niech pożyczają i pobierają od nich po 6 od sta na rok, drugim zaś co włożą do kasy jaki pieniądz, niech płacą po 5 od sta, a ja umiem czytać i pisać, będę więc prowadził rachunki i zapisywał ile kto włożył, lub wypożyczył, żeby jakie bałamuctwo nie zaszło. Sprawmy sobie skrzynię żelazną na pieniądze, z trzema zamkami, a klucze od niej dajmy trzem gospodarzom by jeden nie rozporządzał pieniądzmi.

Kilku majętnych gospodarzy wysłuchawszy to wszystko dało zaraz po 20 reńskich, a jak się rozeszła wieść o założeniu kasy, dziedzic wsi ofiarował 100 a ksiądz 50 reńskich i takim sposobem powstała mała kasa oszczędności, która wielkiem jest dobrodziejstwem dla całej wsi, bo potrzebujących podratuje i ochroni od ruiny przez lichwę, a bogatym pieniądze darmo nie leżą, tylko czynią procent, choć mały ale pewny.

Tomek wkrótce ożenił się z Zosią, co to jego matkę pielęgnowała i gospodarował razem z ojcem; prócz tego był za-

trudniony przy założonej kasie oszczędności, zapisywał, wydawał kartki tym co przynosili pieniądze, a trzech uczciwych i sumiennych gospodarzy było stróżami i kasjerami, bo każdy z nich miał osobny klucz. Dnie były oznaczone do pożyczania i do odbierania dla porządku, pożyczano zaś za poręką wójta każdemu, tylko takim nie dawano, co to chcieli pożyczyć, by mieli za co pić gorzałkę.

Razu jednego przyszło Tomkowi na myśl by takie kasy pozakładać jeżeli nie w każdej wsi, to przynajmniej w każdym powiecie, by wszystkich uwolnić od lichwiarzy. A jak kto pożyczy, by cała wieś podpisem wójta i kilku starszych ręczyła za biorącego pożyczkę, i w razie nieszczęścia, jeżeliby nie mógł oddać, aby gromada za niego zapłaciła, bo łatwiej zawsze dziesięciom jednego podratować. Namówił więc włościan, aby podali prośbę do sejmu, by się zajął tem, aby takie kasy oszczędności w każdym powiecie się znajdowały, żeby lichwie i zdzierstwu raz koniec zrobić.

Oby Bóg poszczęścił, i oby się więcej znalazło naśladowców Tomka.

Józef z Medyki.

Połączenie Litwy z Polską.

Długo ludzie mało co, albo zgoła nic nie wiedzieli o pogańskiej Litwie, w głębokich lasach zapadłej, aż książę Giedymin uczynił ją wielką i sławną. Powydawał on córki swoje za książąt polskich, synów pożenił z księżniczkami ruskiemi, pobudował wiele zamków i miast i podbił znaczny kawał ruskiego kraju. Potem poszedł jeszcze do bardzo bogatego miasta ruskiego Kijowa, który dawniej i Polacy kilka razy zdobywali, a w którym teraz siedzieli dzicy przychodnie z za morza, Waregowie i zabrał to miasto, Waregów zaś wypędził że się nie oparli aż w puszczy nad rzeką Wołgą, gdzie osiedli

i założyli carstwo, czyli państwo moskiewskie, co jeszcze do dziś na nasze nieszczęście istnieje.

Giedymin bił także wiarołomnych Krzyżaków, mnichów niemieckich, co udawali że chcą Litwę do wiary świętej nawrócić, a w rzeczy samej podbić ją chcieli dla siebie, bo byli bardzo chciwi. W czasie pokoju pracował nad tem żeby swój naród przez handel wzbogacić, toż miastom które budował, różne nadawał wolności, i z królami sąsiedniemi układał się, aby do Litwy swoich kupców przysełali. Założył dla siebie nową stolicę i nazwał to miasto Wilno. Pozwolił tam nauczać religji katolickiej, a osadnikom pomagał wszelkiemi siłami i wspierał ich, co tak ludzi zachęciło, że różni majstrowie, rzemieślnicy i kupcy tłumami się schodzili i osiadali w Wilnie. Z Polakami żył w zgodzie i wojsko polskie razem z litewskiem ścigało i biło wspólnych nieprzyjaciół. Tyle dobrego sprawiwszy, książę Giedymin zakończył swój żywot na polu chwały w bitwie z krzyżakami.

Z pomiędzy siedmiu jego synów, najdzielniejsi byli Olgierd, który po nim nastąpił i Kiejstut. Przez trzydzieści i sześć lat bili się oni nieustannie to z Krzyżakami, to z Tatarami to znowu z Rusinami i Moskalami.

Bali się ich książęta ruscy, toż im schlebiali jak mogli, dawali im posiłki na wojnę i służyli pod rozkazami książąt litewskich. Waleczny Olgierd poszedł na Tatarów, zdobył Krym, kędy mieszkali, a potem obrócił swój oręż na Wielkich książąt moskiewskich, mszcząc się za ich napady: trzy razy na nich wyruszał, trzy razy oblegał Moskwę i ją zdobywał. Różne miasta ruskie bojąc się aby ich Moskale nie zagarnęli pod swoją władzę, łączyły się z Litwą i jej się poddawały. Tym sposobem Litwa za Olgierda wzmogła się w niezmierną potęgę i sięgała granicami od morza do morza.

Dosyć tedy książę Olgierd miał ziemi do podziału między synów swoich, których było dwunastu, lecz zwierzchność najwyższą nad całym krajem powierzył najstarszemu z nich Jagielle, którego najbardziej kochał Ten Jagiełło zostawszy po ojcu Wielkim księciem litewskim, zaślubił piękną i cnotliwą

królowę polską Jadwigę, o której tyle razy słyszeliście, ochrzcił się i cały swój naród do wiary świętej przywiódł, a zarazem oba ludy polski i litewski połączył z sobą na wieki.

Odtąd królestwo polskie i wielkie księstwo litewsko-ruskie jeden tylko lud stanowiło, a chociaż Moskale wszelkiemi siłami pracowali nad tem aby go rozerwać, nie dał im pan Bóg tej pociechy doczekać. Jedni i drudzy społem sobie obierali królów, społem walczyli z nieprzyjacioły i przelewali krew za matkę ojczynę, a i dziś jeszcze, gdy i ci i ci jęczą w niewoli, jedni za nic w świecie nie przyjęliby wolności, gdyby ta i drugim nie miała być dana; nie ma Polski bez Litwy i Rusi, jak nie masz Litwy i Rusi bez Polski. Tak mawiają Polacy, tak mawiają Litwini.

Król Jagiełło, nazwany na chrzcie świętym Władysławem, musiał toczyć zacięte boje z Krzyżakami, Tatarami, Moskalami. Pomagał mu w tem jego brat Witołd, jeden z najsławniejszych swego czasu wojowników, którego imię było postrachem wszystkich sąsiadów. Jagiełło i Witołd tak strasznie jednego razu pobili Krzyżaków pomiędzy Tannenbergiem a Grunwaldem, że odtąd potęga krzyżacka zaczęła się chylić do upadku. Krzyżaków i Niemców co im pomagali, zginęła ogromna moc, a drugie tyle dostało się do niewoli. Pięćdziesiąt i jedna chorągwi, jakoteż dwie armaty, jedyne które mieli krzyżacy, dostały się w ręce Polaków, co wszystko król Władysław Jagiełło posłał do Krakowa. Wielki mistrz, czyli najstarszy wódz krzyżacki poległ. Oj, wielka to była bitwa, wielkie zwycięztwo, choć trzeba wiedzieć że Polacy jeszcze armat nie używali i w tej bitwie nie mieli ani jednej. Po tem sławnem zwycięztwie Krzyżacy stali się tacy pokorni jak jeszcze nigdy nie byli i większa część tych krajów, które sobie byli przywłaszczyli, powróciły pod polskie panowanie.

Prócz tego Wielki książę Witołd odpierał zwycięzko Moskali i Tatarów. Polska z Litwą złączona stała się prawie najsilniejszem państwem.

Krzywem okiem patrzał na to cesarz niemiecki Zygmunt i przemyśliwał nad tem, jakby Polskę od Litwy oddzielić. Przy-

szła mu do głowy nie zła myśl: oto namawiał Witołda przez posłów, aby się oderwał od Polski i ogłosił samowładnym królem Litwy. Witołd był ambitny, spodobala mu się ta rada. Cesarz widząc że dobrze idzie, rozesłał listy do monarchów aby się gdzie zjechali, nibyto dla narady, jakby można poskromić Turków, którzy coraz bardziej rośli w siły, w rzeczy zaś samej chciał tylko przybliżyć się do Jagiełły i Witołda, aby się ze sobą poróżnić. Ten zjazd odbył się w Łucku na Wołyniu. Mało kiedy było w jakiem mieście tyle królów razem, co tam wówczas. Cesarz Zygmunt i cesarzowa jego żona, król duński, książęta mazowieccy, wielki książę moskiewski, książęta ruscy, szlązcy, pomorscy, wielcy mistrzowie Krzyżaków' chanowie tatarscy, posłowie od cesarza greckiego, panowie polscy, litewscy i ruscy, szumno i dworno zjechali się do Łucka i zapełnili nie tylko miasto ale i wsie okoliczne. Witołd gospodarzył i hojnie raczył gości. Codzień zjadano siedemset wołów i jałowic, tysiąc czterysta baranów, sto żubrów, łosi, dzików, wypijano zaś po siedmset beczek miodu, oprócz drogiego wina, piwa i innych trunków. Uczty takie powtarzały się dzień w dzień przez siedm tygodni, a wszystko szło na koszt Witołda. Spodziewał się on że go obwołają królem Litwy, toż chciał się przypodobać innym królom i wystąpić jak na króla przystało; ale Polacy zmiarkowali o co to idzie, mieli się na baczności i nie dopuścili do tego.

Witołd zmartwił się bardzo i wstyd go było, że się podał na śmiech całego świata, ale król Władysław Jagiełło nie zważał na to, bo jednako kochał Polskę jak Litwę i przewidywał co by się z niemi stało, gdyby się rozłączyły.

Cesarz Zygmunt ciągle jeszcze posłów do Witołda wyprawiał i obiecywał że mu przyszle koronę królewską i berło. Ale Polacy jeszcze raz przeszkodzili temu. Napróżno biedak łudził się nadzieją. Niedoczekawszy się korony umarł w Trokach, licząc ośmdziesiąt lat. Władysław Jagiełło umarł nie długo potem w ośmdziesiątym szóstym roku życia, a czterdziestym ósmym panowania. Zostawił dwóch synów młodziuchnych

którzy jeden po drugim panowali kolejno na pociechę matki ojczyzny nad złączonemi na wieki narodami polskim i litewskim.

Stanisław Krakowczyk.

O uprawie chmielu.

Do czego służy chmiel?

Chmielu używają do robienia piwa. Z chmielem jest piwo smaczne i zdrowe: bez chmielu staje się napojem niezdrowym. Zamiast chmielu biorą piwowarzy piołun, gorzką koniczynę, białą smołę, jałowiec i inne rzeczy, które często są zdrowiu bardzo szkodliwe.

Na jakim gruncie chmiel się udaje?

Najlepiej się udaje na mocnej roli, ale dobrze rośnie i na lekkim gruncie, jeźli go się tylko dobrze uprawi i gnojem użyźni, a szczególnie świńskim. Na lekki grunt pod chmiel przeznaczony, dobrze jest nawieźć mułu ze stawu albo z rowu.

Gdzie gospodarz założyć może chmielnik?

W ogrodzie, za domem, przy stodole, za sadkiem albo na innem podobnem miejscu. Często widzieć można przy domu albo za stodółką kawał murawy, która odłogiem leży i żadnego z niej nie ma pożytku. Czemuby więc gospodarz tej murawy nie miał obrócić na chmielnik? Darń skopana na zimę doskonale użyźni grunt pod chmiel. Czasem leży odłogiem za zagrodą taki kawał murawy, żeby można spory ogród założyć i chmielu w niem nasadzić.

Na co trzeba uważać, kiedy się kawałek ziemi na chmiel wybierze?

Ponieważ chmiel rośnie na tyczkach, przeto dobrze jest obrać takie miejsce, gdzieby wiatr nie bardzo dochodził i nie mógł szamotać tyczkami. Potem powinien koniecznie chmiel takie mieć miejsce, żeby na niego od rana do południa słońce świecić mogło a powietrze miało przewiew, nie powinny więc

stać w blizkości wysokie drzewa. Także nie trzeba chmielu sadzić nad wodą, bo dostaje rdzy.

Jak i kiedy trzeba uprawić ziemię pod chmiel?

Ziemię trzeba wygnoić i skopać na zimę, a chmiel zasadzić po zimie. Ziemia powinna być pulchna i odleżała. W maju w dzień pogodny, trzeba chmiel sadzić, i to takim sposobem: Usypują się kupki ziemi na 3 łokcie jedna od drugiej, około każdej kupki wykopie się rowek, potem w środek każdej kupki wsadzi się kołek, aby wiedzieć gdzie później stać ma tyczka. Na łokieć od każdego kołka robią się dołki 10 cali głębokie, i w każdy dołek kładzie się jedno albo dwa ale zdrowe oczka chmielu, kiełkami do góry, i nakoniec dołki te przysypują się dobrą przegniłą ziemią np. z darni. Gdyby kupki pod chmiel były za gęsto sypane, sprzęt chmielu byłby za lichy.

(Resztę opowiemy wam w następnym numerze)

RÓŻNOŚCI.

(Rolnictwo w królestwie Wirtembergskiem.) Królestwo wirtembergskie w Niemczech jest małym kraikiem, ale rolnictwo kwitnie tam bardziej jak gdzie kolwiek indziej. Jest tam blisko dwieście szkół rolniczych, w których pobiera naukę około pięć tysięcy uczni. W stu wsiach są urządzone wieczorne zebrania, na których wieśniacy obradują nad podniesieniem rolnictwa, w trzydziestu przeszło gminach znajdują się czytelnie, a w stu dwudziestu wsiach istnieją szkoły wieczorne zimowe, do których schodzi się młodzież w chwilach wolnych od pracy po naukę rolnictwa, zamiast coby, jak u nas, czas spędzać na niczem, a często na złych rzeczach. W skutek tych starań, zamożność wieśniaków wirtembergskich zdumiewa, a zaiste nie posiadają ani więcej, ani lepszej roli od nas.

(Kiedy się ma karmić dobytek?) Doświadczeni gospodarze radzą aby zaczynać o godzinie 5. rano, potem między 8 a 9. godziną, trzeci raz o 11. godzinie, między 4. a 6. godziną karmi się dwa razy, a ostatni raz między 8. a 9. wieczorem. Sześć razy dziennie ma się tedy karmić dobytek, ale za każdą razą nie daje się zwierzętom wody. Przekonano się że lepiej jest karmić często a mało, niż dawać wiele a rzadko.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 14.

11. listopada 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Janek i Magdusia.

W karczmie na Pocieszce roili się ludzie jak mrowie. Gospodarze, gospodynie obsiedli stoły i pili gorzałkę; drudzy co się wódki odprzysięgli, arak; a ci co się i araku wyrzekli, piwo lali w siebie garncami, że to zaś byli dawni pijacy, to takiemu trzeba było nie jednego garnca, aby mu to starczyło za ową kwartę wódki, którą dawniej wypijał.

Dziewczęta i parobcy uwijali się po izbie, czekając niecierpliwie na muzykę, aby taniec rozpocząć, ale muzyka jakoś się spóźniała.

W tem wszedł do karczmy parobek jakiś nietutejszy, a ledwo się rozglądnął po izbię, postrzegła go jedna z kobiet i zaraz skoczyła ku niemu.

— Dotrzymaliście słowa, Janku, rzekła uśmiechając się mile do przychodnia; a to pięknie, widzę że z was chwat.

— Cóż Marcinowo, pójdziemy? zagadnął parobek.

— Chodźmy, ja gotowa, tylko na was czekałam.

Wyszli z karczmy, Janek wskoczył na konika myszatego, którego sobie był przed karczmą uwiązał, i puścił się stępa, a Marcinowa szła obok. Dziarski to był chłopak ten Janek, i czupurny. Sukmana na nim granatowa, z guziczkami i pętliczkami, wyszyta czerwonym jedwabiem, pasik z mosiężnemi kółkami, koziczek nowy na rzemieniu, na głowie rogata czerwona czapka. Hej! hej! daj mu tylko pistolety za pas, a lance z chorągiewką do ręki, a będziesz miał obrazek, jacy to byli owi krakusi, co tak dzielnie bili się niegdyś za matkę ojczyznę.

O kilkadziesiąt kroków za karczmą, Marcinowa wskaże na pobliską chatę:

— Patrz Janku, to już tu. Jakże ci się podoba?

— Buda jak buda, rzekł Janek; trzeba by to wszystko zwalić i z gruntu nową chatę postawić, bo któż by tu chciał mieszkać?

To powiedziawszy zeskoczył z konia, uwiązał go u płotu i wszedł z Marcinową do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, odpowiedziano z wewnątrz.

Zaduch taki straszny uderzył, że Janek omal się nie przewrócił. Rozglądnął się po izbie, i zdało się mu, że go do chlewu wprowadzili, tyle tam było śmiecia, pajęczyny i jakiejsiś zgnilizny, tak na popłodze jak i na ścianach. A jak się przypatrzył dziewce co tam siedziała, musiał śmiech w sobie przytłumiać, że go aż kolka porwała. Magda była brudna jak noc, spodnica na niej nie prana może od przeszłego lata, koszula także brudna, choć to niedziela, głowa rozterchana.

Westchnął sobie Janek nieborak, ale już się nie można było wycofać.

Magda się zwija żeby gości pięknie przyjąć, podaje stołek Marcinowej, a ławkę Jankowi; Marcinowa usiadła, ale Janek wsunął ławkę pod stół i wolał stanąć sobie na boku jak siedzieć, bo ławka była cała pooblewana krupami i kapustą.

— Cóż to Magdziu, rzecze Marcinowa, nie spodziewałaś się gości żeś izby nie uprzątła?

— Ba, chcielibyście... mam ci ja to czas sprzątać? zawoła Magda.

— Prawda, prawda, powie Marcinowa, tyś sama jedna, dość się napracujesz. Jak ci Pan Bóg da męża, wszystko pójdzie inaczej A zresztą, co tam o to, nie spodobasz się brudno, to i biało trudno; prawda Janku?

— Nie wiem czy prawda, powie Janek, bom nigdy nie próbował.

W tem zjawiła się na stole flaszka z trochą wódki i pół bochenka kołacza. Marcinowa gospodarzyła.

W twoje ręce, Janku.

— Boże daj zdrowie.

— A tobie żonę.

Przyszła kolej na Magdę. Odwróciła się z kieliszkiem jak to czynią wszystkie dziewki.

Po przekąsce Marcinowa znowu stuknęła w flaszkę. Tym razem Magda już pić nie chciała, ale Marcinowa uraczyła się bez namysłu a Janek poszedł za jej przykładem.

Za trzecią kolejką wyschło dno we flaszce. Marcinowa mrugnęła na Magdę. Dziewczyna wiedziała co to znaczy, bo wszystko było namówione, i co tchu wyszła z izby.

Wówczas Marcinowa niby się nasrożyła, bok sobie podparła i zagrodziwszy Jankowi drogę od drzwi, rzekła do niego:

— Teraz Janku, kiedyś się najadł i napił, kiedyś już widział wszystko, i Magdę i jej gospodarstwo, powiedzże ostatnie słowo: Będziesz się z nią żenił?

Janek jak to usłyszał, aż mu się nie dobrze zrobiło, Marcinowa zaś ciągnęła dalej:

— Podobała ci się dziewczyna, widziałam jakeś na nią zerkał oczyma, czegóż się teraz namyślasz? Daj rękę na słowo.

— Czekajcie no trochę, rzecze Janek, bo moja szkapa wypluła wędzidło, gotowa gdzie wleść w szkodę.

*

— Ho! ho! takiś to ty ptaszek! zawoła Marcinowa nie w ciemię bita; cóż to? myślisz zwodzić poczciwych ludzi! Nic z tego mój kochany.

— Gwałtu, gwałtu, moja szkapa! krzyknie Janek.

Marcinowa spojrzy przez dziurę w oknie, ciekawa czy się doprawdy co złego szkapie stało, a Janek tymczasem do drzwi, prędko na dwór wybiegł, szkapę odwiązał, wskoczył na nią i dalej w nogi.

Kobiety powychodziły z chaty, patrzą, a on ucieka jakby go kto ukropem oblał, ani się nie obejrzy.

Marcinowa przygryzła wargi.

— A co Magdo, nie mówiłam ci, że trzeba się oblec czysto i chatę zamieść?

Magda się zaczerwieniła po uszy, poznała że wszystko na nic, ale już za późno, bo Janek zniknął za górą, a trudno aby się dał złowić drugi raz.

* *
*

Ledwo pierwsze promyczki słoneczne zajaśniały na niebie, Janek już był z konikami w polu i orał. Obok niego o miedzę orał drugi gospodarz, podeszły w latach. Gdy się do siebie przybliżyli zagonami, Janek pozdrowił Tomasza, a stary zaraz w gawędkę.

— Gdzież ty wczoraj był Janku? pytali się wszyscy w karczmie o ciebie, bo nie miał kto czytać gazety.

— Gdzie ja był, Tomaszu? ani byście zgadli; toż na zalotach.

— Co? gdzie? jak?

— Ot ta Marcinowa naprzykrzona wymogła na mnie słowo że pójdę z nią do jakiejsiś dziewki na Pocieszce, ale powiadam wam Tomaszu, tam chałupa gorsza jak chlew, a dziewka nieprzymierzając jakby się w błocie tarzała.

Zaśmiał się Tomasz.

— Tam cię zaciągła? I cóż, będziesz się żenił z Magdą?

— Boże mię uchowaj; toż uciekałem ztamtąd jak oparzony. A cóżby moja matka na taką synowę powiedziała? Ale jak widzę wy ją znacie Tomaszu, kiedy wiecie że się Magdą zowie.

— Znam ją, znam, bo Marcinowa i mego Filipka z nią swatała, ale też na daremnie.

— Cóż to za jedna ta Magda?

— Ot, dziewczysko niezdałe. Nieboszczyk Piotr, jej ojciec, póki żył, trzymał gospodarstwo w ładzie, krzepką dłonią, ale gdy go pan Bóg zabrał, wkrótce zmarniała jego praca, bo Piotrowa taka sama była jak dziś Magda, i domostwo wnet zamieniła na stajnię. Nierządne kobiecisko, o nic nie dbała, a najmniej o siebie, a że taką niechlujną babą każdy się brzydzi i nią pogardza, nikt się o nią nie troszczył, nikt jej nie poratował, bieda dała się jej we znaki, a że przy takiem nieochędostwie nie trudno i o chorobę, to i Piotrowa nie pociągła długo i umarła, a córka kubek w kubek w dała się w matkę. Ale my tu gawędzimy a słoneczko tymczasem idzie w górę.

Janek skoczył do koni i dalejże uwijać się po zagonach, a ile razy sobie o Magdzie przypomniał, to się aż za boki brał od śmiechu.

Fijołki.

Hej! od miasteczka po błoniu,
Pędzi Jasieczek na koniu,
I ziemia pod nim ucieka;
A we wsi dziewczę go czeka.

Minął już krzyż i zapłocie;
Błyszczy w podwórku stokrocie,
Błyszczy wojtówna — śliczny kwiat,
Dla Janka teraz cały świat.

Przypędził, skoczył z konika,
Wójtowna wrota odmyka;
— Jak się masz Basiu! jak się masz?
Kiedyż to będzie ten ślub nasz?

— Jeszcze do ślubu daleko,
Jak precz do gór tych za rzeką,
I jak do morza od rzeki,
Tak jeszcze nasz ślub daleki!

O ciężkaż dola i smutna,
Czegoż mię dręczysz okrutna?
W serce me rzucasz kamieniem,
A jam przyjechał z pierścieniem!

— Co mi tam żałe i smutki!
Idę pleś wianem świeżutki,
Uplotę z kwiatków przy wodzie,
Co rosną w matki ogrodzie.

Dajże mi radę, Jasiu mój,
Z czego najlepszy będzie strój?
Rosną tam róże czerwone,
Kielichy maku zwieszone;

Rośnie tulipan wspaniały
Goździk czerwony i biały,
I jeszcze ciche świeżutkie
Rosną tam fijołki drobniutkie,

Powiedzże teraz, Jasiu mój,
Z czego najlepszy będzie strój?
Bo ja na święto majowe,
Chcę cudnych wianków na głowę.

— Piękne są róże czerwone,
Kielichy maku zwieszone;
Ładny tulipan wspaniały,
Goździk czerwony i biały.

Lecz dla mnie fijołek na świecie,
Najponętniejsze to kwiecie:
Z przecudną wonią się kryje,
I z trawą wespół rad żyje.

A jak niebiosa modre są,
Taką sukienkę ma on swą,
Splećże — spleć wianek fijołkowy,
Na ten poranek majowy.

— Tegom czekała, Jasiu mój!
Gdy kochasz skromny fijołka strój,
Gdy kochasz kwiatek ubogi,
Dajże mi pierścień mój drogi!

Józef G.

Bitwa pod Warną.

Król Władysław Jagiełło co Litwę z Polską połączył, dwóch synów zostawił, Władysława i Kazimierza, ale obaj jeszcze byli dziećmi, bo Władysław starszy, liczył dopiero lat dziesięć, kiedy go ojciec odumarł. Panowie polscy obrali sobie na króla Władysława i ukoronowali go w Krakowie, ale ponieważ był taki młodziutki, rządzili krajem biskupi i panowie świeccy w jego imieniu. Dopiero gdy doszedł do lat pietnastu zaczął sam rządzić.

Władysław okazywał mądrość nad wiek i niesłychaną odwagę, co jak zobaczyli poczciwi nasi sąsiedzi Węgrzy, także

go sobie królem obrali, a tak Władysław był królem polskim i węgierskim.

W tym czasie pogańscy Turcy, wielcy nieprzyjaciele świętej naszej wiary, bardzo się rozszerzali w około granicy węgierskiej, w cesarstwie greckiem. Cesarzowi greckiemu zabrali cały kraj, tak że już nic nie miał jeno jedno miasto Konstantynopol, albo po polsku Carogród w którym mieszkał, i kilkanaście wsi na około tego miasta. Ściśnięty od Turków ze wszystkich stron, potrzebował pomocy, ale nikt się nad nim nie ulitował, jeno ojciec święty papież, chociaż nawet Grecy byli schyzmatykami i tak jak Moskale nie uznawali nad sobą świeckiej władzy ojca świętego Owóż ojciec święty chcąc ratować Greków, prosił rozmaitych królów o pomoc dla nich, ale niestety, nigdzie nic nie wskórał, jedni tylko Polacy i Węgrzy ofiarowali mu się pójść na Turków.

Nim przyszło do wojny, król Władysław starał się o posiłki u cesarza niemieckiego, ale cesarz odmówił, choć to i o jego kraj chodziło. Krzyżacy także się wymówili, zapomniawszy że umyślnie do tego byli postanowieni, aby bronić wiary świętej. Owóż król Władysław musiał poprzestać na swoich własnych siłach, a połączył się z nim tylko jeden wojewoda siedmiogrodzki, Jan Hunjady, który już dawniej w wojnach z Turkami ogromnie się wsławił jako dzielny rycerz i bardzo rozumny wódz.

Wyruszyli nakoniec na Turka, Polacy, Węgrzy i Siedmiogrodzianie, król Władysław na czele, a przy królu poseł ojca świętego, Cesarini kardynał, co więcej znaczy jak biskup. Turcy wyszli naprzeciw, spotkali się z naszymi raz, drugi i trzeci, za każdym razem pobici okropnie. Widząc że nie przelewki, prosili pokornie o pokój, na co też przystał Władysław, bo mu pilno było do Polski, gdzie tymczasem Tatarzy okropne szkody robili. Zawarto więc pokój bardzo korzystny dla Węgier i dla Polski obaj monarchowie tak polski jak turecki, poprzysięgli sobie nawzajem nie wojować ze sobą przez lat dziesięć.

Ale chociaż ta ugoda z Turkami była bardzo pożyteczna dla chrześcian, poseł ojca świętego, ów kardynał Cesarini namawiał ciągle króla aby ją zerwał. Dogadywał mu raz wraz że w tem nie ma grzechu, kiedy kto poganinowi nie dotrzyma słowa, a nawet obiecywał mu niepoczciwiec wyrobić u ojca świętego rozgrzeszenie. Król zbywał go jak mógł, bo nie chciał być wiarołomcą, ale gdy ta sprawa przyszła na radę panów, prawie wszyscy byli za tem, aby zerwać ugodę i iść na Turka.

Cóż miał robić król biedny? Uległ poszeptom złego ducha i wnet ruszyło wojsko polskie i węgierskie, na czele król Władysław i Huniady, a w tejże chwili jakby na przestrogę że złamanie przysięgi uczynionej w imię boskie, nie podoba się niebu — w całym kraju węgierskim ziemia się strasznie zatrzęsła.

Wojsko chrześcijańskie szło wzdłuż rzeki Dunaju ku brzegom morza Czarnego i stanęło obozem pod Warną. Sułtan czyli cesarz turecki jak się tylko o tem dowiedział, nadciągnął zaraz spiesznie z ogromnem wojskiem i stanął też nie daleko Warny. W wojsku chrześcijańskiem powiewały chorągwie z wizerunkami świętych patronów polskich i węgierskich, Turcy zaś wywiesili na wysokiej pice kartę papieru, na której była spisana owa zaprzysiężona ugoda. Nim się bitwa zaczęła, powstał wicher gwałtowny, który połamał chorągwie w wojsku chrześcijańskiem, co i Polacy i Węgrzy poczytali sobie za złą wróżbę.

Bitwę rozpoczęli łucznicy i wypuścili ze swoich łuków tyle strzał że aż się ściemniło, potem pomieszały się oba wojska i powstała bitwa zażarta. O! ileż to tam krwi popłynęło! Turcy zaczęli ustępować i była chwila że na placu boju już się tylko sam sułtan uwijał z garstką pieszych, ale bardzo walecznych żołnierzy, których zwano Janczarami. Król Władysław jak to zobaczył, zapalił się ogromnie i dalejże ze swymi Polakami prosto na sułtana.

Ale sułtan zawoła do swoich Janczarów:

— Hej! rąbcie tych potępieńców, niech giną w łapce w którą sami lecą! Dalej, szykujcie się co żywo aby ich ob-

saczyć gdy się przybliżą, a potem zabijajcie jednego po drugim. Im więcej zabijecie, tem lepiej przypodobacie się Bogu.

Król potykając się z nadludzką odwagą, zapędzał się coraz dalej i dalej, a w tem koń jego w nogę zraniony, padł i zrzucił go z siebie. Przyskoczył jeden stary janczar imieniem Kukry, odciął mu głowę i zatknął ją na pice, takiej samej jak ta, na której przed bitwą wywiesili Turcy pogwałconą ugodę. Widok ten rzucił postrach na wojsko, powstało straszne zamięszanie. Huniady powróciwszy z pogonki na nieprzyjaciela, cudów waleczności dokazywał aby z rąk zwycięzców wyrwać ciało nieszczęśliwego monarchy, ale nadaremno. Jak zobaczył że nic nie dokaże, cofnął się z niedobitkami.

Nazajutrz po zwycięztwie cesarz turecki oglądał pole bitwy z kilku starszymi Turkami, i rzekł do jednego:

— Dziwna rzecz, całe wojsko z młodzieńców się składało, ani jednego starca nie widać pomiędzy nimi.

— Gdyby był choć jeden starzec pomiędzy nimi, odpowiedział Turek, nie byliby się odważyli na takie szaleństwo.

Sułtan turecki posłał królowi egipskiemu dwudziestupięciu huzarów węgierskich i tyluż rycerzy polskich, tak jak stali w bitwie, w zbrojach żelaznych od stóp do głów, z skrzydłami u ramion, na pokazanie jakich to żelaznych ludzi zwyciężył. Ludność owych krajów wychodziła na przeciwko ze wszystkich stron i dziwowała się bardzo owym polskim i węgierskim rycerzom. Głowę zaś króla Władysława posłał sułtan do miasta Brussy, stolicy swojej, gdzie ją ziołami wypchaną, aby się nie zepsuła, obnoszono po wszystkich ulicach.

Bitwa pod Warną była stoczoną w dniu św. Marcina, to jest 11. Listopada 1444, a więc właśnie dziś, gdy się to drukuje, upłynęło od tego czasu czterysta dwadzieścia i trzy lat. Nieszczęśliwy król Władysław nazwany został Warneńczykiem. Z jego śmiercią zgasła ostatnia nadzieja ratunku dla cesarstwa greckiego, jakoż w dziesięć lat potem Turcy zdobyli miasto Konstantynopol. Niedługo potem Tatarzy poddali się im dobrowolnie, Wołoszczyzna z przymusu i odtąd już prawie nieustannie napadali na kraje chrześcijańskie roz-

pierając się na wszystkie strony. Te ich ciągłe napady Polska wstrzymywać musiała, jakoś wstrzymywała je przez lat dwieście czterdzieści i zasłaniała sobą wszystkie inne kraje. Dla tego to nazywano Polskę murem chrześcijaństwa, ale wiecie wszyscy jak się potem chrześcijaństwo wypłaciło Polsce za jej zasługę, za jej krew przez tyle wieków i na tylu polach bitew przelaną.

O uprawie chmielu.

(Dokończenie.)

Cóż to są oczka chmielu, które się w dołki sadzą?

Oczka chmielu są to wypuszczające korzonki, na 6 cali długie. Odrzynać je trzeba jeszcze w kwietniu i na krótki czas w świeżą wodę włożyć, a potem w jakiem chłodnem miejscu zachować w piasku tak długo, aż nie nadejdzie czas sadzenia.

Jak się potem z chmielem obchodzić trzeba, gdy go się już zasadzi?

Tylko jeżeli rola jest bardzo mocna i wyśmienicie uprawiona, można się już w pierwszym roku sprzętu spodziewać; inaczej trzeba w jesieni pierwszego roku młode roślinki gnojem dobrze przemacerowanym obłożyć i ziemią przysypać, a na przyszły rok , kiedy już mrozy miną i kiełki parę cali podrosną, ziemię na około kierzków ostrożnie obruszyć, starą łodygę i zbyteczne kiełki oderznąć, tak aby tylko ze 4 albo 5 najmocniejszych kiełków pozostało i utkwić długą tyczkę U wierzchołka tyczki trzeba zostawić kilka soszek, aby chmiel pnąc się w górę, miał się o co zaczepić i aby nie spadał na ziemię, kiedy owoc dojrzewać zacznie.

Kiedy już chmiel z kiełków na półtora łokcia podrośnie, trzeba go do tyczki przywiązać i uważać na to aby się piął w górę; zbyteczne zaś wypustki trzeba wyrzynać, ziemię ostrożnie poruszać i zielsko pleć.

Gdy chmiel kwitnąć zacznie, jeszcze raz go trzeba ogrzebać i wszystkie wilki czyli zbyteczne kiełki oberznąć. W lipcu

rozpuszcza chmiel listki; wtenczas trzeba żółte listki i zbyteczne przy listkach wyrostki obciąć, a wilki przy korzonkach obłomać.

Kiedy się owoc z chmielu sprząta?

Chmiel sprząta się na początku Września, t. j. sprząta się główki, i to wtenczas, gdy zaczynają brunatnieć, mocno pachnieć i za zduszeniem ich kleić się. Kiedy już nasienie stwardniało i brunatnego dostało koloru a pod listkami pyłek żółtawy się pokazuje, wtenczas należy się ze sprzętem spieszyć, bo gdyby wiatr przyszedł, wszystko by zniszczył. Chmiel też kiedy się przestoi, traci większą część mocy swojej.

Jakże się chmiel sprząta?

Obrzynają się gałązki na łokieć od ziemi, tyczki się wyjmują, chmiel się obrywa, wiąże i zwozi. W domu niechaj dzieci obrywają główki z zielonego liscia, ogonków i gałązek, nadpsute główki niechaj odrzucają, boby wszystek sprzęt od nich się popsuł. Tak oczyszczony chmiel trzeba rozpostrzeć cienko na górze, gdzie jest przewiew, a gdy dobrze wyschnie, zapakować w wory, mocno udeptać i w suchem miejscu zachować. W ten sposób sprzątnięty i przechowany chmiel zachowa swą dobroć i tęgość, i kika lat trwać może.

Po jakiej cenie sprzedaje się chmiel?

Cena chmielu jest nierówna; czasem płaci się za cetnar 50 złr. i więcej. Zawsze może mieć staranny gospodarz ładny z chmielu dochód, a kiedy się pod niego co rok dobrze nagnoi, to sadzić go można na jednem miejscu i lat 15.

Z czego powstaje głos i jak się to dzieje że go słyszymy.

Lubimy słuchać gdy dzwonią na wieży kościoła, i zdarza się nieraz, że gdy o wieczornej dobie wracamy z pola do domu a posłyszymy dzwonienie na Anioł pański, głos ten poważny,

a przy tem tak słodki dla duszy, nawet do łez nas rozczula. Nie jeden, co całe życie nie wyszedł za granicę swojej rodzinnej wioski, od kolebki do zgonu zawsze jeden tylko i ten sam głos dzwonu słyszy, a przecie głos ten, nigdy się mu nie uprzykrzy; biedny zaś tułacz, usłyszawszy gdzie w obcym kraju głos dzwonu podobny do tego, który mu dzwonił w ojczyźnie, płacze z radości.

Zaprawdę, nie ma człowieka, co by mu głos dzwonu kościelnego był nie miłym, ale i to pewna, że nie każdy wie dla czego dzwon dzwoni, zkąd się w nim ten głos bierze.

Gdy umiejętny skrzypek pociągnie smyczkiem po strunach, ochocza do tańca młodzież, usłyszawszy krakowiaka, w miejscu dostać nie może. Nawet i starych ten głos rozwesela, czasem i im nogi skaczą. A gdy grzebią żołnierza co zmarł w obcem miejscu daleko od swoich, i prowadzą go z muzyką na wieczny odpoczynek, kogoż nie wzrusza to smutne, pogrzebowe granie? Kiedy zaś mówimy o żołnierzach, trzeba też przypomnieć, co się to dzieje z starymi wojakami polskimi, co się bili za matkę ojczyznę, gdy który posłyszy czarowne dźwięki owej tak drogiej nam wszystkim piosenki: Jeszcze Polska nie zginęła!

Owóż jak nie ma człowieka co by go nie rozrzewniał głos dzwonu, tak podobno nie ma i takich, coby ich nie wzruszało granie — ale, jak wielu jest takich, co nie wiedzą dla czego dzwon dzwoni, tak i tych nie braknie, co nie pomyśleli, dla czego struna na skrzypcach, albo piszczałka wydaje głos.

Głos powstaje z drgania; dzwon dlatego głos wydaje, bo drga gdy serce w niego uderza, struna na skrzypcach także drga i ztąd granie pochodzi, a im prędzej drga, tem cieńszy głos wydaje. Wszystko a wszystko na świecie drgać może i cokolwiekbądź też zadrga, wydaje głos. Ztąd pochodzi huk na kowadle, gdy w niego uderzamy młotem, ztąd trzask bicza. Idąc po podłodze, za każdym krokiem słyszymy trzeszczenie, podłoga bowiem ugina się i podnosi pod naszemi nogami, czyli drga. Gdy gwóźdź młotkiem wbijamy, gdy zamykamy

drzwi, gdy upuszczamy lub przewracamy jaki przedmiot, podobne powstaje drgnienie, podobne poruszenie w jedną i drugę stronę, a ztąd głos.

Może się to komu zda dziwnem co mówię, że wszystko a wszystko na świecie głos wydaje gdy zadrga? Może mi kto zarzuci, że oto woda albo powietrze nie drga i nie wydaje głosu? Ale mam ja odpowiedź na pogotowiu. Wylej wodę z garnuszka do rzeki, a obaczysz czy rzeka w tem miejscu nie zadrgnie i nie pluśnie dość głośno; owszem i podrzuci w górę tę wodę, którą do niej wylejemy. Ale i tego nie potrzeba, bo któż nie słyszał jak woda drga i szumi gdy z góry spada, jak huczy gdy wielkiemi falami w wezbranej toczy się rzece? Co zaś do powietrza, toć wiatr wyje i świszcze dość głośno, a cóż jest wiatr jeżli nie drgające powietrze? toż każdy wie, jaki to huk powstaje w powietrzu z gwałtownego drgnienia gdy piorun uderza.

Toż samo i piszczałka nie dla czego innego głos wydaje, jeno dlatego, że jak w nią dmuchniemy, to powietrze z ust naszych idące, drga roztrząsając się o krawędzie piszczałki. I ludzki głos, jako to mowa, albo śpiew, także z drgania pochodzi, a to tym sposobem, że płuca nasze są jakby miechy, które się nieustannie nadymają; z nich powietrze wchodzi do krtani, niby do piszczałki i wydaje tam głos, który gębą wychodzi.

Owóż wiemy tedy, że każden głos, jakikolwiek on jest, pochodzi z drgania. Idzie teraz o to, jak się to dzieje że go słyszymy? Prosta rzecz, powie mi ktoś; słyszymy go bo się rozchodzi, rozlega. Prawda i ja tak mówię, rozchodzi się, ale jak? to także nie każdemu wiadomo.

Kto chce wiedzieć jak się głos rozchodzi w powietrzu niech się przypatrzy jak się tworzą fale na wodzie gdy w nią rzucimy kamieniem. Oto w tem miejscu gdzie kamień padł powstanie zagłębienie koliste, za niem powstanie drugie koło, dalej trzecie jeszcze większe, potem czwarte i tak dalej prawie do samego brzegu, a im dalsze są te koła, tem większe, ale i mniej wyraźne. Toż samo dzieje się i z głosem. Robi on

w powietrzu takie same koła jakie się tworzą na wodzie gdy w nią rzucimy kamień; dla czego zaś tych kół w powietrzu nie widzimy, to każdy łatwo zgadnie, bo jakże je widzieć możemy, kiedy nie widzimy powietrza.

Rozchodzenie się głosu od tego najwięcej zależy, jakie jest powietrze, gęstsze czy rzadsze; powietrze zaś gęstsze jest w dniu pochmurnym jak pogodnym, gęstsze jest w dolinach jak na wierzchołkach gór. Owóż gdy powietrze jest gęstsze, wtedy jego drgnienia czyli koła podobne do owych, co je na wodzie widzimy, są wyraźniejsze, i dlatego lepiej głos słychać. Dlatego na bardzo wysokich górach wystrzał z pistoletu tak się wydaje jakby kto z bicza strzelił, a w dolinach gdy dzień jest pochmurny, wszystko się głośniejszem wydaje jak w dniu pogodnym, czy to trzask z bicza, czy krzyknięcie, czy nakoniec to tak miłe naszym uszom dzwonienie. W izbie zaś, gdzie i powietrze dość jest gęste i jego drgnienia rozchodzić się nie mogą, bo ich ściany nie puszczają, głos każden także dość mocnym się wydaje i dlatego można tam mówić ciszej jak na dworze, a wszyscy słyszeć będą. To jest przyczyną że ludzie ze wsi zawsze głośniej mówią jak mieszczanie. Wieśniacy większą część swojego życia przepędzają w polu gdzie trzeba mówić głośniej jak w izbie aby być słyszanym. Owóż tym sposobem przyzwyczajają się mówić zawsze głośno i to im wchodzi w nałóg, mieszczanie zaś, po całych dniach siedzą w izbie, przy warsztacie, gdzie wcale nie potrzeba krzyczeć i dlatego przyzwyczajają się mówić cicho.

Gdyby powietrza wcale nie było, głos nie mógł by się rozchodzić, a my nie moglibyśmy słyszeć ani dzwonienia, ani muzyki. ani żadnego innego głosu, nawet mowy własnej. Dlatego choćby się naprzykład księżyc rozpękł z największym hukiem my tego nie słyszelibyśmy wcale, bo pomiędzy ziemią a księżycem na kilkadziesiąt tysięcy mil nie ma wcale powietrza.

Jeżeli kto krzyknie przy jednym końcu rury bardzo długiej, to drugiemu, coby stał przy drugim końcu tej rury, tak się zdawać będzie, jakby mu tamten nad uchem krzyknął.

Pochodzi to ztąd że powietrze w rurze zamknięte nie mogło rozchodzić się w takie koła i fale, jak na wolnem powietrzu, a głos popłynął w prost z jednego końca do drugiego, i dlatego nie osłabł. Gdy ludzie zmiarkowali sobie dobrze, że głos w rurze nie słabnie, zaraz zaczęli robić takie rury do rozmawiania. Do dziś dnia mają takie w niektórych urzędach. Oto, gdy dom jest wielki, izby rozległe, a naczelnik nie chce co chwila posełać po pisarków siedzących w pierwszej izbie, to ma taką rurę, co od niego idzie po ścianie aż do nich. Gdy którego z nich potrzebuje, to do rury usta przyłoży i krzyknie, a pisarek choćby siedział w czwartej lub w piątej izbie, kędy się ta rura kończy, usłyszy wołanie tak dobrze jakby mu kto nad uchem wrzasnął.

Kiedy tyle o głosie mówimy, warto też wspomnieć i o echu. Jak rzucisz kamień do wody, a w tem miejscu utworzą się na wodzie kółka coraz większe, coraz dalsze, to ostatnie kółko, przyszedłszy do brzegu, odbije się od niego; woda znowu od tego troszkę zadrga i potworzą się nowe kółka, które będą się rozchodzić ku środkowi rzeki. Tak samo dzieje się z głosem. Kiedy krzykniesz w lesie pomiędzy górami albo skałami, to w powietrzu tworzą się też takie kółka jak na wodzie, choć niewidzialne. Te kółka jak dojdą do skalistej ściany, wtedy ostatnie kółko, trąciwszy o nię, odbiję się, powietrze zadrga i powstaje drugi głos, czyli echo albo odgłos i usłyszymy drugi raz to samo cośmy zawołali. Gdy naprzeciwko siebie stoją dwie takie ściany, to się głos dwa i trzy razy odbije. We Francji w jednem mieście są dwie wieże naprzeciwko siebie, pomiędzy któremi głos odbija się dwanaście razy, tak że kto raz jakie słowo powie to je dwanaście razy powtórzone usłyszy, a we Włoszech jest jeden zamek, gdzie głos odbija się czterdzieści razy, a za każdym razem wyraźnie go słychać.

(Dokończenie nastąpi.)

RÓŻNOŚCI.

(Z czego oliwa?) Oliwa jest to sok wyciśnięty z owoców drzewa oliwnego. Drzewo oliwne nie rośnie u nas ani dziko ani w sadach, ale w krajach

gorących dość jest pospolite. Rośnie bardzo powoli i żyje zwyczajnie do trzysta lat, ale nie jest bardzo grube. Owoce tego drzewa nazywają się oliwki. Są one podobne do małych śliwek, jak dojrzeją w końcu jesieni stają się czarniawe. Oliwki zbierają się w dwóch ostatnich miesiącach roku, to jest w listopadzie i w grudniu. W niektórych krajach zostawiają je na drzewie póki nie wyschną, potem je suszą w piecach i dopiero jedzą. Gdzieindziej jedzą je surowe, lecz takie są niesmaczne. Oliwa wyciska się z nich trojakim sposobem, albo się ją ostrożnie wyciska na zimno, albo się wytłacza na gorąco, albo na ostatek gotuje się owoce już wyciśnięte. Pierwsza jest najprzedniejsza, druga pospolita, trzecia najpodlejsza. W gorących krajach używają oliwy tak jak się u nas masła używa. Zresztą robi się z oliwy różne maści i plastry gojące. Oliwa jest także lekarstwem przeciwko truciznom, a jak kogo ukole osa, pszczoła, niedźwiadek albo wąż jadowity, trzeba maczać szmatki w oliwie i na ranę przykładać.

(Wiewiórka.) Leniwcom i próżniakom co o własne dobro nie dbają i nie zaopatrują się w żywność na zimę, mogą służyć za wzór nie tylko pszczoły i mrówki, ale także i rozmaite inne zwierzątka, a między niemi wiewiórki. Z jakąż to pilnością i pracowitością wesołe to zwierzątko gromadzi w wypruchniałych drzewach przez całą jesień orzechy i żołądź! Osobliwsza rzecz, że wiewiórka nie przestaje na jednym spichlerzyku, lecz ich kilka zakłada w rozmaitych miejscach. Dobrze też na tem wychodzi, bo czasem takie spruchniałe drzewo wicher obali, czasem się do kryjówki złodziej zakradnie; owóż w takim razie zgłodniałaby biedaczka przez zimę, gdyby gdzieindziej drugiego nie miała zapasu. To najdziwniejsza, że kiedy w zimie śnieg spadnie, las całkiem inaczej wygląda jak w lecie, wszystkie drzewa są na oko jednakowe, a wiewiórka przecie nigdy nie zabłądzi, i zawsze trafi do swego składu.

Przypowieści.

Chlubić się z bogactwa, możności, nieprzystoi; są to rzeczy niepewne, nieustawiczne, często w maluczkiej chwili giną..., gardzić zaś kim, dlatego że się nie urodził szlachcicem, nie co inszego jest, jak Boga, sprawcę urodzenia, milczkiem strofować.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 15.

21. listopada 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bogaty Stryj.

We wsi Żarnowie mieszkała jedna wdowa z dwoma synami: starszemu było na imię Józef, młodszemu Grzegorz. Mieli oni aż na Podolu stryja bardzo bogatego, bezdzietnego, który owdowiawszy, obiecał całe gospodarstwo swoje zdać jeszcze za życia na jednego z synowców i miał wkrótce przyjechać aby ich poznać i wybrać sobie tego, który się mu lepiej spodoba. Drugi zaś miał zostać na ojcowiźnie, która była dość szczupła. Józef był prawie pewny, że to jego stryj wybierze.

Jednego dnia obaj bracia pojechali na jarmark do pobliskiego miasteczka. W połowie drogi spotkali jakiegoś staruszka, jadącego wozem prosto ku nim.

— Zjeżdżaj z drogi stary! krzyknie Józef i dalejże z końmi obces na starego.

Nieznajomy czemprędzej zjechał z drogi, ale stanął i pozdrowiwszy obu braci uprzejmie, zapytał ich:

— Moi drodzy ludzie, a gdzie też to droga do Żarnowa? ja nie tutejszy.

— Prosto nosa zawoła Józef, a potem stańcie i czekajcie, w którem uchu wam zadzwoni to w tę stronę pojedziecie.

Młodszy Grzegorz obruszył się na brata, czemprędzej zeskoczył z wozu, pozdrowił uprzejmie nieznajomego i wytłumaczył mu dobrze drogę do Żarnowa, za co mu stary bardzo podziękował.

To się stało rano. Bracia przez cały dzień zabawili w miasteczku, bo różne mieli załatwić sprawunki i dopiero wieczorem powrócili do domu. Matka wybiegła naprzeciwko nich dziwnie uradowana i powiada że stryj już przyjechał.

Józef i Grzegorz idą czemprędzej witać stryja, ale jakże się zdziwili, gdy ujrzeli tego samego starca, którego zrana spotkali na drodze. Józef zawstydził się niezmiernie, ale stryj ani słowa o spotkaniu nie wspomniał, i jakby ich dopiero pierwszy raz widział, obu serdecznie uściskał.

Józef uradowany że mu się upiekło, nie stracił nadziei, że łaskę stryja potrafi pozyskać i silił się, aby się mu przypodobać. Dalejże więc przechwalać się przed starym jak on to wszystkiem rządzi, jak brata krótko trzyma. Potem wypytywał stryja jak gospodaruje, a gdy stary zaczął się nad tem rozwodzić, zganił mu to i owo, i chełpił się co by to on robił gdyby objął to gospodarstwo.

Młodszy zaś brat, Grzegorz, przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu i tylko się kiedy nie kiedy na mowę brata uśmiechnął, ale nie przechwalał się w niczem; dla starego był pokorny, nie przerywał mu mowy a odpowiadał łagodnie, i owszem usilnie się starał ani w twarzy, ani w mowie, ani w postępkach swoich nic takiego nie okazać, co by go urazić mogło.

Po wieczerzy obaj bracia poszli spać do stodoły, stryj zaś pozostał z matką w izbie. Nim zasnęli długo się ze sobą naradzali; ale nad czem, tego bracia wcale nie wiedzieli.

Nazajutrz rano gdy przyszli na śniadanie, stryj tak rzekł do nich:

— Moi synowcowie, wiecie żem po to przyjechał, aby jednego z was zabrać i osadzić na mojej zagrodzie i o to mi

szło tylko, którego z was przybrać sobie za syna. Owóż już się namyśliłem i postanowiłem, a co raz postanowię, tego, trzeba wam wiedzieć, już nigdy nie odmieniam. Dla ciebie to kochany Grzegorzu przeznaczam całe moje mienie i spodziewam się że dobrym synem będziesz mi za to. Nieprawdaż mój synowcze?

— Kiedy taka wasza wola, rzekł Grzegorz całując rękę stryja, przyjmuję z wdzięcznością to wasze dobrodziejstwo, i oby mi Pan Bóg pozwolił bym się wam za to przynajmniej przypodobał mojem posłuszeństwem i uległością.

Stryj uściskał go serdecznie, Józef zaś przygryzł wargi i milczał, ale widocznem było jak go to gryzło, że stryj przełożył nad niego jego brata.

— Idzie teraz o to, rzecze stryj znowu, gdzie wy bratowo być chcecie? przy starszym, czy przy młodszym synu? To wam zostawiam do woli.

— Wolałabym tu zostać, tum się zrodziła, tu i umierać bym rada, ale z Józefem się nie zgodzę, on hardy, sprzyka; toż kiedy mi do woli zostawiacie, i ja z wami pojadę.

— Tak to bratku? rzecze dopiero stryj do Józefa; toś ty i dla matki taki jak dla nieznajomych? Pamiętasz nasze wczorajsze spotkanie na drodze?

— Cóż to się stało? gdzie? kiedy? pytała matka.

Stryj opowiedział jej wszystko; potem obrócił się znowu do Józefa i dalejże roztrząsać mu sumienie.

— Mój Józefie, tak się niegodzi; jeżeli chcesz żeby ci się dobrze działo na świecie, naucz się najprzód jak trzeba z ludźmi postępować. Owoż, każdy człowiek powinien być względem drugich uprzejmy, z nikim się sprzeczać, dla nikogo hardym być nie powinien. To też zawsze miej w pamięci, że starszych trzeba słuchać, ale nie trzeba ich uczyć, niegodziwością zaś jest żarty sobie z nich stroić, jak ty wczoraj ze mnie na drodze. Bądź zawsze dla obcych, dla nieznajomych uprzejmym, bo jak mówi przysłowie, na grzeczności nikt nie traci; każdego uprzejmie powitaj, pożegnaj, z drogi mu ustąp każdemu przysługę wyświadcz chętnie.

Józef przyznawał w duchu że to wszystko prawda co stryj prawi, ale że był bardzo hardy, nawet mu nie podziękował za napomnienie.

Niedługo potem stryj kazał Grzegorzowi założyć konie do wozu, matka poskładała do skrzyń przyodziewę swoją i Grzegorzową i niebawem wszyscy troje ruszyli w drogę, a Józef został sam.

* * *

Dwa lata minęło od owego czasu jak Grzegorz i jego matka gospodarowali u starego stryja. Chwalili sobie bardzo, bo nie trudno było gospodarować tam, gdzieś wielka była obfitość, wielki dostatek, a do tego poczciwy staruszek był dla nich bardzo dobry i tak się zachowywał, jakby nie on im, ale oni jemu łaski świadczyli. O Józefie często wspominali i żałowali że on tak od nich daleko. Aż oto jednego razu przyjeżdża Józef nowiuteńkim wozem, tłustemi konikami, ale jakiś smutny i blady. Matka, stryj, brat wybiegli na przeciw niemu witając go, a on jakiś cichy, pokorny, nieśmiały.

— Cóż słychać u ciebie? jak ci się powodzi?

Józef popatrzył na matkę, a w oczach łzy mu się skręciły.

— Zostawiliście mnie samego jak palec, a teraz pytacie jak mi się powodzi? Ot, jak biednemu pustelnikowi.

— A czemu się nie żenisz? rzecze stryj.

— Matka mną pogardziła i odeszła mię, powie Józef, a żona będzie zemną siedziała?

Potem rzucił się matce do kolan.

— Matusiu już ja nie taki jak dawniej, przekonacie się, sprobujcie.

Matce także na płacz się zebrało, bo zawsze tęskniła za rodzinnym kątem i tą chatą, w której spędziła najlepsze lata swojego życia.

Józef zabawił tydzień u stryja i tym razem bardzo się podobał staremu, a matkę swojem postępowaniem nie mało ucie-

szył. Po tygodniu wybrał się z powrotem do domu, ale już nie sam, matka bowiem widząc że się zupełnie poprawił, postanowiła przenieść się do niego, i z nim pojechała.

Uprzejmość.

Spokojny jestem i cichy,
Nie znam hardości ni pychy,
W moich oczach człowiek hardy
Nie wart więcej chyba wzgardy.

Szanuję ja sług ołtarzy,
A ich słowo u mnie waży,
Szanuję ja wszystkie stany,
Kmiotki, pany i mieszczany.

Nie potrzeba mi dowodu,
Jakiego tam kto jest rodu,
Cześć należną w równej mierze,
Odemnie każdy odbierze.

Czy żebrak w niskiej pokorze,
Czy pan w spaniałym ubiorze,
Młodzian, czyli człek sędziwy —
Ach! byle tylko cnotliwy.

Czyli jednych, czyli drugich,
Czy to swoich, czy to cudzych
Podług tego tylko ważę,
Jaki rozum kto pokaże.

I wy też jeżeli chcecie,
By się wam wiodło na świecie,
Równo czcijcie wszystkich ludzi,
A to dla was cześć w nich wzbudzi.

Grzeczność nie minie daremnie,
Odwdzięczą ci ją wzajemnie,
Nieraz nawet dobre chęci,
W wdzięcznej chowają pamięci.

Uprzejmego nikt nie mija,
On serca wszystkich podbija,
A często też grzeczność jedna,
Sto innych nawzajem zjedna.

O hardym zaś tak rozumię,
Że się poniża w swej dumie;
Hardość trąci tylko głupstwem,
Próżnością i samolubstwem.

Bracie, bardzo często zbłądzisz,
Jeżeli z pozoru sądzisz,
Bo czasem ów w lichej szacie,
Lepszy jak ten co w szkarłacie.

Tak żebraka jak cesarza,
Niech nikt nigdy nie obraża,
Jak równego, tak starszego,
Uszanuj godność każdego.

Godzien jest czci starzec siwy,
Szczęśliw on, czy nie szczęśliwy,
Kto mu czci nie odda z serca,
W moich oczach to bluźnierca.

Tak czyni człek każdy prawy,
Ja też ztąd nieszukam sławy,
Lecz nadzieję roszczę sobie,
Że mnie uczcicie i w grobie.

Stanisław Krakowczyk.

Wychowanie królewiczów polskich.

Opowiemy wam jak się wychowywali synowie króla Kazimierza Jagiellończyka. Nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie pierwej po krótce, który to był ten król Kazimierz.

Owóż król Kazimierz Jagiellończyk o którym mówić chcemy, czwarty z kolei król polski co to imię nosił, był to brat rodzony owego Władysława króla polskiego i węgierskiego, który zginął w bitwie z Turkami pod Warną. Panował on w Polsce przez lat czterdzieści i sześć, i przez ten czas prowadził często wojny to z Moskalami, to z Tatarami, ale najczęściej z Krzyżakami. Krzyżacy nakoniec wszędzie pobici, udali się w pokorę do króla Kazimierza i prosili o pokój, na co Polacy chętnie przystali, odebrawszy im większą część ziem polskich, które sobie byli przywłaszczyli, a resztę zostawili im pod tym warunkiem, że polskim królom podlegać i wierność zaprzysięgać im będą, i że w razie wojny będą Polsce dawać posiłki.

Na pochwałę króla Kazimierza Jagiellończyka to powiedzieć trzeba, że był bardzo pobożny, a przytem umiarkowany i dobroduszny, dla poddanych zaś swoich hojny, zwłaszcza dla uczonych, których zawsze rad widział na swoim dworze; najwięcej zaś przez to się zasłużył Panu Bogu i matce ojczyźnie. że dzieci swoje bardzo dobrze wychowywał.

Kazimierz Jagiellończyk miał sześciu synów i siedm córek, z których dwie zeszły młodo ze świata. Córki chowały się pod okiem matki, synowie pod opieką nauczycieli. Troskliwy ojciec wyszukał im na nauczycieli najuczeńszych mężów, od których maleńcy królewicze, od szóstego roku życia, po całych dniach pilnie uczyć się musieli, co tylko mądremu królowi wiedzieć potrzeba, aby umiał rządzić swoimi poddanymi, i aby im przyświecał rozumem, cnotami i bogobojnem życiem. Kilku nauczycieli mieli królewicze, ale najpierwszym pomiędzy nimi i głównym ich zwierzchnikiem, był ksiądz Jan Długosz, kanonik krakowski, mąż bardzo uczony i świątobliwy. Na krok

nie odstępował on swoich dostojnych wychowańców i pilnie czuwał nad ich obyczajami. Aby zaś nie mieli żadnej przeszkody w nauce, nie przebywał z synami królewskimi zawsze przy rodzicach na królewskim dworze, gdzie częsty ruch i gwar odrywałby ich od nauki, lecz jeździł z nimi to do Tyńca, to do Sącza, albo znów do Lublina, i tam w zacisznych zamkach spędzał z nimi czas na nauce.

To było najważniejsze w wychowaniu królewiczów, że ich od najpierwszej młodości nie przyzwyczajano do zbytków, tak pospolitych na królewskich dworach, ale do prostoty. Szaty, które nosili na codzień nie były wcale bogate; owszem, tak ich ubierano, że ktoby w powszedni dzień ujrzał był królewiczów zatrudnionych nauką, nie byłby się nigdy domyślił że to przyszli monarchowie potężnego państwa. Owóż latem nosili królewicze polscy prostą odzież z grubego sukna, w zimie zaś zwyczajne kożuszki koźle. Nie wybredną ale poślednią jadali strawę, a żadne wygody, żadne pieszczoty nie były im dozwolone, owszem przyzwyczajać się musieli od młodu do wszelkich trudów i niewygód.

Najstarszy z dzieci Władysław i ten co po nim następował Kazimierz, obaj zawsze potulni, skromni, a nadewszystko dobrotliwi i pobożni, już w dziecinnych latach wielką byli pociechą tak dla rodziców jak i dla swoich nauczycieli, którzy ich serca kształcili. I drudzy podobni byli z pięknych obyczajów. Trzeci brat, Olbracht, wesół, śmiały, rycerski, zapowiadał dzielnego i mądrego monarchę; inni, jako to: Alexander, Zygmunt i najmłodszy Fryderyk, byli stateczni a serdeczni, poważni a miłosierni.

Wiedział król Kazimierz, że aby dzieci korzystały z nauki, muszą być posłuszne i uległe swoim nauczycielom, toż wpajał w nich największe uszanowanie dla księdza Długosza, i królewicze tak go musieli słuchać jak ojca i matki.

Król mawiał im często: Macie dwóch ojców, jednego mnie, któremu winniście życie, a drugiego księdza Jana, co wam umysł rozwinął. Jeżeli zaś który w czem przewinił i zasłużył na karę, wolno było księdzu Długoszowi użyć i rózgi, a gdy

król Kazimierz posłyszał płacz karanych dzieci swoich, to tak mawiał: Niech płaczą, nie ma dla mnie milszej muzyki nad płacz dzieci moich pod rózgą nauczycielską.

Przy uroczystościach dworskich, albo kiedy jaki poseł przyjechał z zagranicy do króla, starsi królewicze pokazywali się na pokojach królewskich obok tronu ojca, ale już wtedy nie w ubogich szatach domowych, ale w bogatych, królewskich, lśniących od złota i purpury; co się jednak na nich lśniło bardziej od złota i drogich kamieni, to dusze ich czyste, co się w spojrzeniach i w każdem odbijały słowie. Toż cudzoziemcy wracając z Polski do swoich krajów, naopowiadać się nie mogli o zacności i rozumie polskich królewiczów.

Sława ich przymiotów wkrótce rozniosła się po świecie, i narody sąsiednie zapragnęły mieć ich swoimi królami. Jakoż najstarszego z nich Władysława, Czesi, a potem i Węgrzy obrali sobie na króla. Kazimierz, którego także Węgrzy chcieli mieć królem, przeniósł koronę niebieską nad ziemskie panowanie; był to młodzieniec wątłej budowy ciała, słabowity, ćwiczenia zaś pobożne, posty i modlitwy nocne tak go wycieńczyły że umarł wcześnie; a gdy potem rozliczne cuda działy się u jego grobu, ojciec św. policzył go w poczet świętych i nadał go krainie naszej za patrona. Olbracht po śmierci ojca zasiadł na tronie polskim i wojował z Turkami, Wołochami i Tatarami. Raz nie poszczęściło mu się okropnie na Bukowinie, w której to wyprawie bardzo dużo szlachty zginęło i ztąd urosła przypowiastka, za króla Olbrachta, wyginęła szlachta; w rok zaś potem wpadli Turcy na Podole i na Wołyń, i mnóstwo ludu uprowadzili w niewolę. Po jego śmierci panował czwarty z kolei brat, imieniem Aleksander, który zasłużył się ojczyźnie nie tylko zwycięztwy nad Moskalami i Tatarami, ale i tem że rozmaite prawa jakie dawni królowie polscy ustanowili, kazał zebrać i spisać w jednej księdze. Po nim panował piąty brat Zygmunt, który był tak dobrym i mądrym królem, że Polacy dotąd złotym wiekiem zowią czas jego panowania. Szósty

brat nakoniec Fryderyk, poświęcił się służbie bożej i był księdzem, a przechodząc szybko z jednego stopnia na drugi, został kardynałem, co więcej znaczy jak arcybiskup.

O Norwegji i tamtejszych wieśniakach.

Norwegia jest to kraj północny, zimny, stykający się z Szwecją, o której wam pisaliśmy. Od zachodu jest oblana morzem, które tu powyrzynało mnóstwo głębokich zatok i utworzyło łańcuch skalistych wysp. Jest górzysta i napełniona odwiecznemi lasy, a ma też kilka bardzo bogatych kopalni ołowiu, miedzi i srebra.

Pomiędy górami i skałami leżą doliny, środkiem których płyną rzeki i strumienie, a w tych dolinach wioski. Domy, zagrody, a czasem i całe osady wiszą na spadzistych urwiskach i zda się nie daleko od siebie, a przecie gdy kto chce odwiedzić sąsiada, długo kopać się musi przez góry wiecznym śniegiem okryte, zanim się dostanie do chaty, co z dołu bliską mu się zdawała. Ze szczytów skał rwiące strumienie spadają z szumem, i tworzą liczne wodospady, które obracają tartaki a potem pędzą do jeziór, albo do morza. Obok zielonych łąk ciągną się tu i owdzie pola jęczmienne lub owsiane, dalej ogrody i sady, a nieco wyżej leży na górach śnieg co nigdy nie taje. Dziwną się ta nagła przemiana wydaje cudzoziemcowi. Tu najdojrzalsze, najsoczystsze owoce, a nad głowami śnieg wieczny; stoi czasem wiśnia pod skałą, i można z niej rwać dojrzałe jagody, a pestki rzucać na ów wieczny śnieg. To jeszcze dla cudzoziemców dziwniejsze, że tam w czterech miesiącach od czerwca do września można widzieć wszystkie cztery pory roku. Wiosna trwa ledwo miesiąc, lato dwa miesiące, jesień sześć tygodni, a resztę roku zima zajmuje. Ale też wszystko bardzo tam prędko dojrzewa. Trzech miesięcy potrzeba, aby drzewa okryły się liściem, aby okwitły i owoc

wydały, a zboże jeszcze prędzej wschodzi i dościga. Przejście z zimy do wiosny lub z wiosny do lata, dzieje się w jednym dniu. Dnie są bardzo krótkie, a wieczory i noce bardzo długie.

Wsie są rzadkie, równie jak miasta; najwięcej zaś jest ich przy brzegach morskich. Wieśniacy budują sobie domy z drzewa i pokrywają je darniną, a szpary upychają mchem Ściany są poczerniałe od dymu, bo kominów nie ma. Powała idzie w szpic a w górze jest otwór z klapą, którym dym wychodzi. Majętniejsi gospodarze mają wygodne i dostatnie zagrody. Sładają się one z kilku oddzielnie stojących budynków. Jeden służy jak by u nas świetlica, do przyjęcia sąsiada w święta albo chrzciny. Drzwi tego domu są powyrzynane w różne figury, przedstawiające wilków, smoków, wężów. W izbie stoi piec potężny, pomiędzy słupami podpierającemi powałę, łóżka pięknie usłane, pod ścianami szafy pomalowane na niebiesko i w kwiatki, na podłodze rozrzucona sośnina, opodal stoi stół biały, czysty, na murkach naczynie cynowe, garnuszki i szklanki, czasem także srebrne naczynie. Sąsiek stoi osobno, tam mieszczą się zapasy masła, sera, mięsa suszonego, słoniny, kaszy, mąki, na górze zaś odzież rozwieszona i kołdry tuzinami. Osobno znowu stoi dom gdzie sypiają, a piekarnia także osobno. Tak bywa u bogatych kmieciów.

Wieśniacy w Norwegji są średniego wzrostu, silnej budowy ciała, powolni we wszystkiem co przedsiębiorą, ale wytrwali i stali w postanowieniu. Umiarkowani, lubiący swobodę, weseli, w robocie zręczni, kochają ojczyznę i są bardzo przywiązani do starych zwyczajów, a kiedykolwiek wymówiony wyraz s t a r a N o r w e g j a, do łez ich rozrzewnia. Zbrodnie tam są rzadkie, ale bitki częste, a bitki takie, że się przy nich nieraz nożami pokaleczą. Lubią palić tytoń, lubią grywać w karty i do tańca są skorzy; piją też i wódkę chętnie, ale brzydzą się i pogardzają pijakami. Przytem są bardzo gościnni i nawet najuboższy wieśniak chętnie w domu swoim przyjmie cudzoziemca, zastawi mu co ma najlepszego, go-

tów podzielić się z nim ostatnim kęsem chleba, ale za gościnę nigdy nie przyjmie zapłaty.

Rolnictwo jest tam w lichym stanie, a to dlatego że ziewia nieurodzajna, a zima nadto długa; za to chów bydła bardzo kwitnie w Norwegji. Ledwo wiosna zabłyśnie, pędzą bydło w góry, często o mil kilka. Tam kobiety i dziewki siedzą z bydłem przez całe lato, póki śnieg nie zawita, a mężczyźni tymczasem pracują w polu, często jednak odwiedzają swoje trzody. Dziewki bardzo lubią to życie swobodne w górach, i dlatego gdy się która godzi do służby, to sobie wymawia że ją na lato także poszlą z bydłem. Tam w górach mają pobudowane szałasy z kamieni, przykryte darniem, bez okien, bez komina i w nich sypiają; w rogu zaś jest kamień na którym palą i gotują.

Bydło mają piękne, a konie bardzo wytrwałe. Konie są średniej wielkości, silnej budowy, z krótką szyją a szeroką piersią, płowe i gniade, a każden ma od ogona przez cały grzbiet aż do głowy ciemną pręgę. Poczciwe to są stworzenia i nigdy nie trzeba na nich bicza. Koń norwegski gdy się spina pod górę, to nie idzie prosto, jeno zygzakiem, a gdy się zmęczy, staje, odpoczywa i znowu dalej ciągnie; z góry schodzi też bardzo ostrożnie. Biedak, przez całe życie nigdy owsa nie widzi.

Ludzie w Norwegji nie są przemyślni. Wszystko co im potrzebne, sprowadzają z Niemiec, jako to: kapelusze, czapki, grzebienie, buty, odzież, naczynia wszelkie, sprzęty gospodarskie, i kupcy są Niemcy. Jedną chyba łódkę, sanki lub wózek, stół albo miskę drewnianą gospodarz sam sobie wystruże. Pożywieniem ich jest chleb owsiany i jęczmienny, w biedzie chleb z kory brzozowej, u bogatszych żytni, zresztą ryby, mleko, jaja, ser, mięso suszone.

Ubierają się pięknie tak mężczyźni jak kobiety. Mężczyźni noszą kaftany skórzane lub sukienne, ściśnięte pasem z srebrną sprzączką, kamizele z kolorowemi wypustkami, spinki srebrne u koszuli, białe wązkie spodnie, na kolanach i po

bokach pstro wyszywane, u boku nóż w pochwie skórzanej, na głowie kapelusz pilśniowy z szerokiemi kresami lub czapka czerwona. Białogłowy noszą gorsety kolorowe z błyszczącemi guzikami i paski z sprzączkami, kilka spodnic, jedna na drugiej, czerwone pończochy i trzewiki z guzami, na szyi paciorki a dziewczęta prócz tego wstążki we włosach.

Na ich pochwałę to także powiedzieć trzeba, że są pobożni i pilnie uczęszczają do kościołów, choć tam trzy i cztery mile drogi zrobić nieraz trzeba, za nim się zajdzie do kościoła. Kto na żaden sposób iść nie może do kościoła, ten się w domu modli. Obchodzą bardzo uroczyście dzień Bożego Nanrodzenia i św. Jana, także wesela i chrzciny. Wesela tak się odbywają, że wszyscy goście postrojeni, z wieńcami i bukietami z kwiatów idą parami do kościoła, z muzyką, oboje zaś państwo młodzi naprzód. Przed niemi biegnie umyślnie do tego uproszony przyjaciel, z pełnym dzbankiem piwa, który wszystkich przechodzących zaprasza na wesele, a zarazem prosi o podarunek dla państwa młodych; po ślubie idą do gospody, raczą się i tańczą.

Przy wielu dobrych przymiotach mają też ludzie norwegscy jeden bardzo zły, a to że jest między niemi wiele dumy; majętniejszy ma się za Bóg wie co, toż nie było tam przykładu, aby się kmieć ożenił z ubogą dziewczyną lub komornicą, albo aby bogata dziewka poszła za ubogiego parobka.

Nauka po wsiach z powodu odległości zagród bardzo jest utrudniona, ale i tak każdy chłop norwegski umie pisać, czytać i rachować, a książka do nabożeństwa i jeszcze nie jedna inna pożyteczna znajdzie się w każdym domu. Jest tam taki zwyczaj, że nikt się nie może komunikować kto nie umie czytać, a kto do dwudziestego roku życia jeszcze się nie komunikował, to gwałtem go przymuszą, aby się czytać nauczył. Toż chłopi czytają tam gazety, wiedzą co się w świecie dzieje, nabierają oświaty i dlatego na sejmie mądrze radzą o dobru matki ojczyzny.

Z czego powstaje głos i jak się to dzieje że go słyszymy.

(Dokończenie.)

Każden człowiek rozumny powinien rozmyślać i zastananawiać się nad tem, jak się co dzieje na świecie, i dla czego się tak a nie inaczej dzieje, bo takie rozmyślanie prowadzi do poznania wszechmocności i mądrości Stwórcy, który wszystko przewidział i wszystko dobrze zrobił.

Owóż gdy już uczeni ludzie doszli przez rozmyślanie, że głos każden, jaki uszu naszych dochodzi, powstaje przez drganie i że go słyszymy dlatego, bo się w powietrzu rozchodzi jak owe kółka na wodzie, które powstają gdy kamień do wody rzucimy, chcieli jeszcze koniecznie dojść, jak też prędko głos się rozchodzi, jak prędko leci.

Wiadomo, że gdy z armat strzelają, to ludzie stojący w znacznem oddaleniu, najprzód widzą błysk, a dopiero po chwilce słyszą huk. Pochodzi to ztąd, ponieważ ten huk nie dochodzi ludzi daleko stojących w tym samym czasie w którym powstał, lecz się rozchodzi; rozlega coraz dalej i dalej, póki do nich nie dojdzie i potrzebuje chwilki, aby od armaty doszedł do nas i wpadł do naszego ucha. Po kilku próbach uczeni ludzie doszli, ile na to czasu potrzeba, abyśmy usłyszeli huk armaty od nas oddalonej. Oto jeżeli armata jest od nas oddalona na sześćset łokci, huk wystrzału usłyszymy dopiero po jednej sekundzie, a jedna sekunda to taka kruciuchna chwileczka, jak gdy kto ręką raz machnie. Zatem głos przebiega w jednej sekundzie sześćset łokci. Gdyby armata była od nas dwa lub trzy razy bardziej oddalona, tobyśmy wystrzał usłyszeli dopiero po dwóch albo po trzech sekundach.

Ucho nasze jest bardzo sztucznie zbudowane, dlatego zaś jest tak pozaginane, aby mogło chwytać powietrze drgające, czyli rozchodzący się głos, gdy do niego dojdzie; ale to niczem jest w porównaniu z tem co się dzieje wewnątrz, w głębi

ucha. Jest tam wewnątrz kanał, który ciągnie się w głąb aż do głowy. Ten kanał jest zamknięty na końcu cieniuchną skóreczką czyli błoną. Za tą błoną jest w głowie jama z łańcuszkiem zrobionym z czterech chrząsteczek, a za nią druga podobna jama, napełniona cieczą, w której się rozgałęziają delikatne żyłki. Te żyłki to nerw słuchu. Gdy głos jaki, to jest powietrze drgające dostanie się przez kanał do błony, wtedy i błona drga; od tego drga ów łańcuszek chrząstkowaty co jest w pierwszej jamie, a przez niego drga także i ta ciecz co jest w drugiej, ostatniej jamie. Wtedy dopiero przez nerw słuchu, który idzie aż do naszego mózgu, pojmujemy i odróżniać możemy głos usłyszany.

Widzimy z tego że owe żyłki, które nazywamy nerwem są najważniejszą częścią ucha. Jakoż, gdy sobie kto ucho z wierzchu uszkodzi, albo nawet i błonę co tam jest wewnątrz, nie utraca słuchu całkiem, ale gdy się uszkodzi owa jama z cieczą, albo i sam nerw, następuje zupełna głuchota, od czego niech Pan Bóg każdego uchroni.

O zasilaniu drzew gnojówką aby lepiej rodziły.

Owoc na drzewach obfity a smaczny, wielka to dla dzieci uciecha i w gospodarstwie pożytek; a i te kilka groszy nie są do odrzucenia, które czasem przypływają do kieszeni gospodarza za wyniesioną na targ kobiałkę jabłek albo gruszek. Kto zaś ma około swego domu jaki taki sadek, powinien się starać aby mu drzewiny coraz lepiej rodziły i niczego nie zaniedbywać co ich płodność powiększyć może.

Już pisaliśmy co trzeba uczynić, aby drzewa owocowe, stare uwolnić od mchu. Potem zaś uczyliśmy was sadzić drzewka, a teraz znowu pouczymy was jak się drzewa owocowe zasila aby lepiej rodziły.

Nie zbierze ten pszeniczki, kto pod nią dobrze gruntu nie uprawi, nie będzie też zbierał owocu z drzewa ten, co o swoje

drzewa nie dba, bo drzewiny nigdy nie zasilone, skąpo rodzić będą, i nie smaczny owoc, w końcu zaś zdziczeją i całkiem przestaną rodzić.

Najtężsi gospodarze zgadzają się na to, że do zasilenia drzew owocowych, nic lepszego nie ma jak gnojówka z krowiego lub końskiego nawozu, o którą przecie u nas nie trudno, bo nie przymawiając nikomu, prawie przed każdym domem na wsi tworzy znaczne kałuże, w których nawet czasem dzieci się topią.

Bardzo by nas to cieszyło, żeby nasi gospodarze posłuchali nas i spróbowali zasilać drzewiny w swoich sadach gnojówką. Ale ktoby miał ochotę wziąść się do tego, powinien najprzód wiedzieć, jak sobie z tem postąpić, i kiedy się to robi. Podlewanie bowiem drzew owocowych gnojówką w złym czasie, to jest nie wtedy kiedy potrzeba, byłoby bezpożytecznem marnowaniem i czasu i pracy, na nic by się ta jego praca nie przydała.

Owóż jeżeliście ciekawi, a lękacie się aby was ta robota, do której was zachęcamy wiele trudu nie kosztowała, tedy wam powiem że się drzewa gnoi tylko trzy razy do roku. Praca więc nie jest wielka i dbałych o własne dobro gospodarzy nie powinna odstraszać, zwłaszcza że trudy sowicie odpłacą się temu, co ich nie będzie szczędził.

Najprzód gnoi się w sierpniu, a to dla tych pączków, co dopiero w przyszłości mają się zawiązać na drzewie; potem drugi raz w miesiącu marcu, to jest wtedy, gdy wiosna się przybliża a drzewo zaczyna się budzić ze snu zimowego, nakoniec trzeci i ostatni raz gnoi się wtedy, gdy się już kwiat zaczyna na drzewie formować.

A teraz uważajcie co wam powiem, abyście dobrze wiedzieli jak sobie trzeba postąpić przy podlewaniu drzew gnojówką. Owóż trzeba wziąść łopatę w rękę i najprzód ziemię na około pnia odrzucić, trochę mniej jak na pół łokcia w głąb i uważać aby się korzenie nie odsłoniły, co by zaszkodzić mogło. Gdy się ziemię odrzuci, trzeba przynieść wiadro dobrej gnojówki i wlać ją w ten dół na około korzeni. Gnojówka

wnet wsiąknie. Skoro się to stanie trzeba znowu przynieść wody miękkiej i nalać w ten sam dołek, poczem zgartuje się na powrót do dołka ziemię, którą się na około pnia odrzuciło i trochę przygniata.

Dobrze też jest i samą wodą podlewać drzewa owocowe w ciągu lata, podczas wielkich upałów. Do tego trzeba także odkopać ziemię w około drzewa, ale to nie robi się częściej jak raz w tydzień.

Kto z gospodarzy weźmie sobie nasze słowa do serca, i spróbuje parę razy do roku zasilić gnojówką przynajmniej niektóre drzewa w swoim sadzie, przekona się że mówię prawdę, i przyjdzie czas, że nam pięknie za tę naszą naukę podziękuje.

RÓŻNOŚCI.

(Olbrzymia kiełbasa.) W miasteczku Chełmży, w tej części Polski co jest pod panowaniem pruskiem, odbyła się w przeszłym miesiącu wystawa rolniczo-przemysłowa, na którą okoliczni gospodarze wiejscy i rozmaici majstrowie poprzysełali swoje bydło, i rozmaite wyroby, jako to: młocarnie, pługi, brony, płótno i t. d. Jeden rzeźnik z Chełmży dał na tę wystawę kiełbasę swojej roboty, olbrzymiej wielkości, miała bowiem trzydzieści trzy łokci długości. Ta kiełbasa była wystawiona na wysokim słupie, przystrojonym w kwiaty i wieńce.

Przypowieści.

Jeźli cię gniew uwiedzie, zastanów się i zważ, czy jest słuszny? Jeżeli nie jest, po co się gniewać? Jeżeli jest, wspanialej przebaczać, niż brać zemstę.

Za cnoty nasze i dobre uczynki, nie szukajmy chwały ludzkiej, bo tracimy tę, która jest od Boga.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 16.

1. grudnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bezręki.

Powieść litewska.

Dawnemi bardzo laty, u progu jednego kościółka wiejskiego na Litwie siadywał dziad siwy bez ręki prawej; modlił się ze łzami i nieśmiało prosił o jałmużnę. W dniach święta lub odpustów gdy się lud cisnął tłumnie, inni ubodzy, inne dziadki odpychali bezrękiego, łajali mu i ubiegali grosz jałmużny, głośno wzgardę okazując koledze, a wtedy rzewniej płakał dziadek, a siwa broda trzęsła się od łkania. Znał go lud z całej okolicy i Litwy, wiedział jego smutną historję, i niejeden litował się nad nieszczęśliwym, ale nie jeden odwracał się pogardliwie, widząc w nim sprawiedliwą karę Bożą. Dziś, Bóg wie gdzie rozsypały się popioły tego dziada, Bóg wie czy stoi i ten kościół boży, gdzie przesiedział ostatnie dnie gorzkiego żywota, dusza jego już może odpokutowała grzechy, a lud na Litwie jeszcze pamięta o nim i opowiada sobie jego historję.

Wyśpiewali ją i opisali ci, co jej podsłuchali a pięknie spiewać i pisać umieją; i z wami moi mili podzielą się Litwini, rodni bracia gadką swoją.

Otóż był sobie maleńki sierota bez ojca. Ojca tego nieszczęśliwego ludzie powiesili za złe bardzo sprawy, a na sierotę padła hańba i nędza. Lichy dobytek zniszczał, chacina stara się zawaliła, a wdowa z sierotą poszła w świat zawodząc, bo rodzinie wisielca ludzie żałowali i żebranego chleba. Źle to bardzo, nie po chrześcijańsku! nie powinno spadać na sieroty nieszczęście ojca, i nie powinno zamykać się serce na niedolę bliźnią. Sierota się nieraz walał po śmieciach żydowskich, głodny i nagi, a matka chora jęczała pod płotami; żyd czasem obiecał lub dał kąsek jaki, ale za to namawiał sierotkę na złe i do kradzieży pierwszą pokazał ścieszkę. Nareszcie biedna matka jak chorzała, tak i umarła pod gołem niebem w środku wsi prawie, sierota siadł przy niej zanosząc się od płaczu, a ludzie się zeszli i gwarzyli nad trupem Na wstyd chrześcijanom nikt nie myślał dać deski na trumnę, płachty na pokrycie wdowy wisielca! Bóg zesłał jednak anioła; przejeżdżał właśnie tamtędy kapłan staruszek i zatrzymał się koło zbiegowiska. Dopytawszy się, z gniewem zgromił nieludzką gromadę, wśród której człowiek umiera na drodze, ukląkł nad ciałem i głośno za duszę zmarłej modlić się począł. Przykład zawstydził i wzruszył serca, zabrano ciało, znalazła się czysta odziewa, i trumnę sporządzono i pochowano po chrześcijańsku i za duszę westchnięto.

Ksiądz poczciwy i święty człowiek, wziął sierotkę małą do siebie i po ojcowsku opiekował się dzieckiem. On to w jego zdziczałe serce siał ziarna cnoty, garnął słodyczą do siebie, nauczał o Bogu i czytać, i do mszy św. służyć i pracować jak mogły siły dziecięce. Chłopczyna kochał księdza jak anioła bożego, służył mu i był bardzo szczęśliwy. Ale nie długo było tego szczęścia sieroty. Ksiądz ów usnął raz w modlitwie i nie obudził się więcej, Bóg go zabrał do siebie. Chłopczyna ledwie żył z żalu. Nastały inne rządy, inni ludzie, już nie sługiwał do mszy, nie lubiony, popychany, poszedł paść trzody.

Pociemniało życie sieroty; samopas, nieraz w złem ręku, rósł i psuł się bardzo; dobre nasiona cnoty zarosły chwastem, do próżniactwa, do zwady, do gry, rozpusty, nawet kradzieży odezwała się pochopność. Jednem słowem sierota wyrósł na wielkiego urwisa. Sprzykrzywszy sobie pracę porzucił ją i poszedł gdzie go nie znano i zgiąwszy nogę we dwoje, poobwijawszy rękę, udał kalekę, wziął torbę i poszedł, głośno wyjękując, po próżniaczym dziadowskim a nieuczciwym chlebie. Co wytumanił, przehulał i przepił, i nieraz mu się dobrze działo. Ale i źle dziać się poczynało, bo tak dawał pan Bóg, który jeszcze z tego grzesznika chciał poprawy.

Pewnego razu, ostrej zimy, zaszedł udany kaleka do pięknej wioski, i pod drzwiami porządnej chaty stanął. Zaczął się modlić, ale coś był osłabł, mróz mu prawie odjął siłę w nogach i głód się odzywał. Chwiać się począł, głos mu zamarł w piersiach i upadł pod drzwiami chaty. Miłosierni i poczciwi ludzie mieszkali w tej zagrodzie. Wybiegli, wnieśli biedaka do ciepłej świetlicy, położyli na własnem łożu i cucili do życia ze łzami litości. Ubogi był zemdlały, a Bóg mu zesłał niby sen jakiś. Zdawało się mu że widzi swoją matkę biedną, swojego księdza świętego wśród grona aniołów, a oni smutnie nad nim się pochylali i niby grozili żałośnie. Otrzeźwiony otworzył oczy i zobaczył koło siebie miłą jak macierzyńska twarz gospodyni, poważne oblicze gospodarza, niewinne twarze dzieci, zdumiał się, zapłakał i serce jego roztopiło się od głębokiej żałości jakiejś.

Gospodarze pytali go dobrotliwie, a on wyspowiadał im szczerze wszystkie dzieje swojego życia, i sieroctwo i chwilę szczęścia i grzechy i kalectwo udane. Szczera była spowiedź i szczery żal biedaka, rad był z duszy zostać znowu uczciwym i płakał jak dziecko, wspomniawszy smutek matki i swego świętego. Trzeba było kogoś coby podał rękę żałującemu i dźwignął go z tego brudu, którem się splamił. Dobrzy ludzie co go słuchali, uwierzyli mu i podali mu tę rękę dobroczynną, użaliwszy się sieroty. Choć sami mieli dziatki, przyjęli go za swego, podzielili się z nim chlebem i sercem i już go nie pu-

ścili ze swego domu. Młody sierota odżył innem życiem, znalazł rodziców, znalazł rodzeństwo, dach gościnny, pracę poczciwą. Dawne nasiona cnoty zaczęły znowu odkwitać w jego duszy. Bóg zawsze daje czas do poprawy i sierota się poprawił, wymodlony pewnie łzami matki i prośbą księdza. Z włóczęgi, próżniaka stał się chłopak roboczy, rześki, trzeźwy i usłużny. Opiekunowie serdecznie nad nim pracowali, jak nad własnem dzieckiem, aby z niego była pociecha ludziom i Bogu, dzieci ich nazywały go słodkiem imieniem brata, a on wdzięczny, kochał swych dobroczyńców jak ojca i matkę, radby był dla nich w ogień skoczyć, radby był pracować dla nich nie tylko za siebie, za wszystkich ale nawet za tę chudobę co robiła w polu, za tego wiernego stróża kudłatego co strzegł ich zagrody.

Trzy dzieweczki były w domu które on lubił jak brat, ale już najstarszą pokochał więcej jak brat, i dla niej byłby rad być najporządniejszym człowiekiem, aby sobie na nią zasłużyć. Kilka lat upłynęło młodemu sierocie jak w raju, był jak w własnym domu, jak dziecko rodziny; rodzice mu nawet obiecali najstarszą córkę i całe gospodarstwo, niebacząc na jego ubóstwo, jeno na poczciwość jego, przywiązanie i pracowitość. Młody czekał na swoje szczęście i chwalił Boga serdecznie.

Już za dwa tygodnie miało bydź wesele, a była to śnieżna zawalna zima; matka z córkami postanowiła jeszcze pójść na odpust o parę mil do cudownego miejsca, a że nie można było iść wszystkim, został się w domu ojciec, który będąc tkaczem, pilną miał robotę, dziecię paroletnie, najmłodszy synek i nasz młody. Pożegnano się serdecznie choć niewesoło. Dzień był dość pogodny, ale od zachodu powstała burza straszna z wichrami a potem zawieja śnieżna, jakiej litewskie bory nie pamiętały. I miotły śniegi całe dni trzy, nikt nie widział świata a góry narosły nad domy, nad wioski, przepadły drogi, potonęły drzewa. Po dniach tych, ciężko się musieli ludzie odkopywać z chatek a świat się zmienił od zasp straszliwych.

Co się działo w chacie osieroconych, któż to opowie? A co w sercach ojca i młodego? Posadzili sąsiadę u kolebki a sami jak tylko podobieństwo było wyruszyli szukać ukochanych swoich. Daremnie szukali tydzień i dwa, rwąc włosy z boleści, śladu nie było, oczywiście poginęły pielgrzymki cztery. Ledwie w miesiąc ciała znaleziono, które z pod śniegów wygrzebywały wilki. Straszny był ból i żałość pozostałych. Młody sierota omal nie oszalał. Zamiast wesela cztery trumny złożono do jednej mogiły pod kościołem. Ciężki był dopust Boży, gospodarz w samotnej chacie, przy osieroconem dziecku trawiony smutkiem rok ledwie przetrzymał; rozniemógł się mocno i wyglądał śmierci. Wierny jego druh, młody sierota nie odstępował go i doglądał mienia. Przyszedł dzień ciężki i ciężka godzina, gospodarz blizki już zgonu posłał po księdza, chcąc pojednać się z Bogiem i zwierzyć mu losy swej drobnej dzieciny.

Pracując za życia, uskładał on był sumę pieniędzy. Od śmierci żony i dzieci nosił zawsze na sobie trzos, który przeznaczał w myśli dla swojego syna; w chorobie kładł go pod głowę a było w nim tysiąc złotych. Chciał to biedny ojciec oddać księdzu, aby krzywdy nie miała kiedyś jego sierota. Noc nadeszła, księdza nie było widać, chory się zrywał i niepokoił, północ minęła, księdza jeszcze nie było, chory zaczął konać, modlił się nieustannie, nareszcie westchnął głęboko, ucichło i duch wyszedł z ciała. Dziecię spało w alkierzu, pies zawył na dworze, cisza się stała straszna w chacie, młody sierota, siedział niemy, z suchem okiem, jak skała... Zrazu żal, zgroza przejmowały jego duszę, potem przyszli myśli, ach! okropne myśli! Pokusa zbrodni jak gadzina zaczęła szarpać nim; trzos z pieniędzmi pod głową trupa skusił go; wahał się i niby całe piekło uczuł w piersiach. Nie było nikogo, nikt nie będzie wiedział, i skuszony powstał, stanął nad umarłym i świętokradzką ręką sięgnął pod wezgłowie. Już trzos, krwawe owe wiano dziecka było w jego prawicy i wyciągnąć je chciał szybko, w tem czy anieli boscy czuwali nad krzywdą sierocą, czy dusza ojca zbiegła z nieba bronić dziecięcego mienia, zasty-

gła ręka trupa ujęła dłoń zbójecką z trzosem i jak kleszczami ścisnęła ją silnie. Z krzykiem okropnej zgrozy padł złoczyńca przy łożu trzymany w objęciu umarłego, ręka jego stężała z trzosem i wyjąć jej nie mógł. W tem otwarły się drzwi, ksiądz z panem Bogiem stanął w świetlicy. Dziwnem zrządzeniem losu był to ten sam ksiądz, co nastał po owym świętym i znał sierotę jako największego hultaja. Snać pan Bóg sprowadził takiego świadka na ukaranie winnego.

— Biada mi! jęknął nieszczęśliwy.

— Zbójca! krzyknął kapłan przerażony.

— Zbójca! przebiegło to słowo do ust sługi i wieśniaków co przywieźli księdza. Zbójca! rozeszło się wszędzie; lud się zgromadził a w obliczu każdego malowała się zgroza. Ojca, dobroczyńcę dobił na łożu śmierci! wołali ludzie – ojcobójca będzie wisiał! zamęczyć go warto! i coraz większa fala napływa, każdy go pyta i bada, ksiądz o dawnych sprawkach świadczy, a winowajca darmo szarpie rękę z żelaznej dłoni trupa. Nareszcie w rozpaczy strasznej klęka i całując tę dłoń karcącą co go trzyma, z przysięgą wielką zeznaje swoją zbrodnię, że nie targał się na życie, tylko trzos pieniędzy skusił go; opowiada swoje życie, swoją miłość dla dobroczyńców, swoją boleść do szaleństwa po śmierci matki i narzeczonej, i jęczy żebrząc miłosierdzia nieba..

Cud widzieli ludzie a nie pojmowali go, wołali więc, że jako zbójca winien jest śmierci, ale powoli serca ich mięknąć zaczęły, przypomniano sobie jego wierną służbę i uczciwe we wsi życie. Udano się do sądu, i sąd złagodził wyrok śmierci, ach, ale jak złagodził!

Trzy dni winowajca przykuty do trupa wysiedział w świetlicy. Że mu wtenczas serce nie pękło, że nie zginął z zgrozy..., Bóg to tylko sprawił. Trzeciego dnia zabrano ciało z chaty, złożono na wozie, winowajca trzymany ręką trupią wlec się za nim musiał. Uderzyły dzwony, trumnę przodem niesiono, kapłani szli z spiewem, fala ludu i panów ruszyła za pogrzebem. Na cmentarzu stanęli, grób był już gotowy,

a obok grobu stał kat z toporem. Z drżeniem wyglądał każdy okropnej kary. Złożono ciało do trumny, winowajca zemdlał... a kat odciął mu prawą rękę, która z trupem poszła do grobu.

Odtąd przez pięćdziesiąt lat bezręki nieszczęśliwy, siada ze łzami pod kościołem i na cmentarzu i spłaca długi swoje pokutą ciężką. Bezrękiego zna rozległa okolica, a kto mu litośne słowo rzuci, on mówi:

— Bóg zapłać, droższe nad grosz wasze dobre słowo, wymódlcie mi u Boga śmierć szczęśliwą!... Bo już i pilno staremu z tej czarnej doli..., a łatwiej przejednać Boga jak ludzi.

Ciężko ale sprawiedliwie ukarał go Pan Bóg za udawane kalectwo, prawdziwem kalectwem, za chęć zbrodni, karą samej zbrodni. Wielki to grzech musi być ochota do kradzieży! Bóg jej nie lekceważy tak, jak to czynią ludzie, i to jego wielka łaska, że pozwolił grzesznikowi odpokutowć za życia. Daleko nieszczęśliwszy ten, co go niby kara na tym świecie nie dosięga..., ale po śmierci czeka straszliwa zapłata.

E. B.

Skąpiec.

Znasz skąpca? postać nikczemna, wychudła,
Skóra i kości, nogi jak dwa szczudła;
Wyśmiewan wzgardzon od całego świata,
Tak pędzi w kącie życia swego lata
Jak skrzynia, która wzdy w kącie stawiamy,
Chociaż w niej złoto i srebro chowamy.

Miał dom lecz stary, co ruiną zagrażał;
Skąpiec czas długi na to nie uważał —
Kum radził poszyć, nie posłuchał kuma,
Zakręcił głową — żal mu grosza — duma —
Kilku złotemi byłby go ocalił
A sto dać przyszło, gdy się wkrótce zwalił.

Taką nam kolej przeznaczyły nieba,
Abyśmy bliźnim przysparzali chleba:

Umrze poczciwy, wszyscy go żałują,
Bo wszyscy społem jego stratę czują.
Skąpiec — raz w życiu ludziom pożyteczny:
Gdy go przed siebie powoła Przedwieczny.

Człek o zbawieniu myśli całe życie,
O nie się modli i jawnie i skrycie,
I tak kieruje ten swój żywot cały,
By Bóg wziął jego duszę do swej chwały;
Lecz skąpca — nigdy myśl taka nie wzrusza,
Dla niego złoto — tem, czem dla nas dusza.

A choć dla złota tyle ma miłości,
Nie on to panem swoich majętności.
Wszak tego, co ma, co zbiera, co kryje,
Przez całe życie nigdy nie użyje.
On tylko sługą, panami dziedzice
Co kiedyś jego zagarną skarbnicę.

Pociechy i zmartwienia króla Zygmunta I. zwanego Starym.

Król Zygmunt I., jeden z synów Kazimierza Jagiellończyka, których jak wiecie z przeszłego opowiadania, ksiądz Długosz tak pięknie wychowywał, skoro został królem polskim, gorliwie nad tem pracował, aby Polskę uczynić potężną, a Polaków szczęśliwymi. Zrobił też przy Boskiej pomocy nie jedno dobre dla tej naszej ukochanej matki ojczyzny, bo oto jako dobry gospodarz i skarb królewski, w którym zastał pustki napełnił, i rozboje które się były zagnieździły, uśmierzył, i rząd poprawił. Toż miał ztąd nie małą pociechę, gdy ujrzał Polskę kwitnącą, ale wnet znalazły się i zmartwienia ciężkie

Chciwi a nienasyceni Moskale zagarnęli kawał ziemi litewskiej. Zygmunt donosząc ich carowi że został królem, upomniał go, aby zwrócił co zabrał. Car się postawił hardo. więc wojna. Ale nie dał Pan Bóg Moskalom pociechy zwycięztwa,

lecz temu po którego stronie była słuszność, to jest Zygmuntowi. Wnet tę pociechę przyćmiło nowe zmartwienie, gdy ni ztąd ni zowąd wpadli do Polski Wołosi i pustoszyć zaczęli wsie i miasteczka, ale i oni pobici i upokorzeni poddać się w końcu musieli. Aż oto znowu Tatarzy podmówieni przez Moskali wpadają na Podole i Wołyń; lecz i im także dało radę dzielne wojsko Zygmunta.

Nie małe to było szczęście, nie mała radość dla dobrego króla, że pan Bóg tak błogosławił wszędzie jego orężowi, ale nie długo mógł się cieszyć tem szczęściem, bo wkrótce nowe nastały kłopoty i zmartwienia. Car moskiewski rozjątrzony że nie może nic zrobić Zygmuntowi, związał się tajemnie z cesarzem niemieckim i z Krzyżakami, z których przyczyny za poprzednich królów już tyle krwi polskiej popłynęło, i stanęła między nimi ugoda taka, że na Polskę napadną, i ją rozszarpią. Jakoż zaraz potem car moskiewski z wielkiem wojskiem wszedł do Polski, opanował przez zdradę miasto Smoleńsk, i dalejże pchać się naprzód. Zygmunt też nie próżnował ale wysłał swoje rycerstwo. Wojska spotkaały się pod Orszą. Polaków było dwadzieścia dziewięć tysięcy, Moskali ośmdziesiąt tysięcy. Bitwa trwała od południa do zachodu słońca. Polacy odnieśli zupełne zwycięztwo. Trupy moskiewskie zaścieliły pole bitwy. Polacy zabrali wielkę moc niewolnika, cały obóz i mnóstwo armat.

Wnet po całym świecie gruchnęła wieść o tem wielkiem zwycięztwie i cesarz niemiecki nie miał już ochoty bić się z Zygmuntem, owszem upewniał go przez posłów że zrywa z Moskalem a z nim chce być w przyjaźni, i nawet zaprosił go aby do niego przyjechał w odwiedziny. Wiedzieli Polacy że to fałszywa przyjaźń, i prosili swego króla aby się z Niemcami nie kumał, ale Zygmunt sam szczery i poczciwy, myślał że każdy taki; pojechał więc i dopiero tam się przekonał, że cesarzowi o to tylko chodziło, aby swojej rodzinie zapewnić kraje węgierskie, którym panował wówczas brat Zygmuntów, Władysław. Zygmunta zaś, zamiast dla niego co dobrego obmyśleć, chciał koniecznie zaplątać w wojnę z Turcją, ale to

mu się nie udało. Ledwo Zygmunt powrócił z owych odwiedzin, znowu miał gotowe zmartwienie, bo Moskale wpadli do Litwy i zabrali miasto Witebsk, lecz ich Polacy i tym razem pobili i odparli.

Cesarz niemiecki nie przestawał dręczyć Zygmunta swoją fałszywą przyjaźnią. On to namówił go aby się ożenił z niegodziwą boną Sforcją, włoską księżniczką. Była to kobieta co tylko o uciechach myślała, chciwa panowania, dumna, nienasycona. Toż jak została królową polską, opanowała zaraz całą władzę, a byle sobie dogodzić nie zważała ani na męża ani na kraj. Zabierała pieniądze przeznaczone na potrzeby matki ojczyzny, króla podburzała przeciwko panom, wszędzie siała niezgodę i podejrzenia, sprzedawała urzędy.

Niedość że przez złą żonę wielkie miał Zygmunt zgryzoty. Najwyższy wódz czyli mistrz krzyżacki Albert, choć to był siostrzeniec Zygmunta, wpadł do Prus królewskich czyli polskich. Pobity, miał już jechać do wuja i przepraszać go, wtem dowiaduje się, że nadciągła dla niego pomoc z Niemiec, znowu więc wojnę zaczął, ale znowu pobity został i musiał się poddać.

Drugiem i to bardzo wielkiem zmartwieniem dla Zygmunta było to, że w owym czasie wiara luterska zaczęła się bardzo rozszerzać. Miasto Gdańsk w Prusach najprzód się zlutrzyło, a mieszczanie zbeszcześcili tamtejsze kościoły katolickie. Zygmunt sam pojechał do Gdańska aby ukarać odszczepieńców, ale to nie wiele pomogło: wiadomo wszystkim ile to znaczy zły przykład, a najgorszy przykład dawali Gdańszczanom Krzyżacy, co ślubowali Bogu i Najświętszej Pannie wierność jakoby zakonnicy a teraz najpierw lutrami pozostawali i pożenili się, nawet ów ich mistrz Abert pojął żonę.

Zygmunt zdał na Boga sprawy religijne i przestał się w nie mięszać, Albert zaś przyjechał do Krakowa, przeprosił wuja na rynku, klęczący, w obec wielkiego mnóstwa panów i ludu i nazywany był odtąd księciem pruskim. Od tych to krzyżaków co się zlutrzyli i od owego Alberta siostrzeńca Zygmuntowego pochodzi królestwo pruskie, co teraz tak wzięło górę.

Przy tylu troskach i zgryzotach Zygmunt miał potem tę jeszcze pociechę, że księztwo mazowieckie z miastem Warszawą, którem dotąd osobni rządzili książęta, potomkowie owego Piasta kołodzieja, po śmierci ostatniego księcia połączyło się z Polską na zawsze. Drugą pociechą było dla niego, że widział kraj swój bogatym, kwitnącym, potężnym. On sam jako król mądry, umiarkowany, sprawiedliwy, byt tak szanowany, że różne narody jak np. Szwedzi co aż za morzem mieszkają, prosili go aby i nad nimi panował, czego on jednak nie przyjął, pragnąc żyć i pracować tylko dla swojej ukochanej Polski i Litwy. Chwały i blasku jego panowaniu przydawali wielcy ludzie, uczeni i dzielni wojownicy co wówczas żyli. Z tych zaś najsławniejszym był Jan Tarnowski, hetman, który odniósł nad Wołochami tak wielkie zwycięztwo pod Obertynem, że o niem było głośno w całym świecie.

Było to tak: Hospodar czyli książę włoski Piotr wpadł do Polski z ogromnem wojskiem. Hetman Tarnowski wyruszył przeciw niemu tylko z czterema tysiącami wojska. Po kilku drobniejszych utarczkach przyszlo do bitwy pod Obertynem. Pięciu Wołochów było na jednego Polaka. Zdawało się im że na szablach rozniosą cały obóz polski i wszystko rycerstwo, ale nie tak się stało, bo Tarnowski kazał usypać okopy, a wozy pospinać łańcuchami i za wozami ustawił strzelców. Z za tych wozów strzelcy prażyli Wołochów okropnie a potem rycerstwo konne wypadło z za okopów i zgniotło ich na miazgę. Pięćdziesiąt chorągwi i tyleż armat dostało się w ręce zwycięzców.

Właśnie w owym czasie król Zygmunt fundował był do kościoła katedralnego krakowskiego ogromny dzwon, który do dzisiaj istnieje. W ten to dzwon pierwszy raz zadzwoniono gdy do Krakowa nadeszły listy od hetmana Tarnowskiego z doniesieniem o zwycięztwie pod Obertynem.

Wszystkie te zwycięztwa jednak, i cała owa sława, jaka przez króla Zymunta na cały naród polski spływała, szczęście poddanych, szacunek u obcych, wszystko to słabą tylko było

dla dobrego Zygmunta pociechą w porównaniu z zmartwieniami i troskami jakie go dręczyły. Gryzł się niegodziwem postępowaniem żony swojej, bolało go, że ona syna jego jedynego Zygmunta Augusta jak najgorzej wychowywała i psuła, a co najbardziej mu dolegało, że właśnie poddani nie szanowali go tak jak się należało. Powinni go byli czcić i słuchać jak prawdziwego ojca, ale właśni dla tego że był jak ojciec dobry i cierpliwy, słuchać go nie chcieli. Jednego razu kiedy król zwołał zdolną do boju ludność pod Lwów, żeby ztamtąd wyruszyć na Wołochów, to ci co się zjechali, zamiast się gotować do boju, rozłożyli się po wsiach i dalejże schodzić się codzień na narady a posłów do króla wyprawiać, że nie pójdą na wojnę, póki im pierwej to tego, to owego, nie pozwoli. Kilka dni stracili na niczem i rozjechali się w końcu ze smutkiem i wstydem, że zmartwili dobrego króla i łzy mu wycisnęli z oczu. Że zaś w całej okolicy wyjedli przez ten czas wszystkie kury, przeto ów zjazd pod Lwowem nazwano na śmiech *wojną kokoszą*. Wśród takich to goryczy i zmartwień umarł król Zygmunt w ośmdziesiątym drugim roku życia a czterdziestym drugim panowania.

Dopiero gdy go nie stało, poznali się na nim Polacy. Cały naród zaczął sobie przypominać jego cnoty i wszyscy po nim płakali rzewnemi łzami, a choć tam nikt nie nakazywał, rok cały naród nosił po nim ciężką żałobę tak, że ani piosenki ani muzyki przez ten rok cały nigdzie nie było słychać.

Śledzie i ich połów.

Śledź jest to ryba morska i tylko w morzach przebywa, ale tak u nas jak i na całym świecie bardzo dobrze jest znana, bo śledzie solone rozwożą w beczkach po wszystkich miastach i miasteczkach na sprzedaż, i kto choć raz w życiu był na jarmarku, niepodobna aby śledzi przynajmniej nie widział, jeżeli ich nie kosztował.

W morzach przebywa niesłychana mnogość śledzi. Ludzie łowią ich co rok ogromnie wiele na swoje pożywienie, karmią się niemi wszystkie większe od nich ryby morskie, a przecie śledzi nie tylko nigdy nie zabraknie, ale owszem zdaje się że jest ich coraz więcej. Cóż powiecie na to, że raz w jednem miejscu ne brzegach Norwegji złapali rybacy dziewietnaście milionów śledzi; lekko licząc rozsełają ich na sprzedaż rok rocznie po tysiąc milionów, a mieszkańcy różnych krain nadmorskich i wysp, co tylko śledziami się żywią, zjadają ich drugie tyle. Gdy śledzie przypływają do brzegów skalistych i tam w miejscach zacisznych puszczają ikrę, robią taki łoskot, jakby lał deszcz gwałtowny, a woda morska aż gęstnieje od niezmiernej mnogości ikry i łusek które z siebie ścierają.

Co rok o jednym czasie, w lecie i w jesieni, przybywają śledzie do brzegów morskich naszej części świata jak szarańcza, ogromnemi kompaniami, które mają nieraz po kilka mil długości. Zkąd i dokąd one ciągną, tego nikt nie wie z pewnością. Jedni mówią, że śledzie odbywają takie wędrówki jak ptaki, to jest gdy im zabraknie żywności w jednem miejscu, przenoszą się w drugie; drudzy zaś mówią, że śledzie nie odbywają żadnych wędrówek, jeno dopóki są małe mieszkają na dnie morskiem, a gdy dorosną, gromadzą się w zbite masy i płyną do brzegów dla puszczenia ikry.

Niezliczone to wojsko płynie zawsze w największym porządku i tworzy jakoby klin. Najprzód płynie samiczka, tuż za nią dwóch samców, dalej cztery samiczki, za niemi ośm samców, potem szesnaście samiczek itd., a wszystkie te szeregi są tak zbite, że chociaż wieloryby, psy morskie, wszystkie ryby żarłoczne a nawet ptaki drapieżne porywają ich wiele, łańcuch się nie psuje.

Sieci do łowienia śledzi używane są ogromnej wielkości, mają po tysiąc łokci długości a nawet i więcej; obciążone kamieniami, zanurzają się do wody ale tak, aby ich brzegi było widać nad wodą, to zaś tak się robi, że do brzegów sieci przywiązują się beczki próżne, dobrze zatkane i te beczki pływając po morzu, nie dają sieci utonąć.

Ludy nadmorskie karmią się śledziami Bóg wie od jak dawnego czasu, ale sztuka solenia dopiero przed czterystu laty wynalezioną została. Gdy się śledzie u brzegów pojawią, zaraz tysiące rybaków płyną na ich połów, a raźno, a wesoło, bo to ich żniwo. Złowione śledzie wyciągają zaraz na brzeg, wykrawają z nich nożyczkami wnętrzności i tak wytrzewione solą i w beczki pakują.

Tysiące ludzi mają przy tem zarobek, toż rybacy szanują wielce pamięć owego człowieka co wynalazł sztukę solenia śledzi. Jeden cesarz niemiecki Karol V. płynął raz morzem ze swoją siostrą, królową węgierską i licznym dworem. Ujrzawszy miasto na brzegu, zapytał się cesarz człowieka, który okrętem kierował, co też w tem mieście jest godnego widzenia?

— W tem mieście nie ma nic takiego, odpowiedział żeglarz, ale jeżeli Najjaśniejszy Pan zechcą popłynąć jeszcze milkę po za miasto, to znalazłoby się tam coś godnego widzenia, grób Wilhelma Bajkelsa. Gdy żeglarz wymawiał to imię, zdjął z uszanowaniem kapelusz.

— Cóż to za Bajkels? zapytał cesarz.

Żeglarz się zaczerwienił, zabolało go to pytanie; nie mógł pojąć jak komu, a tem bardziej cesarzowi może być obcem to imię, które dla każdego rybaka tak jest drogiem.

— Najjaśniejszy Panie, rzekł w końcu, Wilhelm Bajkels, to ten wielki człowiek, co wynalazł sztukę solenia śledzi.

— I sztukę wędzenia ich, dodał inny rybak.

Na to odezwał się cesarz:

— Chwała człowiekowi, co tak pożyteczną sztukę wynalazł i dał chleb tylu tysiącom swoich bliźnich. Zaiste, zasłużył sobie abym jego grób odwiedził.

Jakoż cesarz kazał zaraz płynąć w tę stronę, a skoro wysiadł na ląd, ukląkł na grobie Bajkelsa razem ze swoją siostrą i całym dworem i tam modlił się długo, a potem wszyscy zjedli śledzia na cześć wynalazcy solenia i wędzenia śledzi. Rybacy zeszli się tłumnie na ten widok i nie posiadali się z radości, że cesarz uczcił tego człowieka, którego imię oni z takiem wymawiali uszanowaniem.

Mniemany strach.

Raz koło Wielkiej Nocy, byłem świadkiem następującego wypadku w jednej wiosce na Podlasiu.

W ubogiej chatce wieśniaczej umarł ojciec a potem matka i zostało się czworo dzieci, z których najstarszy chłopiec ledwie miał lat 15. Wkrótce po śmierci matki, rozchodzi się wieść po sąsiadach a potem i w całej parafii, że zmarła matka przychodzi każdej nocy do chaty, odwiedza dzieci, rozporządza im robotę, spożywa reszty wieczerzy na kominie i chleb, a obszedłszy kilka razy całe gospodarstwo — znika. Takiej wieści uwierzyła prędko cała parafia. Nadeszła Wielkanoc, i o dziwo! zmarła matka przyszła w nocy do dzieci, zjadła połowę święconego ze stołu, a resztę zabrała z sobą. Przestraszone dzieci powpraszali się do sąsiednich chat na nocleg, tylko został sam opiekun, który wyznaczony był testamentem ojca — i rozpowiadał, że codziennie ów duch nawiedza chatę. Biedne sieroty w tej zgryzocie biorą trzech chłopów za świadków i idą na cmentarz, aby się przekonać czy grób w całości. W samej rzeczy w mogile był nie wielki otwór a przy nim leżały kosteczki, łupiny z jaj i okruszyny chleba. Przerażeni ludzie pozbierali to wszystko i zanieśli do proboszcza swojego aby się poradzić co począć i jak się uwolnić od nocnego stracha. Ksiądz Proboszcz, człowiek wiekowy i szanowany, z razu uniósł się trochę bo przykro mu było słyszeć, że jego parafianie takim baśniom wierzą, ale ochłonąwszy zaczął ich przekonywać, że nikt z umarłych po świecie nie chodzi, że albo im się tak zdaje albo może kto z żyjących przybiera postać zmarłej kobiety i dla lepszego świadectwa położył te odrobiny na mogile. Lecz ani gniew ani przełożenia dobrego proboszcza nie pomogły — jak to zwykle bywa gdy światły i pobożny perswaduje nierozumnemu a upartemu i zabobonnemu. Dzieci raz wystraszone nie chciały ani wracać do chaty — wieść o zmarłej rozeszła się już z wielką wiarą po całej okolicy, a księdza ogłoszono za niedowiarka. Gdy to doszło do uszu jego — w następującą

niedzielę wychodzi z kazaniem i zaczyna rzecz o zabobonach, i w prostych ale przekonujących słowach dowodzi, że kto takie wieści rozsiewa i sam w nie wierzy, a przez to trwoży biedne sieroty i bez przytułku je zostawia, powinien się spodziewać kary bożej na siebie — Kazanie było śliczne i przemówiło do serc. I otóż od tej niedzieli ustały jakoś wieści o zmarłej kobiecie, tylko gadatliwe baby nie mogąc sobie wytłómaczyć dla czego już nie chodzi nieboszczka, utrzymywały, że się kazania zlękła. — W parę tygodni jednak pokazało się, że sam opiekun straszył biedne sieroty chcąc panować swobodnie w domu, — on to przywdziewał szaty zmarłej kobiety, i położył dla poznaki resztki święconego na mogile.

Pokazała się prawda słów proboszcza i fałsz zabobonów. Wszystkie one fałszywe i przeciwne Panu Bogu; daj Boże aby je lud wiejski prędko odrzucił jako wielką ciemnotę i grzech

RÓŻNOŚCI.

Dobra wiara. Nigdzie może dobra wiara i uczciwość nie są tak w ludziach ugruntowane jak w niektórych stronach jednego górzystego kraju, który się zowie Szwajcarj . Nieraz karczmarz szwajcarski musi opuścić swój dom na kilka dni, wówczas zaś nie zamyka go, ale zostawia otworem dla podróżnych, bez żadnego dozoru. Podróżny znajduje to wszystko czego mu potrzeba i kartkę na której jest wypisane ile co kosztuje. Jeżeli co zje albo wypije, zostawia pieniądze na stole i niema przykładu aby co zginęło. Podróżni co tam byli przed kilkunastu laty opowiadają, że każdemu wędrowcowi wolno wejść do jakiegobądź ogrodu i zjeść tyle owoców ile mu się podoba, a gospodarz za nic w świecie nie przyjąłby za to zapłaty. Trzeba też wiedzieć, że każdy Szwajcar nie tylko umie czytać, ale co większa lubi czytać, i nie nowina tu znaleść prostego chłopa, który i gazetę prenumeruje i książki skupuje, a gdzie wszyscy tak się garną do oświaty, tam musi być uczciwość.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 17.

11. grudnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Walek Kot, borowy, potem pan polski.

Niedaleko Sandomierza w naszej Galicji, koło Wisły, stoi gromada polska Wola Kotowa między piaskami i lasami, a grunta ma bardzo dobre, nawet dobry pan dał gromadzie spory kawał lasu i wiele pastwiska. Ta gromada fundowała razem z dworem szkołę nową, a choć nie ma ani stu numerów we wsi, to gospodarze z ochotą szkołę postawili z młyna, który im pan podarował.

Do tej szkoły poszedłem ja raz koło południa, aby pouczyć dzieci i przypatrzyć się nauce ich. Idąc drogą obaczyłem staruszka Krzycha Stępnia, który ma mieć do dziewięćdziesiąt lat teraz. Powitaliśmy się najprzód po bożemu, a potem gadaliśmy to o tem, to owem, aż ja pytam:

— A co Krzychu, pamiętacie wy dawne czasy jeszcze za królów polskich?

— A cobym nie pamiętał, ale pono był to już ostatni król, powiada Krzych.

— A czy pamiętacie ojca albo dziadka waszego? pytałem dalej.

— Ojca zapamiętałem dobrze, rzecze Krzych, nawet byłem raz z nim aż za Warszawą z pszenicą na sprzedaż, ale dziadka nie pamiętam nic a nic.

— No! gadam mu, to wy pamiętacie tego króla, co dał Polskę zabrać Moskalowi i potem sam poszedł do Moskala i tam marnie skończył, a wasz ojciec to znowu zapamiętał dawniejszych królów, których Polacy nazywali Sasami, bo pochodzili z kraju niemieckiego, co się do dziś zowie Sasy.

— A samą prawdę mówicie Jegomość, gadał Krzych stary, bo ojciec mój opowiadał nie raz, że jeden taki król Sas był tu w naszych lasach na polowaniu, a tu na tem miejscu nie było tyle chałup, co dziś — tam w lesie była leśniczówka gdzie siedział leśny króla, co go nazywali borowy królewski.

— Ba! a jakimże to sposobem stanęła ta gromada, jeżeli tu nie było za ojca waszego chałup, jeno stała w lesie leśniczówka? a znowu jakże to było, że te lasy królów polskich przeszły dziś na dwory? pytałem

Stary Krzych powiada:

— Jeżeli Jegomość pofatygujecie się trochę, to ja pokażę jeszcze dęba starego, na którym stoi rok, kiedy tu był król polski.

— A dobrze! mój dobry staruszku, ja idę zaraz z wami.

I poszliśmy oba w las dębowy. Idziemy i gadamy, aż zaszliśmy do jednego dęba, na którym stał napis taki:

Roku pańskiego 1750 koło świętego Marcina polował tu król polski.

— A prawda! mówię ja, to był akuratnie król Sas i to August, trzeci król polski tego imienia.

— A czy tu na tym dębie nie stoi już nic więcej? pytał Krzych.

Obejrzałem dęba naokolusieńko i powiadam:

— Nie ma nic więcej — ale cóżby to miało być tak ciekawego?

— O! bardzo ciekawe, rzecze Krzych, bo tu była leśniczówka króla tego, a te lasy het naokoło należały do królów

polskich, i to się nazywało puszcza sandomierska; tu nie było wsi jak teraz, jeno siedział tu sam leśny z ojca pradziada chłop, bo kto inny z panów nie chciałby tu siedzieć między takiemi piaskami i łąsami, a nie było pono wtedy ani Rozwadowa jak teraz, jeno Sandomierz za Wisłą zaraz, ani nie było tej wsi, co się teraz zowie Kotowa Wola, jeno zabudowania tego borowego.

— No! mówię ja, takie leśniczówki są wszędzie po lasach, gdzie siedzą najczęściej borowi.

— Ba; ale żadnego borowego nie spotkało takie szczęście, jak tego Walka Kota, powiada Krzych.

— A cóż tam takiego miał ten Walek? pytam ja ciekawy.

— Jak król tu polował, powiada Krzych, to nastrzelali tu tyle lisów, zajęcy, jakichś byków, sarn, dzików, że król uradowany zawołał tego Walka Kota do siebie i powiada mu przy wszystkich panach: no! Walku Kocie! za wierność twego dziadka, ojca i za twoją wysługę dobrą w tych lasach naszych, daruję ci tu przy tych panach ten las milę na długość i szerokość; ta leśniczówka będzie teraz twoim dworem, a od tego dworu te pola będą dla ciebie i dla twych dzieci na wieczne czasy. A ty Kocie nazywać się będziesz teraz Kotoski, a z chłopa robiemy cię szlachcicem i panem tego lasu i tego pola piaskowego, a wy panowie macie nazywać go pan brat Kotoski i zaraz na sejmie w Warszawie wpiszecie go na wieczne czasy do książki samych panów polskich.

— A to doprawdy ciekawa rzecz, powiadam ja do Krzycha, że to i w tych stronach powychodzili niektórzy chłopi na panów, a mało kto o tem wie; ale cóż się stało z tym Walkiem panem Kotoskim? może się sponiewierał i zrobił się ladaco jaki, może potem puszył się i gardził drugimi chłopami? bo to jak jeno chłop nasz przypnie jakie jaśniaki na koszulę i obuje świecące buty i założy czapczynę miejską na głowę, to nie gadaj do niego i nie przystępuj bez kija.

— Uchowaj Boże! gada Krzych, ten Walek spanoszony zwołał zaraz z bliskich gromad dużo ludzi do siebie, podawał każdemu zagony i łąki, dawał im drzewo na chałupy i zaczęła się stawiać nowa gromada koło tej leśniczówki i tę nową gromadę

*

tu, gdzie Jegomość widzą, nazwał ten pan Walek Kotoski na pamiątkę, jak on się sam nazywał, od Kota, Wolą — Kotową, i tak do dziś zowie się i pisze ta gromada nasza, która należy do parafii zaleszańskiej zaraz od samego początku.

— To wy Krzychu, powiadam na to, musicie pamiętać, jak się ta gromada coraz więcej stawiała i te lasy wycinała i zagony sobie robiła i ogrody? a może zapamiętaliście tego Walka pana Kotoskiego, który tę wieś fundował, bo to temu nie ma więcej, jak sto lat?

— Nie Jegomość, tego dobrego Walka ja nie pamiętam, ale mi ojciec dużo o nim dobrego rozpowiadał, bo dostał także od niego grunt i ogród, który ja mam dziś, daj mu tam Panie za to wieczny odpoczynek! ale pamiętam tego pana Kraińskiego, który się ożenił z dziewką tego Walka Kotoskiego; potem znown z dziewką tego pana Kraińskiego ożenił się jakiś pan Olszoski, a teraz ożenił się znowu z córką Olszoskiego nasz dobry pan i do niego patrzy ta Wola Kotowa.

Obejrzałem jeszcze raz dęba, potem z Krzychem starym oglądałem całą gromadę i powiadam mu:

— Widzicie Krzychu, że to kiedyś było inaczej, jak dziś na tej ziemi — jakoś i z chłopa wyszło się na coś dobrego przy pobożności, pracy i wierności I ten Walek Kot ani pomyślał o tem, że mu Bóg da takie imię, że aż wyfunduje wieś swoją i zostawi po sobie pamiątkę dobrą, że jego dzieci zostaną panami, ale jego dziadka, ojca i jego samego wysługa wierna wyrobiła mu u Boga tę łaskę, że go król polski zrobił w jednej chwili panem i szczęśliwym. Jakby był dziad, ojciec i on sam ladaco jakie, toby był zaginął marnie, jak nie jeden nierozumny chłop — a jakby był zostawszy panem zmarnował te lasy i zastawił żydom albo niemcom jakim, toby tu dziś byli żydzi albo niemcy, a tak stało się dobrze i wy siedzicie każdy na ojcowiźnie, którą macie od dobrego Walka Kota borowego, co został panem i wam rękę podał do życia.

A Krzych powiedział:

— Oby to chłopi mieli rozum i dawali dzieci na naukę, toby z ich dzieci był nie jeden taki Walek Kotoski.

— To prawda Krzychu! odpowiedziałem i poszedłem do szkółki: a to wam spisuję dla ciekawości, abyście wiedzieli co nieco i o naszych stronach.

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie
Pochyłone chaty drzemią na dolinie,
Nad rzeką zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące stąpają bociany powabne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitną łuną.
Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska jak szara cyganka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Po borach jagody dziewczę rwie na wrzosie,
I śpiewa miłemu: pędź głosie po rosie —
Po długiej dolinie tęskne tony cieką.
I słychać piosenkę daleko, daleko...
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem.
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
Jakby jedna dusza była w małym kraju.
Oj! śliczna to ziemia, to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze —
I sosny roślejsze i dziewki kraśniejsze,
I ludzie możniejsi i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mu się rozśmieje tak raźna dziewucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Zkąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły — oj tęskno mi do niej!...

Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj! Mazur ja Mazur, pomiędzy obcemi
Zmarnuję ja młodość nie na swojej ziemi.

T. L.

Piękne przykłady.

Ustawa Rady gminnej w Bystry, parafii Szymbark, podług nauki ś. p. Karola Antoniewicza.

Chrzest — małżeństwo — śmierć — oto najważniejsze chwile w życiu człowieka — to jakby całe życie jego.

Cieszysz się matko, kiedy wydasz dziecko na świat, ale czy się cieszysz tą radością świętą, zbawienną, która i na ciebie i na dziecko twoje ściągnąć może błogosławieństwo Boskie? Jakim sposobem najczęściej po wsiach, objawia się radość i wesele? Pijaństwem t. j. grzechem! Czyż nie możemy Bogu inaczej się odwdzięczyć jak tylko obrazą i zniewagą Jego? — A co najsmutniejsza, że do wszystkich obrządków najświętszych musi się grzech przyplątać, bo to ludzie bez wódki, ani się weselić, ani się smucić nie umieją. — Jakto? mówią niektórzy, chrzciny bez wódki? wesele bez wódki? nie, to niepodobna! — Ja wam tak powiem:

Co do Chrztu świętego, to wiem, że potrzeba księdza, wody i kościoła, ale żeby potrzeba wódki, żyda i karczmy, tego nie wiem. A u nas po wsiach, jakże się zwykle dzieje? Zaledwie dziecko się urodzi, to zaraz o tem myślą, jakby i gdzieby to dostać wódki na chrzciny, bodajby przyszło się zastawić, zadłużyć na lichwę. — Położnicy dają zaraz po porodzeniu wódkę, aby to biedne dziecię już na macierzeńskiem mleku do tego trunku się zaprawiało. I idzie gromadka sąsiadów i kumów do kościoła, aby ochrzcić dziecię: ale idąc do kościoła, najpierw trzeba diabłu cześć oddać i wstąpić do karczmy, i aż zgroza i wstyd o tem wspomnieć, trafia się nie raz, że podpici kumowie i kumoszki przychodzą do świątyni pańskiej! Czyż widok tego biednego, niewinnego dziecięcia,

czy te ceremonie chrztu nie poruszą serc waszych do wdzięczności, do czci, do uwielbienia Boga waszego? — Przynieśliście to dziecię, aby odrodzone na nowy żywot, mogło kochać, błogosławić, i wiecznie służyć Bogu swemu; jedna dusza przybyła na świat do chwalenia i kochania Boga, ale przyszła jeszcze jako niewolnica ducha nieczystego z grzechem pierworodnym, ale wyjdzie z kościoła obmyta chrztem wody i łaski Ducha świętego, jako dziecko światłości, jako dziecko boże z prawem osiągnienia wiecznej szczęśliwości! Raduj się ojcze, raduj się matko, raduj się cała rodzino, pobłogosławił was Bóg największem błogosławieństwem, oto radość wasza, oto pociecha wasza, oto podpora wasza na starość. — Widok tego dziecka powinienby was pobudzić do chwalenia i wielbienia Boga; na widok tego dziecka, które was ojcem i matką będzie nazywało, powinniście sobie darować, przebaczyć wszystkie dawne urazy i nieporozumienia i postanowić wspólnie, dla uproszenia łaski u Boga, dla dobrego przykładu, lepsze, świętsze, przykładniejsze rozpocząć życie! Oto po chrzcie odbieracie to dziecko z rąk kościoła, święte i niewinne; biada wam, jeśli wy będziecie przyczyną, że tę niewinność utraci! Ale jak wy się Bogu za takie wywdzięczacie dobrodziejstwa? Zaledwie dziecko ochrzczone, cała kompania zabiera się prościuteńko z kościoła do karczmy, kumowie i kumoszki ciągną do harendarza na pokrzepienie i posilenie i rozweselenie! Ale na cóż wam posilenie, czemżeście się tak w kościele zmęczyli? Cóż was tak zasmuciło, że wam aż w karczmie pociechy szukać trzeba? Może dlatego, aby czarta przeprosić, żeście mu tę duszę wydarli, niosąc ją do chrztu świętego, a że jeszcze dziecko grzeszyć nie umie, więc pan kum i kumoszka muszą je zastąpić! — A wyrzekłszy się czarta w imieniu dziecka, sami spieszą co prędzej, aby go zaspokoić, że oni bynajmniej nie myślą z nim rozbrat uczynić. — Ale pamiętajcie, że jak wy dziś wyrzekli się czarta w imieniu dziecka, tęż samą obietnicę i za was uczyniono, a jakeście jej dochowali? Kum i kuma przyjmują na siebie niejako obowiązki rodzicielskie i dlatego nazywają się chrzestny ojciec i chrzestna matka; czy sądzicie, żeście już te obowiązki wypełnili, i nic wam na sumieniu już więcej do

czynienia nie pozostaje? Matka po połogu leży w nędznej nieraz i ubogiej chacinie, potrzebowałaby i lepszej wygody i starania, i zdrowszego pokarmu, a tu niemasz za co kupić, ani kwarty krup, ani funta mięsa, bo ostatni grosz jaki był w domu, poszedł na wódkę. A gdy kumowie i kumoszki za zdrowie matki przepijają do siebie, ona tymczasem bezpiecznie dla braku pomocy, z tego świata zejść może! Czyż to nie można z kościoła, pomodliwszy się i poleciwszy Bogu to dziecko, wrócić do domu trzeźwo, cicho, spokojnie i poradować się i zabawić po bożemu, i poczęstować gości tem co Bóg dał, chlebem, masłem, serem, a jeśli stanie, to i szklaneczką wina, miodu, albo piwa; czem chata bogata, tem też i rada; — czyż człowiek dla brzucha stworzony, i tylko wtedy dobrze się bawi, kiedy się dobrze naje, i wtedy tylko szczęśliwy, kiedy się upije? — Masz pieniądze, kup zamiast tej wódki jałóweczkę albo owieczkę, niech rośnie i przymnaża się na posag dla twojej córeczki. — Kup parę pni pszczółek, niech słodki robią dla dzieciny twojej miodek, zanim podrośnie, zbierze się piękny grosz, za który możesz dziecko do szkółki posyłać. Kup parę owocowych drzewek i posadź je w sadzie na pamiątkę chrztu, będą rosły z dzieckiem twojem; a jak Bóg pobłogosławi, to dziecko i drzewko nagrodzi twoję pracę i starania, pięknym, dorodnym owocem.

Idąc za tą piękną nauką ś. p. Karola Antoniewicza, Rada Gminna w Bystry uchwaliła, aby kumowie i kumoszki przed chrztem i po chrzcie z dzieckiem do karczmy nie wstępowali.

Jeszcze to prawda, mówi ś. p. ksiądz Karol Antoniewicz, iż na chrzcinach można by się obejść bez wódki, ale co na weselu, to już niepodobna. Wszakże to wesele dlatego weselem się nazywa! Że się tak nazywa, to wiem — ale czy też prawdziwie? oj! to wesele nieraz nie bardzo wesoło się kończy! Nie wielka to sztuka, wydać córkę, ożenić syna, sprawić wesele, — ale nie na trzy dni, ale na całe życie, — ale to aż do śmierci taki związek trwa. Piękne mają młodzi nadzieje na przyszłość, ale niestety, te nadzieje często prędzej zwiędnieją jak te wianki ślubne. Jeżeli nie z uczciwych powodów przy-

stępujesz do związku małżeńskiego, jeśli zmysłowość lub chciwość do tego cię przywiodła, oj wtedy nie ma wiele co sobie obiecywać na przyszłość.

Oj bracia, nie wódki, nie muzyki tu potrzeba, ale czegoś innego! A czego? łaski, pomocy, światła, błogosławieństwa bożego. Ale to błogosławieństwo nie siedzi na kufie, aby je z niej wyczerpnąć można! Niechaj tam drużbowie i drużki, i swatowie i starostowie weselni wypiją i całą beczkę wódki, przez to nie przybędzie łaski bożej dla młodych! Myślą, że jak będą noc całą tańczyć i śpiewać, to wyśpiewają, wyskoczą dla nich szczęście! Wesele katolickie, a gdzież ono częstokroć się odbywa? w karczmie u żyda! — a takie wesele bez grzechów, a nieraz ciężkich i obrzydłych się nie obejdzie! Czart przy takiem weselu jest gospodarzem, starostą, a szynkarz marszałkiem jego. I ten gospodarz bardzo przebiegły i skrzętni•i czynny, w całej izbie go pełno chociaż go nikt oczyma nie widzi, wszystkich zachęca, zaprasza, ośmiela do grzechu, podochoci muzykantów, aby rzępolili bez przerwy, podsunie pokusę pannie młodej, pomiesza rozum pana młodego, roznieci iskrę nieczystą w sercu drużki, uzuchwali drużbę, nauczy swata plugawej piosenki, starościnie weselnej szepnie do ucha kilka plotek, a zna on dobrze swoich gości, wie co komu do smaku. A gdy już wszystkich dla siebie pozyskał, a Aniołowie Stróżowie z boleścią i obrzydzeniem odwracają oczy swoje, wtedy dopiero prawdziwe wesele w karczmie, krzyk, wrzawa, bitki, rozpusta; i cóż dziwnego, że tam gdzie diabeł gospodaruje i piekło być musi! Wesele w karczmie, ale jeszcze większe w piekle, ale żal i smutek w niebie! O jakże może być wesele bez muzyki, a jakże można tańczyć bez wódki? To prawda, że po trzeźwemu taniec jest uczciwy i Boga nie obraża, ale wam się chce czegoś innego, nie żeby nogi słuchały rozumu, ale żeby rozum był pod nogami, to jest, żeby rozum już przestał być rozumem, a na to najprędszy i najłatwiejszy sposób upić się! Żeby ci ksiądz przy spowiedzi kazał, żebyś na pokutę przez godzinę się w kółko kręciła, tobyś się wymawiała, wypraszała od takiej pokuty, ale tu nie za grzech, ale na grzech, nie przez godzinę, ale przez całą noc się kręcisz i to z wła-

snej woli i ochoty! Ale czy to na tem kręceniu się kończy? Dałby Bóg, żeby to tylko nogi się kręciły, ale to z nogami pomału i rozum i serce się zakręci i najczęściej takie kręcenie kończy się na upadku.

Dlatego Rada gminna w Bystry uchwaliła, aby wesela katolickie w karczmie się nie odprawiały.

(Dokończenie nastąpi.)

Lapończykowie.

Lapończykowie zamieszkują krainę bardzo ubogą i zimną, położoną na północ Szwecji i Norwegii. Już w tych dwóch krajach, o których wam dawniej opowiadaliśmy, dość jest zimno, a cóż dopiero musi być w nieszczęśliwej Laponii. Jakoż przez większą część roku kraj ten jest okryty śniegiem i lodem. Z drzew rosną tam tylko niektóre, jako to jodły, świerki i brzozy, ale nie są one tam takie wysokie jak u nas, gdzietam, ani połowy tej wysokości co nasze nie dochodzą, a to wszystko dlatego że tam takie straszne jest zimno. O uprawie roli trudno też myśleć; gdzie niegdzie tylko jęczmień się udaje, gdzieniegdzie rosną ziemniaki; ale i jęczmień rzadko kiedy dościga, bo lata zbyt krótkie i ziemniaki prędzej zmarzną jak wyrosną.

Dla tegoż bardzo biednym jest lud, któremu Opatrzność kraj ten przeznaczyła na mieszkanie. Lapańczykowie są małego wzrostu i najtęższy chłop ma tam ledwie dwa łokcie wysokości; niechlujni i nieporządni koło siebie i mało dbający o czystość, a do tego brzydcy, ale za to bardzo silni i wytrwali tak na zimno, jak i na wszelki niedostatek z którym ciągle walczyć muszą. Nie są też oni tak przemyślni aby się mogli trudnić handlem i rzemiosłami jak to u nas bywa, ale bo też i trudno byłoby im oddawać się przemysłowi kiedy niema o czem. Przecież co tylko Lapończykowi w gospodarstwie potrzebne, sam sobie wszystko robi nie oglądając się na nikogo, nawet kobiety bardzo zręcznie wykrawają z drzewa różne

domowe naczynia. Lapończyk musi być z potrzeby i garbarzem i powroźnikiem i tkaczem, nawet bednarzem i krawcem. Sam sobie garbuje i wyprawia skóry zwierząt, z ich szerści przędzie nici a z nich tka derki, sam szyje sobie ze skór odzież i rękawice futrzane, sam wyrzyna drewniane naczynia i robi sanki.

Lapończykowie aniby się ostać nie mogli w swojej nędznej ojczyźnie, gdyby nie mieli jednego poczciwego zwierzęcia które tem jest dla nich, czem dla nas koń i krowa, albo owca. Zwierzę to nazywa się ren i jest bardzo podobne do jelenia, bo ma takie rozsochate rogi jak on, i żywi się mchem, który sobie z pod śniegu nogami wygrzebuje, albo też igiełkami i gałązkami jedliny, gdy śnieg zbytecznie zmarznie i odgrzebać go nie może. Lapończykowie trzymają liczne trzody tych renów: są między nimi bogacze, co ich mają po tysiąc i dwa tysiące, a ci co ich ledwo dziesięć mieć mogą, liczą się do biedaków.

Reny są używane do pociągu i zaprzężone do sanek biegną tak szybko po lodzie i śniegu, że w jednym dniu przebywają pietnaście do dwudziestu mil. Mięso ich jest bardzo tłuste i smaczne, z mleka renów robią Lapończykowie masło i ser a mleko to jest tak gęste i posilne, że dorosły człowiek nie może go wypić naraz więcej jak pół kwarty. Z krwi renów gotują polewkę i robią kiszki, z ich kości zaś igły, łyżki, noże, z kopyt naczynia a z rogów broń.

Kiedy reny wychodzą na paszę, trzeba ich pilnować od wilków, dlatego zawsze kilkoro ludzi towarzyszy trzodzie, aby ją przy pomocy psów bronić od napaści dzikich zwierząt. Psy lapońskie bardzo są do tego wćwiczone, za to też nie źle im się dzieje bo razem ze swymi panami jadają i spią a z wiernym psem Lapończyk podzieli się chętnie ostatnim kęsem strawy.

Lapończykowie nie ubierają się bardzo pięknie, czemu się też dziwić nie można; szczęśliwy który się otulić może jako tako aby zimna nie czuł, bo tam zimno bywa nieraz dwa razy silniejsze jak u nas w największe mrozy. Owóż Lapończykowie koszul nie noszą, bo nie mają z czego płótna robić ani za co kupić, jeno od razu na gołe ciało wdziewają kożuchy futrem na wierzch wywrócone, a na ten kożuch wdziewają

jeszcze drugi, obszerniejszy; ręce chowają w ciepłe rękawice futrzane, a czapki noszą spiczaste, z kapą, która okrywa całą głowę i szyję. Buty szyją sobie także ze skór renów, a żeby nogom było cieplej, obwijają je słomą i mchem. Kobiety tak samo ubierają się jak mężczyźni, jeno ich przyodziewa jest trochę piękniej wyszywana.

Chaty mają bardzo nędzne i szczupłe; u nas najbiedniejszy chałupnik lepsze ma domostwo. Te chaty lapońskie tak się stawiają: Wbija się w ziemię kilka palów, ku sobie w górze pochylonych, okrywa się je korą z drzew i skórami zwierząt, ot i dom gotowy. Wejście bywa tak niskie że choć Lapończyk małego jest wzrostu, schylać się musi aby się dostać do środka; w chacie też prosto stać nie można, jeno siedzieć albo leżeć. Na środku izdebki jest kamień na którym pali się ogień, a cała rodzina siedzi koło tego ogniska — gdy nie ma co lepszego do roboty, to starsi opowiadają młodszym przeróżne bajki. Lubią bardzo tytoń i palą go ciągle w fajkach, a najczęściej cała rodzina pali z jednej fajki, którą jeden drugiemu podaje. Dym z ogniska wychodzi otworem w górze będącym. Gdy się palić przestanie, chłopak wspina się do góry i zatyka ten otwór aby było cieplej. Trzody sypiają pod gołem niebem w około chaty.

Do niedawna Lapończykowie byli poganami i nie wierzyli w prawdziwego Boga, ale po trochu dali się nakłonić do wiary świętej i pogan nie ma już po między nimi. Nie są jednak bardzo pobożni. To także jest w nich bardzo złe, że niezmiernie lubią wódkę, i za wódkę Lapończyk na wszystko gotów. Mają jednak niektóre dobre przymioty. I tak nie kradną i żebraków nie ma pomiędzy nimi. Dzieci swoje kochają czule i dbają o nich prawdziwie po rodzicielsku, a co u nich najpiękniejsze, że ojczyznę swoją, choć taka nędzna, choć taka uboga, za raj ziemski uważają, i nie mogą pojąć że gdzieś na świecie może być lepiej jak u nich, a Lapończyk przemocą porwany i uprowadzony w obce strony, umiera z tęsknoty za swemi śniegami i lodami. Ten piękny przymiot biednych Lapończyków i dla nas mógłby być przykładem, bo i u nas trafiają się ludzie, co zwiedziwszy trochę świata, ganią wszystko

co cudze, a jak im bieda, często z własnej ich winy dopiecze, to narzekają na ubogą ojczyznę swoją, co jest ciężkim grzechem i ziemia ojczysta, choćby najbiedniejsza, każdemu najdroższą być powinna.

Kara Boża.

Chociaż każda pora roku ma swoje przyjemności, ale bodajto lato, a jeszcze na wsi. Cudowna natura tak cię na każdym kroku zachwyca, że człek radby na przemian być to ptaszkiem wesołym, który śpiewając mile, buja po przestworzu szerokiem i wysokiem; to radby być wietrzykiem, który kołysze wysokie drzewa i śliczne roślinki; to górą zieloną, która śmiało spoziera w niebo i ludziom zmianę powietrza wróży; to nareszcie strumykiem mruczącym, co jak wstążka srebrna przerzyna łąki i pola, i krzepi omdlałych pastuszków i pracujących w polu rolników.

W taki też czas ostatniego lata puściłem się na naszą kochaną górę Liwocz, u którego stóp przyległa wieś Brzyska z naszą Błażkową rozłożyły się najbliżej od strony Kołaczyc, a przy pomocy świadomego gospodarza z Błażkowy, który się z tym Liwoczem zna jakby kum z kumem, bo tam i po drzewko i po liście od lat dziesięciu jeździł, a nawet jako stary sługa i myśliwy ze swoimi panami niejedno odbył polowanie, przeszedłem Liwocz aż do lasów błaszkowskich. Otóż przy takim towarzyszu musiałem być zadowolony, lecz o tem pisać nie będę, bo to każdy z was mili czytelnicy czuć może, komu jak mnie miłe są podobne wycieczki i kto całem sercem i duszą przywiązany jest do tego ukochanego kraju, gdzie tyle uroczych, cudownych i najprzyjemniejszych miejsc a do tego lud wiejski pracowity, który obok wielu złych narowów, ma przecie szlachetne uczucia i w Bogu nadzieja, będzie kiedyś chlubą narodu.

Nie będę więc opisywał wszytkiego com widział, ale wspomnę o jednej historji, którą słyszałem z ust mojego towarzysza

gdyśmy przyszli na jedno miejsce, mianowicie na granicę trzech wsi, Czermny, Błażkowy, Jodłowy, — a którą to historję powtórzyło mi potem wielu okolicznych mieszkańców.

Oto przyszedłszy tamże do pewnego w lesie kamienia, towarzysz mój zatrzymuje mnie i powiada:

— Niechno się pan przypatrzy temu kamieniowi, tu oto jest wyżłobienie nóg ludzkich, dalej wygniecione znaki łańcucha a u dołu łapy wilcze i widoczne znaki pazurów wilczych a w końcu wyryty rok 1772 czyli 1722, bo tego nie można rozpoznać i jakieś litery; które tożsamo czas tak zatarł że trudno je przeczytać.

Oglądnąwszy ten kamień duży, wklęsły w ziemię i mchem od starości porosły, nie mogłem wątpić o pewności tych śladów, o jakich mój przewodnik wspominał. Spytałem go więc: Powiedzcie mi teraz co to wszystko oznacza?

Towarzysz mój tak mi zaczął rozpowiadać:

— Był tu dawnemi czasy u nas parobek, ale to aż rzec niemiło, ladaco, bywało gospodarstwa, którzy go żywili, miał sobie za nic, w jedzeniu grymaśnik, tego nie lubi, to nie słone, to jałowe a robotę to zbywał, że pożal się Boże patrzeć na niego. O chudobę też nie dbał; co najgorsza, że wielki był z niego bezbożnik. I tak do kościoła ani go wygoń, a post św., nakazany ludziom przez kościół dla umartwienia ciała za grzechy i dla powściągnienia złych namiętności, to mu już najbardziej zdał się być niepotrzebnym. Gospodarz cierpiał, łajał, prosił, myśląc że to złe chłopisko przecie się raz ustatkuje, ale nic nie pomogało.

Jednego dnia o świcie kazał mu gospodarz sposobić się do lasu z wozem po drzewo. Począł on się tam zbierać, nie zmówiwszy pacierza nawet, zaczął niechętnie wiązać ubranie końskie, ładować wóz, aż już wreszcie miał wyjeżdżać. A było to w adwent w dzień św. Tomasza, dnia 21. Grudnia, co go na wsi zwykle zowią ś. Toma i wypadały jakby też tego roku suchedni. Gospodyni ukrajała spory kawał pięknego chleba i podając temu parobkowi, rzekła:

— Weź chleba na drogę, abyś potem w lesie ujadł jak będziesz głodny, ale ja ci jałowy daję bo dzisiaj suchędni i św. Tomy, my wszyscy jałowo jeść będziemy, toż i ty z nami trzymaj.

Na to ów bezbożnik się odzywa:

— Święty Toma siedzi w doma, ale ja co muszę w lesie dźwigać, jak mi nie dacie kiełbasy do chleba, to nigdzie wam nie pojadę.

Otóż gdy dalsze przedstawienia gospodyni nic nie pomagały a paliwa koniecznie brakowało, więc ona kobieta wyniosła mu kawałek kiełbasy, mówiąc:

— Weź bezbożniku, bobyś myślał że ci żałuję, ale wiedz o tem, że Bóg cię skarze kiedyś za to okrutnie.

Ale mów tam jemu co chcesz, kiedy zły duch opętał go na piękne; z radością wziął kiełbasę i tylko kawałek odjechał od domu, zajadał ją z taką żarłocznością, jak gończy pies zająca.

Cóż się nie dzieje? Przyjeżdża on do lasu i oto w to miejsce gdzie teraz stoimy. Nikogo tu nie zastał i zaczął obmyślać, gdzie to drzewo ścinać, aż w tym momencie wyskakuje kilka wilków z pomiędzy zarośli i prosto walą na niego. On odbiega koni i tylko miał czas łańcuch od wozu ze sobą porwać i dalej drapać się na ten kamień, ale kara Boża za jego ciężkie grzechy już go minąć nie miała. On się wydrapał i broni się łańcuchem, ale wilcy za nim tożsamo i nie dbają na łańcuch, konie parskły i uciekły tą samą drogą aż do domu a jego wilcy roztargali i zjedli z chlebem i z kiełbasą.

Gospodarz gdy konie same zobaczył, poszedł za śladem i tylko podarte łachy i łańcuch został i ten ślad który tu oto widzimy, a na którym później ktoś rok i napis tego zdarzenia wyrył. Nie wiem mój panie, — tak kończył opowiadanie swoje mój towarzysz, czyli ten kamień był wtedy taki miękki, że się to wszystko na nim jak w glinie odbiło, ale mnie się tak zdaje i wszyscy od dawna tak mówimy, że to musi być cud od Pana Boga, aby inni ludzie stąd sobie przykład brali, jaka to straszna kara na grzeszników, jeśli już żadnej poprawy Bóg się doczekać nie może.

Zdumiałem się na tę historję i tak jak ją słyszałem opisuję, i nie wątpię, że to się stać mogło, i że Bóg prawdziwy cud pokazał, zwłaszcza, że to jest na granicy trzech wsi, aby nietylko jedna wieś, ale i inne przykład stąd sobie brały. A zre-

sztą cały świat jest o tem przekonany, że dawniej i dziś bezbożnik, który się poprawić nie chce, poczciwie że świata nie zeszedł, ani też szczęścia na świecie spodziewać się nie może i tak to aż do skończenia świata będzie.

Edmund Janicki nauczyciel z Błażkowy.

RÓŻNOŚCI.

Małpy Orangutangi. Ze wszystkich małp, Orangutang jest najpodobniejszy do człowieka. Orangutangi w ogóle żyją gromadnie na drzewach, lecz stawiają sobie także szałasy z liści, w których kryją się przed upałem słonecznym. Żywią się słodkiemi i mączystemi owocami, lecz, jak się zdaje, zjadają także jajka ptaków i drobne ptaki, a głodem przyciśnięte schodzą na brzeg morza i poprzestają na kilku żabach i skorupiakach. Za krzywdę jednej małpie wyrządzoną ujmują się wszystkie, a czy to napadnięte przez ludzi, czy dla odpędzenia słoniów biorą do rąk gałęzie i wywijają niemi bardzo zręcznie. Gdy jedna z tych małp zostanie zraniona, towarzyszki wydobywają jej kulę, przykładają do rany zioła przeżute w zębach, i obwięzują łykiem. Ciała zmarłych grzebią w ziemi i przykrywają liściami, kamieniami i cierniem. Gdy mają młode, noszą je na rękach, wybierając się zaś w dalszą drogę, sadzają je sobie na karku a dzieci wówczas trzymają się matek rękami i nogami. Zdarza się czasem, że wykradają ludzkie dzieci, żyją z niemi przez pewien czas i wychowują jak swoje własne. Dzieci takie wracają czasami do domu po całorocznym a czasem i dłuższym między małpami pobycie, wesołe, dobrze wypaszone i chwalą niezmiernie dobroć tych osobliwszych piastunek. Ale nie trzeba się bardzo uwodzić tą zbytnią czułością Orangutangów. Złe to i szkaradne zwierzę, zdradzieckie, mściwe, posiada wprawdzie niektóre przymioty człowieka ale tylko złe. Ludzie umieją korzystać z zręczności tego zwierzęcia i złapanego uczą obracać rożen, myć szklanki, nosić do kuchni drzewo i wodę i tp. Nawet podczas najstraszniejszej burzy na morzu, gdy rozhukane fale na wszystkie strony okrętem miotają, wspina się na szczyt najwyższych masztów i robi tam co mu każą. Jedną taką wyuczoną małpę wieźli raz z sobą majtkowie do Europy. Pocieszne to było stworzenie. Gdy majtkowie siadali do stołu i ona czyniła to samo, gdy pili wódkę i ona brała się do kieliszka i wychylała go do dna. Ale za razem był z niej nieoceniony chłopiec do posługi.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVII. Nr. 18.

21. grudnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marek Jakimowski.

Polacy często odnosili zwycięstwa nad nieprzyjaciołmi, ale zdarzało się także że skutkiem nieszczęśliwych okoliczności ponosili klęskę. Nieszczęśliwą dla oręża polskiego była bitwa pod Cecorą, z Turkami, w której poległ sławny hetman Żółkiewski wraz z kwiatem rycerstwa. Wielu także dostało się tam do niewoli. Ci zazdrościli tamtym, którzy zginęli na polu sławy za ojczyznę, bo niewola, a do tego u Turka, zdawała im się piekłem za życia; trudno ją znieść, a wydobyć się z niej prawie niepodobna. Pomiędzy jeńcami był dzielny jeden młodzian, nazwiskiem Marek Jakimowski. Wrzała w nim krew rycerska, oswoić się nie mógł z tą myślą że jest w niewoli; zaiskrzonem okiem patrzył jak Turcy zwijali obóz i gotowali się do drogi. Kilku starszych zbliżyło się do gromady więźniów, obejrzeli ich kolejno, coś radzili z sobą, nakoniec rozdzielono ich na dwie gromady: jedną gromadę spętano, otoczono chmurą konnego żołnierstwa i za danym znakiem orszak ruszył, ruszył lądem do Carogrodu; drugich do Azji przeznaczono; odprowa-

dzono ich więc na brzeg morski do portu i wsadzono na okręt. Marek Jakimowski przydzielony został do szczuplejszej więźniów gromady, do tych co mieli płynąć po wód falach daleko za morze. Przyszła chwila stanowcza, jeńcy smutnem wejrzeniem pożegnali ląd, a myślą strony ojczyste, których już nigdy ujrzeć nie mieli. Okręt przy wietrze pomyślnym ruszył w drogę. Jakimowskiemu lica ogniem pałały, z oczu młodzieńczych sypały się iskry jakby lwu do klatki schwytanemu. Zacisnął usta i milczał ale trząsł się z gniewu i oburzenia; był w rozpaczy, a rozpacz nie zna miary ani hamulca

— I na co mi teraz życia? — pomyślał sobie — aby mną poniewierano, aby się naigrawano ze mnie? lepiej zginąć, jak marnieć w niewoli. Zginę... albo... albo będę wolnym. Próżne marzenie! z okrętu uciec niepodobna, chyba na dno morskie. Cóż więc począć? Skruszyć więzy? wymordować dozorców? Tak! lecz czem? gołemi rękoma? Myśl okropna, ale cóż innego pozostaje? Spróbujmy! jeżli się nie uda, zabiją mnie... nie wiele stracę; jeżli się uda, ocalę siebie i towarzyszy.

Po krótkim namyśle powziął stanowczy zamiar wyzwolenia się przemocą. Szybko porozumiał się z towarzyszami niewoli i oczekiwał tylko stosownej chwili, aby zamiar powzięty przywieść do skutku. Całą noc oka nie zmrużył, paliła go gorączka niecierpliwości, ukląkł i w modlitwie szukał pociechy i wzmocnienia. Nakoniec gdy świtać zaczęło, a dozorcy spali jeszcze w najlepsze, skruszył więzy swoje jednem silnem szarpnięciem; już kość rzucona, cofnąć się było niepodobna, trzeba było działać i to szybko. Rzucił się na dozorcę, który mu najprzód wpadł w oko, zdusił go za gardło — wydarł mu oręż i ugodził nim w samo serce wroga. Zabity ledwo jęknął głucho, ale jęk ten przebudził dwóch innych dozorców. Jednocześnie z dwóch stron błysnęli nożami po nad głową wyzwoleńca, ale i on miał już oręż i wprawnie nim władał, a rospacz dodawała mu siły i odwagi. Rzucił się na nich jak lew, szczęście mu posłużyło i zgładził obudwu. Było to dziełem jednej chwili, ale też było dopiero pierwszym krokiem. Bo oto zbudziła się reszta załogi, cały okręt w poruszeniu, do broni! do broni! wołają Turcy. Jakimowski zbiegł do towarzyszów, już wiedzieli jak mu się

powiodło, już ten i ów sili się aby się z więzów wydobyć. Jakimowski pomógł jednemu i drugiemu, już wolni, już duch w nich wstąpił, czemprędzej uwalniają drugich, lub powstrzymują wdzierających się Turków. Nim kwadrans minął już wszyscy byli wolni i gotowi do walki; a walka miała to być okropna, śmiertelna. Z gołemi pałaszami rzucili się Turcy na bezbronnych, ale jeńcy odparli pierwszy zapęd, wydarli kilka oręży wrogom, kilku z nich położyli trupem. Turcy w obronie życia bili się zacięcie, jeńcy w obronie wolności cudów waleczności dokazywali. Długo ważyło się zwycięstwo, nakoniec szala przewaliła się na stronę barbarzyńców. Turcy coraz słabszy stawiają opór, coraz bardziej zmniejsza się ich liczba, jeńcy zwyciężyli.

Rozlegają się na okręcie okrzyki zwycięstwa, okrzyki radości, uszczęśliwiona gromadka oddycha swobodnie, czując się wolną, jeden tylko Jakimowski stał z boku zamyślony i patrząc na współbraci myślał sobie w duchu:

— Bóg nam poszczęścił, zwyciężyliśmy, dobiliśmy się wolności, ale co teraz? cóż poczniemy gdy nikt z nas nie umie kierować okrętem? Mamyż zdać się na wolę wiatrów i morskich bałwanów? Nie, nie, trzeba coś radzić..... a Bóg miłosierny, co nam dotąd pomagał, nie opuści nas i nadal.

Potrzeba dodała odwagi. Nie tracąc chwili stanął u steru, silną dłonią ujął wiosło, pociągnął drugich swoich przykładem, spróbowano i zamiar się udał. Po modrej wód przestrzeni, przy wichrze pomyślnym, okręt choć niewprawną kierowany ręką, mknie chyżo, coraz dalej i dalej, aż po dniach niewielu zawinął do stolicy świata chrześcijańskiego, do Rzymu. Jakimowski wysadził na ląd towarzyszy, poszli do kościoła uderzyć czołem Bogu i podziękować za doznane tak wielkie dobrodziejstwo, a potem do ojca św. Papież uprzejmie powitał gromadkę, co prawie cudem uszła podwójnego niebezpieczeństwa, kazał sobie opowiadać dziwne przygody, słuchał ich z rozrzewnieniem, jak czuły ojciec i udzielił podróżnym swego błogosławieństwa; Jakimowskiego zaś pochwalił szczególnie, nazwał go ukochanym synem i własną ręką krzyż złoty na jego piersiach zawiesił.

*

Wkrótce po całym Rzymie rozeszła się wiadomość o przybyciu synów owego kraju, co od tak dawna był zasłoną całego chrześcijaństwa. Z ust do ust krążyło opowiadanie o ich przygodach i wszyscy podziwiali nadzwyczajną odwagę rycerzy polskich, a szczególnie ich dowódzcy. Marek Jakimowski tymczasem wraz z towarzyszami w dalszą gotował się drogę, spiesząc do ojczyzny, gdzie już miano ich za straconych, i ani się spodziewano ujrzeć wolnych, zdrowych i chwałą okrytych.

Kolęda.

I.

W żłobie leży przy macierzy
Ten, co z niebios niesie wieść:
Któż pobieży? któż uderzy
W struny niemowlęciu w cześć?
Pastuszkowie przybywajcie,
Dziecię we łzach uciszajcie,
Bogu trudno ciemność znieść.

Przybywajcie i zagrajcie
Chrystusowi, dziecku z gór;
Nad nim oto, niebios złoto,
Już świegocze duchów chór,
Hymn Dawida uroczysty
Nuci w chmurach zastęp czysty,
Wy zanućcie ziemski wtór.

W mrocznej jamie, w skał załamie
Wschodzi ziemi słońca brzask,
Wraz z bydlęty spi wódz święty,
W lochu drzemie dawca łask;
Przy nim matka i pastuszek
I opiekun, już staruszek,
Z lic niebieski lśni im blask.

W Betleemie niskie plemię
Świtający widzi dzień,
Pan pieczary, pastuch stary
Jakby sługa skrył się w cień:
W Jeruzalem, Judy głowie,
Górą jeszcze doktorowie,
Sklepem wciąż świątyni sień.

W Jeruzalem jeszcze z żalem
Wciąż za zbawcą wzdycha lud,
W Jeruzalem przed Baalem
W modłach duszy płynie brud:
W Betleemie małem mieście
Rozeszły się błogie wieście,
Lud zaczyna wierzyć w cud.

Lecz nie wszyscy Bogu bliscy,
W pańskim grodzie w mrokach spią,
Do Heroda, jakby woda,
Szare duchy chyłkiem mkną,
Ciągną rzędem faryzeje,
Kędy biesa tron jaśnieje,
Oczy im się piekłem skrzą.

Mkną szaleni i uczeni
U dumnego składać wiec,
Nad ksiąg zwojem, z niepokojem
Krocie żółtych palą świec;
Z stron dalekich trzej królowie
Zapalili im żar w głowie,
Prysk, co z dusz nie mogą zwlec.

Trzej królowie w niebios mowie,
W gwiazdach wyczytali świt,
Więc im zbrzydła bańka z mydła,
Więc im ziemski świat ich zbrzydł,
Wybrali się tedy w drogę,
By z dusz ziemską złożyć trwogę,
By ich z brudu obmył żyd.

W drogę poszli lwy wyniośli,
Kędy gwiazdy wiódł ich szlak,
Aż ich w jeździe w Judy gnieździe
Tajemniczy wstrzymał znak.
Tu o króla żydowskiego
Spytali się brata swego,
Prosząc, by ich wywiódł z mrak.

Z jego sali wyszli biali
Trzej mocarze króle niw,
Blask ich wiedzie, król więc w biedzie
O swej dumy ciężki siew,
Raz wraz bada więc i pyta
Jaka w księgach wieść wyryta,
Z żalu, złości ledwie żyw.

Wyszli czyści, promieniści,
Obcy ludzie z czarta szpon;
Inną drogą, z wieścią błogą
Do rodzinnych wrócą stron:
Przy Herodzie tylko właśni
Zostali się niegdyś jaśni,
Stróże ludu, stada wron.

Jako wrony w cudze plony
Na jesienny mknące żer,
Siedzą, radzą, czartu kadzą,
Z ust ich kłamny płynie szmer,
Każdy bada, każdy czyta,
Każdy myśli, że mu świta,
A tu ciągle wpada w wir.

Od ksiąg duchy, wzięły puchy,
Uleciały w niebios strzeń,
Więc rabini jak Kaini
W coraz gęstszy idą cień;
Aniołowie pisma stróże,
Zaspiewali hejnał w górze,
Ziemi ogłosili dzień

Aniołowie niebios głowie,
Złożyli z swej służby lik,
Pan go przyjął, z czoła wyjął
Na dzień nowy nowy szyk;
Posłał sługę do pasterzy,
Którzy go kochali szczerzy,
Których On też kochać zwykł.

II.

Przybieżeli do Betleem pastérze,
Hej, hej, pastérze, pastérze, pastérze,
Grając dźwięcznie dzieciąteczku na lirze,
Hej, hej, na lirze, na lirze, na lirze.

Na lirence i na dudkach zagrali,
Hej, hej, zagrali, zagrali, zagrali,
Aż się święci na niebiesiech zaśmiali,
Hej, hej, zaśmiali, zaśmiali, zaśmiali.

Sam król Dawid graniu ich się dziwował,
Hej, hej, dziwował, dziwował, dziwował,
Aż od wstydu swoję arfę w kąt schował,
Hej, hej, w kąt schował, w kąt schował,
w kąt schował.

Pastuszkowie dzieciąteczku zagrali,
Hej, hej. zagrali, zagrali, zagrali,
Dary skromne królewiątku składali,
Hej, hej, składali, składali, składali.

Róże, lilje i niebieskie bławaty,
Hej, hej, bławaty, bławaty, bławaty,
W wielkim koszu niósł koziołek kosmaty,
Hej, hej, kosmaty, kosmaty, kosmaty.

Jeden pasterz, łysy dobrze staruszek,
Hej, hej, staruszek, staruszek, staruszek,
Niósł na plecach wór orzechów i gruszek,
Hej. hej, i gruszek, i gruczek, i gruszek.

Przy nim babka z wielką krostą pod okiem,
Hej, hej, pod okiem, pod okiem, pod okiem,
Niosła miechy dwa konopne z obrokiem,
Hej, hej, z obrokiem, z obrokiem, z obrokiem.

Dla osiołka je przyniosła pańskiego,
Hej, hej, pańskiego, pańskiego, pańskiego,
Aby z pańska wypełnił się grzbiet jego,
Hej, hej, grzbiet jego, grzbiet jego, grzbiet
jego.

Gdy pasterze tak swe hołdy składali,
Hej, hej, składali, składali, składali,
Nadciągnęli trzej królowie z oddali,
Hej, hej, z oddali, z oddali, z oddali.

Trzej królowie w pozłocistych ornatach,
Hej, hej, ornatach, ornatach, ornatach,
Na arabskich nadjechali bachmatach,
Hej, hej, bachmatach, bachmatach, bachmatach.

Zsiedli z koni, do nóg Panu przypadli,
Hej, hej, przypadli, przypadli, przypadli,
Złoto, mirę przed nim w darze pokładli,
Hej, hej, pokładli, pokładli, pokładli.

Pan się do nich jakby słonko uśmiéchnął,
Hej, hej, uśmiéchnął, uśmiéchnął, uśmiéchnął,
W dumnych panach duch na chwilę przycichnął,
Hej, hej, przycichnął, przycichnął, przycichnął.

Aż po chwili gdy mu błysło z nich złoto,
Hej, hej, z nich złoto, z nich złoto, z nich złoto,
Panu lica schmurzyły się znów słotą.
Hej, hej, znów słotą, znów słotą, znów słotą.

Więc pasterze zabrzęczeli znów w liry,
Hej, hej, znów w liry, znów w liry, znów w liry
I z panami zanucili hymn szczéry,
Hej, hej, hymn szczéry, hymn szczéry, hymn szczéry.

III.

Lulajże Jezuniu, dziecię królewskie,
Lulajże w żłobeczku ptaszę niebieskie;
Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj,
A ty go matulu w płaczu utulaj.

Długo my, oj długo na cię czekali,
Długo my za tobą ciężko wzdychali,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Lulajże Jezuniu, pociecho nasza,
U pasterskiego tu lulaj poddasza,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

My króle i chłopy my tu najpierwsi,
My twoi, Jezuniu, bracia najszczersi,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

My króle po przodkach dar wiedzy dzierżym,
My okiem uczonem świat gwiezdny mierzym,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Nam królom korona na głowie cięży,
Więc my gołębia poznamy wśród węży,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

My króle, choć w zlocie, my najbiedniejsi,
My w sercach u braci zawsze najmniejsi,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Jezuniu, nas królów weź w swą obronę,
Z przed oczu narodu odsuń zasłonę.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Rzecz braciom, Jezuniu, że jedna droga,
Prowadzi i króle i lud do Boga,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Rzecz braciom, Jezuniu, że lud jest z nami,
On, co rozmawia z jasnemi duchami,
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Rzecz braciom, Jezuniu, że chłop to siła,
Że ludu nie zmoże ręka nadgniła
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Ucz braci, Jezuniu, ucz pobożności,
Niech będą jak chłopy czyści i prości.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Cyt, cyt, cyt, zasypia małe dzieciątko,
Przymruża oczęta niby kurczątko.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Lulajże, Jezuniu, lecz lulaj czujnie,
Bo jeszcze na ziemi chwast rośnie bujnie.
Lulajże, Jezuniu i t. d.

Piękne przykłady.

Ustawa Rady gminnej w Bystry, parafii Szymbark, podług nauki ś. p. Karola Antoniewicza.

(Dokończenie).

— Ale jeśli mówisz, że bez wódki weselić się nie można, to przyznać musisz, że bez wódki płakać można. Bo jakżeż ta sama wódka może być przydatna i na śmiech i na płacz, i na radość i na smutek. Kiedy pijesz przy chrzcie człowieka, to przynajmniej nie pij przy pogrzebie jego! Czyż i przy pogrzebie chcesz się jeszcze weselić i radować? Ach nie, powiesz, ale ta wódka to ma jakąś w sobie cudowną moc i siłę. Kiedy potrzeba do radości, to ona człowieka uraduje, a kiedy smutek jest, to ona do łez pobudzi! A więc sam wyznajesz, że to już nie serce twoje, ale wódka, która w tobie i płacze i śmieje się! Pogrzeb katolicki, a przy tem wódka! Wynoszą trupa z domu, ach może to ojca, może matkę — może to męża albo żonę! Biedne sieroty, któż teraz wami opiekować się będzie, nie masz ojca, któryby się wami opiekował, nie masz matki, którąby was do serca tuliła; któż was będzie uczył, jak macie Boga kochać i szanować święte prawa Jego; któż dla was garnczek do ognia przystawi, któż wam kawałek chleba ukroi? Biedni rodzice, któż was pocieszy w starości waszej, któż was doglądać będzie w starości waszej? Obcy może oddziedziczą ten majątek, na któryście tak krwawo pracowali! Biedna wdowo i wdowcze! jakże sobie dasz radę i z gospodarstwem i z dziatkami małemi, bez tej towarzyszki, bez tego towarzysza życia twego? Biją dzwony, ksiądz żałobne odmawia pacierze, ruszają się mary, para wołków lub koni ciągną wóz, na którym złożono trumnę, po zarosłej drodze na smętarz. I taka boleść prawdziwa maluje się na wszystkich twarzach, i taki żal serdeczny przebija się we wszystkich oczach, i tyle westchnień i łez i cichych modlitw, które zaledwie tę posępną przerywają ciszę! To pogrzeb katolicki! pełen boleści ale oraz i nadziei, i złożą martwe zwłoki do tej ziemi, z której wyszły, i posypią tą ziemią, w którą się

ohrócą, i pokropią wodą święconą, i pomodlą się, i krzyż postawią, i to wszystko pięknie, chwalebnie, święcie. Ale na tem, oby i pogrzeb katolicki się skończył, i wszyscy oddawszy nieboszczykowi tę ostatnią przysługę, powrócili do domów swoich, do prac, do obowiązków swoich. Ale nie! Pogrzeb po wsiach to nie na smętarzu się kończy, ale w karczmie, co po bożemu zaczęło, kończy się po szatańsku. Bo zły duch wszędzie musi się wmieszać, między płaczących i śmiejących się, aby zbierać dziesięcinę swoją.

Piją ludzie za duszę nieboszczyka, aby się jeszcze po śmierci przekonał, jak oni go za życia kochali. Piją, aby mu okazać, jak umieją szanować pamiątkę jego! A sieroty tymczasem w ubogiej chatce i nie masz nikogo, ktoby się nad niemi ulitował. Nikt do nich nie zajrzy, nikt im jeść nie przyniesie, nikt ich łez nie osuszy. Dają karczmarzowi piękny grosz, i to ma być ich jałmużna. O zaiste, jeśli dusza nieboszczyka potrzebuje pomocy w modlitwie i jałmużnie, to ta pijatyka do nieba jej nie zaprowadzi.

Aby więc pogański ten zwyczaj, przepijania za duszę nieboszczyka wykorzenić, Rada gminna w Bystry uchwaliła, aby pogrzeb katolicki kończył się na smętarzu a nie w karczmie.

— Ale powiedzieć może kto: To wszystko prawda, ale sprawy, kłótnie, spory, jakże tu ukończyć bez wódki? Ja ci tak powiem, że właśnie wódka najczęściej jest początkiem i powodem do tych wszystkich kłótni i niepokojów. Przypatrzmy się jednej takiej kłótni i sprawie z bliska. Karczma to jest miejsce sądowe. Zasiadł na ławie pan wójt gromady, z dziesiętnikami, leśnymi: stoją oskarzony i pokrzywdzony, domagając się sprawiedliwego wyroku. Od czego zaczyna się sąd? Trzeba się napić — bo sprawiedliwość trzeźwa nie ma wagi, a pan wójt dopiero, kiedy rozum utraci, mądrego coś uradzi! Oto skrzywdzony zanosi skargę, że cielę sąsiada wdarło się do ogrodu i spasło całą grządkę kapusty! A to cielę winne — otaksujcie tę szkodę, a pieniądze między nas sędziów rozdzielcie. Ale kiedy to mnie się pieniądze należą, bo to moja była szkoda — odezwie się skrzywdzony. Co ty

hultaju, będziesz się z sądem kłócił — za karę dajcie tu kwartę wódki arendarzu, a ty za nią zapłacisz! Popili się sędziowie, a pokrzywdzony poskrobawszy się w głowę, wrócił do domu. Jedną grządkę kapusty zjadło cielę, a drugą wypili sędziowie.

Żeby się więc takie niesprawiedliwe wyroki nie powtarzały, przeto Rada gminna w Bystry uchwaliła, aby się sprawy gminne nietylko po karczmach nie załatwiały, co też i Ustawy gminne zakazują, ale aby także podczas obrad gminnych żadnych przepitków nie używano.

Ja zaś jako przytomny tym uchwałom Rady gminnej w Bystry, podaję je do publicznej wiadomości, w nadziei, że wszystkie Rady gminne za tym pięknym przykładem i nauką ś. p. Karola Antoniewicza pójdą.

O! czas już powstać z tego nieszczęśliwego nałogu, bo żadne Rady gminne nic nam nie pomogą, dopokąd ten nałóg pijaństwa trwać będzie po wioskach naszych. Żeby to miasto karczem pomnażały się szkółki, zamiast pędzenia wódki więcej książek dobrych drukowano, i więcej byłoby rozumu w głowie, i więcej grosza w kieszeni, a co najważniejsze, więcej łaski Bożej w sercu. Wszyscy na tem by zyskali — tylko djabeł by stracił i ci, którzy jemu pomagają! *J. R.*

O zimnie.

Wielkie to nieszczęście kiedy kto ma serce zimne, co nie płonie świętym ogniem miłości dla Boga, dla ojczyzny, dla bliźnich. Człowiek z zimnem sercem, którego ani gniew, ani dobrodziejstwa Stwórcy nie wzruszają, który nietylko kropli krwi, ale nawet marnego grosza nie dałby dla matki ojczyzny, człowiek taki, co obojętnie patrzy na łzy sieroce, obojętnie słucha płaczu opuszczonej wdowy, człowiek z tak zimnem sercem gorszy jest zaiste, jak ów kamień przy drodze, o który każdy z idących uderza się i rani w nogę. Wielkie, wielkie

to nieszczęście kiedy kto zagasi w sercu swojem ten ogień miłości, który sam Bóg w niem zapalił, kiedy je wychłodzi, wyziębi i pozwoli mu skamienieć na bryłę lodu. Ale nie o tem zimnie mówić chciałem. Niechaj kapłani wasi uczą was podsycać w sercach ogień tej miłości troistej dla Boga, dla ojczyzny, dla bliźnich, który w każdym, do ostatniego tchu życia, nigdy nieustającym, jasnym gorzeć powinien płomieniem — ja mówić będę tylko o tem zimnie zwyczajnem, które nam zima rokrocznie z sobą przynosi, o mrozach, a mianowicie jak się człowiek ma zachowywać aby jego zdrowiu nie szkodziły.

Człek co się w zagrodzie wieśniaczej urodzi i wychowa, człek co w roli pracuje, musi ciągle poniewierać się przy tej pracy, bez uwagi czy skwar słoneczny piecze, czy mróz trzaskący doskwiera i to od dzecińtwa, przez całe życie, dopóki tylko sił i zdrowia starczy. Toż od dzieciństwa oswaja się z zimnem i gorącem, z słotą i wichrami i dlatego jak mrozy, tak upały rzadko szkodzą wieśniakowi. Ale przecie zdarza się nieraz, że wieśniak wyszedłszy w drogę, nie wraca już do domu; szukają go i czasem dopiero po dniach kilku znajdują w rowie przydrożnym, bez życia, zmarzniętego. Zdarza się że sobie uszy albo nos odmrozi. Cóż w tem dziwnego? Choć oswojony z zimnem, przecie człowiekiem jest tylko, i ciało ma takie jak drudzy, a jeżeli rdza żelazo pożrzeć może, czemużby zimno nie miało zmódz ciała ludzkiego? Owóż i wieśniacy, choć niby bardzo oswojeni z zimnem, a przynajmniej tak, że nieraz z obnażoną piersią na mróz wychodzą i nic im to nie szkodzi, niechaj nie gardzą temi uwagami naszemi, bo i im także bardzo przydać się mogą.

Owóż pierwsza rzecz jest aby gdy jest mróz wielki nie wychodzić z domu na czczo. Choćby się kto i ciepło ubrał, nie wiele mu to pomoże, jeżeli ma próżny żołądek; człowiek głodny na wielkim mrozie prędko zmarznie, łatwo może się przeziębić i niebezpiecznie zachorować. Dlatego jeszcze raz powtarzam i niech sobie to każdy pamięta, że w mrozy nie trzeba z domu na czczo wychodzić. I nie dość jest napchać się suchym chlebem, ale ciepłą strawą posilić się trzeba. Toż, kto inaczej nie może, niech się raczej na wieczerzę obejdzie

kawałkiem chleba, a niech za to rano, gdy ma wyjść na robotę, ciepłe zje śniadanie.

Powtóre, kto w wielki mróz ma iść z domu, do roboty albo w drogę, niech sobie nogi dobrze i ciepło owinie. U nas po wsiach jest zwyczaj, że wkładają do butów trochę słomy, albo siana. Dobrze wiedzieć że siano lepsze jest niż słoma, ale i siano nie wiele pomaga gdy mróz bardzo jest silny. Owóż najlepiej jest owijać nogi szmatami wełnianemi, z podartego sieraka, który już na nic przydać się nie może. Także bardzo jest dobrze nakłaść do butów włosienia końskiego, który trzyma ciepło daleko dłużej niż siano, albo kto może, poowijać nogi miękką bibułą, to jest takim papierem w jaki towary po sklepach owijają.

Odzież ciepła na mrozy koniecznie jest potrzebna, ale o tem podobno nie mam co wiele mówić, bo któżby się na mróz ciepło nie ubrał jeżli tylko ma w co? Chyba jaki lekkomyślnik co jeszcze nie wie jakim to skarbem jest zdrowie. Ale i takich lekkomyślników nie braknie zarówno między parobkami jak i między dziewczętami — nie jedno z nich chcąc udawać zucha ciężko odpokutowało swoją lekkomyślność; toż dziewczęta gdy się stroją w niedzielę, niech bardziej o tem myślą by się nie przeziębiły, niż o tem aby krasą wstążkę na wierzch wystawić, bo zdrowie pierwsze jak wstążka. Ale i o tem dobrze wiedzieć że odzież zimowa lepsza jest wolna, niż opięta, w opiętej bowiem człowiek nie może wygodnie się poruszać.

Powiem wam teraz jak się twarz i oczy zabezpiecza aby ich nie odmrozić, ale to już tylko tych się tyczy, co w wielki mróz muszą koniecznie iść w daleką drogę, czasem o mil kilka. Owóż trzeba zagrzać trochę piwa, wlać do niego nieco roztopionego łoju albo gorącego oleju, wymięszać dobrze i tem wymyć twarz, usta i uszy, nie wychodzić zaś z domu aż ta tłustość dobrze wsiąknie w ciało. Tą mieszaniną można też natrzeć ręce i nogi. Niepodobna aby się tak człowiek mazał ile razy z domu wychodzi, ale jak to powiedziałem, gdy komu wypadnie iść w daleką drogę, albo na polowanie, gdzie czasem trzeba bardzo długo stać w jednem miejscu i ruszyć

się nie wolno, dobrze jest zabezpieczyć się w ten sposób, bo o złą przygodę nie trudno.

Jest u nas we zwyczaju że jak nastaną wielkie mrozy, wieśniacy rozgrzewają się gorzałką. To bardzo źle, bo wódka, choć jej nie wiele wypić, sprawia odurzenie głowy, osłabienie i senność, zwłaszcza gdy ją kto pije na czczo. Odrobina wódki w swoim czasie jako lekarstwo użyta rozgrzewa wprawdzie zziębniętego, ale któż u nas potrafi przestać na odrobinie? Kto zaś snem zmorzony zaśnie na drodze w mróz silny, trudno aby się obudził. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym w rozgrzewaniu się wódką, najlepiej zaś wcale się nią nie rozgrzewać. Lepsze jak wódka jest piwo, bo tak głowy nie zawraca, ale i z piwem nie można bardzo żartować bo i ono usypia.

Trzeba i o tem wiedzieć że nagłe ogrzanie po wielkiem zziębnięciu na silnym mrozie, także nie służy zdrowiu, owszem jest bardzo szkodliwe i może nawet być powodem, że człowiekowi ucho albo nos odpadnie. Gdy komu członki bardzo zziębną na mrozie nie należy wchodzić zaraz do ciepłej izby, lecz trzeba pierwej natrzeć śniegiem zmarznięte członki.

To są uwagi, które każdy powinien mieć w pamięci, i niech się nikomu nie zdaje, że skoro mu dotąd mróz nie szkodził, to mu i nadal szkodzić nie będzie, bo jak mówi przysłowie, póty dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Na ostrożności jeszcze nikt nie stracił, a że zdrowie jest największem człowieka skarbem, starać się należy aby tego skarbu na szwank nie narazić.

Ale jeżeli ludzie dorośli o tem wszystkiem wiedzieć i wszystko co się tu powiedziało zachowywać powinni, o ileż wiecej tyczy się to dziatwy wiejskiej, co jeszcze z poniewierką i mrozami nie oswojona. Gdy dzieci chodzą do szkoły, a szkoła jest nieraz o pół mili i więcej oddalona, jakże pilnie rodzice na to baczyć powinni aby mrozy nie szkodziły ich zdrowiu; a gdy ich już do szkoły posełają, jakże się strzedz powinni, aby ich gdzie z jaką posługą bez koniecznej potrzeby na mróz nie wyprawiać. Niech pamiętają o swoim obowiązku rodzicielskim, niech dbają o to, aby dziatwa nie marzła w dziurawej

i lekkiej odzieży, gdy mróz trzaskący na dworze; bo chociaż i z mrozem dobrze jest oswajać się, a nawet trzeba się do niego przyzwyczajać, toć przecie we wszystkiem miarę zachować należy. Ileż to dzieci ginie marnie z przeziębienia, przez niedbalstwo rodziców! Niech Bóg broni abyście i wy którzy te przestrogi czytacie do rzędu tych rodziców należeć mieli a zarazem niech was też wszystkich ten ojciec niebieski strzeże jako od największego nieszczęścia od owego chłodu serca, o którym na początku wspomniałem, niech nie dopuszcza aby w sercach waszych wśród mrozów zimowych, albo kiedykolwiek wystygnąć miała gorąca miłość dla Boga, dla ojczyzny i dla bliźnich. *Stanisław Krakowczyk.*

Zbójca Krudynhop.

Gadka sądecka.

Między Dunajcem a Popradem, w miejscu gdzie dziś kościółek św. Anny pod Podolińcem, w obwodzie sandeckim najgórzystszym prawie w naszej krainie, przesiadywał przed kilkuset laty straszny zbójca Krudynhop. Nietylko napadał podróżnych i obdzierał z wszystkiego, ale zabijał każdego nielitościwie swoją lipową maczugą. Że zaś w tem miejscu Poprad przerzyna Magurę, okolicę u stóp gór Tatrzańskich i jedna tylko była droga wzdłuż jego koryta, nie można było ominąć Krudynhopa, a podróżni zbliżając się do tej okolicy, gotowali się na śmierć. Był on postrachem owych stron, a maczuga jego obrosła gdyby korą, grubą warstwą zaschniętej krwi ludzkiej. Ani żal, ani skrucha nie powstały nigdy w tem dzikiem sercu — zdawało się, że na wieki zatracona ta czarna dusza. Chrystus jednak umarł za grzeszników, śmierć i miłość jego może szkarłat wybielić — nie należy więc o żadnym wątpić zbrodniarzu; każda dusza droga w obliczu Bożem i może przyjść chwila, w której przemówi do niej... Świętym został ów łotr na krzyżu, co życie całe przepędził w występkach, Świętym został ów żołnierz co przebił włócznią serce Jezusa; Świętą, Magdalena grzesznica... i cóż dziwnego, że i dla zbójcy znalazło się miłosierdzie w niebie...

Ostatnią jego ofiarą był biedny pielgrzym, co wracał od grobu św. Wojciecha. Bardzo się mu prosił i żałośnie błagał o życie, ale nadaremnie. Konając więc pod razami maczugi wyjąknął boleśnie:

— Kiedy nie masz dla mnie litości, obyś nie doznał litości przed Bogiem!

Krudynhop rozśmiał się dziko ze słów biedaka, a obdarłszy go z mienia, wrócił do swojej siedziby ulubionej, położył się w cieniu olbrzymiej jodły i zasnął

Nie mógł jednak spać spokojnie, żałośne słowa konającego jak ostry grot utkwiły mu w sercu. Śniło mu się, że sześć strasznych, piekielnych poczwar pochwyciło go w szpony, niosło powietrzem długo i nakoniec złożyły go na szczycie jasnej góry sięgającej w niebo.

Tam na jaśniejącym tronie siedział Bóg, sędzia sprawiedliwy; u stóp jego klęczały dusze wszystkich tych, których on pozabijał. Wszystkie się zwróciły ku niemu i wskazując rękoma żądały nań sprawiedliwości Boskiej. A tam w dole gorzało piekło i coraz straszniejszy żar rozniecali szatani. Bóg sędzia wyrzekł surowo: Nie ma dla niego miłosierdzia! Poczwary piekielne pochwyciły go i niosą. Daremnie ogląda się, czy która z ofiar zamordowanych nie zlituje się nad nim!... Zdala tylko obaczył nieznaną postać zakonnika o łagodnem, uśmiechniętem obliczu, który wyciągnął do niego rękę... ale za późno! Poczwary rzuciły go bezdeń piekielną i roztworzyła się z strasznym hukiem!

Tej chwili obudził się Krudynhop i nie wiedział co się z nim dzieje.

Ogromna jodła, pod którą spał, waliła się wśród przerażającego huku, piorun w nią uderzył. Wściekła burza miotała borem, Poprad wezbrany huczał straszliwie, zdawało mu się, że istotnie sądny dzień nadszedł. Drżał okropnie i wyglądał rychło owe poczwary piekielne nadlecą aby go porwać. W przerażeniu zaczął uciekać i zdawało mu się, że słyszy za sobą goniące duchy i głosy: Sądu! sądu na niego! Gdzie spojrzy zda mu się, że widzi owe dusze. I w obłokach i w drzewach jęczą boleśnie i chyrczą w skonaniu. Pioruny grzmią mu górą:

Nie ma litości, nie ma miłosierdzia!! Straszne to były obrazy złego sumienia! a Bóg dopuścił przestrach na ratunek duszy.

Gdy tak uciekał sam przed sobą, spostrzegł podróżnego dążącego w górę. Dawna zbójecka wściekłość opanowała go jeszcze i pewnie w tej chwili uradował się czart myśląc, że swoją upatrzoną duszę nazad odzyskał; zbójca leciał z podniesioną maczugą, chcąc utopić w świeżej krwi straszne wyrzuty sumienia. W tem spojrzał na niego staruszek, a zbójca opuścił ręce, poznał bowiem pogodne, uśmiechnięte oblicze zakonnika, które widział we śnie. Przejęty skruchą upadł mu do nóg wołając:

— Ojcze, przebacz mi, ojcze rozgrzesz mnie!

Zakonnik Benedyktyn zdziwiony pyta:

— Czyś to ty może Krudynhop, ów straszny zbójca?

— Jam Krudynhop, lecz rozgrzesz mnie ojcze a będę cnotliwym i całe życie będę pokutował.

Tu opowiedział mu całe życie swoje, i ostatnie zabójstwo i ostatni sen czy widzenie, kończąc:

— Wy tylko ojcze podaliście rękę! podajcie mi ją teraz! Jak jeleń spragniony żądnie wody tak ja u was szukam pociechy!

Z pobożną słodyczą podał mu staruszek rękę i słowa pociechy wlewał w jego skruszone serce; zatrzymał się przy nim jakiś czas ciesząc i spowiadając a potem odszedł do klasztoru swojego i pobłogosławił go na pożegnanie.

Krudynhop powiesił maczugę swą na drzewie i patrząc na nią płakał rzewnie, a że jeszcze powątpiewał o miłosierdziu Boskiem więc strasznie rozpaczał. W tem spostrzegł, że z maczugi ścieka kropelka krwi i rozlewając cudną woń jasnym obłoczkiem uleciała ku niebu. Wziął to za znak łaski niebieskiej; wsadził maczugę w mogiłę gdzie grzebał swoje ofiary i rzekł do siebie:

— Jeżeli się przyjmie i wyrośnie w drzewo, toć Bóg wysłuchał żalu i łez moich.

Klęczał i łzami zlewał swą maczugę i wodę jej nosił koneweczką z Popradu na klęczkach. Serdeczny był żal, szczera pokuta, Bóg i cudu nie szczędził. Maczuga zazieleniała i puściła konary nad grobem zabitych. Nabrał więc otuchy, zwołał

murarzy i zmurował kościółek obok mogiły i lipy. Koneweczkę ową, którą donosił wodę podlewając maczugę, codzień pełną pieniędzy dawał robotnikom aż wystawili kościółek. Obok wystawił sobie chatę, którą zamieszkiwał. Codzień modlił się w kościółku żałując za zbrodnie swoje. Podróżnym był opiekunem i obrońcą, przeprowadzał ich przez góry i lasy, biednych wspierał. Lud okoliczny bez obawy już zbliżał się do miejsca niegdyś tak groźnego i z nim razem modlił się w kościółku.

W kilka, w wiele może lat, przechodził znów tamtędy zakonnik Benedyktyn, zadziwił się ujrzawszy kościół, lipę i pokutującego zbójcę. Odprawił nabożeństwo, wyspowiadał, rozgrzeszył i zaopatrzył Sakramentami śś. Bóg wstąpił już do duszy nawróconego.

Skruszony zbójca pojednany z Bogiem, chcąc do ostatka wychylić kielich pokuty, zawezwał zwierzchność świecką i opowiedziawszy popełnione zbrodnie, prosił o sprawiedliwość dla siebie. Wymierzono mu ją. U stóp lipy na mogile ścięto go mieczem. Ucięta głowa potoczyła się z pagórka, a gdy się zatrzymała, widzieli ludzie jak z obu źrenic wytrysły strugi łez czystych, poczem głowa skryła się w ziemię, a źródełko czyste zostało i dotąd istnieje. Lud z bliska i zdala przychodzi do niego po wodę uzdrawiającą.

Lipa dotąd stoi obok kościółka; w jej cieniu siedząc rok w rok lud pobożny opowiada o Krudynhopie, modli się za duszę jego i tych, których pomordował. Nad drzwiami zakrystji widać wyobrażenie jego jak klęcząc podlewa lipkę koneweczką. Na ratuszu zaś pokazują maczugę potężną czarną, która miała do niego należeć i miecz jego prosty, oprawny w jaszczur.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Stary rok dobiega kresu i za dni kilka ma się zacząć nowy. Żegnamy Was w tym starym roku mili czytelnicy „Dzwonka“ i Wy wszyscy ludzie dobrej woli co o nas pamiętacie i życzymy Wam aby ten nowy, nadchodzący rok, był dla Was rokiem pociechy, szczęścia i błogosławieństwa Bożego we wszystkiem. „Dzwonek“ będzie i nadal wychodził jak dotąd i jak dotąd będzie nauczał, będzie rozweselał, będzie zachęcał do życia cnotliwego i rządnego. Czyja wola odbierać go i w nowym roku, niechajże przysyła co potrzeba na druk i na papier, to jest 1 zł. na pół roku a za to złoży się znowu piękna książeczka jak niniejsza. Kto zaś przyszle 2 zł. będzie odbierał „Dzwonek“ przez cały rok następny.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.